

*Leniwa
Niedziela*

MIA MARCH

*Klub
Filmowy
Meryl Streep*

*Do czytania
z miską popcornu
i mnóstwem
chusteczek*

„PUBLISHERS WEEKLY”

Świat Książki

MIA MARCH

Klub
Filmowy
Meryl Streep

Z angielskiego przełożyła
Bożenna Stokłosa


Świat Książki

Pamięci Grega

Podziękowania

Od początku w sens napisania tej powieści wierzyła Alexis Hurley – wyjątkowa agentka literacka z InkWell Management, jej niezłomna orędowniczka o doskonałym wyczuciu problemów edytorstwa i redakcji. Nie ma na świecie dość dobrej czekolady, aby móc jej za wszystko podziękować, a naprawdę jest za co.

Dzięki pomyślnemu zrządzeniu losu moją książkę redagowała Karen Kosztołnyik, redaktor naczelna wydawnictwa Simon & Schuster/Gallery. Przejawiając wielką troskę i sympatię dla bohaterów, pomogła mi udoskonalić tę powieść i nadać jej odpowiednią formę. Niech tak się stanie z wieloma innymi książkami!

Dziękuję po wielokroć Louise Burke i Jen Bergstrom z Gallery za wiarę we mnie i moją książkę.

Szczególne podziękowania niech przyjmie ode mnie Kara Cesare, dobra wróżka edytorstwa.

Na wyrazy wdzięczności zasługują też moi przyjaciele i członkowie rodziny, w tym zwłaszcza mój ukochany syn, którego pytania, uśmiechy i dziecięca energia stanowią dla mnie niewyczerpane źródło inspiracji. Wie, jak kocham kino, i uważa, że Meryl Streep jest super, ponieważ użyczyła głosu Pani Lis w *Fantastycznym Panu Lisie*.

Kiedyś dawno temu natknęłam się w telewizji na talk-show Jamesa Liptona, *Inside the Actors Studio*, z udziałem Meryl Streep. Na ostatnie zadane jej przez niego pytanie z „kwestionariusza Prousta”: „Jeśli niebo istnieje, co chciałabyś usłyszeć od Boga u bram raju?”, odpowiedziała, rozkładając szeroko ręce: „Wszyscy mają wstęp!”. Ta odpowiedź ukazuje w największym skrócie powód, dla którego tak ją uwielbiam. Od kiedy pamiętam, jestem fanką tej pięknej i nadzwyczaj utalentowanej aktorki. Dziękuję jej za ponad pięćdziesiąt ról, które zagrała, za to, że dzięki nim śmiałam się i płakałam, przemyślałam różne sprawy i w coś uwierzyłam. Ta powieść jest moim hołdem dla niej.

Być może wiedział to, czego nie wiedziałam ja, że ziemia jest okrągła, byśmy nie zbaczyli z naszej ścieżki.

Karen Blixen, grana przez Meryl Streep
w filmie *Pożegnanie z Afryką*

*Klub Filmowy Streep Movie
(program)*

Co się wydarzyło w Madison County

Diabeł ubiera się u Prady

Mamma Mia!

Zgaga

W obronie życia

Sprawa Kramerów

Pocztówki znad krawędzi

To skomplikowane

Pożegnanie z Afryką

Julie i Julia

Prolog

Lolly Weller

Piętnaście lat temu

Nowy Rok, 2.30 w nocy

Gospoda Trzech Kapitanów, Boothbay Harbor, stan Maine

W telewizji leciał *Silkwood* z Meryl Streep, ulubioną aktorką Lolly. Gwiazda miała w nim fryzurę shag, którą Lolly nosiła jako nastolatka. W filmie grała również Cher. Lolly uważała ją za niezwykle wybuchową. Za osobę wybuchową ludzie uważali również Lolly, zwłaszcza jej siostra. Lolly nie zgadzała się jednak z tą opinią. Jej zdaniem do niej pasowało inne określenie. Gdyby była katoliczką, to z tego powodu zapewne biegałaby dwa razy dziennie do spowiedzi.

Gdy tej nocy po raz pierwszy zadzwonił telefon, Lolly zrobiła coś, co będzie ją prześladowało do końca życia i czego nigdy sobie nie wybaczy. Stało się to tuż po drugiej. Zamroczone alkoholem z okazji sylwestra jej siostra Allie opowiedziała Lolly ze śmiechem przez telefon, jak w tej chwili na środku eleganckiego holu Boothbay Resort Hotel jej mąż tańczy niczym John Travolta w *Pulp Fiction*. Wyznała, że wypili po cztery czy pięć kieliszków szampana i z tego powodu proszą Lolly lub jej męża, by ich stamtąd zabrali. Wymagało to poświęcenia zaledwie pięciu minut na dojazd tam, pięciu na zawiezenie obojga do domu i pięciu na powrót do pensjonatu. Ale dzięki temu Lolly zyskiwała dla siebie piętnaście rozkosznych minut. Obudziła męża Teda, który wymamrotał pod nosem coś na temat cholernych pijaków, włożył jednak na piżamę długą futrzaną kurtkę z kapturem i pojechał po Nashów.

Lolly rzuciła okiem na dziewczęta. Ona i Ted zgodzili się zaopiekować tej nocy jej siostrzenicami, gdyż na sylwestra mieli zapewnić wczasowiczom z Gospody Trzech Kapitanów tylko dęcie w róg i darmowego szampana. Lolly zeszła z drugiego piętra na pierwsze i ostrożnie otworzyła drzwi do pomieszczenia gospodarczego, gdzie trzymała odkurzacz i przybory do sprzątania. Szesnastoletnia Isabel Nash przyniosła tu, jak za każdym razem, kiedy nocowała u nich w pensjonacie, materac, poduszkę i koc i teraz smacznie spała. Na jej pięknej twarzy malował się taki błogi spokój, że nikt nie potrafiłby sobie wyobrazić wychodzących z tych różanych usteczek krzyków i przekleństw. Isabel wśliznęła się tu dziś zaledwie przed godziną, o wpół do drugiej, choć w święta i dni wolne od szkoły Allie kazała jej wracać do domu o wpół do pierwszej. Okropnie pokłóciła się dziś z matką, zanim obie wyszły wieczorem z domu. Naciągając na ramię siostrzenicy puchową kołdrę, Lolly spostrzegła na szyi dziewczyny malinkę. Niech no tylko jej ojciec to zobaczy – pomyślała.

Wróciła na drugie piętro i rzuciła okiem na drugą siostrzenicę, trzynastoletnią June Nash, która spędzała tę noc w pokoju jej córki. W tej maleńkiej sypialni, znajdującej się naprzeciwko sypialni Lolly i Teda, ledwie mieściło się jedno łóżko, a co dopiero mówić o dwóch łóżkach połowych, które Ted dodatkowo rozłożył dla Isabel i June. Niestety, nigdzie indziej nie było dla nich miejsca, bo w sylwestra wszystkie pokoje w pensjonacie były zajęte. Na falującej pod wpływem oddechu klatce piersiowej June leżała otwarta powieść *Jane Eyre*, a podbródek dziewczyny oświetlało czerwone światło latarki. Lolly zgasła latarkę i odłożyła ją wraz z książką na nocny stolik, a następnie odgarnęła z twarzy June gruby kasztanowaty lok. Ta dziewczyna nigdy nie sprawiała żadnych kłopotów.

Leżała tu także w swoim łóżku Kat Weller, dziesięcioletnia córka Lolly i Teda. Gdy ojciec schodził po schodach, obudziła się, błyskawicznie włożyła płaszcz, czapkę i rękawiczki z jednym palcem i stanęła w drzwiach.

– Tatusiu, czy mogę z tobą pojechać? – poprosiła. – Nie mamy przecież dziś lekcji.

Odmówił, bo było zbyt późno i bardzo zimno, a poza tym na dworze kręcili się pijacy, i zaprowadził ją z powrotem do łóżka. Zasnęła w czerwonych rękawiczkach, trzymając rękę na Kłapouchym – swej starej pluszowej maskotce.

Lolly podeszła do Kat na palcach, zadowolona, że córka leży odwrócona twarzą do ściany, bo gdyby nagle zobaczyła tę słodką buzię, tak podobną do twarzy Teda, chyba pękłoby jej serce, co w tych dniach często jej groziło. Ostrożnie zdjęła małej rękawiczki. Dziewczynka się poruszyła, ale nie obudziła się.

Pod wpływem nagłego poczucia winy Lolly zagryzła wargi i wyszła z pokoju Kat. Zostało jej dla siebie jakieś dziesięć minut. Pospieszenie wróciła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i położyła się z powrotem do łóżka, kładąc na brzuchu pilota od telewizora i słuchawkę telefonu. Zmieniła kanał. *Silkwood* bardzo jej się podobał, ale obejrzała go już co najmniej dziesięć razy, ostatni raz zaledwie przed kilkoma miesiącami. Natrafiła na film *Kiedy Harry poznał Sally*, pogłośniła telewizor, żeby nie było słychać jej głosu i wystukała numer telefonu. Jak zwykle podczas rozmowy serce biło jej szybciej, przypominając, o czym kiedyś marzyła. Mówiła cicho, ale na tyle głośno, by być słyszaną przez swojego rozmówcę, kiedy grany przez Billy'ego Crystala Harry wyjaśniał Sally, w którą wcieliła się Meg Ryan, co jest z nią nie w porządku.

Trzydzieści albo czterdzieści minut później – Lolly straciła poczucie czasu – telefonista przerwał jej połączenie, dzwoniąc z pilną wiadomością. Zesztywniała i oczywiście zgodziła się odebrać rozmowę. Dzwonili z komisariatu policji w Boothbay Harbor. Było im przykro.

Z tamtej nocy na zawsze zapamiętała moment, w którym wypuściła z ręki słuchawkę telefonu i znieruchomiała, z przerażeniem patrząc na twarz Billy'ego Crystala widoczną na ekranie telewizora. Później nigdy już nie potrafiła obejrzyć żadnego filmu z tym aktorem, nie mogła na niego patrzeć i słuchać jego głosu. Jej serdeczna przyjaciółka Pearl uznała, że na szczęście Lolly przełączyła kanał, na którym leciał *Silkwood*, bo inaczej nigdy więcej nie spojrzalaby na Meryl Streep.

Rozdział 1

Isabel Nash McNeal

Obmyślony przez Isabel plan uratowania jej małżeństwa składał się z trzech elementów: wykorzystania starego jak świat włoskiego przepisu na ravioli z trzema gatunkami sera, przywołania wraz z mężem wspomnień tego wszystkiego, co było w ich związku dobre, i przyrzeczenia sobie nawzajem, że już nigdy żadne z nich nie wspomni o tym, co ich od siebie oddalało. Isabel kochała swojego męża Edwarda. Kochała go od szesnastego roku życia. To musiało być to.

Stała przy kuchennym blacie, na którym leżała kartka z tak nagryzmołonym czarnym atramentem przepisem, że ledwie mogła odczytać poszczególne słowa, a obok spoczywała gruda szarego ciasta makaronowego, zagniecionego przez nią zgodnie z tym przepisem. Czy rzeczywiście ma tak wyglądać? – zastanawiała się.

Wzięła z wiszącej nad blatem półki książkę kucharską Giady De Laurentiis *Everyday Italian* i wyszukała przepis na ciasto makaronowe. Jej ciasto w niczym nie przypominało tego na zdjęciu. Po prostu musiała zacząć wszystko od początku.

Na wypróbowanie przepisu miała pięć dni. W najbliższy wtorek przypadała dziesiąta rocznica jej ślubu z Edwardem. Z tej okazji Isabel postanowiła odtworzyć ostatni wieczór i noc z miesiąca miodowego spędzonego w Rzymie, kiedy ona i Edward mieli zaledwie po dwadzieścia jeden lat i byli w sobie do szaleństwa zakochani. Wtedy to, gdy odeszli od fontanny di Trevi, do której wrzucili monety, wypowiadając w myślach życzenia, natknęli się za rogiem ulicy na istną perłę – czynną do późnych godzin nocnych małą restauracyjkę z okrągłymi stolikami na wolnym powietrzu. Usiedli tam w ten piękny sierpniowy wieczór, kiedy wiał lekki wietrzyk, pod gołym niebem, na którym wisiał sierp księżycy, i zaczęli słuchać dochodzących skądś ściszonych dźwięków włoskiej opery. W pewnym momencie Edward powiedział, że przy fontannie życzył sobie, by ich życie było zawsze takie jak teraz i że to Isabel jest jego życiem. Ona życzyła sobie tego samego z nim.

Nad ravioli z trzema gatunkami sera, które oboje uznali za niebiańskie, mąż wyznał, że kocha ją ponad wszystko i będzie kochał do końca życia. Potem wstał, przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował, co tak oczarowało właściciela restauracji, że zaprosił ich do środka, by dać przepis na ravioli. W starej kuchni zastali jego matkę, która nieco przypominała wiedźmę. Ta ubrana w surową czarną suknię kobieta o haczykowatym nosie i czarnych włosach zebranych z tyłu głowy w ciężki kok stała przy piecu i mieszała w wielkich czarnych garnkach. Uśmiechnęła się do Isabel i Edwarda, cmoknęła ich w policzki i po włosku napisała na kartce przepis, który jej syn przełożył na angielski i dodał od siebie: *Moja matka mówi, że ten przepis ma czarodziejską moc i gwarantuje długie szczęśliwe życie małżeńskie.*

Przez wszystkie lata, jakie minęły od tamtej chwili, Isabel nosiła kartkę z tym przepisem w portfelu. Z okazji każdej kolejnej rocznicy ślubu zamierzała ugotować według tego przepisu ravioli, ale zawsze z jakiegoś powodu albo udawała się z Edwardem na obiad do restauracji, albo byli gdzieś na wakacjach. Poza tym najwyraźniej ravioli, które zjedli w ostatnim dniu miesiąca miodowego w Rzymie, czyniły cuda, a w związku z tym nie potrzebowała żadnych gwarancji długiego i szczęśliwego życia małżeńskiego, bo je miała – aż do teraz. Nagle jej stosunki

z mężem przeobraziły się w coś na kształt zimnej wojny, gdyż zapragnęła czegoś, czego jakoby nie powinna chcieć, zapragnęła tak bardzo, że aż ją to przestraszyło, a zarazem podekscytowało i dało poczucie życia na serio. I z tego powodu płakała – pod prysznicem, w supermarkecie, w samochodzie i w łóżku późno w nocy – bo jej życzenie nigdy nie miało się spełnić.

Gdy wyrzuciła ciasto do kosza i włożyła miarkę do woreczka z mąką, usłyszała dochodzący od strony drzwi frontowych szelest. Spojrzała z kuchni do holu i spostrzegła wsuniętą pod drzwi kopertę. Zdziwiło ją to. Wytarła ręce w fartuch i ruszyła tam, stukając obcasami po wytwornej marmurowej posadzce. Koperta nie miała adresu, a kartka białego papieru, na której widniał napisany na komputerze list, nie była podpisana.

Anonim informował:

Twój mąż ma romans. Nie wiem, czy o tym wiesz ani czy chcesz wiedzieć. Ale wyświadczyłaś mi kiedyś w tym mieście uprzejmość i to coś znaczy. Wiadomość o takiej sprawie byłaby dla mnie ważna i coś mi mówi, że dla Ciebie też jest. Codziennie około szóstej po południu na tyłach Hemingway Street 56 parkuje czarny mercedes.

Przykro mi.

Isabel gwałtownie wciągnęła powietrze i wypuściła z ręki list, ale zaraz go podniosła i przeczytała ponownie. Edward ma romans? Pokręciła głową i czując, że uginają się pod nią nogi, usiadła na stojącej w przejściu wyściełanej ławie. To musiała być pomyłka. Z pewnością to jest pomyłka – uznała bez zastanowienia. „Przykro mi” doręczyło list do niewłaściwego domu. Prawdopodobnie miał trafić do rąk sąsiadki Isabel, Sashy Finton, której biały dom w stylu kolonialnym, o czerwonych drzwiach i czarnych okiennicach, oraz prowadząca do drzwi frontowych kamienna ścieżka, przy której rósł niecierpek, były takie same jak u McNealów. Na urządzanych przez sąsiadów imprezach składkowych i na przyjęciach urodzinowych dla maluchów mąż Sashy jawnie flirtował.

Isabel czuła do tej kobiety wielką sympatię. Sasha zawsze była uprzejma, a dziś rano pomachała jej, choć wyglądała na zdenerwowaną, gdy szła za mężem, który miał surową minę, do jego samochodu – czarnego mercedesa, takiego samego, jakim jeździ Edward.

Isabel ponownie wciągnęła powietrze, szybko przeszła do salonu i w oknie od strony drzwi odsunęła ciężką zasłonę. Wytężyła wzrok i za ozdobnym płotem z kutego żelaza zobaczyła drogę dojazdową do domu Fintonów. Stało tam tylko srebrzyste bmw Sashy, czarny mercedes na pewno należy do Darina. Spojrzała na zegarek. Minęła szósta. Może nie ma tu czarnego mercedesa, bo przecież Darin zaparkował go na tyłach Hemingway Street 56? – zastanawiała się.

Przeszła do kuchni, położyła list i kopertę na blacie i przycisnęła je pomidorem, choć tak naprawdę chciała, by ten anonim został wcześniej zdmuchnięty przez wiatr, poszybował w niebo i nigdy się nie pojawił. Jednak rzeczywistość była inna: wylądował pod drzwiami jej domu, świadomej tego, że między nią i mężem od dawna dzieje się coś bardzo złego, że ich stosunki zaczęły się psuć znacznie wcześniej, niż doszło między nimi do „zimnej wojny”. Ale żeby miał romans? Edward? Co to, to nie.

Isabel zamrugała załzawionymi oczami, odmierzyła trzy miarki mąki i wysypała je na deskę do krojenia, po czym zrobiła w kopczyku dołek, ostrożnie wbiła do niego cztery jajka i wolno połączyła je z mąką. Gdy zagniotła ciasto, znowu powstała gruda. Coś robiła źle.

Ten element jej planu uratowania małżeństwa, który miał przywołać wspomnienia wszystkiego, co było w ich wspólnym życiu dobre, mógł się wydać komuś śmieszny. Isabel uznała jednak, że jeśli odtworzy tamten ostatni wieczór i noc spędzone z Edwardem w Rzymie, kiedy połączyły ich magiczne chwile, to uda się jej coś w mężu poruszyć. Wierzyła, że gdy

poleje kawałki ricotty słodkim sosem marinara, wyczaruje tamten stół z Włoch, oświetlony księżycową poświatą, i przypomni mężowi, co kiedyś do niej czuł i jak układały się ich stosunki. Na tę okazję postanowiła włożyć jedną z tych kobiecych krótkich sukienek z bawełny, które nosiła w czasie miodowego miesiąca, a także wystawić ławę do ogrodu z tyłu domu, aby znajdowała się pod rozgwieżdżonym niebem. Skoro nie mogła odtworzyć tamtego wieczoru i nocy w tym samym miejscu, postanowiła przynajmniej ożywić tamte emocje, postawić siebie i męża znowu w punkcie wyjścia, na początku dziewięcioletniego okresu szczęśliwego związku, kiedy wszystko układało się między nimi dobrze, a ona czuła się bezpiecznie. To w ciągu ostatniego roku małżeństwa ich stosunki tak bardzo się zmieniły. Trzeci z elementów jej planu miał je naprawić, czyli przyrzeczenie sobie nawzajem, że nigdy więcej żadne z nich nie wspomni o tym, co ich od siebie oddalało, brutalnie rozdzielając. Niestety, Isabel chciała czegoś, czego nie chciał Edward.

Zdjęła z listu pomidor i ponownie przeczytała tekst. Znowu zwróciła uwagę na zdanie informujące o tym, że codziennie około szóstej po południu na tyłach Hemingway Street parkuje czarny mercedes. Owszem, Edward miał czarnego mercedesa, ale miał go także, o czym pomyślała już wcześniej, Darin Finton. Zresztą nie tylko on, również mieszkający po drugiej stronie ulicy Carmichaelowie. Po prostu takie auto miała większość ich sąsiadów.

Usłyszała, że przed domem Fintonów zatrzymuje się samochód. Ponownie pospiesznie podeszła do okna w salonie i zobaczyła, że Darin Finton wysiada z ciemnoszarego, a nie czarnego, mercedesa. Na ten widok dostała gęziej skórki. Wolnym krokiem przeszła do okien znajdujących się po drugiej stronie drzwi i przez przezroczyste zasłony spojrzała na drogę prowadzącą do domu Haverhillów. Oby tylko mieli czarnego mercedesa – pomyślała i uświadomiła sobie, że pragnie, by mąż Victorii Haverhill zdradzał żonę. Niestety, na drodze dojazdowej do ich domu zobaczyła oba samochody Haverhillów, w tym ciemnoniebieskiego mercedesa. Stała nieruchomo obok fortepianu, bojąc się poruszyć, zaczerpnąć powietrza.

Ale wyświadczyłaś mi kiedyś w tym mieście uprzejmość i to coś znaczy...

Isabel była dla ludzi życzliwa.

Sasha Finton miała lepsze i gorsze dni. A jaka była Victoria Haverhill? Bezwzględna. Czy ten list ktoś napisał do niej? Isabel zastanawiała się nad tym, stukając obcasami, gdy wracała do kuchni. Ona i Edward podjęli przecież próbę uratowania swojego małżeństwa. Przyrzekli sobie nawzajem, że dołożą starań, by je ocalić.

– Przepraszam, pani Isabel, ale to ciasto nie powinno tak wyglądać – oznajmiła łagodnym głosem jej gosposia Marian, wkładając zakupy do szafek kuchennych i nie odrywając wzroku od leżącej na desce grudy.

Dla tej kobiety nie miało znaczenia, ile razy Isabel proponowała jej, by zwracała się do niej po imieniu, bo ilekroć się to odbywało, zawsze kręciła głową i odpowiadała z uśmiechem: „Nie, proszę pani”.

– Zostanę dłużej i przygotuję to danie – zaproponowała gosposia. – Pani i pan Edward będziecie mieli smaczny obiad.

Marian pracowała u nich od pięciu lat, odkąd zamieszkali w tym wielkim domu w Westport, w stanie Connecticut, w domu o wiele za dużym dla dwóch osób. Przychodziła dwa razy w tygodniu, żeby posprzątać, a czasami także coś ugotować. Uśmiechając się chytrze, mówiła, jak doskonale nadawałaby się na pokój dziecięcy jedna z czterech sypialni na piętrze, ze względu na przeszkłone drzwi i lukowe okna „jak w bajce”.

Ilekroć, w dzień czy w nocy, Isabel wchodziła do tego bajkowego pokoju, czyli jeszcze jednego pokoju gościnnego, w którym dotychczas nie nocował żaden gość, wyobrażała sobie stojące tu białe śliczne łóżeczko, kremową pościel, cicho grającą zawieszkę dekoracyjną

i kaczątka namalowane na sztukaterii sufitu przez artystę, którego by w tym celu zatrudniła. Oczywiście wyobrażała sobie też maleńką córeczkę, Allison McNeal, zdrobniale Allie, po jej matce, albo maleńkiego synka Markusa McNeala, po ojcu Edwarda.

Niestety, zgodnie z umową, którą zawarli, nie mieli potomstwa. I kiedy tylko Isabel podnosiła sprawę posiadania przez nich dziecka, mąż przypominał jej o tej umowie, której przestrzegała ze złamanym sercem. Musiała więc otrzymać anonim przez pomyłkę, bo Edward nie mógł mieć romansu, ich umowa nie dopuszczała czegoś takiego. Jednak gdy teraz o tym pomyślała, uznała, że przysięga małżeńska, którą sobie złożyli, też stanowi umowę, a mimo to przez cały czas nie jest dotrzymana.

Uśmiechnęła się do gosposi wymuszenie.

– Dziękuję, Marian, ale po prostu uczę się robić to ciasto w związku z rocznicą naszego ślubu, która przypada w przyszłym tygodniu – wyjaśniła. – Dziesiątą.

– Pani i pan Edward stanowicie taką uroczą parę – powiedziała gosposia. – Mam nadzieję, że z tej okazji uda mu się wrócić do domu przed ósmą. Tak ciężko pracuje do późnych godzin.

Codziennie około szóstej po południu na tyłach Hemingway Street 56 parkuje czarny mercedes. Przykro mi.

Isabel sięgnęła do torebki po kluczyki do samochodu.

Gdy w Regionalnym Ośrodku dla Dzieci w Żalobie w Boothbay Harbor poznała Edwarda McNeala, była słodką szesnastolatką. Ten chłopak stał się jej nastoletnim opiekunem, pięć lat wcześniej w katastrofie lotniczej on też, stracił rodziców. Pracował w ośrodku w każdą środę po lekcjach jako wolontariusz. Kiedy dwa dni po wypadku samochodowym, w którym zginęli rodzice Isabel i June oraz ojciec Kat, mąż Lolly, ciotka zawiozła je tam wszystkie, Isabel spotkała się z psychologiem szkolnym i właśnie z Edwardem. Tego pierwszego dnia młody McNeal tak ujął ją empatią, którą dostrzegła w spojrzeniu jego ciemnych oczu, że na chwilę zapomniała, iż znajduje się w piekle, zawsze już na nie skazana po tym, jak w noc sylwestrową ojciec i matka stracili życie, kiedy ona spała.

Nie chciała rozmawiać o rodzicach i kłótni, jaką miała z matką w sylwestrowy wieczór, jak również o swojej młodszej siostrze June, która przez cały czas płakała. Ani też o tym, jak się czuła po przenosinach do starego, cuchnącego stęchłą pensjonatu ciotki Lolly i zamieszkaniu w jednym pokoju z siostrą i młodszą kuzynką Kat, osieroconą przez ojca, bo pojechał do pobliskiego hotelu po rodziców Isabel i June – pijanych hałaśliwych sylwestrowych biesiadników. Pragnęła tylko, by Edward opowiedział jej, jak przyjął wiadomość o śmierci swoich rodziców. Wtedy wyznał jej, że dowiedziawszy się o tym, doznał szoku i był w nim długo. Zareagował na stratę ojca i matki z opóźnieniem, a kiedy w końcu, po ponad pół roku, się z niego otrząsnął, przez wiele miesięcy płakał wszędzie: w szkole, w łóżku nocą i w kościele. Do kościoła zabierał go zastępujący mu rodziców brat przyrodni, sądząc, że będzie to dla Edwarda pomocne, i w pewnym sensie było, przynajmniej chwilowo. Aż pewnego dnia chłopak nagle zdał sobie sprawę, że już nie myśli o katastrofie i odtąd jego stan psychiczny zaczął się poprawiać, gdyż żal po stracie rodziców przestał go absorbować bez reszty.

Do następnej środy Isabel już była w nim zakochana, podobnie jak jej siostra, choć June raczej zadurzyła się w tym starszym od siebie chłopaku, niż zapalała do niego wielkim prawdziwym uczuciem. Przez jakiś czas siostry Nash, które nigdy nie były w dobrych stosunkach, skupiały się na tym uczuciu, a nie na żalu po stracie rodziców, wyładowując na sobie nawzajem gniew.

– Podobasz mu się, bo jesteś zdzirowata! – wrzeszczała June.

– Nie! Podobam mu się, bo jestem sobą! – odwrzaskiwała Isabel. – Kimś, kim nigdy nie

będziesz, ty włączając innym w dupę wzorze wszelkich cnót!

W tym wczesnym okresie po stracie rodziców wygadły na siebie okropne rzeczy. Gdy Isabel powiedziała o ich zajadłych kłótniach Edwardowi, oznajmił:

– Wiesz, Izzy, skoro dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego, co June mówi o tobie, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, więc to, co ty wygadujesz na jej temat, też jest prawdziwe tylko w jednym procencie. Pomyśl o tym.

Pomyślała, lecz później znowu zaczęła się kłócić z siostrą. June wyskakiwała z czymś, od czego Isabel bladła i zaczynała się trząść. W końcu smarkuła musiała chronić się przed gniewem starszej siostry pod spódnicą ciotki Lolly. Po jednym dniu przerwy ostre sprzeczki wybuchały między nimi na nowo. June twierdziła, że jako trzynastolatka wcale nie jest za młoda na to, by mieć chłopaka – szesnastolatka – i desperacko starała się zwrócić na siebie uwagę Edwarda, wypychając sobie biustonosz i malując usta błyszczkiem o zapachu brzoskwiniowym. Ciotka Lolly była zmuszona skontaktować ją z Sarah, czternastoletnią opiekunką dzieci z problemami, którą June bardzo polubiła. Jednak istniejąca zawsze między June a Isabel przepaść powiększyła się i nigdy nie potrafiły jej zmniejszyć, a ciotka Lolly nie zdołała im w tym pomóc. Za każdym razem, gdy Isabel uświadamiała sobie, że jeśli chce się pogodzić z siostrą, powinna przestać reagować na jej zaczepki, zaczynała na nie reagować w dwójnasób.

W końcu zaczęła uciekać do Edwarda. Tej okropnej zimy stali się nierozłączni. Opatuleni z powodu lodowatego zimna, odbywali w porcie długie spacerunki od mola do mola i siadywali tam, chcąc popatrzeć na statki. Edward trzymał ją w ramionach, okrywając jej plecy swą puchową granatową kurtką marki L.L. Bean i osłaniając twarz dłońmi w rękawiczkach. W porcie przemierzali wiele kilometrów, popijając z kubków na wynos gorącą czekoladę. Im bardziej Isabel oddalała się od pensjonatu, tym mniej czuła się nieszczęśliwa.

Gdy kiedyś późną wiosną leżeli wieczorem pod dębem w ogrodzie z tyłu pensjonatu, trzymając się za ręce i spoglądając w mrugające gwiazdy, które napawały Isabel nadzieją, Edward powiedział do niej, nie odrywając oczu od nieba:

– Powinniśmy zawrzeć umowę, że będziemy ze sobą zawsze, tylko my dwoje.

Ucisnęła mu rękę i powtórzyła za nim:

– Będziemy ze sobą zawsze, tylko my dwoje.

– Czyli nie będziemy mieli dzieci, które mogłyby się stać, tak jak my, zagubionymi, pograżonymi w żalu po stracie rodziców sierotami – dopowiedział.

Spojrzała na niego z respektem, że tak słusznie rozumował. Miał dopiero szesnaście lat, a był taki mądry.

– Nie będziemy mieli dzieci – znowu powtórzyła za nim.

– Czyli zawarliśmy umowę – podsumował. – Zawsze będziemy tylko ty i ja, bez dzieci.

Ucisnęli sobie dłonie i nadal spoglądali w rozgwieżdżone niebo, dopóki ciotka Lolly nie zawołała Isabel do domu.

Przez wiele lat Isabel nie pamiętała o tej umowie.

Teraz mieli po trzydzieści jeden lat, a od dziesięciu byli małżeństwem. Mieszkali w Westport, pięknym miasteczku w stanie Connecticut. Żył tu dużo młodych rodzin z dziećmi.

Isabel mocniej zacisnęła dłoń na kluczykach od samochodu, spoglądając na grudę ciasta makaronowego i przypominając sobie, jak przed rokiem przyłapała się na spoglądaniu na maleńkie twarzyczki dzieci w wózkach spacerowych, i przystanęła dziwnie poruszona, jakby zbudzona ze snu, myśląc, że być może ona i Edward niesłusznie obawiają się związanego z posiadaniem dzieci ryzyka. Do dwudziestego ósmego czy dziewiątego roku życia była zadowolona z tego, co ma. Nie doszedł w niej jeszcze do głosu instynkt macierzyński. Jednak gdy Edward zaczął się coraz bardziej od niej oddalać i zamykać w sobie, coraz później wracać

z pracy i opowiadać, co dziś mu się tam przydarzyło, a następnie stwierdzać: „Och, zapomnijmy o tym, i tak byś nie zrozumiała”, zrodziła się w niej potrzeba posiadania czegoś, czego nie potrafiła dokładnie określić. I przed ponad rokiem przyszedł ten dzień, kiedy zaczęła udzielać pomocy psychologicznej pewnej rodzinie w szpitalu, w którym zaofiarowała się jako wolontariuszka niemal w pełnym wymiarze godzin opiekować osobami przeżywającymi żalobę po stracie bliskich. Konkretnie chodziło o młodą wdowę z siedmiomiesięcznym dzieckiem, która miała wspaniałych krewnych.

Wówczas ktoś poprosił Isabel, by przez chwilę pottrzymała dziecko. Kiedy wzięła na ręce tę słodką kruszynkę, z przejścia gwałtownie wciągnęła powietrze. W tym momencie wiedziała, że pragnie takiej kruszynki, że chce mieć dziecko, że umowa, którą zawarła z Edwardem jako osierocona przez rodziców nastolatka, nie ma z jej obecnym życiem żadnego związku. Niemowlę, które właśnie trzymała na rękach, straciło ojca. Ale to wcale nie znaczyło, że dziewczynka nie będzie kochana, że nie będzie miała wspaniałego życia.

Isabel naprawdę chciała mieć dziecko. Była pewna swoich uczuć. Przespała się z tym problemem wiele razy, aż w końcu pozbyła się wszelkich wątpliwości i żałowała, że nie może zająć w ciążę w tej właśnie chwili.

Przed kilkoma miesiącami wyobrażała sobie przed snem, jak wyglądałoby ich dziecko – czy miałyby ciemne, o kasztanowym odcieniu włosy i rzymski nos Edwarda, czy też jej piwnozielone oczy i twarz w kształcie serca. Obudziła się w nocy i z większą z powodu mroku nadzieją spytała:

– Edwardzie? Śpisz?

Wymamrotał coś pod nosem, więc wzięła oddech i oznajmiła, że ostatnio dużo myślała o dziecku. Gdy nie odpowiedział, uznała, że zasnął, ale po chwili odparł:

– Iz, zawarliśmy umowę.

Rano przypomniał jej, dlaczego tak się stało, najpierw łagodnie, a potem bardziej szorstko.

– A co, jeśli zmieniłam zdanie w tej sprawie? – zapytała.

– To znaczy, że znaleźliśmy się w sytuacji patowej, czyż nie? – odpowiedział.

Starła się go przekonać, że nie są już tymi samymi co wtedy pełnymi obaw nastolatkami i nie muszą przestrzegać postanowień podjętych w czasie, kiedy przeżywali smutek i lęk.

Wówczas spojrział na nią ze złością i oznajmił:

– Isabel, nie chcę mieć dzieci. Koniec, kropka. Zawaraliśmy umowę.

Po tych słowach wyszedł z domu, trzaskając drzwiami.

Po kilku miesiącach prowadzenia takich rozmów zaczęli od siebie stronić, zamiast po prostu z nich zrezygnować. Ona spędzała więcej czasu w szpitalu, pomagając pacjentom radzić sobie ze stratą kogoś bliskiego. Kiedy nie była potrzebna, co zdarzało się rzadko, stawała przed oknem sali noworodków. Na widok tych maleństw serce jej się ścisnęło i zamykała oczy, w najmniejszym stopniu nie tłumiąc już w sobie pragnienia posiadania dziecka.

Ze złości na nieprzejednanie Edwarda przestała się do niego odzywać, a po pewnym czasie on nie tylko spóźniał się na obiad i pracował w soboty rano, lecz także starał się nie przebywać w tym samym co ona pokoju i nie sypiać w ich małżeńskim łóżku. Gdy wstawała rano, widziała go śpiącego na kanapie w salonie albo na za krótkiej dla niego dwuosobowej kanapie w jego gabinecie. Kiedy w rzadkich chwilach siadał z nią do śniadania, czuła się przy nim bardzo samotna, choć znajdował się po drugiej stronie stołu.

– Edwardzie, musimy porozmawiać i wszystko naprawić – powtarzała podczas śniadania, w mejlach, rozmowach telefonicznych i w nocy, gdy po przebudzeniu się stwierdzała, że jest sama i schodziła do salonu, gdzie zastawała go oglądającego nagranie meczu Boston Red Sox

albo siedzącego z twarzą ukrytą w dłoniach. Zatrzymywała się wtedy przestraszona, nagle nie wiedząc, jak dotrzeć do tego mężczyzny, którego знаła od szesnastego roku życia.

Kilka miesięcy później przestała w czasie pracy w szpitalu jeździć windą na drugie piętro do sali noworodków i przed zaśnięciem już nie myślała o maleńkich rzymskich nosach i piwnozielonych oczach, o twarzyczkach mających rysy jej i męża. Zawarła przecież z Edwardem umowę i nie wypowiedziała jej, składając mu przysięgę małżeńską. Przestrzegła podjętego kiedyś postanowienia. Edward wybawił ją z nieszczęścia, a teraz ona postanowiła wybawić ich oboje i uratować to małżeństwo, które przez dziewięć lat spajała tak silna więź i było takie udane. Przez tak długi czas jej mąż, gdy tylko przekroczył próg domu, brał ją w objęcia i całował jak podczas miodowego miesiąca. Kochali się i oglądali w łóżku stare filmy, jedząc ulubione chińskie dania na wynos. Poza tym Edward słuchał jej smutnych opowieści o szpitalu i trzymał ją w ramionach, dopóki nie zaczynała znowu normalnie oddychać. Kiedy zaś w czasie świąt z obowiązku odwiedzali jej rodzinę w stanie Maine i Isabel zaczynała mieć dość pensjonatu oraz kłótlivej siostry, wymykali się do portu i spacerowali tam jak za dawnych lat, trzymając się za ręce, i wszystko powracało do normy.

„Będziemy ze sobą zawsze, tylko my dwoje”.

Edward McNeal był dla niej wszystkim. Dlatego przez ostatnie dwa miesiące z poświęceniem walczyła o uratowanie swojego małżeństwa. Początkowo jej mąż na to reagował. Uśmiechała się do niego szczerze, a nie wymuszenie, i spoglądała z miłością, a nie z urazą. Stawała za nim i masowała jego silne ramiona, wdychając zapach mydła, który od lat uwielbiała, aż Edward się odwracał, namiętnie ją całował i prowadził do sypialni. Jednak później spostrzegła w wyrazie jego twarzy i mowie ciała coś nowego. Najwidoczniej została wyrządzona temu małżeństwu jakaś szkoda, zanim jeszcze Isabel podniosła temat dziecka. I nie potrafiły tego naprawić jej uśmiechy i seks, a nawet upływ czasu, ponieważ doszło do jakiejś niepowetowanej straty.

Isabel czekała i starała się, żeby wszystko wróciło do normy. Starła się tak bardzo, że gdy kochała się z Edwardem, wybuchwała płaczem. Wówczas jej mąż, kręcąc głową, wychodził z domu i nie wracał godzinami.

„Można oszukać innych, ale nie samego siebie”, mawiała ciotka Lolly.

Isabel starała się więc jeszcze bardziej. W ubiegłym miesiącu zapewniła Edwarda, że pogodziła się z umową, którą kiedyś zawarli. Owszem, skończyła trzydzieści jeden lat, a od dziesięciu była mężatką i zmieniła zdanie w sprawie posiadania dzieci. Tak, w głębi duszy uważała, że byłaby dobrą kochającą matką, ale na pierwszym miejscu stawiała swoje małżeństwo. Dlatego oznajmiła Edwardowi, że przyjmuje jego liczne propozycje – w tym zakupu dwóch dużych psów, rhodesianów albo chartów angielskich, i podróżowania. Mieli ponownie odwiedzić Włochy, a także Indie i amerykański Zachód, dokąd bardzo chciała pojechać, poza tym udać się do Afryki na safari. Dzięki temu chcieli poczuć się wolni, tylko oni oboje, tylko oboje. Isabel kochała męża i ich małżeństwo miało przetrwać, choć było nietypowe i ponieśli jakąś stratę, być może nieodwracalną.

Czasami w nocy zastanawiała się nad tym, co w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia spędzonych w pensjonacie mruknęła pod nosem siostra w trakcie jednej z ich typowych sprzeczek, gdy Isabel zdała się w drobnej sprawie na męża.

– Boże, Isabel, czy ty w ogóle masz świadomość, kim jesteś bez Edwarda? – spytała ją wtedy June.

Isabel była zupełnie inną osobą, zanim straciła rodziców i poznała swojego przyszłego męża. Teraz nagle zapragnęła tego, czego dotychczas nie miała, czegoś poważnego i odmieniającego życie. Ale może po prostu była tak przestraszona, że Edward mógł postawić na

swoim? I sprawa upadła. Nie będą mieli dziecka. W domu nie będzie słyhać odgłosów biegania małych stópek. W głębi duszy uważała, że wystarczy jej – lub niemal wystarczy – samo pragnienie posiadania dziecka. Coś jej to mówiło, coś dobrego na swój temat.

Zaciskając coraz mocniej dłoń na kluczykach do samochodu, pomyślała o tym, jak bardzo w to wierzyła, że ona i Edward są na właściwej drodze, by w ich małżeństwie wszystko wróciło do normy, lub przynajmniej znajdują się na początku tej drogi. To nic, że dziś rano powiedział, że nie pojedzie z nią jutro do Maine, choć nigdy dotąd nie przepuścił okazji, by się udać do Boothbay Harbor i odwiedzić brata oraz jego żonę, a także Lolly, którą niezależnie od wszystkiego od początku lubił. Teraz jednak nie mógł tam z Isabel jechać, jak jej oznajmił, gdy powiedziała mu, że przed kilkoma dniami otrzymała od ciotki dziwny telefon. Chodziło o to, że Lolly chciała osobiście zakomunikować wszystkim coś ważnego i w związku z tym zaprosiła w piątek do pensjonatu na obiad Isabel, jej siostrę June i swoją córkę Kat. Tymczasem nagle okazało się, że Edward nie może towarzyszyć Isabel, bo ma w weekend jakieś spotkania, jakieś obiady z klientami. W weekend.

– Nie mogę się stąd jutro ruszyć – oznajmił rano. – Jedź sama. Dawno nie byłaś w odwiedzinach u rodziny, co? Zostań tam na weekend, a nawet na dłużej.

Nagle uświadomiła sobie, że nie widziała Lolly, June i Kat od świąt Bożego Narodzenia, a teraz jest sierpień. Dwa spotkania rodzinne w roku, w Święto Dziękczynienia i w Boże Narodzenie, wydawały się wystarczające, by wszystkie cztery mogły się znieść.

„Zostań tam na weekend, a nawet na dłużej”. Czy pamiętał, że we wtorek przypadała dziesiąta rocznica ich ślubu?

– Co takiego ważnego chce wam zakomunikować Lolly? – spytał, nie patrząc na nią.

Trzymał palce na klawiaturze qwerty swojego iPhone'a i nie słuchał odpowiedzi.

To pytanie niepokoiło Isabel od chwili, w której Lolly do niej zadzwoniła. To nagłe wezwanie wszystkich trzech kobiet, a właściwie dwóch, bo Kat mieszkała w pensjonacie, było czymś niezwykłym. Ostatecznie Isabel doszła do wniosku, że ciotka sprzedaje Gospodę Trzech Kapitanów, a ponieważ wszystkie się tam wychowały, choć Isabel dopiero od szesnastego roku życia, Lolly, która stanowiła zaprzeczenie sentymentalności, uznała za stosowne osobiście im to zakomunikować. Zapewne ogłosi to z takim samym „przejęciem”, z jakim kiedyś zauważała, że tego lata bez pachnie wyjątkowo pięknie, a potem każda z nich zajmie się swoimi sprawami. Lolly uda się z wczasowiczami do salonu, żeby obejrzeć jakiś film w ramach wieczoru filmowego, June będzie godzinami budowała wraz z synem Charliem wieżę z klocków Lego w ogrodzie, byle tylko nie natknąć się na kogoś znajomego z miasta, a Kat zacznie unikać... Isabel.

Isabel miała nadzieję, że ciotka rzeczywiście sprzedaje pensjonat. Żadna z nich nie miała pięknych wspomnień związanych z tym miejscem.

Wysłuchaj mnie, zainteresuj się mną na nowo, unieś wzrok – powiedziała w myślach do Edwarda, jakby wierzyła w telepatię, lecz jej mąż nie odrywał oczu od iPhone'a.

– Lolly tego nie zdradziła – odpowiedziała. – Ale założę się, że sprzedaje pensjonat i chce nam to zakomunikować.

Skinął głową nieobecny myślami, zerknął na swój zegarek, wziął do ręki aktówkę i wstał.

I to było wszystko? Nie skomentował tego ani słowem? Nie ujawnił żadnej nostalgii za miejscem, w którym spędzili tyle wieczorów, leżąc w ogrodzie z tyłu pensjonatu między wiekowymi dębami i spoglądając w rozgwieżdżone niebo, a także robiąc różne plany, nie tylko zawierając umowę, że nie będą mieli dzieci? Nie powiedział nic.

Isabel spojrzała na wystający z torebki anonim. Wyjęła go, znowu przeczytała i włożyła do koperty.

Twój mąż ma romans.

Czy chciała o tym wiedzieć? Niektóre żony udawały, że o niczym nie mają pojęcia, robiąc tak z powodów mniej lub bardziej skomplikowanych. To mogła być pomyłka. Mogło chodzić o podobnego do Edwarda mężczyznę jeżdżącego modelem mercedesa z ubiegłego roku i pospiesznie wchodzącego do domu tylnymi drzwiami. Jeśli natomiast wyjdzie na jaw, że Edward rzeczywiście ją zdradza, to co dalej? Czy będzie błagał ją o wybaczenie? Czy poradzą sobie z tym problemem? A może jej mąż przysięgnie, że ją kocha, że sprawa jest skończona? Jednak ostatnio, a właściwie od jakiegoś czasu, wydawało się Isabel, że Edward już jej nie kocha. I być może nawet nie okłamałby jej w tej sprawie. Mogła zmiąć list i go wyrzucić, udawać, że nigdy nie otrzymała żadnego anonimu, że był przeznaczony dla kogoś innego.

Zamknęła oczy i usiadła na krześle, bo zaczęły jej drżeć nogi. Musiała poznać prawdę, bez względu na to, co potem zrobi. Było już dwadzieścia pięć po szóstej. Spojrzała po raz ostatni na leżące na desce ciasto i schowała list do torebki.

Pojechała na Hemingway Street, co zajęło jej trzy minuty. Numer 56 widniał na ostatnim domu na tej ulicy, zbudowanym w stylu neogreckim, z majestatycznymi kolumnami. Przypomniała sobie, że była tu przed dwoma laty na spotkaniu dotyczącym inicjatywy przeprowadzenia w mieście referendum.

Kto tu mieszka? – zastanawiała się, starając się sobie przypomnieć, gdy parkowała kilka domów dalej, a następnie pospiesznie szła wzdłuż ściany domu w stronę tylnych drzwi. Serce jej łomotało i z trudem łapała oddech. Zobaczyła, że z tyłu znajduje się niewidoczna z ulicy wiata samochodowa. Żeby tylko nie stał pod nią czarny mercedes Edwarda – powiedziała bezgłośnie. Jednak zaraz go zobaczyła i zabrakło jej tchu w piersiach. Och, Edwardzie, ty gnoju – pomyślała z gniewem, który był tak silny, że poczuła ucisk w dołku, lecz zaraz wyparł go bezgraniczny smutek, taki sam jak wtedy, gdy rano dowiedziała się, że rodzice nie żyją. Oparła się o ścianę domu zadowolona, że dzięki rosnącym tu wybujałym tujom jest niewidoczna dla sąsiadów, tak jak niewidoczny był dla nich Edward i jego mercedes. Oczywiście z wyjątkiem jednego sąsiada czy sąsiadki.

Nad rozsuwanymi szklanymi drzwiami wisiał wyblakły drewniany szyld z nazwiskiem CHENOWITH, w którym każda litera była innego koloru. Ależ tak, mieszkała tu natrętna Carolyn Chenowith wraz z mężem, którego imienia Isabel nie pamiętała. Oboje byli po trzydziestce i mieli trzy- albo czteroletnią córkę. Zatrudniali do niej opiekunkę, dziesięcioletnią szczupłą w talii Irlandkę z wielkim biustem, dziewczynę o serdecznym pogodnym uśmiechu.

Co za banał. Edward pieprzył gorącą irlandzką opiekunkę do dziecka... Isabel poczuła łzy pod powiekami i zamknęła oczy. Czy miała wrócić do domu i udawać, że o niczym nie wie, dopóki nie postanowi, co zrobić? A może powinna natychmiast zadzwonić do Carolyn Chenowith i powiedzieć jej, że irlandzka opiekunka sypia z Edwardem i prawdopodobnie także z jej mężem? Albo po prostu wtargnąć do tego domu i doprowadzić do konfrontacji z mężem i tą kobietą?

Chwiejnym krokiem weszła po schodach na taras i stanęła przed rozsuwanymi drzwiami. Gdy nacisnęła klamkę, drzwi się otworzyły. Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Do jej uszu dotarły z piętra czyjeś przytłumione głosy. Wstrzymując oddech i ciężko opierając się na poręczach, weszła na górę po przykrytych białym dywanem schodach. Jej serce biło tak głośno, że dziwiła się, iż nikt jeszcze nie wybiegł z tej czy innej sypialni na piętrze.

W chwili, gdy się zatrzymała, z pokoju wyszedł Edward McNeal, mając na sobie tylko rozpiętą koszulę. Na jej widok otworzył usta i strasznie pobladł, jakby miał zaraz zemdleć. Zatoczył się do tyłu i przytrzymał drzwi.

– Co... – zaczął.

– Kochanie? Co się stało? – rozległ się kobiecy głos pozbawiony irlandzkiego akcentu.

Z tego samego, co Edward pokoju wyszła naga Carolyn Chenowith. Na widok Isabel pobladła jak wcześniej on i znieruchomiała, po czym prędko pobiegła do pokoju i wróciła zaczerwieniona, okryta prześcieradłem.

– Isabel, ja... – wymamrotała, spoglądając na nią ze... współczuciem.

Edward uciszył ją gestem dłoni i spojrzał na żonę ze łzami w oczach.

– Iz, ja... O Boże, przepraszam, Isabel – wymamrotał.

Isabel stała niezdolna zaczerpnąć tchu, poruszyć się, zrobić cokolwiek i pomyśleć.

– Masz... – zaczęła i dodała w myślach, bo nie mogła wydobyć z siebie słów: romans, a na dodatek z Carolyn Chenowith, która jest matką?

Spoglądała na nich oboje, a po chwili się odwróciła, zbiegła po schodach na parter i wybiegła na ulicę.

Rozdział 2

June Nash

June niezmiennie miała nadzieję, że jeśli jeszcze będzie musiała spotkać w życiu Pauline Altman, ta okaże się grubą babą o oszpeconej przez trądzik twarzy. Niestety, szczęście jej nie dopisywało, bo kobieta była nadal szczupłą ładną blondynką, choć końska twarz nie dodawała jej urody. Stała w dziale podróżniczym księgarni Bracia Books i przeglądała przewodnik po Peru. June właśnie miała odstawić na półkę książkę *Paris on the Cheap*, którą ktoś zostawił na kawiarnianym stoliku, ale pospieszyła do przejścia w dziale poświęconym stanowi Maine, mówiąc ekspedientce, że na moment udaje się do gabinetu. Zamknąwszy za sobą drzwi, odetchnęła z ulgą.

Gdy ostatnim razem spotkała Pauline siedem lat temu, miała dwadzieścia jeden lat i była w ósmym miesiącu ciąży. Pracowała w księgarni Bracia Books w Boothbay Harbor, swoim miasteczkiem rodzinnym, jako ekspedientka. Pauline, którą prymuska June pokonała w walce o otrzymanie zaszczytnego zadania wygłoszenia mowy pożegnalnej na zakończenie nauki w szkole średniej, podeszła do kasy z poradnikiem, jak przygotować się do egzaminu na magisterskie studia prawnicze, i otworzyła usta ze zdziwienia.

– O mój Boże, Juney! – wykrzyknęła. – Jesteś w ciąży... bardzo zaawansowanej... Jak się domyślam, nie wracasz na Columbia University.

– Chyba nie – powiedziała bezgłośnie June, która chętnie by zniknęła za przywiezionymi przed chwilą do księgarni kartonami z nowymi książkami. Zawaliła ostatni rok studiów, ponieważ w poprzednim semestrze czuła się w Nowym Jorku bardzo zagubiona i samotna. Zaszła w ciążę w listopadzie, lecz nie wiedziała o tym do początku wiosennego semestru. Gdy się w końcu zorientowała, że jest w odmiennym stanie, myślała tylko o tym i o odnalezieniu ojca dziecka.

Pauline triumfalnie spojrzała na jej lewą rękę, na której nie było obrączki.

– Nie mogę uwierzyć, że to właśnie ty spodziewasz się dziecka. Wyobrażałam sobie, że będziesz na doskonałym stażu w jakiejś gazecie lub wydawnictwie i na najlepszej drodze, aby zostać redaktorem naczelną „The New Yorker”. – Ponieważ stanął za nią klient, włożyła poradnik do torby i rzuciła na pożegnanie: – Boże, to jest zdumiewające, że nawet najinteligentniejsi ludzie popełniają najgłupsze błędy. – Po tych słowach wyszła – z płaskim brzuchem, w sportowych rybaczkach z napisem YALE na tyłku i w japonkach.

June musiała poprosić o dziesięćminutową przerwę i, jak zwykle, otrzymała na nią zgodę od swojego życzliwego szefa. Poszła do toalety, usiadła na klapie sedesu i zamknęła oczy. Wreszcie odetchnęła. Nie popełniła głupiego błędu, jeśli nawet w oczach innych tak to wyglądało.

Teraz, siedem lat później, znowu się ukryła, jak przedtem, na zapleczu, ale przynajmniej księgarnia Bracia Books w Portland zajmowała znacznie większe pomieszczenia biurowe niż mała księgarnia w Boothbay Harbor, dokąd z kilku powodów rzadko przyjeżdżała. Starła się tam nie bywać głównie dlatego, że w tym małym miasteczku mieszkała niejedna taka Pauline Altman, pamiętająca June jako tę, która wygłosiła mowę pożegnalną na zakończenie szkoły średniej i marzyła o podboju świata wydawniczego Nowego Jorku. Tymczasem ostatnich siedem

lat życia spędziła jako samotna matka pracująca w nienależącej do żadnej sieci księgarni, bo facet zrobił jej dziecko w czasie przygody łóżkowej na dwie noce. Ale obecnie była przynajmniej kierowniczką i zarabiała wystarczająco dużo, żeby móc płacić rachunki i co miesiąc trochę odkładać na czarną godzinę. Szczęśliwie ustanowiła już fundusz na naukę Charliego w college'u.

Miała Charliego, a to przypomniało jej, co jest w życiu ważne. Pieprzyć Pauline i jej opinię. Pieprzyć złe samopoczucie w związku z tym, co mogło się wydarzyć, a się nie wydarzyło. To było jej życie, dobre życie, nie, wspaniałe, ze wspaniałym dzieciakiem, wspaniałymi przyjaciółmi i pracą, którą uwielbiała. Zwinęła długie kręcone kasztanowe włosy w luźny kok na karku, wetknęła w niego długopis, żeby się utrzymał, usiadła w swoim maleńkim gabinecie przy biurku i zanotowała na samoprzylepnej karteczce, którą przyczepiła do blatu, że ma kupić przekąskę na dzisiejsze spotkanie Charliego z kolegą po ich powrocie z wakacyjnego obozu dziennego, czyli uwielbiane przez synka pałeczki serowe i zielone winogrona, a także być może filigranowe babeczki z posypką. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak Charlie siedzi w swoim pokoju wraz z kolegą na dywaniku przedstawiającym nocne niebo z księżycem i gwiazdami i budują z klocków Lego roboty, zajadając najpierw pałeczki serowe, a potem filigranowe babeczki.

– Och, June, tu jesteś – powiedział Jasper Books, który wyszedł ze swojego gabinetu przylegającego do gabinetu June, jeszcze mniejszego niż jej, bo przychodził do pracy tylko dwa razy w tygodniu.

Ten wysoki szykowny trzydziestoosmioletni mężczyzna w nieodłącznych szelkach był współwłaścicielem obu księgarni (wraz z bratem bliźniakiem Henrym, który kierował księgarnią w Boothbay Harbor). June wiele mu zawdzięczała, a właściwie im obu. Zatrudnił ją u siebie w Portland jako kasjerkę, gdy musiała się wynieść z rodzinnego miasta, chcąc być z dala od natarczywych spojrzeń i uwag w rodzaju: „No nie, miałaś przed sobą całe życie”, jakby obrabowała bank i trafiła do więzienia, a także z dala od ciotki, która... nie pochwałała jej sytuacji, jeśli uznać to słowo za właściwe.

June była wdzięczna losowi za to, że dopłacano do czynszu za jej trzypokojowe mieszkanie nad księgarnią znajdującą się na tętniącej życiem Exchange Street w Starym Porcie, wśród niepowtarzalnych sklepików, wspaniałych restauracyjek i kawiarenek. Mogła tam mieszkać z synem dzięki swojej pracy. Miała też życzliwą sąsiadkę, starszą panią, która była oddaną opiekunką Charliego. Poza tym Jasper awansował ją najpierw na zastępcę kierownika, a potem na kierowniczkę.

Bardzo lubiła pracę w księgarni Bracia Books, z jej charakterystycznym zapachem papieru, pomaganie klientom w wyborze książek przeznaczonych na prezenty czy odpowiadających ich zainteresowaniom i polecanie im różnych lektur, które w tym celu specjalnie oznaczała. Poza tym miała słabość do okrągłych wyplatanych dywaników oraz miękkich kanap na porysowanej drewnianej podłodze, na których klienci mogli usiąść i przeczytać połowę książki, jeśli nawet potem większość z nich odkładała ją na półkę.

– Cześć, Jasperze. Sprawdzasz znowu nasze finanse? – spytała, bo w ciągu ostatnich kilku miesięcy informował ją parę razy, że sprzedaż spadła i bardzo go to niepokoi.

June zgłosiła więc nowe inicjatywy służące zwiększeniu obrotów: czytanie w księgarni fragmentów swoich książek przez pisarzy ze stanu Maine, wprowadzenie do oferty dwóch bestsellerów, stworzenie klubów trzech książek, zainstalowanie stanowiska z kawą i postawienie trzech stolików, a w dziale literatury dziecięcej czytanie książek maluchom. Dzięki wprowadzeniu tych pomysłów w życie interesy zaczęły iść lepiej, choć nie nastąpiła jakaś zasadnicza zmiana.

Jasper spojrział na nią i usiadł na krześle stojącym z boku biurka.

– June, to jest dla mnie straszne, że muszę ci o tym powiedzieć, ale ja i Henry postanowiliśmy zlikwidować księgarnię w Portland – oznajmił.

Zesztywniała.

– Chcecie ją zlikwidować? – spytała z niedowierzaniem.

– Za kilka miesięcy nie będzie nas stać na czynsz i pokrycie kosztów ogólnych – wyjaśnił. – Musimy być realistami. Być może będziemy mogli poszerzyć działalność w księgarni w Boothbay Harbor, która nieźle prosperuje, bo budynek należy do nas, a poza tym jest jedną z zaledwie dwóch w tym mieście. Oczywiście to jest dziecko Henry’ego i wszystko na to wskazuje, że dobrze nią kieruje z tej swojej łodzi, ale na pewno zatrudni cię jako kierowniczkę. Wiesz, że nie pozwolilibyśmy ci tak po prostu odejść.

Och nie! Mieli zamknąć księgarnię w Portland, zlikwidować to miejsce na Exchange Street? Jej ulubione? I zatrudnić ją jako kierowniczkę księgarni w Boothbay Harbor? Za wystarczająco złe uważała już samo to, że musi pojechać tam jutro na obiad z członkami rodziny. Przed kilkoma dniami zadzwoniła do niej ciotka Lolly i oznajmiła, że ma wszystkim coś do zakomunikowania. Powiedziała, że zatelefonowała w tej sprawie również do Isabel. Myśl o spotkaniu z bogatą siostrą i jej mężem, zawsze z siebie zadowolonym Edwardem, a także z wszystkowiedzącą kuzynką Kat i milczącą Lolly, która zajmowała się swoimi sprawami w taki sposób, jakby siostrzenic w ogóle nie było i spędzała wieczory nie z nimi, lecz oglądając filmy z wczasowiczami, była dla niej nie do zniesienia. Tylko co miała zrobić w sytuacji, gdy właśnie straciła tu pracę?

– June, przez trzy lata byłaś w Ivy League^[1] i nadal sprzedajesz książki? – pytał ją kilka razy w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia Pan Przemądrzały, jak nazywała go w myślach, i dodawał: – Z pewnością mogłabyś zostać redaktorem naczelną jakiegoś regionalnego czasopisma, na przykład „Portland” czy „Down East”.

Słusznie mówił, bo łatwo było przejść od sprzedaży książek do pracy redakcyjnej, ale pożegnała się z tym marzeniem, gdy sprawą podstawową w jej życiu okazała się stała i pewna praca, pensja i mieszkanie z dopłatą do czynszu. Poza tym nie była ekspedientką, lecz kierowniczką.

– Och, przepraszam, kierowniczo – często zwracał się do niej Pan Przemądrzały z szyderczym uśmiechem.

Nie mogła uwierzyć, że kiedyś godzinami rozmyślała o twarzy tego mężczyzny, o jego długich rzęsach, linii nosa i ciemnych oczach, które czasami jeszcze teraz wyzwały w niej wspomnienie tamtej dziewczyny, zagniewanej i rozgoryczonej, jaką się stała po śmierci rodziców. Śmierci, która zmieniła życie jej, Isabel i kuzynki Kat, bo zanim doszło do wypadku, June miała wiele marzeń. Te marzenia powróciły, kiedy wyjechała na studia na Columbia University, gdyż znalazła się wtedy daleko od ciotki Lolly i jej staromodnego pensjonatu uważanego, jak się wydawało, przez turystów za „autentyczną elegancką pozostałość po wiosce rybackiej”. Poza tym June odnalazła tam siebie. I było tak aż do dnia, w którym wstała z kamiennej ławki w Central Parku, bo wtedy jej życie znowu się zmieniło.

A teraz miała ponownie pracować w mieście, w którym tyle razy nazwano ją „biedną Junej”, że w końcu spodziewała się tego określenia nawet od nieznajomych? Nie.

– Ależ Jasperze, do Boothbay Harbor jedzie się z Portland półtorej godziny – zaczęła. – Nie mogę codziennie dojeżdżać tak daleko do pracy. Tak czy inaczej, nie chcę tam wracać. Znajdę tu sobie jakąś pracę. Może w bibliotece...

Uściskał jej ramię i wszedł w słowo.

– Złotko, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale... gdy likwidujemy tu księgarnię, musimy także zrezygnować z dwóch wynajmowanych przez nas lokali. Tak to zostało zapisane w umowie

najmu, a poza tym wynajmowaliśmy je grubo poniżej ceny rynkowej.

June usiadła ciężko na krzesło. Tylko nie to – pomyślała.

Jasper ponownie uściśnął jej ramię.

– June Bug, będziesz wiedziała, dokąd się udać. Zdobędziesz nową pracę i znajdziesz nowy dom. Zawsze jak kot spadasz na cztery łapy – oznajmił na koniec, dodając jej otuchy.

Skoro tak było, to dlaczego czuła się teraz jak ktoś, komu ziemia usunęła się spod stóp?

Stała przy blacie w małej kuchni, przy którym kiedyś po raz pierwszy podała Charliemu masło orzechowe. Natomiast przy kuchennym stole regularnie grała z synkiem w grę karcianą Go Fish. Często też siedziała tu do późna w nocy, gdy nie mogła zasnąć, i przy filiżance herbaty oglądała zdjęcia rodziców w jedynym albumie, jaki po nich miała.

Zerknęła na stare szafki kuchenne i porysowaną czarno-białą podłogę z winylu.

Oczywiście to nie było jakieś szczególne mieszkanie i w niczym nie przypominało domu Isabel w Westport, w stanie Connecticut, zbudowanego według projektu zamieszczonego w „Architectural Digest”. Ale tu żyła. Pomalowała ściany na ładny kremowy kolor, na podłogach położyła niedrogie barwne kilimy, na meble naciągnęła pokrowce, w oknach zawiesiła zasłony i tu i ówdzie rzuciła dekoracyjne poduszki. Dzięki tym zabiegom to małe, znajdujące się przy ruchliwej ulicy mieszkanie zamieniło się w przytulny dom dla niej i Charliego.

Nie bec – powiedziała do siebie w myślach, stojąc tyłem do stołu, przy którym siedział Charlie ubrany w pelerynę Batmana (kuzynka Kat przysłała mu ją z okazji siódmych urodzin) i jego nowy kolega Parker, a na blacie leżały teczki z pracami domowymi zadanymi na wakacyjnym obozie. Pod względem wyglądu chłopcy stanowili swoje przeciwieństwo. Charlie miał gęste ciemne włosy i zielone oczy (nie po niej), Parker włosy jasne i kręcone, a oczy anielsko niebieskie.

June wyjęła z lodówki dwa paluszki serowe i sok jabłkowy. Położyła paluszki na talerzyku, naląła soku do dwóch plastikowych kubków z wizerunkiem Batmana i postawiła wszystko na stole. Kupiła też w cukierni filigranowe babeczki, a chcąc poprawić sobie nastrój, wzięła dla siebie *whoopie pie* – okrągłe ciastko przekładane masłem orzechowym. Postanowiła zrobić chłopcom niespodziankę i podać im później babeczki.

– Wiesz co? – powiedział cicho Charlie do Parkera, przysuwając do niego swoje krzesło.

– Ja nawet nie mogę odrobić tej pracy domowej, bo nie mam taty.

June gwałtownie wciągnęła powietrze. O co chodziło?

– A dlaczego nie masz? – spytał Parker.

Charlie wzruszył szczupłymi ramionami.

– Po prostu nie mam – odparł.

Parker również wzruszył ramionami.

– Myślałem, że każdy ma tatę – powiedział.

Charlie pokręcił głową.

– Ale ja nie mam – powtórzył.

Obaj spojrzeli na June.

Poczuła ten sam, co zawsze dziwny strach, gdy Charlie pytał ją, gdzie jest jego ojciec, bo żadna odpowiedź na to pytanie nie była właściwa. Czasami, a zwłaszcza wtedy, kiedy widziała na uroczystościach szkolnych oboje rodziców lub kiedy przy Charliem dzieci mówiły o swoich ojcach, ogarniał ją bezgraniczny smutek. W okresie wczesnego dzieciństwa syna ten smutek nie pozwalał jej zasnąć, co zresztą nie było takie złe, skoro musiała karmić maleństwo w nocy. Wyobrażała sobie, że w tamten zimny listopadowy dzień John przyszedł do niej, kiedy czekała na niego na ławce w parku, a gdy potem odkryli, że jest w ciąży, postanowili, że dziecko się urodzi. Wyobrażała sobie, że później się pobrali, cudem znaleźli w Nowym Jorku wspañiałe

mieszkanie, ona skończyła ostatni rok studiów na Columbi i została redaktor naczelną „The New Yorkera”, a on... zawiesił roczny urlop dziekański, na którym był, jak jej powiedział, i zawsze już stanowili szczęśliwą rodzinę. W tej fantazji Charlie miał ojca.

Odetchnęła głęboko, przykucnęła między chłopcami i spytała, spoglądając na otwarte teczki:

– Co to za praca domowa?

– Mamy ją odrobić na uroczystość zakończenia obozu, kiedy przyjadą wszyscy rodzice – odpowiedział Charlie. – Tworzymy wielkie drzewo, wysokie na dziesięć osób, łączymy w nim nasze drzewa genealogiczne. Mamusiu, czy wiesz, co to jest drzewo genealogiczne? – Po tym pytaniu wyjął z teczki kartkę zielonego papieru.

– Oczywiście, Charlie – potwierdziła, spoglądając na kartkę, na której widniał zarys drzewa z gałęziami, a nad nimi znajdowały się owalne pola na nazwiska pradziadków, dziadków, rodziców, swoje i rodzeństwa.

Polecenie brzmiało: Wpisz do rubryk nazwiska, a pod spodem wymień trzy przymiotniki (słowa opisujące) twoich rodziców i dziadków.

Och, Charlie – pomyślała June. Miała złamane serce. Mogła wypełnić pola odnoszące się do krewnych synka ze strony Nashów, choć przy nazwiskach dziadków Charliego i dziadka stryjecznego ze strony jej matki byłyby małe krzyżyki, oznaczające, że nie żyją. Nie знаła natomiast nazwisk członków rodziny ze strony ojca Charliego. Oczywiście znała nazwisko jego ojca. Dzięki Bogu wiedziała przynajmniej tyle. A jeśli chodzi o trzy opisujące Johna przymiotniki? W najlepszym razie mogła powiedzieć, że to wysoki, zielonooki brunet, ponieważ wszystko, co o nim myślała – na podstawie dwóch randek – i co mogłoby go charakteryzować, rozpadło się na strzępy. Dla niej z Johna Smitha pozostała tylko twarz, której nigdy nie zapomniała, bo codziennie widziała ją, patrząc na buzię Charliego.

– Mamusiu, czy możemy przez chwilę porozmawiać w pokoju? – poprosił Charlie, krzywiąc się i starając nie rozplakać przy koleźce.

– Zaraz wrócimy, dobrze? – powiedziała June do Parkera. – Poczęstuj się paluszkiem i sokiem.

Poszli do pokoju Charliego, który wyglądał jak wyjęty z *Harry'ego Pottera*.

Chłopiec wziął z biurka czarodziejską różdżkę i spytał ze łzami w oczach:

– Mamusiu, dlaczego nie mam taty, a wszyscy inni mają?

June usiadła na łóżku, wzięła go na kolana i objęła. Rozmawiali na ten temat wiele razy, a kiedy chciał, żeby mu wszystko powtórzyła, robiła to.

– Masz tatę, Charlie, ale on z nami nie mieszka. Nie wiedział, że byłem z nim w ciąży i wyjechał z Nowego Jorku, zanim zdążyłam mu o tym powiedzieć. Szukałam go, ale nie mogłam odnaleźć. – Uścisnęła synka, przytuliła policzek do jego gęstych włosów i dodała: – Gdyby tylko o tobie wiedział, gdyby tylko wiedział, byłby z nami. Kochałby cię. Tak czuję.

– Ale jak wypełnię drzewo genealogiczne? – spytał rzeczowo Charlie.

June ścisnęło się serce. Przeczynała, że nadejdzie dzień, kiedy synowi nie wystarczy już to, co mu mówiła. Musiała coś zrobić. Musiała dotrzeć do jakichś informacji. Chłopcu należała się wiedza o tym, kim był jego ojciec, wiedza obszerna, a nie tylko znajomość imienia i nazwiska, i dwóch dat.

– Posłuchaj, kochanie. Postaram się ustalić jakieś fakty potrzebne do wypełnienia tego drzewa, dobrze? Dotyczące twojego ojca i jego rodziców oraz dziadków – zapewniła go.

Charlie się rozpromienił.

– Dobrze – powiedział.

June nie miała pojęcia, jak po tylu latach mogłaby wpaść na trop Johna Smitha, zwłaszcza

gdy jej wcześniejsze poszukiwania okazały się daremne. Jednak ponownie musiała spróbować go odnaleźć. Może Isabel i Edward znali kogoś, kto mógłby jej pomóc, jakiegoś prawnika czy prywatnego detektywa? Siostra nie ruszała się nigdzie bez męża, więc June była pewna, że spotka się jutro wieczorem z Edwardem w pensjonacie ciotki.

Czyżby Lolly zamierzała sprzedać pensjonat? – pomyślała. Miała w związku z taką możliwością mieszane uczucia. W Gospodzie Trzech Kapitanów spędziła najsmutniejszy okres w swoim życiu, chociaż zdarzały się również miłe chwile. Oczywiście Lolly zaprosiła ją razem z synkiem, a w sierpniu Boothbay Harbor był dla dzieci istnym rajem. Mimo to dla June pensjonat ciotki na zawsze już miał pozostać tym miejscem, do którego musiała się przenieść po stracie rodziców, a potem, w pewnym sensie tym, w którym straciła siostrę. Jeśli dodać do tego jej koszmarne samopoczucie, gdy jako przestraszona ciężarna dwudziestojednatka była wystawiona na podejrzliwe i ciekawskie spojrzenia dawnych kolegów szkolnych, którzy przyjeżdżali do miasta rodzinnego na wakacje, nie mogła czuć się w nim jak w domu.

Nie, June absolutnie nie cieszyła się z jutrzejszego rodzinnego spotkania. Musiała wymyślić plan na życie, co wymagało czasu i odpowiedniego miejsca, żeby się nad wszystkim zastanowić. Gospoda Trzech Kapitanów się do tego nie nadawała, podobnie jak miasto Boothbay Harbor, choć było piękne i spokojne. Ale przynajmniej mogła tam wpaść do księgarni do Henry'ego, który uwielbiał spotykać się z Charliem.

Jej słodki synek mocno ją uściśnął, zanim pobiegł do kuchni do kolegi już w lepszym nastroju, za co June była wdzięczna losowi.

Rozdział 3

Kat Weller

Kat wycisnęła z woreczka do dekorowania biały lukier maślany i na obwodzie niemieckiego tortu czekoladowego, który upiekła na dzisiejszy obiad rodzinny, umieściła sześć ozdobnych liter: L jak Lolly, I jak Isabel, E jak Edward, J jak June, C jak Charlie i K jak Kat. Niemiecka czekolada, z lepkiem karmelem, słodkim kokosem i nadzieniem z chrupiących orzechów pekan, była ulubionym przysmakiem jej małego kuzyna Charliego. Kat zbyt długo już nie widziała swojego uroczego siedmioletniego siostrzeńca, a także jego matki June i jej siostry Isabel, swoich sióstr ciotecznych. Nie chodziło o to, by nagle stały się jej bliskie czy też żeby kiedykolwiek były. Po prostu piekła tort z inicjałami na każdy rodzinny obiad w pensjonacie, zanim jeszcze zdobyła zawód cukiernika. To był jej sposób... wypróbowywania przepisów, jak sądziła.

Spojrzała na zegarek, zdjęła pobrudzony mąką i lukrem fartuch i wrzuciła go do wiklinowego kosza. Do przyjazdu kuzynek pozostała niecała godzina.

Dobrze się czujesz? – spytał ją Oliver w przysłanym przed dwudziestoma minutami SMS-ie. – *Wiem, że się niepokoisz z powodu dzisiejszego wieczoru. Zadzwoń, kiedy będziesz mogła.* O.

Miał rację. Niepokoiła się. Jej matka wezwała dziś do domu swoje dwie siostrzenice. Lata temu, gdy Isabel nie przyjechała na święta Bożego Narodzenia, bo nikt jej wprost nie zaprosił, Lolly mruknęła pod nosem: „Och, na litość boską”.

Oznajmiła wtedy, że odtąd członkowie rodziny będą spędzali razem Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie i cokolwiek by się działo, żadne zaproszenie nie zostanie wystosowywane, bo rozumie się to samo przez się. Toteż co roku na te dwa święta Isabel i Edward przyjeżdżali z Connecticut swoim czarnym mercedesem, June i Charlie z Portland starym ciemnozielonym subaru outback, Kat natomiast schodziła do salonu po schodach ze swojego pokoju, bo zawsze mieszkała w pensjonacie. Jednak dotychczas Lolly Weller nigdy nie wezwała tu siostrzenic z jakiegoś innego powodu.

Gdy rano rozbijała jajka, robiąc śniadanie dla przebywających w pensjonacie wczasowiczów, rzuciła jakby od niechcenia:

– Och, Kat, może upiekłabyś na dzisiejszy wieczór jeden ze swoich tortów z inicjałami. Dziś przyjeżdżają na obiad dziewczęta. Wezwałam je, bo chcę wam wszystkim coś zakomunikować.

To była istna sensacja. Matka miała wszystkim coś zakomunikować? Lolly Weller, która zaplatała swe długie siwiejące włosy w warkocz, nosiła japonki marki L.L. Bean w kraby i brązową spódnicę z gazy, raczej nie trzymała się sztywno konwenansów. Jeśli miała komuś coś do powiedzenia, co zdarzało się rzadko, po prostu to mówiła, a nie „śpiewała i tańczyła”, jak nazywała robienie z jakiegoś powodu wielkiego zamieszania.

Sprzedaje pensjonat... Wychodzi za mąż... Przenosi się na Tahiti... Kat starała się odgadnąć, co takiego jej matka czuła się zmuszona zakomunikować wszystkim, co wymagało wezwania „dziewcząt” w sytuacji, gdy obie serdecznie nie cierpiały Boothbay Harbor i nie przepadały za sobą ani za Kat.

Próbując sobie wyobrazić, co też Lolly kombinuje, wyjęła spomiędzy poduch kanapy okulary przeciwsłoneczne, a spod ręcznika na szezlongu iPhone'a, zebrała pozostawione w pokoju śniadaniowym egzemplarze planu miasta i włożyła wszystko do kosza z etykietką „Rzeczy znalezione”, a następnie przygotowała Pokój pod Drozdem dla nowych wczasowiczów, którzy mieli dziś przyjechać. Nie sądziła, by z jakiegoś powodu matka kiedykolwiek sprzedała Gospodę Trzech Kapitanów. Ucieczka do Las Vegas z nagle poznanym adoratorem też nie wchodziła w grę, bo od czasu śmierci przed piętnastu laty swego męża, ojca Kat, Lolly nie znalazła sobie żadnego przyjaciela. Należało też zapomnieć o wyprawie na Tahiti czy do Kanady. Lolly Weller nigdy nie wyjechała z Boothbay Harbor, nawet w podróż poślubną.

Kat próbowała coś wyciągnąć z Pearl, starej pomocnicy matki, która przychodziła do pensjonatu kilka razy w tygodniu, żeby złożyć pościel i ręczniki i podlać rośliny. Powiedziała Pearl, jak bardzo jest zaskoczona tym, że jej kuzynki przyjeżdżają dziś na obiad, w zwykły piątek w sierpniu, a nie z okazji Święta Dziękczynienia czy świąt Bożego Narodzenia.

– Czy to nie cudowne, kochanie? Możliwe, że wszystkie obejrzyicie z nami film przewidziany na dzisiejszy wieczór filmowy. Lolly wybrała *Co się wydarzyło w Madison County* z Meryl Streep i Clintem Eastwoodem – odpowiedziała jej wymijająco Pearl.

Kat wreszcie odetchnęła z ulgą. Jeśli matka nie odwołała wieczoru filmowego, który organizowała w pensjonacie co piątek, znaczyło to, że nie miała do zakomunikowania żadnej wstrząsającej wiadomości. Jej małomówna posępna matka była najszczęśliwszą osobą na świecie, gdy wraz z wczasowiczami i Pearl oglądała w salonie filmy. Z żadnego powodu nie zrezygnowałyby ze zorganizowania spotkania „klubu filmowego”.

Zabrzączał regulator czasowy piekarnika i Kat sprawdziła cytrynowe babeczki z kremem custard, które piekła na dzisiejszy wieczór filmowy. Były gotowe i cudownie pachniały. Wyjęła blachy z piekarnika, położyła je na stojaku do chłodzenia pod oknem i spojrzała na widniejący w oddali port. Gospoda Trzech Kapitanów nie znajdowała się w centrum Boothbay Harbor, w którym mieściły się najpopularniejsze hotele, jednak pokoje w tym wiktoriańskim jasnoniebieskim pensjonacie na Harbor Hill Road zawsze były zarezerwowane. Od portu dzieliły go dwie długie kręte ulice, lecz stał na wzgórzu, skąd roztaczał się widok na panujący latem ożywiony ruch na morzu i nabrzeżu, na długie mola, pomosty i niezliczone doki, na statki-observatoria wielorybów i majestatyczne jachty, na sklepy i restauracje, których było tu bez liku. Człowiek widział stąd wszystko jak na dłoni, a nie musiał tkwić w tym niezwykłym natłoku.

Pensjonat ozdobiony na wzór statku rybackiego – kołami sterowymi, bojami i sieciami – nie był nowoczesny jak niektóre hotele w tym rejonie, lecz, jak się wydawało, wczasowicze go uwielbiali. Mówili, że jest to autentyczna Nowa Anglia, z prawdziwą właścicielką z Maine, która rzadko się uśmiecha czy ucina sobie beztroską towarzyską pogawędkę, ale oferuje przytulne pokoje i fantastyczne śniadania. Lolly odziedziczyła pensjonat po swojej rodzinie. W miejscu tym wyrastało pokolenie za pokoleniem.

Nad wahadłowymi drzwiami zadzwonił dzwonek i do kuchni weszła przyjaciółka Kat, a zarazem jej klientka, Lizzie Hamm, na której palcu rozbłyskiwał dwukaratowy brylant.

– Hm, pachnie i wygląda niesamowicie – powiedziała i uśmiechnęła się na widok tortu w taki sposób, w jaki uśmiechał się każdy, kto zobaczył kulinarną kreację Kat, ozdobioną wymyślnymi maleńkimi ptaszkami, muszelkami, gałązkami i kwiatuśkami, które składały się na imiona lub inicjały. Pochłaniając wzrokiem widniejące na torcie litery, Lizzie dodała: – Już nie mogę się doczekać, co zakomunikuje twoja mama. Zadzwon do mnie potem, nawet jeśli będzie późno. – Nagle przeniosła wzrok na Kat i zawołała: – No nie! Obcięłaś włosy! Świetnie wyglądasz w krótszych. I ta grzywka jest super.

Kat się uśmiechnęła.

– Dziękuję – odrzekła. – Potrzebowałam jakiejś odmiany.

Z pewnością potrzebowała. Znacznie skróciła sięgające do połowy pleców jasnobłond włosy i teraz ledwie dotykały ramion. Oprócz tego po raz pierwszy w życiu zrobiła sobie grzywkę, w której czuła się... inna. Ostatnio chciała się poczuć inna i starsza, choć przecież miała dwadzieścia pięć lat, a więc wcale nie była taka młoda.

Lizzie postawiła na krześle swoją wielką torbę.

– Już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć szkice, które dla mnie przygotowałaś! – zawołała podekscytowana.

Kat zaprowadziła ją do małego biurka pod drugim oknem wychodzącym na wielki ogród, gdzie Lolly i Pearl siedziały przy jednym z piknikowych stołów i grały, jak się wydawało, w pokera, używając jako żetonów kawałeczków ciastka *blondie*. Kat często piekła te ciastka i teraz uśmiechnęła się na widok matki i jej przyjaciółki, zapominając na chwilę, że dziś wieczorem pensjonat stanie się taki, jakim był, gdy tu dorastała, klaustrofobicznym i wyzwalającym złość.

Jak one wszystkie – Lolly, Kat, Isabel i June – mieściły się w tym domu, do którego nieustannie przybywali wczasowicze, przemierzając przedpokoje, korytarze i wspólne pokoje? Gdy wprowadziły się tu siostry Nash, Lolly zamieniła znajdujący się na poddaszu i należący do niej i jej zmarłego męża duży pokój z romantycznym balkonem we wspólną sypialnię siostrzenic i córki, a sama zajęła znajdującą się naprzeciwko małą sypialnię Kat. Ale dzięki temu, że Kat zamieszkała wtedy z szesnastoletnią Isabel i trzynastoletnią June, otworzyły się jej oczy na różne sprawy.

Kuzynki stanowiły typową parę: zła i dobra siostra. Kat czuła się między nimi znośnie, ani za dobrze, ani zbyt źle. Przebywając ze śmiałą Isabel i bystrą June, dziewczętami o silnych osobowościach i hałaśliwymi, stała się cichsza. Teraz miała z nimi bliski kontakt, ale nie rozumiała tego, co widziała i słyszała czy czuła. Tylko przykry ucisk w dołku przypominał jej, że gdyby nie rodzice Isabel i June, jej dobry i solidny ojciec, który nie pił i nie tańczył na rodzinnych spotkaniach jak wariat i nigdy nie musiał pożyczyc do dnia wypłaty „paru dolców”, żyłby. Jednak czasami czuła się przez nie tak przytłoczona, tak odsunięta na bok z powodu ich dominacji, nawet przez miłą June, że zaczynała na nie krzyczeć. Mówiła im wtedy, że ich nienawidzi, że nie cierpi samego ich widoku, że ma ich dość i że to z winy ich rodziców została bez ojca i musi gnieść się z nimi w jednym pokoju.

– Ale przynajmniej masz matkę – odpowiadała jej po takim wybuchu cichym głosem June i wybiegała we łzach z pokoju.

Kat czuła się jeszcze gorzej, gdy Isabel, której się zawsze bała, stawała przed nią i nieoczekiwanie spoglądała na nią ze skruchą i żalem.

Od piętnastu lat się unikały, a teraz nagle Isabel i June przyjeżdżały, by usłyszeć jakąś wiadomość od matki Kat.

Wręczyła przyjaciółce odręczne szkice i komputerowe wydruki swoich projektów tortu weselnego, które dla niej sporządziła. W przyszłym roku, w maju, Lizzie będzie wychodziła za mąż i chciała zaprosić na wesele sto dwadzieścia osób. Z ulgą poprosiła Kat, która zawsze piekła ciasto w dobrych i złych chwilach swojego życia od czasu, gdy się poznały w szkole średniej, o zaprojektowanie i upieczenie tortu weselnego. I nie chciała słyszeć o tym, aby był to prezent ślubny, co Kat bardzo u niej ceniła.

Więcej takich gestów i Kat będzie mogła otworzyć własną cukiernię pod nazwą „Ciasta i wyroby cukiernicze Kat”, bo obecnie nazwa ta widniała tylko na wykonanej przez nią własnoręcznie etykietce zdobiącej opakowania w kolorze morelowym na jej wyroby cukiernicze.

– Och, może zjem jedną, zanim spojrzę na te szkice – bardziej stwierdziła, niż spytała Lizzie na widok tacy z cytrynowymi babeczkami z kremem custard. – Nie obchodzi mnie, jeśli suknia ślubna pęknie mi w szwach. Daj jedną.

Kat się roześmiała. Bardzo lubiła Lizzie. Żałowała, że nie jest tak pewna swojego uczucia do chłopaka, jak jej przyjaciółka była pewna swojego. Polukrowała zbyt ciepło, by móc je zjeść, ciastko, a przyjaciółka wciągnęła jego zapach i z westchnieniem zerknęła na pierwszy spośród szkiców.

– Och, Kat, nie muszę już oglądać pozostałych. Ten projekt jest doskonały.

Kat wiedziała, że Lizzie go wybierze. Projekt przedstawiał pięciowarstwowy tort w kształcie muszli morskich. Dolną warstwę zdołały na obwodzie delikatne gałązki i kwiatki łyseczka. Ten tort był idealny na ślub planowany w letnim domu rodziny Lizzie na Peaks Island.

– Zabiorę wszystkie i pokażę ekipie organizującej wesele – oznajmiła i schowała je do torby. – A teraz powiedz, co z Oliverem.

Lizzie go uwielbiała, tak samo jak ich „historię”, i pragnęła, żeby się pobrali. Wszyscy pragnęli. Kat jednak nie wiedziała, czego od niego chce. Wszystkim rządziła ich „historia”. Czasami Kat uważała, nie potrafiąc myśleć o niej bez cudzysłowu, że przerasta ona ich wzajemne uczucia. Katherine Weller i Oliver Tate mieli po dwadzieścia pięć lat i wychowali się po sąsiedzku, gdyż posesje oddzielał tylko pas tuj, wśród których przesiadywali jako dzieci nawet zimą. Od najmłodszych lat byli nierozłączni, ku radości swoich rodziców, którzy powtarzali: „Już nie możemy się doczekać, kiedy będziemy tańczyć na waszym weselu!”. Słyszając to, Kat i Oliver przewracali oczami i uciekali.

Kat doskonale pamiętała ten moment, w którym Oliver stał się dla niej wszystkim. Był to zimny noworoczny poranek, kiedy miała dziesięć lat, i matka poinformowała ją oraz kuzynki, że tej nocy ojciec Kat i rodzice Isabel i June zginęli w wypadku samochodowym. Wówczas zaczęła kręcić głową i krzyczeć, a potem wybiegła bez butów na śnieg i popędziła przez gęstwinę drzew i krzewów, nie zważając na to, że smagają ją gałęzie, do domu Olivera i waliła w drzwi dopóty, dopóki jego matka nie otworzyła. Oliver dał jej swoje buty, kurtkę i rękawiczki i wyszedł z nią na dwór. Usiedli pod drzewem, mimo zimna. Płakał wraz z nią, powtarzając: „Tak mi przykro, Kat”, i kołyszając ją, żeby się uspokoiła.

W kolejnych dniach, tygodniach i miesiącach, kiedy czuła się tak bardzo odsunięta na bok z powodu zachowania kuzynek i rozpaczy matki, zbliżyła się do niego jeszcze bardziej. Miała go i dzięki temu czuła się lepiej. Przy nim wszystko wyglądało mniej strasznie. Sprawiała to sama jego obecność.

Jedna z ostatnich rzeczy, jaką ojciec do niej powiedział w tamtą sylwestrową noc, dotyczyła właśnie Olivera. Gdy za pierwszym razem otulał ją do snu, spytał, czy podjęła jakieś noworoczne zobowiązania. Odpowiedziała, że tylko jedno – zdobyć przyjaciółkę. Przyjaźniła się wtedy jedynie z Oliverem, a bliższa więź łączyła ją z ojcem niż z matką i po prostu chciała mieć przyjaciółkę jak wiele jej szkolnych koleżanek. Tata skinął głową i powiedział, że to dobre postanowienie. Dodał jednak, że jej prawdziwym przyjacielem jest Oliver, a jeśli ma się jednego przyjaciela i jest on prawdziwy, ma się wszystko.

Rzeczywiście Oliver był jej prawdziwym przyjacielem już jako pięciolatek, kiedy chłopcy są na ogół jeszcze bardzo dziecinni, i jako dziesięciolatek, choć wtedy przeważnie zachowują się wobec dziewczynek okropnie, i jest nim obecnie, jako dwudziestopięciolatek, gdy mężczyźni w tym wieku zwykle chcą tylko zaciągnąć jak najwięcej kobiet do łóżka, a w końcu żenią się z tymi, do których praktycznie byli przypisani od urodzenia.

– Umawiamy się... na randki – odpowiedziała Kat. – Spędzamy ze sobą czas, ale nie wiem, co będzie dalej. Oliver jest... moim najlepszym przyjacielem. Sądzę, że tak powinno

pozostać.

Czasami jednak Kat czuła do niego coś całkiem innego niż przyjaźń. Ale gdy tylko pomyślała o tym, że powinni być razem, ogarniał ją nastrój rozbawienia. Nie potrafiła tego inaczej nazwać.

– Wiem, że zawsze miałaś do niego ambiwalentny stosunek, ale to złoty chłopak, Kat. Nie pozwól Oliverowi odejść tylko dlatego, że budzi w tobie lęk – przestrzegła ją Lizzie.

– Nie budzi – odparła Kat. – Znam Olivera przez całe swoje życie. Naprawdę nie budzi we mnie żadnego lęku.

Czy rzeczywiście tak było? Wciąż pamiętała, że gdy oboje skończyli trzynaście lat, ich stosunki się zmieniły. Coś sprawiło, że się od siebie oddalili. W tamtym okresie Oliver raz był dla niej tym samym co zawsze tyczkowanym chłopakiem o rudawozłotych włosach, szafirowych oczach, z dołeczkami w policzkach, a kiedy indziej przyłapywała się na tym, że się w niego wpatruje. W ich stosunkach pojawiło się coś nowego. Coraz częściej zastanawiała się jak by zareagował, gdyby go pocałowała, ale trzymała to przed nim w tajemnicy, co z jednej strony ją przerażało, a z drugiej było podniecające. Kiedy na którymś z pierwszych przyjęć w mieszanym towarzystwie grali w butelkę i wypadła kolej na Olivera, zakręcił nią tak, że zatrzymała się naprzeciwko Kat, która momentalnie się zaczerwieniła. Wtedy niczego tak nie pragnęła, jak pocałować Olivera Tate'a, ale równocześnie uznała to za zabawne i wyrzuciła z siebie:

– Oliverze, nie mogę cię pocałować, bo jesteśmy jak dwoje najlepszych przyjaciół.

Tymczasem on się w nią wpatrywał i czekał na to, co zrobi. A ponieważ знаła go tak dobrze jak siebie, dostrzegła w wyrazie jego twarzy zawód, choć bardzo starał się go ukryć. W ten piątkowy wieczór powiedziała mu przy całej klasie, że są tylko przyjaciółmi, że nie chce go pocałować.

– To ja cię pocałuję! – zadeklarowała wówczas Veronica Miller, dziewczyna o długich rudych włosach i pięknych zielonych oczach, i ujęła jego twarz w dłonie.

Veronica miała wiele cech, które pragnęła mieć Kat, od odwagi po imponujący biust, i została pierwszą z licznych dziewczyn Olivera w szkole i college'u. Kat nie musiała się już nigdy obawiać całowania go. W ich relacjach ten temat powrócił dopiero przed sześcioma miesiącami, gdy w lutowy zimny poranek szli Townsend Avenue do domu Olivera i jej najlepszy przyjaciel nagle zatrzymał się na chodniku, spojrzał na nią i powiedział:

– Tak bardzo cię kocham.

Kat się roześmiała i odparła żartobliwie, jak to czyniła jej matka:

– A ja sądzę, że poza tym jesteś pępkiem świata.

Ale on powtórzył z powagą:

– Nie, Kat, ja naprawdę cię kocham. Kocham cię!

Wykrzyczał to wyznanie tak głośno, że przechodnie odwrócili się w ich stronę, a dwie nastolatki zachichotały i zaklaskały w dłonie.

Potem ujął jej twarz w dłonie i powtórzył po raz czwarty i piąty:

– Kocham cię. Kocham od zawsze.

Jak na to zareagowała? Niezmiennie ogarnął ją nastrój rozbawienia i odsunęła się od niego. Utkwiła wzrok w chodniku, niezdolna wydobyć z siebie słowa.

– Wiem, pamiętam. Nie możesz mnie pocałować, bo jesteśmy jak najlepsi przyjaciele – przypomniał jej epizod sprzed lat.

Uniosła wzrok i dostrzegła w jego spojrzeniu czułość, a nawet coś jeszcze, czego dotychczas nie zauważała w wyrazie tych szafirowych oczu.

– Mówię poważnie, Kat – ciągnął. – Zawsze cię kochałem. Powiesz mi tu, tak jak stoisz, że nie należymy do siebie?

– Nie wiem – odparła.

Czasami wydawało się jej, że wie. Kiedy indziej natomiast uważała, że mężczyzna dla niej mieszka poza Boothbay Harbor, lecz jeszcze go nie poznała, bo po prostu nigdy stąd nie wyjechała. Innym razem sądziła, że gdyby zaczęła się kochać z Oliverem Tate'em, mogłaby eksplodować.

Lizzie często jej mówiła, że tego nie pojmuje. Eksplodować? O co Kat chodziło? Mogły to zrozumieć Isabel i June. Jeśli ktoś mógł, to właśnie one. Niestety, nie potrafiła z nimi rozmawiać. Nigdy nie potrafiła. Musiała też zapomnieć o rozmowie z matką. Gdy przed piętnastu laty Lolly Weller straciła męża oraz siostrę i zaczęła samotnie wychowywać kłócące się ze sobą i smucące trzy dziewczyny, rzadko się uśmiechała. I zwykle nie wypowiadała się w sprawie uczuć. Miała wspaniałe małżeństwo, które zniweczył wypadek samochodowy. Była szczęśliwa, ba, szczęśliwsza niż przed ślubem. Lecz po śmierci męża stała się milcząca i pozostawiła dziewczęta same z ich pytaniami, a w tej sytuacji żadna nie zwróciła się do drugiej po odpowiedzi.

Co dziwne, Kat została w Boothbay Harbor i w Gospodzie Trzech Kapitanów, niezdolna nawet pomyśleć o wyjeździe. Po prostu była potrzebna matce. Poza tym obawiała się, że jeśli się stąd ruszy, to nigdy nie wróci, a bardzo lubiła swoje tutejsze życie. Nie przepadała za sprzątaniami pensjonatu, ale uwielbiała piec dla wczasowiczów, a jedno i drugie z nadatkiem pokrywało koszt mieszkania w tym pięknym pokoju na poddaszu, który latem mógł przynieść prawie dwieście dolarów za nocleg, choć matka nigdy nie przyjęłaby od Kat czynszu. Za kilka miesięcy, maksymalnie za sześć, Kat uzbiera dość pieniędzy, by w końcu wydzierżawić lokal na cukiernię, kupić wyposażenie i założyć firmę o nazwie „Ciasta i wyroby cukiernicze Kat”. Jeśli nawet miały to być maleńki lokal na bocznej uliczce. Zarabiała głównie na tortach weselnych i ciastkach, gdyż sklepy delikatesowe i kawiarnie w mieście kupowały od niej muffiny i bułeczki *scone*. Piekla też na zamówienie torty urodzinowe. W ostatnią sobotę rano zadzwoniła do niej spanikowana matka czteroletniego dziecka i zaproponowała sto dolarów za upieczenie na godzinę czwartą tortu z kreskówki *Maks i Ruby*. Sto dolarów za upieczenie tortu! Nie tylko zrealizowała to zamówienie, ale w tym tygodniu otrzymała pięć następnych telefonicznych zamówień na tort urodzinowy dla dziecka.

– Kat, jeśli pozwolisz mi odejść, to w końcu ożeni się z kimś innym – przestrzegła ją Lizzie. Brylant w jej pierścionku błyszczał w promieniach popołudniowego słońca. – I gdy Oliver będzie miał żonę, twoja przyjaźń z nim, choć pielęgnowana od tylu lat, zamieni się w coś innego. Stracisz go. Tego właśnie się boisz. Mogłabyś się więc zabrać do dzieła.

– Lizzie, ja... – Kat rozłożyła ręce, bo nie miała pojęcia, jakie naprawdę uczucie budzi w niej Oliver jako mężczyzna. Czyżby rzeczywiście lęk? A może po prostu był jej obojętny? Zadawała sobie pytanie, dlaczego tego nie wie. Po chwili wahania oznajmiła przyjaciółce: – Tak czy inaczej, zabieram się do dzieła. Umawiam się z nim na randki.

Lizzie prychnęła.

– Spotykasz się z nim od sześciu miesięcy i jeszcze nie widział cię nagiej. Kat, to nie jest żadne umawianie się na randki, lecz przyjaźń – oceniła. Wstała, przewiesiła torbę przez ramię i dodała: – Po prostu chcę, żebyś była tak szczęśliwa jak ja, skarbie. Dostanę babeczkę na drogę?

Kat roześmiała się, polukrowała jeszcze jedno ciastko i na pożegnanie cmoknęła Lizzie w policzek. Zerkając na zegarek, stwierdziła, że do przyjazdu Isabel i June zostało tylko dwadzieścia minut, a tym samym do zakomunikowania przez matkę ważnej wiadomości. Wciągnęła zapach babeczek, co zawsze dodawało jej pewności siebie, również w sytuacji, kiedy nie wiedziała, co się wydarzy. Bardzo nie lubiła tego rodzaju niespodzianek.

Rozdział 4

Isabel

Isabel siedziała w salonie Gospody Trzech Kapitanów i wpatrywała się w surowy portret ukazujący prapradziadka i jego dwóch braci, kapitanów statku handlowego, którzy zbudowali ten dom na początku dziewiętnastego wieku. Przyjechała przed dziesięcioma minutami i zastała Lolly w kuchni, przekładającą parujący makaron farfalle z durszlaka na półmisek. Ciotka dotknęła przedramienia Isabel, co stanowiło jej wersję uścisku. Nie przyjęła pomocy w przygotowaniu obiadu i nakrywaniu do stołu. Powiedziała tylko, żeby siostrzenica czuła się jak u siebie w domu i odpoczęła w salonie, ogrodzie albo na tarasie. Nie spytała, co słychać i gdzie jest Edward, ani nie zawołała na powitanie: „Tak się cieszę, że cię widzę!”. Nie zaoferowała jej nic poza zwyczajowym dystansem, ledwie na nią patrząc.

To ostatnie ucieszyło Isabel, bo miała oczy zaczerwienione od płaczu. Kiedy wczoraj wieczorem przekonała się, że wsunięty pod drzwi anonim nie tylko był przeznaczony dla niej, ale prawdziwy w sposób rozdzierający serce, wróciła do domu, spakowała się, wkładając do dwóch walizek ubrania oraz przybory toaletowe, i wsiadła do samochodu. Jechała godzinami, dopóki nie musiała się zatrzymać, gdy dostawała spazmów płaczu, przemierzając Rhode Island, Massachusetts i New Hampshire. Była gdzieś na południu Maine, w Ogunquit czy Kennebunkport, kiedy znalazła motel. Zwinęła się w kłębek na łóżku w wynajętym pokoju i łkała tak głośno, że ktoś z klientów mógł zaalarmować recepcję. Na szczęście tak się nie stało, co odnotowała z zaskoczeniem.

Zignorowała dwadzieścia kilka telefonów od Edwarda, który próbował się z nią połączyć wczoraj w nocy i dziś. Słyszac po raz kolejny sygnał dźwiękowy swojego iPhone'a, znajdowała dziwną pociechę w tym, że mąż się o nią troszczy przynajmniej na tyle, by bez przerwy do niej wydzwaniać i błagać ją o przebaczenie. Tak myślała, dopóki pół godziny temu nie odebrała jego telefonu, prawie po dwudziestu czterech godzinach od chwili, w której przyłapała go na randce z tamtą kobietą. Znajdowała się wówczas na drodze numer 27, tuż za Wiscasset, piętnaście minut drogi do Boothbay Harbor. Widząc znajome punkty orientacyjne, kępy borówki amerykańskiej i Chandler Farm, z jej pagórkowatym terenem i bydlęm rasy belted galloway, o wydłużonych czarno-białych tułowiach, na tle zielonej ściany lasu, poczuła się mniej samotna.

Zatrzymała się pod białym płotem i odebrała rozmowę. Słuchała tego, co mówił Edward, ale nic do niej nie docierało, jakby miała uszy zatkane watą. Nie mogła też nic powiedzieć, bo czuła suchość w ustach. Znowu zaczęła płakać, choć myślała, że wypłakała już wszystkie łzy. Próbowała skupić uwagę na znajdujących się za płotem buhajach i dwóch gęsiach, które miały rudego podwórzowego kota skradającego się za podrywaniem przez podmuchy wiatru liściem. W końcu upuściła telefon na kolana. Usłyszała, jak Edward mówi do słuchawki: „Isabel? Jesteś tam?” i rozłączyła się. Siedziała szokowana w fotelu, spoglądając na buhaje, gęsi i kota, aż w końcu ktoś, widząc tablicę rejestracyjną z Connecticut, zapukał w szybę samochodu i spytał, czy się zgubiła i potrzebuje pomocy.

Przez okno samochodu kupiła od kobiety w średnim wieku, ubranej w zielone gumowce i dres z logo Chandler Farm, pół kilograma borówek, żeby mieć coś z tej dodającej jej otuchy farmy. Poza tym kobieta wręczyła jej bukiet polnych kwiatów, mówiąc:

– Z wyrazami uszanowania. Mam nadzieję, że rozjaśnią pani dzień.

Tacy byli ludzie z Maine. Życzliwi.

Gdy tak siedziała w salonie pensjonatu i przypominała sobie, jak tu przyjechała, z zamyślenia wyrwało ją pytanie zadane przez młodą kobietę, która zajęła miejsce naprzeciwko niej:

– A więc skąd pani jest?

Najwyraźniej była to wczasowiczka. Mocno opalona, z wielkimi okularami przeciwsłonecznymi w perłowobiałej oprawce zsuniętymi na włosy, trzymała na kolanach magazyn „People”. Siedziała tu nie dłużej niż minutę. Isabel tak była pogrążona w myślach, że nawet nie zauważyła, kiedy kobieta weszła do salonu. Natychmiast pozazdrościła jej bez troski, kremu z filtrem słonecznym o zapachu masła kakaowego i tego, że potrafiła czytać czasopismo poświęcone celebrytom.

– Nie jestem wczasowiczką – odpowiedziała, wpatrując się w surowy portret jeszcze intensywniej. – To znaczy, nie jestem stąd, choć w pewnym sensie jestem, ale teraz tu nie mieszkam. Przyjechałam z wizytą. – Po tych słowach dodała w myślach: Właściwie to nie wiem, kim jestem.

– A powiedziała pani, że nie jest wczasowiczką – stwierdziła kobieta i zmarszczyła piegowaty nos, nie rozumiejąc tego rozróżnienia między wczasowiczem i osobą zjawiającą się z wizytą. – Ja pochodzę z Nowego Jorku, to znaczy z miasta, a nie ze stanu Nowy Jork. Jutro wracam do domu i żałuję, że nie mogę tu zostać na zawsze.

Isabel skinęła głową. W tej chwili nie potrafiła prowadzić towarzyskiej rozmowy, ale nie miała dokąd pójść. Na tarasie stała jakaś para, popijając wino, w kuchni krzątała się Lolly, a Kat mogła być wszędzie.

Nagle siostra cioteczna stanęła przed nią z półmiskiem wypełnionym kawałkami sera, krakersami i owocami. Postawiła go na stole, uśmiechnęła się do Isabel i zwracając się do niej i do wczasowiczki, powiedziała:

– Proszę się częstować.

Wczasowiczka zaczęła z nią rozmawiać o liczbie latarni morskich widocznych z Boothbay Harbor.

– Można dostrzec tylko pięć, a przecież jest ich siedem, prawda? – spytała i oznajmiła: – Muszę je wszystkie zobaczyć przed wyjazdem.

Isabel nie włączyła się do rozmowy, lecz wpatrywała się w porcje goudy i brie, i w krakersy bez posypki i z posypką z nasion, ułożone na tacy ozdobionej maleńkimi kwiatuskami. Nie płacz – powiedziała do siebie w myślach. – Patrz na ten nożyk do sera i na portret. Skup uwagę na jednym z praprastryjów, na jego szorstkiej brodzie. Nie rozleć się na kawałki w tym salonie, w którym pokrycia mebli są z perkalu.

– Isabel, dobrze się czujesz? – zatroszczyła się Kat.

Isabel zmusiła się do uśmiechu.

– Nic mi nie jest. Miło cię widzieć, Kat – odpowiedziała i skupiła uwagę na niej.

Kat była wysoka, szczupła i śliczna. W ogóle nie miała makijażu. Skróciła włosy. Isabel pomyślała o tym ostatnim, choć nie widziała kuzynki od grudnia zeszłego roku. Miała na sobie biodrówki lewisy i kobiecy, uszyty z płótna haftowany top. W długich do ramion jasnych prostych włosach i z grzywką wyglądała na nieco starszą i bardziej wyrobioną.

– Edward jest z tobą? – spytała i wyjrzała przez okno, chcąc zobaczyć znajomy czarny mercedes, którym Edward lubił odbywać długie podróże, ale przed domem stała tylko srebrzysta toyota prius należąca do kuzynki.

– Nie dał rady przyjechać – odpowiedziała Isabel i odwróciła wzrok, bo nagle

przypomniała sobie Edwarda w rozpiętej koszuli i w niczym więcej.

Jak mógł? Jak mógł? – myślała przez cały czas, jakby istniała odpowiedź na to pytanie. Powtarzał jej przecież, że zawarł umowę... Tymczasem to on ją zламаł, tę jakoby niedającą się unieważnić umowę, i to z kobietą, która była matką, a Isabel tak bardzo pragnęła nią zostać. To ostatnie ich rozdzieliło, odsunęło od niej Edwarda. To nie miało sensu.

Kat skinęła głową i wyszła z wczasowiczką, która zasypała ją pytaniami, prowadząc gościa do przedpokoju, gdzie w zabytkowym niskim kredensie znajdowały się mapy i broszury. Zanim wyszła, spojrzała na kuzynkę, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć i zostać tu z nią. Isabel to zauważyła i zaczęła wyglądać przez okno. Ona i Kat nigdy nie potrafiły ze sobą rozmawiać. Isabel była od niej o sześć lat starsza. Kiedy zamieszkały w jednym pokoju, szesnastoletnia Isabel, trzynastoletnia June i dziesięcioletnia Kat, nagle milczenie tej szczupłej, bladej i wiecznie bosej dziewczynki zaniepokoiło nastolatkę i sprawiło, że zamknęła się w sobie.

Po chwili Kat wróciła, wnosząc na tacy dwie szklanki i dzbanek z mrożoną herbatą, w której pływały ćwiartki cytryny. Nalała kuzynce i sobie i usiadła na dwuosobowej kanapie naprzeciwko krzesła Isabel.

– June zjawiała się na krótko przed tobą, ale pojechała z Charliem do księgarni Bracia Books, żeby Henry mógł się na niego napatrzeć – poinformowała kuzynkę i przysuwając się do niej, dodała: – Najwyraźniej moja mama powiedziała jej, że byłoby najlepiej, aby Charlie nie słyszał tego, co ma nam ogłosić.

Isabel zupełnie zapomniała o celu wizyty tutaj.

– Aby nie słyszał? Dlaczego nie? Co takiego ma nam ogłosić? – spytała.

Kat podniosła swoją szklankę i popchnęła palcem ćwiartkę cytryny.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Pytałam ją o to trzy razy w ciągu ostatnich trzydziestu minut, ale nic mi nie powiedziała, tylko po raz kolejny kazała podać przystawki.

– Sądziś, że sprzedaje pensjonat? – snuła domysły Isabel.

– A dlaczego miałyby to robić? – odpowiedziała Kat pytaniem na pytanie.

Isabel mogła podać kilka powodów. Ale, jak sądziła, uraziła Kat i nie wiedziała, co mogłaby teraz w tej sprawie dodać.

– Skorzystam z łazienki. Zaraz wracam – oznajmiła.

Po prostu musiała gdzieś na chwilę się schować, by od tego wszystkiego odetchnąć. Łazienka na parterze była zajęta, więc poszła na górę. Już miała wejść do damskiej toalety na pierwszym piętrze, gdy spostrzegła, że drzwi do małego pokoiku zamienionego, odkąd się tu wprowadziła, w Samotnię, są uchylone. Otworzyła je i stwierdziła, że pokój wygląda tak samo jak przed laty. Zobaczyła starą dwuosobową kanapę, okrągły wyplatany dywanik o wyblakłych kolorach, niski stolik ze starą lampą i regalik wypełniony książkami i czasopismami. Przywołała w pamięci chwilę, gdy w tamten sylwestrowy wieczór po kłótni z matką pobiegła po schodach do tego pokoiku i z furią przysunęła do drzwi wielki ciężki odkurzacz, bo nie miały zamka.

Isabel spędziła w Samotni dużą część czasu w okresie dwóch lat, kiedy mieszkała w Gospodzie Trzech Kapitanów. Kiedy ona, June i Kat zostały nagle zmuszone dzielić ze sobą jeden duży pokój, Lolly zamieniła to pomieszczenie gospodarcze w pokój dla jednej osoby i umieściła na drzwiach dwustronną wywieszkę ze słowami: ZAJĘTY/WOLNY. Jeśli w tym gwarnym pensjonacie któraś z dziewcząt potrzebowała chwili samotności, to udawała się do tego pomieszczenia.

Isabel spojrzała w wiszące na ścianie okrągłe lustro. Była zaskoczona, że nic się nie zmieniło w jej wyglądzie w sytuacji, gdy zmieniło się jej dotychczasowe życie. Miała długie do ramion lekko kasztanowate włosy ze złocistymi pasmami, modnie wycieniowane na całej długości, była dyskretnie umalowana, jak zwykle ubrana elegancko i w butach na wysokich

obcasach. Tylko w jej piwnozielonych oczach malował się smutek. To określenie idealnie do nich pasowało. Ale były mniej zaczerwienione niż wtedy, kiedy przejrzała się w lusterku wstecznym w samochodzie, zanim zebrała siły, by wysiąść i wejść po schodach do pensjonatu.

Znowu zebrała siły i zeszła na dół. Teraz w salonie była również June. Trzymała w dłoni szklankę z mrożoną herbatą i wydawała się pogrążona w myślach.

Kat jadła krakersa.

– A więc Edward nie mógł się tu dziś zjawić? – zwróciła się do Isabel, sięgając po drugiego krakersa, najwyraźniej po to, by coś zrobić.

Isabel zwróciła uwagę, że kuzynka się zaczerwieniła, jakby sobie uświadomiła, że zadała pytanie o Edwarda zaledwie przed dziesięcioma minutami. Już miała odpowiedzieć, że wyjechał w interesach, ale tylko pokręciła głową i sięgnęła do półmiska po kostkę cheddara.

Jej siostra ubrana w typowy dla siebie strój – dzinsy i zapinaną na guziki białą bluzkę oraz bordowe chodaki Dansko – siedziała na kanapie. Za jedyną biżuterię June służyła broszka z puzzla wykonana przez Charliego. Wyjęła z luźnego koka na karku długopis i zebrała włosy w kok na czubku głowy.

– Cześć, June – pozdrowiła ją Isabel, zastanawiając się, czy siostra w ogóle zauważyła, że weszła do pokoju.

June odłożyła szklankę i wstała.

– Nie zauważyłam cię. Przepraszam – odezwała się i uścisnęła Isabel jakby z obowiązku, po czym usiadła na swoim miejscu i spytała ją, uśmiechając się z rezerwą: – Edward pewnie rozmawia w ogrodzie z jakimś wczasowiczem na temat Red Soxów?

Isabel ścisnęła w palcach ser.

– Nie mógł przyjechać – odpowiedziała.

W drzwiach salonu stanęła Lolly, której przez ostatnie pół godziny nigdzie nie widziały.

– Obiad gotowy – oznajmiła.

Jestem uratowana – pomyślała Isabel. – Przynajmniej na razie.

– Ładnie wyglądasz, ciociu – pochwaliła ją June.

Rzeczywiście tak było. Lolly, która zazwyczaj nosiła bawełniany top, spódnicę z gazy i japonki, włożyła na dzisiejszy obiad sukienkę w kolorze brzoskwińowym i baletki, a swych siwiejących włosów nie zaplotła, jak zwykle, w warkocz, lecz uczesała je w gładki kok z tyłu głowy. Poza tym umalowała usta szminką, choć dotychczas nigdy tego nie robiła.

– No, no, co to za okazja? – spytała Kat, gdy szły za jej matką do wielkiej wiejskiej kuchni, gdzie Lolly, która konsekwentnie odmawiała przyjęcia ciągle ponawianej oferty pomocy, sama nakryła do stołu i postawiła na nim różne smakołyki: zieloną sałatę z dodatkami, makaron farfalle w sosie pesto, półmisek serów, piękny okrągły bochenek portugalskiego chleba i białe wino. Stół ozdobiła przywiezionym przez Isabel bukietem polnych kwiatów.

– Och, zapomniałam o parmezanie – powiedziała, podchodząc do lodówki i ignorując pytanie córki.

Potem okazało się, że zapomniała także o dressingu, maśle itd. Wstawała i siadała na krześle co najmniej dziesięć razy. Co takiego ważnego miała im do zakomunikowania?

Najwyraźniej coś, co wytrąciło ją z równowagi. Coś, czego jej zdaniem, nie powinno usłyszeć małe dziecko.

Gdy w końcu wszystkie usadowiły się przy prostokątnym wiejskim stole z serwetkami na kolanach i zaczęły sobie podawać półmisek z makaronem, Kat, June i Isabel przez długą chwilę spoglądały na siebie pytająco i wzruszały ramionami.

– A więc, mam, co nam chcesz ogłosić? – spytała Kat.

– Wstrzymajmy się z tą sprawą do końca obiadu – zaproponowała Lolly i napiła się wina.

Isabel spojrzała na nią. Talerz ciotki był pusty. Lolly zawsze czekała, aż wszyscy inni sobie nałożą. Teraz jednak, gdy talerze siostrzenic i córki zostały już napełnione, wzięła tylko kawałek chleba do ręki i nałała sobie do kieliszka trochę wina. Tu, podobnie jak wcześniej w salonie, rozmowa się nie kleiła. Zwykle można było liczyć na to, że Lolly przerwie panujące przy stole milczenie i opowie jakąś nudną historię o organizowanym w mieście referendum czy o dawnym wczasowiczu tego pensjonatu, ale teraz milczała. June przesuwiała na swoim talerzu porcję farfalle w sosie pesto, Kat zerkała na matkę z zatroskaną miną, a Isabel starała się nie myśleć o Edwardzie. Niestety, w tym pensjonacie, gdzie był w jej życiu tak ważny, potrafiła myśleć tylko o nim.

– A więc, jak się ma Edward? – spytała June i napiła się wina.

– Doskonale – odpowiedziała Isabel, nabijając na widelec pomidorka czereśniowego.

Zastanawiała się, czy ktokolwiek byłby zaskoczony, gdyby wstała i oznajmiła: Wiecie co? Wcale nie jest wspaniały. Ma romans i przyłapałam go na gorącym uczynku. Nie wiem, jakie jest teraz moje życie. Nie wiem, kim jestem bez Edwarda, tak jak kiedyś powiedziałaś, June.

Obecnie ani Lolly, ani Kat, ani też June za nim nie przepadały, choć oczywiście kiedyś wszystkie go lubiły. Isabel wydawała się jedyną osobą, która nie zauważyła, jak bardzo się zmienił. A może to ona się zmieniła?

Żadna nie ponaglała już Lolly do wyjawienia tego, co chciała im przekazać. Wiedziały, że kiedy ta najbardziej tajemnicza osoba, jaką znały, będzie gotowa coś powiedzieć, wówczas to zrobi. I gdy w końcu wszystkie odłożyły widelce na talerze – po dziesięciu minutach od rozpoczęcia obiadu, bo żadna nie zjadła dużo – Lolly wstała, sprawiając wrażenie zdenerwowanej, ale z powrotem usiadła.

– Mamo? – spytała Kat. – Dobrze się czujesz?

– Nie – odpowiedziała Lolly i utkwiała wzrok w talerzu. Zamknęła oczy, lecz zaraz je otworzyła i spojrzała na córkę i siostrzenice. – Mam wam coś do powiedzenia. Coś trudnego. Kilka dni temu... dowiedziałam się, że mam raka trzustki.

Kat zerwała się z krzesła i przewróciła swój kieliszek z winem.

– Co?! Co?! – wykrzyknęła.

Lolly postawiła jej kieliszek i położyła dłoń na dłoni córki.

– Wiem, że to szokująca wiadomość i trudna do przyjęcia – powiedziała, odetchnęła głęboko i dodała: – Nie wygląda to najlepiej.

Isabel poczuła pieczenie w gardle i łzy napłynęły jej do oczu. To nie mogło się zdarzyć.

– Oczywiście będę walczyć, choć to stan zaawansowany – ciągnęła. – Chemioterapia zwalczy objawy i spowolni progresję guza, ale... – Spojrzała na Kat, a następnie na siedzące po drugiej stronie stołu Isabel i June. – Zanim mnie zdiagnozowali, ten podstępny łajdak zdołał osiągnąć czwarte stadium; piątego nie ma.

Isabel poczuła się pusta w środku. Chciała wstać, podejść do Lolly i Kat, która zakryła twarz dłońmi, ale ciotka podniosła się z krzesła, oznajmiła, że zaraz wróci, i poszła do kuchni.

– To niemożliwe – powiedziała cicho Isabel do Kat i June, które poblady, poruszone tą wiadomością.

Lolly wróciła z niemieckim tortem czekoladowym z inicjałami wszystkich członków rodziny i postawiła go na stole.

– Gdy zobaczyłam w kuchni ten chłodzący się tort, przystanąłam obok niego i zaczęłam płakać, a przecież wiecie, że nie jestem beksą – wyznała i zwróciła się do Isabel i June: – Czyli słusznie postąpiłam, że poprosiłam was o zjawienie się tu dziś na obiedzie. Miałam wtedy co do tego absolutną pewność. Nie chciałam przekazywać wam tego rodzaju wiadomości przez telefon. – Teraz zwróciła się do Kat: – Nie chciałam mówić ci o tym bez nich. Od lat nie byliśmy razem,

we cztery, a tak naprawdę nigdy, co?

Razem. Isabel otarła łzy serwetką i spojrzała na ciotkę. Lolly miała dopiero pięćdziesiąt dwa lata i wyglądała, jak zawsze, na silną osobę. Jej błyszczące niebieskie oczy i zaróżowione policzki mogły świadczyć raczej o tym, że jest okazem zdrowia.

Siostrzenice zaczęły ją zarzucać pytaniami, ale uciszyła je gestem dłoni.

– Isabel i June – zwróciła się do nich, krojąc tort. – Może mogłybyście zostać na dłużej? Przynajmniej na weekend albo na tydzień. W poniedziałek zaczynam chemioterapię i jest mi potrzebna pomoc. W pensjonacie od dawna są zarezerwowane miejsca na długi weekend w związku ze Świętem Pracy i na większą część jesieni.

– Mogę zostać na tydzień, a nawet na dłużej, jeśli chcesz – oznajmiła Isabel, czym tak zdumiała ciotkę, siostrę i kuzynkę, że wszystkie spojrzały na nią, a June i Kat nie kryły zaskoczenia.

– Ja też – zawtórowała jej June.

Lolly skinęła głową.

– Doskonale – powiedziała. – Dziękuję. Właśnie sobie uprzytomniłam, że z powodu zdenerwowania tą diagnozą nie pomyślałam o noclegu dla was i przyjąłabym wszystkie rezerwacje na ten weekend, na następny tydzień i oczywiście na długi weekend. I teraz dla jednej z was nie mam pokoju. Pomyślałam, że June i Charlie mogliby zająć dawny pokój Kat, a Isabel Samotnię i spać tam na łóżku polowym, jeśli oczywiście nie uzna jej za zbyt małą.

– Isabel i June mogłyby też zamieszkać wraz ze mną w mojej sypialni, a Charlie w moim dawnym pokoju naprzeciwko niej – zaproponowała Kat i umilkła, jakby sama nie potrafiła uwierzyć w to, że ofiarowała im swój „azyl”.

– Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? – upewniła się June. – Charlie nie śpi zbyt mocno, byłoby więc wspaniale, gdyby mógł przebywać sam w pokoju.

– Nie – odparła Kat i spytała Isabel: – A czy tobie to odpowiada?

June, Kat i Lolly utkwili w niej wzrok, spodziewając się, że nie przyjmie tej propozycji.

Isabel skinęła głową. Nie była pewna, czy rzeczywiście ta propozycja jest dla niej dobra, ale pocieszała się tym, że przynajmniej nie będzie w pokoju sama ze swoimi myślami.

– Doskonale. A więc sprawa załatwiona – podsumowała Lolly. – Aha, dziś o dziewiątej Pearl i dwoje wczasowiczów przyjdzie do salonu na wieczór filmowy. Mamy miesiąc filmów z Meryl Streep. Może dołączycie do nas? Obejrzymy *Co się wydarzyło w Madison County*, jeden z moich ulubionych. Tego mi właśnie trzeba, filmu, który by mnie oderwał od rzeczywistości.

W odpowiedzi każda z powagą skinęła głową.

– Oczywiście dołączymy do was, obejrzymy film i zrobimy wszystko, co zechcesz – przyrzekały jedna przez drugą.

Isabel zobaczyła kątem oka, że June przesuwając dłoń, jakby chciała wziąć ją za rękę. Niestety, nie zauważyła tego w porę i siostra cofnęła dłoń. Isabel zamknęła oczy na myśl o tym, kiedy po raz ostatni June wykonała taki gest. To było w dniu bardzo podobnym do dzisiejszego, kiedy Lolly kazała im usiąść na starej czerwonej kanapie w salonie i poinformowała je, że doszło do wypadku samochodowego, w którym zginęli rodzice Isabel i June oraz ojciec Kat. Wtedy właśnie June wzięła Isabel za rękę i siedziały tak w milczeniu, a łzy płynęły im po policzkach. Tylko Kat zaczęła łkać i wybiegła z salonu. Wówczas została im jedynie Lolly, a teraz i ją mogły stracić.

Isabel stała za Kat, trzymając, jedną na drugiej, trzy duże miski, a kuzynka nad płomieniem palnika kuchenki gazowej potrząsała dużym garnkiem z prażącą się kukurydzą. Lolly nie uznawała gotowego popcornu w torebkach, który wystarczyło podgrzać w kuchence mikrofalowej. Dla niej na wieczór filmowy odpowiednia była tylko kukurydza kupiona na targu

i uprażona na rozgrzany oleju w rondlu, którym należało parę razy potrząsnąć, trzymając go za uchwyt, a potem posolić do smaku powstały popcorn.

Isabel przywiązywała wagę do drobnych rzeczy. Z wielkiej spiżarni Lolly przyniosła odpowiedni zdaniem Kat do prażenia kukurydzy olej rzepakowy, a następnie pomogła kuzynce polukrować cytrynowe babeczki z kremem custard. W tym czasie June położyła Charliego spać w dawnym pokoiku Kat na drugim piętrze i przyniosła do salonu z pomieszczenia gospodarczego dodatkowe składane krzesła z wyściółką przeznaczone dla wczasowiczów.

Skupienie się na tym, by pokryć równą warstwą cytrynowego lukru każdą żółtą babeczkę, wyjąć z kredensu trzy duże ceramiczne miski na popcorn i ustawić w salonie dodatkowe krzesła, pomogło Isabel zapanować nad wzburzeniem z powodu romansu męża i zaniepokojeniem rakiem ciotki oraz swoją obecnością tutaj.

Kat zaczęła potrząsać rondlem z popcornem z całej siły. Isabel była przygotowana na to, że kuzynka rzuci garnkiem o ścianę i zacznie szlochać. Jej wąskie ramiona drżały, więc zapewne płakała. June, która właśnie wróciła do kuchni, też miała załzawione oczy.

– Pozwól – powiedziała Isabel do Kat i wzięła z jej rąk rondel.

Kat się odsunęła. Po jej policzkach płynęły łzy.

Isabel potrząsnęła garnkiem, również mając łzy w oczach. Ciotka Lolly zawsze wydawała się silna jak przysłowiowy wół. Rzadko się przeziębiała. A teraz...

– Mogłaby żyć długie lata – stwierdziła cichym głosem June. – Jest silna.

– To prawda – zgodziła się z nią Isabel. Odwróciła się do siostry i dodała: – Zawsze była silna i nadal jest.

– Co wy, do cholery, wiecie o mojej matce? – spytała zdenerwowana Kat. – Kiedy tu byliście poprzednim razem? Na święta Bożego Narodzenia, co? A teraz mamy sierpień.

Gdy Isabel spoglądała zszokowana na June, Kat usiadła na podłodze, podkurczyła nogi i zaczęła łkać. Usiadły obok niej.

– Kat, przecież wiesz, że się o nią martwimy – zapewniła kuzynkę Isabel i odsunęła włosy z jej twarzy. – Nie mamy nikogo oprócz twojej matki.

Nieoczekiwanie Kat zerwała się z miejsca i wybiegła z kuchni tylnymi drzwiami.

– O Boże – westchnęła June i spytała siostrę: – Co robimy? Idziemy za nią czy zostawiamy ją samą?

Isabel wyrzała przez okno, chcąc sprawdzić, czy Kat siedzi na szeszlunku albo na wielkim głązie na drugim końcu wielkiego ogrodu, ale nigdzie jej nie dostrzegła. Ona też chciała równocześnie uciec stąd i tu zostać.

– Nie wiem, jak powinniśmy postąpić – stwierdziła. – Nie należało tego mówić. Zawsze niepotrzebnie coś chlapnę.

– My naprawdę nie mamy nikogo oprócz jej matki – poparła siostrę June. – Isabel, wiem, co miałaś na myśli. Tak samo wie to Kat. Ona po prostu czuje się bardzo rozżalona. Ale przetrwamy to, Lolly wyzdrowieje.

Isabel odetchnęła z ulgą i skinęła głową; nie potrafiła nic powiedzieć.

Tylne drzwi się otworzyły i do kuchni wróciła Kat. Miała oczy zaczerwienione od płaczu.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu jestem... wkurzona na sytuację.

– Wiemy. – Isabel wyciągnęła rękę, chcąc ją pogłaskać po przedramieniu.

Przynajmniej Kat się nie odsunęła. Przez chwilę spoglądała w podłogę.

– Czy ulokowałaś już Charliego? – zwróciła się do June. – Jeśli w tym małym pokoju jest za gorąco, mogę mu zanieść wiatrak.

– Charlie czuje się tam dobrze – zapewniła ją June, zaplatając swoje długie włosy w warkocz z boku głowy. – Zasnął, zanim wyszłam z pokoju. Był z Henrym nad morzem,

zbierali małże i...

– Dziewczęta, jesteście gotowi! – zawołała Pearl, zaglądając do kuchni. Zobaczyły tylko jej siwą głowę, ale zaraz weszła do środka i zaproponowała: – Zaniosem babeczki do salonu. – Wzięła okrągłą tacę, lecz zatrzymała się i spojrzała na Isabel, June i Kat. Było jasne, że wie o chorobie Lolly. Powiedziała do wszystkich trzech: – Film pomaga na dwie godziny zapomnieć o zmartwieniach. Działa jak magia. Chodźcie, kochane.

Isabel napełniła miski gorącym popcornem, jedną wręczyła Kat, drugą June, a trzecią wzięła sama.

– Porozmawiamy po filmie, dobrze? – zaproponowała kuzynce.

Kat nie spojrzała na nią, ale wykonała taki ruch głową, jakby potaknęła i pierwsza podążyła do salonu.

W salonie Lolly właśnie wkładała płytę DVD do odtwarzacza. Wyglądała tak, jakby wszystko było w porządku, jakby nic się nie stało i spędzała w szerszym gronie zwykły piątkowy wieczór.

– Wszyscy gotowi na spotkanie z Meryl i Clintem? – spytała. – Nic nie robi lepiej niż widok tych dwojga.

Nikt nie pytał, dlaczego Lolly Weller chce w taki wieczór obejrzeć film czy po prostu swoją ulubioną aktorkę, skoro niedawno powiedziała córce i siostrzenicom, że zachorowała na nowotwór złośliwy, a rokowania nie są dobre. W dawnych czasach Kat, June i Isabel wiele razy słyszały jej opowieść o tym, jak osiemnastoletnia Lolly, zrozpaczona z powodu śmierci przyjaciela w wyniku nieszczęśliwego wypadku podczas pływania, wybrała się do kina na *Łowcę jeleni*, bo przeczytała w gazecie o Meryl Streep – która w rzeczywistości nosi, tak jak ona, imiona Mary Louise – i jej narzeczonym, sławnym aktorze zmarłym młodo na raka. Później dowiedziały się, jak Lolly przetrwała pierwszy rok jako wdowa wychowująca córkę i dwie osierocone siostrzenice, zatracając się w oglądaniu najbardziej łzawych dramatów z udziałem tej aktorki. Gdy zaś w końcu potrafiła obejrzeć komedię, wypożyczyła *W obronie życia* i w czasie projekcji uśmiechała się, a nawet śmiała, chyba po raz pierwszy od tamtego tragicznego sylwestra.

Zbiorowe oglądanie filmu w piątkowy wieczór miało w tym domu długą tradycję. Wszystko zaczęło się na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy pewna wczasowiczka spytała Lolly, czy ma może odtwarzacz kaset wideo, bo chciała wypożyczyć film nakręcony na podstawie książki *Wybór Zofii*, którą właśnie przeczytała. Lolly widziała ten film i była nim tak poruszona, że nie zamierzała go ponownie oglądać, jako jednego z zaledwie kilku i być może jedyne z udziałem Meryl Streep. Pożyczyła kobiecie odtwarzacz, a później kupiła luksusowy odtwarzacz DVD do salonu, który był dużym przytulnym pokojem z widokiem na port, i zamieniła stary dziewiętnastocalowy telewizor na nowy trzydziestodwucalowy, a szafkę zapełniła swoimi ulubionymi filmami. Wraz z Pearl postanowiły przeznaczyć piątkowe wieczory na oglądanie filmów. Na początku każda wybierała jakiś tytuł, a potem postanowiły organizować pokazy tematyczne: miesiąc filmów z lat czterdziestych, miesiąc filmów z Robertem De Niro, miesiąc filmów dotyczących jedzenia, miesiąc filmów zagranicznych, miesiąc komedii romantycznych, miesiąc filmów z Sissy Spacek itd. Ostatni miesiąc był poświęcony filmom z udziałem Johna Travolty.

Miesiąc filmów z Meryl Streep zorganizowały przed dziewięcioma miesiącami. Isabel, która czasami uczestniczyła w wieczorze filmowym w okresie Święta Dziękczynienia czy świąt Bożego Narodzenia, zwróciła uwagę na film *Julie i Julia*, pokazany tu w ostatnie święta. Rzadko jednak rozmawiano o obejrzanych filmach. Pearl często zasypiała po upływie pół godziny od rozpoczęcia projekcji. Ale organizowanie piątkowego wieczoru filmowego stało się w Gospodzie

Trzech Kapitanów tradycją. W salonie tylną ścianę zdobiły oprawione w staroświeckie ramki błyszczące czarno-białe fotosy ulubionych aktorów i aktorek Lolly. Były wśród nich trzy zdjęcia Meryl w różnym wieku, a także Clinta Eastwooda, Ala Pacino, Sissy Spacek, którą Lilly też lubiła, Tommy'ego Lee Jonesa, Cher, Brada Pitta, Susan Sarandon, Kate Winslet, Keanu Reevesa, uważanego przez Lolly za seksownego, oraz młodych aktorek Rachel McAdams i Emmy Stone, bo zdaniem Lolly „miały w sobie coś”.

Teraz Isabel wiedziała, dlaczego ciotka postanowiła znowu zorganizować miesiąc filmów z udziałem Meryl Streep. Lolly zawsze powtarzała, że taki film jest dobry jak kura w rosole, najlepsza przyjaciółka, terapeuta i mocny drink. Gdyby tylko oglądanie filmów z rolami tej aktorki mogło wyleczyć ciotkę z raka – pomyślała, siadając obok siostry na wygodnej dwuosobowej kanapie, opierając się, jak June, na licznych miękkich poduszkach i stawiając miskę z popcornem na stojącej przed nimi otomanie. Lolly i Pearl zajmowały miejsca na białej kanapie, przed kufrem okrętowym, prawdopodobnie znalezionym na dnie Atlantyku, a teraz służącym za ławę, na której stały dzbanek z mrożoną herbatą, butelka wina, taca z babeczkami i miska z popcornem. Kat rozsiadła się na kwiciastym pufie u stóp matki, trzymając w dłoniach długi czerwony lukrecjowy cukierek marki Twizzlers, na którym zawiązywała supełki. Isabel pamiętała, że w dzieciństwie był to ulubiony smakołyk kuzynki podczas oglądania filmów. Carrie, trzydziestokilkuletnia wczasowiczka – nie ta gadatliwa, która była w salonie wcześniej – zajęła miejsce w fotelu z wysokim oparciem. Trzymała na kolanach talerzyk z babeczką i popcornem. Powiedziała, że jej mąż został na gorze i ogląda mecz bejsbolowy.

Nieoczekiwanie Kat zerwała się z pufa i wybiegła z salonu. Lolly odłożyła pilota i wyszła za nią. Isabel zerknęła na June. Siostra miała tak samo jak ona załzawione oczy. Po kilku minutach matka i córka wróciły do salonu. Kat była posępna, ale usiadła z powrotem na pufie i zaczęła znowu zawiązywać supełki na twizzlersach, a Lolly zgasiła światło i włączyła pilotem odtwarzacz.

W pierwszej chwili Isabel miała ochotę uciec stąd do swojego pokoju, ale zaraz sobie przypomniała, że wszystkie pokoje w pensjonacie są zarezerwowane, a ona mieszka w sypialni Kat, razem z kuzynką i siostrą. Tu miała przed sobą przynajmniej dobre dwie godziny siedzenia w mroku, kiedy nikt nie będzie jej pytał, dlaczego nie przyjechał z nią Edward. Tak czy inaczej, teraz, gdy okazało się, że ciotka jest chora, nikt nie będzie musiał się zastanawiać nad tym, co jest nie tak z jej małżeństwem.

Gdy na ekranie pojawili się bohaterowie filmu, Isabel nie przejawiała tym specjalnego zainteresowania. Kiedy jednak zdała sobie sprawę, że ogląda dorosłe dzieci kobiety, która właśnie zmarła, łzy napłynęły jej do oczu. W wyświetlanej scenie brat i siostra, oboje tuż po czterdziestce, na rodzinnej farmie w stanie Iowa przeglądają rzeczy zmarłej matki i z listu, który im zostawiła, dowiadują się, że w jej życiu był poza ich ojcem także inny mężczyzna. I nagle przenoszą się w przeszłość i są na farmie wraz ze swoją matką, gospodynią domową przybyłą do Ameryki z Włoch, piękną Franceską o długich ciemnych włosach, która mówi z włoskim akcentem, graną przez Meryl Streep. Na ekranie pojawia się scena, w której Francesca żegna się na kilka dni z mężem i nastoletnimi dziećmi udającymi się na Targi Illinois. W następnej scenie na farmę przyjeżdża fotograf Robert, grany przez Clinta Eastwooda, poszukujący w okolicy pewnego trudnego do odnalezienia krytego mostu. Francesca chętnie pokazuje mu most i wśród najdrobniejszych gestów i najprostszych pytań zakochuje się w mężczyźnie, którego obecność przypomina jej, jaką mogła być kobietą i jakie mogła mieć życie.

Gdy Robert nakłania ją, by rozstała się z mężem i dziećmi i wyjechała z nim, by nie rezygnowała z miłości, która zdarza się raz w życiu, Francesca w pierwszej chwili się godzi. Jednak potem odmawia, bo nie może zniszczyć życia mężowi i dzieciom ani też łączącej ją

z Robertem miłości, a stałoby się tak, gdyby wraz z nim zniknęła.

Zostaje poddana próbie w dniu, w którym Robert wyjeżdża. Na czerwonym świetle za jego ciężarówką zatrzymuje się stara furgonetka, w której siedzi Francesca z mężem. Kobieta chwyta za klamkę. Jeśli chce wyjechać z fotografem, to właśnie nadarza się ku temu okazja. Musi to zrobić teraz, kiedy ma szansę przesiąść się z jednego auta do drugiego i odmienić swoje życie. Wystarczy tylko, by otworzyła drzwi i wysiadła.

Isabel wstrzymała oddech, obserwując przeżywającą psychiczną udramę kobietę, która zaciska dłoń na klamce drzwi samochodu. Nie wysiadzie – pomyślała. – Nie wysiadzie. I gdy rzeczywiście Francesca pozostała na swoim miejscu, Isabel odetchnęła z ulgą.

Kiedy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, Pearl wstała z kanapy i zaczęła sprzątać naczynia.

– Czy nie jest wspaniały?! – zawołała. – Dziś widziałam ten film już po raz trzeci, ale za każdym razem wydaje mi się, że oglądam go pierwszy raz, choć wiem, jak się skończy.

– Meryl jest doskonałą aktorką – powiedziała Carrie. – Chyba w żadnej innej roli nie wygląda tak pięknie jak w tej.

– Jest zachwycająca – zawtórowała jej Kat.

Isabel i June skinęły głowami.

Lolly wyjęła z odtwarzacza płytę i włożyła ją do pudełka.

– To jeden z moich ulubionych filmów – wyznała i zwróciła się do przyjaciółki: – Pearl, ja też widziałam ten film już trzy razy i za każdym razem dostrzegłam w nim coś nowego. – Spojrzała na córkę i siostrzenicę i dodała: – Cieszę się, dziewczęta, że zjawiłyście się w salonie. Po takim dniu raczej pójdę zaraz spać. Do zobaczenia wcześniej rano, czyli o wpół do siódmej na śniadaniu w kuchni. Na pewno każda z was będzie w dobrym humorze.

Widząc, że ciotka i Pearl dezzerterują, June zagadnęła:

– Nie porozmawiamy? Jestem tak wstrząśnięta wyborem, jakiego dokonała Francesca, że nie mogę ruszyć się z miejsca.

– Wstrząśnięta jej wyborem? Masz na myśli to, że została ze swoją rodziną? – upewniła się Isabel.

Lolly usiadła z powrotem na kanapie.

Pożegnały się z Pearl, na którą pod domem czekał w samochodzie mąż.

June przełknęła kęs babeczki i oznajmiła:

– Francesca zdradziła samą siebie.

Isabel spojrzała na nią.

– Zdradziła samą siebie? – spytała zdumiona. – Czyli gdyby odeszła z tym fotografem, nie zdradziłaby męża i dzieci? Nie złamałaby przysięgi małżeńskiej? Wystarczająco złe było to, że uległa słabości do innego mężczyzny.

– No cóż. W pełni rozumiem, dlaczego to zrobiła – włączyła się do rozmowy Kat, wstając z pufa, żeby rozprostować nogi i siadając obok matki na kanapie. – Dzięki Robertowi częściowo odzyskała samą siebie. Podoba mi się sposób, w jaki zaprosiła go na kolację, to znaczy dopiero wtedy, gdy powiedział te kluczowe słowa: „Chyba wiem, jak się czujesz”. To wszystko, czego chce każdy z nas. Bycia zrozumianym przez innego człowieka.

– Owszem, ale czasami jest to niemożliwe – stwierdziła Lolly, wyglądając przez okno.

Isabel zastanawiała się, co konkretnie ciotka ma na myśli. Niestety, Lolly już nic więcej nie powiedziała. Isabel z powrotem oparła głowę na poduszkach. Najwyraźniej Edward nie uważał, że ona go rozumie. Może nie potrafiła go zrozumieć od czasu, gdy się zmieniła? Tak jak on nie potrafił zrozumieć jej? Ale praca nad własnym małżeństwem oznaczała dążenie do takiego zrozumienia. Była to ciężka harówka. Człowiek nie pozwalał sobie na romans i nie wykazywał

się brakiem odpowiedzialności. Francesca zakochała się w fotografii podróżnika w chwili, gdy jej powiedział, że wie, skąd ona pochodzi i że tam był. W głębi duszy pozostała kobietą z Bari.

Isabel znowu poczuła w oczach łzy. Carolyn Chenoweth połączył z Edwardem McNealem zwykły romans? Jak to było możliwe? To Isabel pochodziła stąd, skąd on pochodził. To ona, tak jak on, straciła rodziców. To ona, tak jak on, przez całe miesiące codziennie wypłakiwała się w poduszkę, zanim zasnęła. Była u jego boku od piętnastu lat. Jak Carolyn zdołała to wszystko przewyciężyć? Jak?

– Jeśli zrozumienie jest tym, czego ktoś szuka – odezwała się Kat. – Tym, czego w danym momencie ludzie potrzebują. Nie pamiętacie, jak Francesca nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, od ilu lat jest mężatką, gdy Robert ją o to spytał? Liczyła na palcach. Nie pamiętała tego, bo od zawsze czuła się mężatką i pogubiła się w życiu. Lecz zjawił się on i przypomniał jej, że kiedyś była kimś, to znaczy kimś innym. Dostrzegł w niej tamtą kobietę.

Isabel zaczęła drżeć. Co Edward czuje w obecności Carolyn? – zastanawiała się. – To znaczy ten ktoś, kim się stał? Kto nie wiedział, kim był wcześniej? Może pragnął kobiety będącej przeciwieństwem Isabel?

Pokręciła głową i odwróciła się do Kat:

– Wiesz, kto jeszcze dostrzegł w niej kobietę, jaką naprawdę była? – spytała. – Jej mąż. Poznała go we Włoszech jako żołnierza. I zakochał się w niej. A więc on też wiedział, kim wtedy była.

– Ale teraz... – zaczęła June.

– Przez kilka dni sypiała z innym mężczyzną, kiedy jej mąż wraz dziećmi wyjechał – przerwała siostrze Isabel. – Oszukała go. Złamała przysięgę małżeńską. Potem przerwała ten romans, wiedząc, że tak czy inaczej, on nie przetrwa, i jej życie toczyło się dalej, jakby nie zrobiła nic złego. Omal nie zostawiła męża dwa razy.

June spojrzała na nią.

– Stop! – zawołała. – Czy rzeczywiście obejrzałyśmy ten sam film? Francesca się poddała, gdy została żoną farmera ze stanu Iowa. Wychodząc za tego żołnierza za mąż i wyjeżdżając z nim do Ameryki, spodziewała się czegoś innego, z pewnością nie życia na farmie. Pamiętasz, jak powiedziała: „Nie o tym marzyłam za młodu”? W ciągu tych kilku dni, które spędziła z Robertem, znowu odnalazła siebie. Zrezygnowała jednak ze swojego szczęścia, kierując się względami moralnymi. I zachowała się niewłaściwie. Tak uważam.

– Wiem, co masz na myśli – podchwyciła temat Kat, potrząsając papierową foremkę babeczki. – To nie znaczy, że chciałam, by wyjechała z Robertem i zostawiła rodzinę. Jednak nie chciałam też, by zdradziła siebie.

Isabel spojrzała na nią.

– Zdradziła siebie? – powtórzyła za kuzynką. – A co z jej mężem?

– Uważam to pytanie za słuszne – poparła ją Carrie. – Wychodząc za niego za mąż, wiedziała, kogo bierze, tak jak ja wybrałam sobie tego, kogo mam. Domyślcie się, kto z najwyższą niechęcią poszedł dziś ze mną do miasta, a teraz ogląda na górze mecz Red Soxów na swoim iPadzie? Wybrała sobie takie życie, tak jak ja wybrałam sobie swoje.

– Nie wiedziała, kogo bierze, a w każdym razie nie do końca wiedziała – zaoponowała June. – Nie pamiętasz, jak powiedziała, że potrafiła myśleć tylko o Ameryce? Pragnęła przeżyć przygodę, a zamiast tego dostała farmę w Iowa.

– A jednak uważam, że się wie, kogo się bierze – odezwała się Lolly i znowu wyjrzała przez okno. – Bo jak dziarski mógł być jej mąż, gdy go poznała? Jak bardzo mógł być fascynujący i żądny przygód? Sądzę, że dla niej po prostu uosabiał przygodę. Wtedy wystarczyło jej samo to, że jest cudzoziemcem.

Kat spoglądała na matkę w zadumie.

– I zgodnie z tym, co Francesca powiedziała, „jesteśmy dziełem swoich wyborów” – przypomniała, wzięła oddech i dodała: – Wystarczy popełnić błąd i już...

– Zastanawiam się, czy rzeczywiście popełniła błąd – weszła jej w słowo Carrie. – Ma dzieci i piękną farmę, ale czuje się samotna. To wysoka cena do zapłacenia, żeby się tego uczucia pozbyć.

Każda z obecnych skinęła głową.

Isabel wyrzwała przez okno na oświetlony port. Od miesięcy czuła się samotna, a nawet od znacznie dłuższego czasu, jeśli pozwoliłaby sobie dokładnie to określić.

– Najbardziej podobała mi się ta scena – zaczęła June – w której Francesca po tym, jak się kochali, prosi Roberta z płaczem, by zabrał ją gdzieś, gdzie był, na drugi koniec świata...

Kat skinęła głową.

– I on zabiera ją do jej miasta rodzinnego we Włoszech, które właśnie odwiedził, bo uznał, że jest urocze – dokończyła za June.

– Sądzę, że to wtedy Francesca tak bardzo się w nim zakochała – ciągnęła June. – Pomógł jej odzyskać siebie, kobietę, którą w środku była, niewidoczną dla innych, dla męża i dzieci.

– I sprawiła, że znowu zaczął czegoś pragnąć, a właściwie jej – dodała Lolly.

Isabel spojrzała na ciotkę. Czyżby Carolyn miała w sobie coś, co bardziej się liczyło niż piętnaście lat wspólnego życia i wszystko, co te lata znaczyły? I sprawiła, że Edward jej pragnął? Tylko właściwie czego w niej pragnął? Może czegoś innego, niż dała mu Isabel? Fascynacji lub namiętnej miłości z nową kobietą?

– To by jednak nie przetrwało – stwierdziła, ale ponieważ wcale nie była tego taka pewna, dodała: – A zresztą może by i przetrwało, choć na dziewięćdziesiąt dziewięć procent nie, dokładnie z tych powodów, które wymienia Francesca. Byłaby na Roberta zła, że tyle przez niego straciła. Kiedy stwierdził, że „taką pewność ma się tylko raz w życiu”, wiedziała, że chodziło mu o jej pewność dotyczącą wszystkiego – jej samej, szczęścia męża i dzieci i otaczającej ich rzeczywistości.

Isabel była ciekawa, jak długo potrwa romans Edwarda z Carolyn. Kilka tygodni w sytuacji, gdy nie musiał już skradać się do domu tej kobiety około szóstej po południu? Zgodnie z tym, co powiedział dziś Isabel przez telefon, przed kilkoma miesiącami mąż zostawił Carolyn dla innej kobiety. Isabel zawsze uważała, że romanse pozamałżeńskie podsycą świadomość, iż stanowią zakazany owoc, i łączący się z tym dramat, a nie uczucie. Teraz jednak musiała przyznać, że romanse Franceski i Roberta był wynikiem uczucia.

– Czułam się rozdarta, jeśli chodzi o ocenę jednego z powodów jej pozostania z mężem i dziećmi – oznajmiła Carrie. – Francesca martwiła się o to, co powie, odchodząc, swojej szesnastoletniej córce, która w tym wieku była już gotowa na przeżycie pierwszej miłości i związku z mężczyzną. Tylko co nam uświadomiła cicha rozpacz matki? To, że córka od dwudziestu lat tkwi w złym małżeństwie. Być może więc pozostanie Franceski z rodziną wcale nie było heroicznym wyczynem.

– Naprawdę mi się podoba to, co pisze w liście do swoich dzieci – wyznała Lolly. – „Zróbcie wszystko, żeby żyć szczęśliwie”. To musi być osobisty wybór. Sądzę, że Francesca była równocześnie szczęśliwa i nieszczęśliwa, zostawszy z mężem i dziećmi, i tak samo by się czuła, gdyby odeszła z Robertem. Obie sytuacje stanowiły dla niej pułapkę. Dokonała honorowego wyboru, kierując się racjami moralnymi.

Czy tak czuł się Edward? Jak schwyty w pułapkę? Był zakochany w innej kobiecie, lecz zarazem związany tym, co ślubował żonie? – zastanawiała się Isabel.

– Uważam, że powinna była odejść z Robertem – oznajmiła Kat spokojniejszym, choć

jeszcze smutniejszym niż dotychczas głosem. – Życie jest za krótkie, jak wszyscy powtarzają, żeby rezygnować z własnego szczęścia. Czy nie jest to teraz całkiem jasne?

– Za krótkie na to, by ranić ludzi, którym się wyznało miłość – sprzeciwiła się jej rozmowianiu Isabel.

Kat spojrzała na nią zaskoczona. Isabel chciała ją przeprosić, ale nie wiedziała, co powiedzieć, a poza tym Kat się odwróciła.

– Nie ma w tej sprawie jednej odpowiedzi – uznała June.

„Jesteśmy dziełem swoich wyborów”. Ta myśl nie dawała Isabel spokoju, myśl, jak uważała, słuszna. Wybrała zmianę. Pozwoliła, by w pełni w niej dojrzało chwilowe pragnienie posiadania dziecka. I podzieliła się nim z mężem, nie chcąc się z tym kryć. Zdecydowała się zerwać zawartą z nim umowę.

– Sądzę, że Francesca postąpiła słusznie – oceniła Lolly, wstając i zbierając puste foremki po babeczkach oraz porzucane kawałki popcornu. – Dlaczego szczęście tej kobiety miałyby być ważniejsze od szczęścia jej męża i dzieci? Dlaczego miałyby być ważniejsze od tego, co by oznaczało dla jej syna i córki i jak by wpłynęło na ich życie?

– Nie jestem pewna, czy się z tym zgadzam – powiedziała na to June, wstając, żeby pozbierać kieliszki i szklanki. – Czyjeś nieszczęście też wpływa na życie innych. Córka jest tego przykładem, czyż nie? Oczywiście nie twierdzę, że Francesca po prostu mogła uciec z Robertem i zrezygnować z dotychczasowego życia. Ale żeby zdradzić samą siebie, złamać sobie w taki sposób serce...

W ogóle nie powinna mieć tego romansu – miała ochotę krzyknąć Isabel. – Gdyby nie pozwoliła sobie zakochać się w Robercie... Jednak Isabel rozumiała, dlaczego Francesca na to pozwoliła. Wybuchnęła płaczem i zaczęła drżeć.

– Isabel?! – zawołała Lolly.

– Przyłapałam Edwarda z inną kobietą – wyznała.

June gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Edwarda? – powtórzyła za nią.

– Isabel, tak mi przykro – powiedziała Kat i wzięła ją za rękę.

– Och, nie – jęknęła Lolly. – Nie wierzę.

Isabel opowiedziała im o wczorajszym dniu, o anonimie wsuniętym przez kogoś pod drzwi domu, o idiotycznej grudzie ciasta makaronowego, które zagniała, i o dziesiątej rocznicy ślubu z Edwardem przypadającej w najbliższy wtorek. O tym, jak szła po wyłożonych białym dywanem schodach w domu kochanki męża i o wyrazie jego twarzy, gdy zobaczył Isabel u ich szczytu.

– A gdy w końcu odebrałam dziś od niego telefon, powiedział, że nie chodzi o seks i romans, że zakochał się w tej kobiecie i że kochał ją od miesiący, zanim w ogóle pozwolił sobie... – przerwała, nie potrafiąc powiedzieć reszty.

– Och, Izzy, tak mi przykro – powiedziała June. – Czuję się okropnie, że broniłam romansu z tego filmu.

Isabel spojrzała na nią.

– Czy romans w ogóle jest do obrony? – spytała. – Czy jest w porządku dlatego, że prawdopodobnie Edward zakochał się w tej kobiecie? Czy mój mąż mnie nie zdradził i nie złamał przysięgi małżeńskiej? Czy wszystko jest w porządku, skoro się zakochał?

„Isabel, to ważne, byś wiedziała, że ją kocham. Nie chodzi po prostu o seks ani o jakiś gorący romans. Nie zrobiłbym ci tego”.

Co za troska. Zrobił jej to z rzeczywistego powodu.

„Taką pewnością ma się tylko raz w życiu”, powiedział w filmie Robert. Oczywiście

Edward jej nie miał. Kiedyś był pewny uczucia do niej, a teraz jest pewny uczucia do natrętnej Carolyn Chenowith. Jak na razie.

Isabel podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Nie była już tą samą Isabel, która zakochała się w Edwardzie jako szesnastolatka. Nie była już tą przestraszoną dziewczyną, która uważała, że jest okropna. Ale nie wiedziała też, kim właściwie jest teraz. Nie zamierzała wracać do domu w Westport, w stanie Connecticut. A jeśli już miała się tam zjawić, to tylko po to, by spakować swoje rzeczy i dokonać podziału tego, co znajdowało się w tym wielkim domu – gdyby chciała wziąć stamtąd miękką puchową kołdrę, która jej i Edwardowi przypominała Maine, albo obrazy kupione przez nich oboje w czasie miodowego miesiąca lub na wakacjach. Co zamierzała teraz robić? Po prostu mieszkać w pensjonacie ciotki i pomagać jej we wszystkim – powiedziała sobie, bo potrzebowała konkretnego planu, na którym mogłaby się oprzeć.

Lolly wzięła ją za rękę.

– Cieszę się, że jesteś tu z nami – rzekła.

Isabel przestała powstrzymywać łzy. Gdy Lolly uścisnęła jej dłoń, poczuła dłoń matki, co napełniło ją otuchą jak nic innego.

Rozdział 5

June

June, Isabel i Kat pozmywały naczynia i posprzątały salon po wieczorze filmowym do ostatniego okruszka popcornu, a następnie błyskawicznie sprawdziły w internecie informacje na temat raka trzustki, co je pokrzepiło, a zarazem odstraszyło od szukania dziś dalszych informacji o tej chorobie.

Gdy skończyły, June usiadła na balkonie pokoju Kat i spoglądała na port, oświetlone statki i biało-czerwoną latarnię morską. Pearl miała rację, gdy powiedziała, że film odrywa człowieka na dwie godziny od zmartwień. Ten oglądany dzisiaj tak bardzo June poruszył, że mogłaby o nim rozmawiać jeszcze przez wiele godzin. Jednak teraz nie myślała o Meryl Streep w roli Franceski i Clincie Eastwoodzie w roli Roberta tańczących w kuchni domu na farmie do muzyki z włoskiej opery, lecz o Edwardzie, tym przebiegłym i nikczemnym gnoju.

Kiedy miała trzynaście lat, już po paru miesiącach zdała sobie sprawę, że jej „chłopak z marzeń”, po którym poprawiała odpowiedzi na pytania w quizach w magazynie „Seventeen” i którego zdobyła jej ładniejsza, bardziej seksowna i światowa starsza siostra, jest raczej kimś z koszmaru sennego i zwykłym palantem. To wtedy szesnastoletnia Isabel wpadła w nawyk zaczynania zdania od słów: „Edward mówi”. „Edward mówi, że przeklinanie jest bardzo niegrzeczne. Edward mówi, że od słodzonych płatków zbożowych, takich jak Lucky Charms, psują się zęby i jedzenie tego rodzaju produktów zmniejsza szansę dostania się do Ivy League. Edward mówi, że każdy przeżywa żalobę po stracie bliskich na swój sposób i należy mu na to pozwolić”.

To ostatnie zdanie uważała za jedyne słuszne, jakie Edward McNeal kiedykolwiek wypowiedział. Potrafił rozmawiać o żalobie jak nikt inny, tak doskonale pocieszając i wczuwając się w sytuację każdego, że człowiek niemal zapominał, dlaczego przyszedł do Regionalnego Ośrodka dla Dzieci w Żalobie, a przynajmniej zapominał na kilka minut. Toteż June od początku rozumiała, dlaczego Isabel zapałała tak wielkim uczuciem do tego chłopaka. June również się w nim kochała, ale tylko przez kilka tygodni, aż siostra zaczęła powtarzać w kółko „Edward mówi” i w jednej chwili radykalnie się zmieniła.

– Zmienia się na lepsze – mówiła Lolly, gdy June chodziła za odkurzającą i pastującą podłogi ciotką, nie rozumiejąc, co się stało z hałaśliwą, egoistyczną i zdzirowatą Isabel, która dotychczas wagarowała, podkradała papierosy i popalała trawkę.

– Ale nagle stała się chodzącym ideałem... jak ja – odpowiadała June. – Mówi „proszę” i „dziękuję”!

– To źle? – dziwiła się Lolly.

– Zachowuje się jak jakieś mechaniczne dziwadło – tłumaczyła jej June, która z jednej strony nie chciała, by siostra stała się znowu okropna, a z drugiej nie wiedziała, czy podoba się jej ta nowa, kontrolowana przez słowa „Edward mówi”.

Dopiero po latach June zdała sobie sprawę, że władzę nad siostrą miał nie Edward, lecz przeżywanie żaloby po stracie rodziców. A Edward potrafił przeżywać żalobę.

– Lepiej przecież, że chodzi do szkoły, zdrowo się odżywia i mówi „proszę”, niż miałyby się zachowywać jak poprzednio – uważała Lolly. – Bądź dla niej wyrozumiała. Niech się zmienia

na taką, jaką teraz chce być. Nikomu nie wyrządza krzywdy. Pamiętaj o tym. Odnajdzie siebie. Ludziom zawsze się to udaje.

Przez długi czas to ostatnie zdanie nie dawało June spokoju. „Ludziom zawsze się to udaje”. Co konkretnie? Czy jej ciotka odnalazła siebie po śmierci męża, siostry i szwagra, kiedy stała się bardziej milcząca i odzywała się tylko wtedy, gdy ktoś ją zagadnął? Ale kiedy już to następowało, nagle zaczynała być elokwentna. Dopóki jednak się jej nie zaczęło i o coś nie zapytało, nigdy pierwsza nie rozpoczynała rozmowy. Nie pytała, czy masz do odrobienia pracę domową, czy jakiś chłopak poprosił cię na zabawie szkolnej do tańca i dlaczego masz taką smutną minę.

Kiedyś June krzyknęła do niej:

– Nie obchodzi cię nawet to, że tu siedzę i wyglądam tak, jakbym za chwilę miała się rozplakać!

Ciotka odpowiedziała:

– Bardzo mnie to obchodzi, June, ale uważam, że powinnam zapewnić ci przestrzeń, byś miała gdzie to zrobić.

W tamtym okresie June nie była pewna, czy w ogóle chce mieć jakąś przestrzeń, choć nie dysponowała zbyt wielką. Mieszkała w jednym dużym pokoju z posydkującą siostrą i milczącą kuzynką, która stale przyglądała się im obu. Gdy June czuła na sobie czyjś wzrok, wiedziała, że w pobliżu jest Kat. Jeśli we trzy znalazły się w jednym pokoju, to zawsze jedna lub dwie stamtąd wychodziły. Nie było w tym nic dziwnego.

June spojrzała w niebo, na którym było niewiele gwiazd. Utkwiła wzrok w jednej z nich, mając nadzieję, że za chwilę nie okaże się ona samolotem. Chciała, aby ta gwiazda tkwiła na niebie nieruchomo. Była wstrząśnięta tym, co powiedziała im Isabel. Edward zachowywał się jak osioł, ale zawsze tu był. Kiedy przed kilku laty w czasie Święta Dziękczynienia powiedział coś, co zraniło uczucia June – zawsze przeklinała swoją wrażliwość – że karmi Charliego amerykańskim serem w opiekany na grillu toście, zamiast dawać mu zdrowy ser szwajcarski lub cheddar, bo nie troszczy się o to, czym zasila rozwijający się mózg i cały organizm dziecka, szepnęła do Isabel:

– Boże, ja naprawdę uchylłam się przed kulą, jeśli chodzi o Edwarda.

Siostra skrzywiła się i June zrobiło się przykro, że powiedziała coś takiego właśnie do niej. Ale Isabel wypaliła:

– A dał ci kiedykolwiek szansę? Jak długo trwał twój jedyny wielki romans? Dwa dni? Nie mów o czymś, o czym nie masz pojęcia.

Do końca posiłku, kiedy zjedli ostatnie kęsy farszu z indyka oraz placków z nadzieniem z dyni, nawet na siebie nie spojrzały. Zachowując uprzejmość, unikały się aż do następnego rodzinnego obiadu w święta Bożego Narodzenia. W tym czasie wysyłały sobie tylko obowiązkowe kartki z życzeniami urodzinowymi. Mimo to Isabel i Edward co roku zjawiali się na przyjęciu urodzinowym Charliego, jadąc pięć godzin w jedną stronę do Portland, obojętnie, czy odbywało się ono w sali gimnastycznej dla dzieci, na placu zabaw, czy w małym mieszkaniu June nad księgarnią. Wsiadłszy z samochodu, Isabel wносиła wielki, ładnie zapakowany prezent, jakiś niesamowity, na który June nigdy nie byłoby stać, na przykład czerwony PlasmaCar czy zestaw klocków Lego z serii Indiana Jones. Charlie był nim tak zachwycony, że biegał w kółko i klaskał w dłonie. Wówczas cała złość na siostrę i szwagra jej przechodziła. Jednak po kilku minutach Isabel lub Edward wszystko psuli, wygadując jakieś straszne rzeczy na temat szkół publicznych w Portland albo tego, jak June wiąże koniec z końcem, i w jednej chwili czar pryskał.

Zawsze żałowała, że jej stosunki z siostrą nie są bardziej podobne do tych, jakie miała

z Kat, czyli uładzone i wolne od różnych komentarzy. Dzień dzisiejszy stanowił pod tym względem wyjątek, ale rozumiała to doskonale. Ona i Kat rozmawiały ze sobą tak, jak rozmawiają znajomi z pracy na uroczystości zorganizowanej przez firmę – nie wnikając w tematy zbyt głęboko i nie raniąc swoich uczuć.

– June? Pomożesz mi rozłożyć łóżko? Chyba się zablokowało – usłyszała głos Kat.

Gdy weszła do pokoju, zobaczyła, że kuzynka szamoce się z łóżkiem, starając się wyciągnąć jego dolną część. W końcu ją szarpnęła, kopnęła ze złością i usiadła na górnej części.

June usiadła obok niej i powiedziała:

– Twoja mama chyba da sobie z tym radę. Na pewno da.

Kat odchyliła głowę do tyłu, wzięła głęboki oddech i zaproponowała, najwyraźniej nie chcąc podejmować tego bolesnego tematu:

– Spróbujmy je rozłożyć.

June spojrzała na nią, żałując, że nie łączy ich bliższa więź i nie wie, co teraz powiedzieć. Ona też się przestraszyła diagnozy lekarskiej postawionej ciotce. Chyba najlepsze, co mogły wszystkie zrobić, to po prostu bać się o Lolly.

W końcu wyciągnęły dolną część, która automatycznie podniosła się na wysokość górnej, choć zajęło im to kilka minut. Wówczas June przesunęła łóżko pod balkon, żeby leżąc na brzuchu i opierając się na poduszce, mogła widzieć port i gwiazdy na niebie. Szybko posłały oba łóżka, rozkładając na nich letnie kołdry. W końcu sierpnia rzadko było tak gorąco, żeby uruchamiać hałaśliwy wiatrak, ale na wszelki wypadek Kat trzymała w kącie taki staromodny, z mosiądzu.

June zerknęła na łóżko, na którym miała spędzić najbliższe dni. Miękkie dekoracyjne poduszki w wyblakłych kolorach, udające jaśki w poszewkach i stara kołdra w rozgwiązdy wyglądały zachęcająco; w takiej pościeli mogła zasnąć w jednej chwili.

Otworzyły się drzwi do łazienki i do pokoju weszła Isabel, wpuszczając do środka obłok pary, ubrana w różowy top i szare legginsy. Jej włosy były mokre.

– Isabel, dobrze się czujesz? – zagadnęła ją June i uświadomiła sobie, że zadała głupie pytanie, bo siostra nie mogła się dobrze czuć.

Isabel skierowała wzrok na paznokcie u nóg pomalowane błyszczącym różowym lakierem.

– Nie – odpowiedziała krótko.

June spojrzała na Kat. Było jasne, że żadna z nich nie oczekiwała od Isabel szczerej odpowiedzi, nawet po tym, co wyznała wszystkim w salonie.

– Isabel, tak mi przykro – powiedziała Kat, która dotychczas siedziała na łóżku po turecku, a teraz podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami; można było odnieść wrażenie, że chciała coś dodać, ale nie wiedziała co.

June usiadła na swoim łóżku.

– Jak sądzisz, co się teraz wydarzy? – spytała siostrę. – Czy on ją zostawi i się pogodzicie?

Isabel podeszła do balkonu i wyjrzała na dwór. June zerknęła na pierścionek siostry z dwukaratowym okrągłym brylantem. Dawno temu tym pierścionkiem został zastąpiony jej prawdziwy pierścionek zaręczynowy z tanim maleńkim brylancikiem. Isabel miała też na palcu złotą obrączkę ślubną, również wysadzaną brylantami.

– Czy tak sprawy się mają? – spytała ją Kat. – To znaczy, jak sobie z tym radzisz?

– Oto dlaczego w filmie *Co się wydarzyło w Madison County* Francesca została z rodziną – odpowiedziała jej wymijająco Isabel, nadal wyglądając przez okno. – Bo wiedziała, że mąż i dzieci nigdy sobie nie poradzą z jej odejściem. Jak się domyślam, Edward po prostu nie

zatrzaszczył się o to, czy ja sobie poradzę z jego odejściem. – Po tych słowach zalała się łzami.

June i Kat wymieniły spojrzenia, zerwały się z miejsc, podeszły do niej i stanęły po obu jej stronach. Kat dotknęła ręki Isabel, a June ciężko westchnęła.

– To idiotyczne, ale to, jak się dowiedziałas o romansie Edwarda, przypomina mi, jak się poczułam, gdy Lolly powiedziała nam o wypadku samochodowym naszych rodziców – wyznała June. – Gdy dzieje się coś, czego człowiek sobie nie wyobraża, czego nie potrafi sobie wyobrazić, jest tak zszokowany, że nie ogarnia tego umysłem.

Może jednak Isabel nie była romansem męża tak bardzo zszokowana? Czasami taki romans niemiło żonę zaskakiwał, kiedy indziej wiedzą o nim starała się wyprzeć ze swojej świadomości. June nie wiedziała, jak naprawdę wyglądało małżeństwo Isabel.

– Właśnie w takim stanie byłam, gdy tu jechałam – potwierdziła Isabel. – W totalnym szoku. Dlatego potrafiłam prowadzić. Kiedy jednak w końcu do mnie dotarło, że to wszystko wydarzyło się naprawdę, że dostałam anonim, spotkałam Edwarda wychodzącego z sypialni tej kobiety i widziałam jego minę, gdy mnie zobaczył, a ostatnio czy nawet już wcześniej było między nami nie najlepiej, zatrzymałam się w motelu, gdzie przeplakałam całą noc i większość dnia, dopóki nie musiałam wyruszyć w dalszą drogę.

– I jakby tego było mało, otrzymałaś następny cios, czyli dowiedziałas się o chorobie mojej matki – powiedziała Kat.

Isabel zakryła twarz dłońmi.

– Już nie wiem, na czym skupić uwagę – wyznała, odsuwając dłonie od twarzy. – Za każdym razem, gdy zastanawiam się nad Edwardem, myślę o Lolly. Potem powracam myślami do Edwarda i znowu do Lolly. – Kiedy to mówiła, zaplatała i rozplatała włosy. Wzięła głęboki oddech i dodała: – Edward nie poprosił mnie, bym jakoś uporała się z jego romansem. Oznajmił tylko, że kocha tę kobietę. Jestem pewna, że powiedziałaby mi, iż zamierza wystąpić o rozwód, ale się z nim rozłączyłam, zanim miał po temu okazję.

Kat ponownie usiadła na swoim łóżku.

– Nie mogę w to uwierzyć. June ma rację, gdy mówi o szoku. Ty i Edward staliście się parą, gdy miałam dziesięć lat – przypomniła.

– Tydzień po naszej przeprowadzce do pensjonatu – dodała June.

– A teraz ciocia Lolly... Oczywiście nie byliśmy ze sobą zbyt blisko, ale twoja matka, Kat... – Isabel znowu wzięła głęboki oddech – wiele dla mnie znaczy – wyznała kuzynce.

– Dla mnie też – stwierdziła June i zwróciła się do siostry: – Poza tym jest taka podobna do naszej mamy, prawda, Iz?

Isabel milczała. Może nie należało w tym momencie wspominać matki? Zdaniem June jej siostra trzymała się z daleka od pensjonatu – od Lolly, Kat i od niej – między innymi z powodu tego, co powiedziała matce wtedy wieczorem w sylwestra, kiedy widziały się po raz ostatni w życiu. Wiedziała, że Isabel nigdy nie wybaczyła sobie tych słów. Ich kłótnia miała miejsce tu, w tym domu, w przedpokoju na parterze. Dlatego przez te wszystkie lata pensjonat kojarzył się Isabel z bólem, smutkiem i stratą.

Kat podeszła do biurka i usiadła na krześle. Odchyliła się do tyłu, spojrzała w sufit i powtórzyła:

– Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Nie mogę.

Po tych słowach w pokoju zapadła cisza. Tylko z trawnika przed domem docierało do ich uszu cykanie świerszczy i głosy ludzi powracających z portu.

– Jutro ułożymy plan zajęć, które przejmujemy od Lolly – powiedziała Isabel i udała się do swojego łóżka, które stało pod oknem mansardowym. – Chemioterapia może ją bardzo osłabić i uczynić niezdolną do pracy.

June skinęła głową.

– Zdumiewające, jak bardzo po obejrzeniu filmu Lolly stała się rozmowna. I pomyśleć, że mało brakowało, a wyszłaby z salonu, gdy film się skończył. Chyba nigdy jeszcze nie słyszałam jej wypowiadającej się w taki sposób – skomentowała.

– Ja też byłam zaskoczona – wyznała Kat. – To znaczy, mama potrafi być o czymś przekonana, ale żeby po obejrzeniu filmu rozmawiała o nim, brała pod uwagę różne punkty widzenia i zastanawiała się nad tym, co do czego doprowadziło? – Spojrzała ze współczuciem na Isabel i dodała: – Naprawdę się otworzyła. Mam nadzieję, że teraz już tak będzie.

– Mogę się założyć, że tak – oznajmiła Isabel. – Bardzo lubi Meryl i widziała wszystkie filmy z jej udziałem. Najwyraźniej coś dla niej znaczą – ukazują różne okresy w jej życiu. Miałam takie poczucie, obserwując, jak czasami odwracała wzrok czy też wyglądała przez okno.

– Jest skomplikowana, co? – powiedziała Kat.

June uśmiechnęła się.

– Skomplikowana i surowa – stwierdziła, zerknęła na siostrę i spytała: – Naprawdę nie masz nic przeciwko przejściu obowiązków Lolly? To będzie w twoim życiu wielka zmiana.

– Dlatego, że nie pracuję? – odpowiedziała pytaniem Isabel.

June poczuła, że się czerwieni. Owszem, właśnie to miała na myśli, ale nie zamierzała tego powiedzieć, bo nie chciała być dla siostry niemiła, przynajmniej teraz.

– Chodzi mi o to, że żadna z nas, włącznie z Kat, nie ma doświadczenia w prowadzeniu pensjonatu i zajmowaniu się wczasowiczami – wyjaśniła. – Pamiętacie tę okropną rodzinę z ostatnich świąt Bożego Narodzenia? Ciągłe dzwonili na nas dzwonkiem, który ze sobą przywieźli, i mówili: „Chcemy jeszcze herbaty. Macie może delikatniejsze ręczniki do rąk? Czy moglibyście coś zrobić z tym zapachem oceanu, bo woda za bardzo cuchnie rybami? No wiecie, ten smród unosi się w powietrzu”.

Kat się roześmiała.

– Przetrwalam ich pobyt tylko dlatego, że szaleli za moimi wypiekami – przypomniała. – Jedna z kobiet, która nawet na wycieczki chodziła w butach na wysokich obcasach, powiedziała mi, że powinnam otworzyć cukiernię i złożyła wielkie zamówienie. Nie mogłam tych kobiet znieść, ale dzięki nim zyskałam pewność siebie, choć miałam ochotę odebrać im dzwonek i wrzucić go do toalety.

June próbowała sobie wyobrazić Isabel Nash-McNeal, jak czyści toaletę. Jej siostra miała gosposię, która nie tylko sprzątała dwa razy w tygodniu ich wielki dom, ale także gotowała większość posiłków, dzieliła je na porcje, podpisywała i zamrażała, dołączając informację, jak należy je podgrzewać.

– Jestem pewna, że potrafię wykonywać różne niezbędne prace – oznajmiła Isabel tonem osoby, która poczuła się dotknięta takim traktowaniem.

Nie była jednak przyzwyczajona do usługiwania innym, włącznie z Edwardem, bo on chętnie ludziom za to płacił. Zarazem June wiedziała, że siostra jako wolontariuszka w szpitalu jest opiekunką osób, które przeżywają żalobę po stracie bliskich. Jeśli więc Isabel potrafiła ukoić ból kobiety, która właśnie straciła trzydziestoletniego męża, to z pewnością umiała też zadbać o paru wczasowiczów, niezależnie od tego, jak byli bezmyślni czy okropni.

– Domyślam się, że przeniesiesz się do małego pokoju, gdy June i Charlie wrócą do Portland – powiedziała Kat do Isabel. – Albo ja mogę tam zamieszkać. Wiecie, że lubiłam ten mój dawny pokój dziecięcy, to znaczy, zanim wszystko się zmieniło?

– Ja też muszę was teraz o czymś poinformować – oznajmiła June, wyjmując z walizki legginsy i T-shirt. – Zostanę tu przynajmniej kilka tygodni, bo księgarnia Bracia Books w Portland została zamknięta, a wraz z tym straciła ważność umowa najmu mojego mieszkania.

Jestem bez pracy i bez domu.

Znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, mając dziecko na utrzymaniu.

– June, nie jesteś bez domu – powiedziała na to Kat. – To jest twój dom.

June podeszła do balkonu i spojrzała na port. Obserwowała płynący w mroku statek wycieczkowy. Gospoda Trzech Kapitanów nie była jej domem. Mieszkała tu, w tej sypialni, przez pięć lat, ale nie czuła się w pensjonacie jak w domu. Nie zamierzała jednak powiedzieć tego Kat.

– Ale ze mnie supergwiazda, co? – zażartowała ponuro. – Po raz drugi w życiu uciekłam tu w panice. Będę musiała przyjąć złożoną mi przez Henry’ego ofertę pracy w tutejszej księgarni. Jestem dokładnie w tym samym miejscu, w którym byłam siedem lat temu.

– To samo miejsce, ale ty nie jesteś tą samą osobą – stwierdziła Kat. – Mieszkałaś dotychczas w Portland i sama wychowujesz dziecko. Poza tym dla Charliego naprawdę jesteś supergwiazdą.

June westchnęła i spojrzała w niebo. Nie zapomniała, jak stała tu, gdy miała dwadzieścia jeden lat i była w ciąży, nie mogła odnaleźć ojca dziecka, jej ukochani rodzice nie żyli, a starsza siostra mieszkała setki kilometrów stąd. Oczywiście nie zwróciła się wtedy do Isabel o pomoc.

– June, czy kiedy zorientowałaś się, że jesteś w ciąży, nigdy nie pomyślałaś o tym, by nie zatrzymać dziecka? – spytała ją Isabel.

June odwróciła się do niej na pięcie, spojrzała na nią i wyrzuciła z siebie:

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że nie powinnam mieć Charliego? Że należało go porzucić? Że zachowałam się wtedy nieodpowiedzialnie? Że zachowuję się jeszcze mniej odpowiedzialnie teraz, bo nie mam pracy i mieszkania?

Isabel się zaczerwieniła.

– Boże, June, nie miałam tego wszystkiego na myśli. Spytałam, ponieważ... – Isabel zagryzła wargi.

– Ponieważ? – ponagliła ją siostra, posyłając jej wściekłe spojrzenie.

– Zapomnijmy o tym – oznajmiła Isabel. – Powinnyśmy pójść spać.

– Ponieważ? – natarła na nią June.

Isabel spojrzała na swoją obrączkę ślubną i przekręciła ją.

– Ponieważ zawsze uważałam, że nie wiedziałabym, jak być matką – wyjaśniła wreszcie.

– Po prostu zastanawiałam się, czy też się o to niepokoiłaś, kiedy zorientowałaś się, że jesteś w ciąży.

– Och – June odetchnęła z ulgą, uwalniając się od gniewu i zadawnionego poczucia wstydu i potwierdziła: – Oczywiście, że tak. Miałam wtedy zaledwie dwadzieścia jeden lat i byłam na ostatnim roku studiów. Przestałam się troszczyć jedynie o napisanie pracy semestralnej na temat powieści *Miasteczko Middlemarch*, a wzięłam odpowiedzialność za dziecko. Sama. Ale wiesz co? Szybko przestałam mieć wątpliwości i zrozumiałam, że będę dobrą matką. To jest sprawa miłości i troski o dziecko, a także wykonywania obowiązków. Wiedziałam, że podołam temu wszystkiemu, choć się bałam.

I przetrwała, żyjąc przez krótki czas w świecie fantazji, czyli czekając na Johna Smitha. Siedem lat temu, kiedy wróciła do Boothbay Harbor z Nowego Jorku w ciąży i nie rozstawała się z woreczkiem foliowym wypełnionym słonymi krakersami, siadywała na balkonie i śniła na jawie, że nocą John idzie tu kamienną ścieżką, przyklęka na jedno kolano i prosi ją, June, o rękę, gdy ona stoi w blasku księżyca. Ale oczywiście nigdy się nie zjawił. Dokądkolwiek udał się ten niezależny, poszukujący czegoś i będący w drodze mężczyzna, nie chciał, żeby udała się tam wraz z nim. Nie zaprosił jej do wspólnej podróży, inaczej niż w *Co się wydarzyło w Madison County* Robert Franceskę, bo to był tylko romantyczny film, a nie prawdziwe życie. No może

z wyjątkiem kilku dni, które bohaterowie tego filmu spędzili razem. To one były dla June rzeczywiste, bo sama nieprzytomnie zakochała się w Johnie w ciągu dwóch dni.

– Próbuję sobie wyobrazić, że mam teraz dziecko, jako dwudziestopięciolatka, a więc o cztery lata starsza niż ty, gdy urodziłaś Charliego – powiedziała Kat. – I absolutnie nie czuję się gotowa wziąć na siebie tej całej odpowiedzialności. Jestem pełna podziwu dla ciebie.

– Ja też – oznajmiła Isabel.

June zerknęła na nie, poruszona ich wyznaniem. Sięgnęła do podręcznej torby po balsam do ciała i posmarowała sobie suche łokcie i kolana, a w pokoju rozszedł się zapach bzu. Potem weszła pod kołdrę i położyła się na brzuchu, chcąc popatrzeć na port.

– Właśnie pomyślałam o tym, jak musiało być ci ciężko – odezwała się Isabel, położywszy się do łóżka. – Wiem, wiem. Prawdopodobnie zaraz powiesz, że zachowuję się protekcyjnie. A ja po prostu dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak bardzo musiałaś się czuć samotna. Wiem... już, jak to smakuje. Oczywiście nie porównuję bycia młodą samotną matką z... Wiesz, co mam na myśli, prawda? June, przepraszam, że się tu wtedy nie zjawiłam, by ci pomóc.

June zerknęła na gapiącą się w sufit siostrę. Rzeczywiście zwykle oskarżała Isabel o protekcyjność.

– Cieszę się, że teraz tu jesteś – powiedziała.

Isabel uśmiechnęła się niepewnie i zgasła lampę na nocnym stoliku.

– Dobranoc – rzekła.

– Dobranoc – zawtórowała jej Kat i zgasła górne światło.

– Idę sprawdzić, jak śpi Charlie – oznajmiła June i wstała z łóżka. Dopiero gdy znalazła się w słabo oświetlonym przedpokoju, uświadomiła sobie, że znowu wstrzymywała oddech.

O wpół do siódmej rano June, Charlie, Lolly, Isabel i Kat siedzieli w porannym słońcu przy dużym stole w kuchni. Wczoraj wieczorem Lolly przypomniała siostrzenicom, że w jadalni wydaje się śniadania dla wczasowiczów od siódmej do wpół do dziewiątej, w związku z tym członkowie rodziny muszą jeść wcześniej. Poprosiła też, by przy Charliem nikt nie wymieniał słowa na „r”, dopóki ona i June nie postanowią, kiedy i jak mu powiedziec o chorobie Lolly.

June odgryzła kęs bekonu i z ciężkim sercem posmarowała Charliemu masłem świeżo upieczonego kukurydzianego muffina. Jej syn miał taką małą rodzinę, a teraz jeszcze mógł stracić cioteczną babcie.

– Wiecie co? – zaczął Charlie, spoglądając z zadowoleniem swymi bystrymi zielonymi oczami na siedzące przy stole ciotkę, babcie i mamę. – Mama postanowiła odnaleźć mojego tatę i dziadków z jego strony, żebym mógł wypełnić wszystkie pola w moim drzewie genealogicznym! Na naszym letnim obozie każdy dostał zadanie sporządzenia swojego drzewa genealogicznego. Muszę odrobić to zadanie na środę.

Wszyscy utkwili wzrok w June.

– Mamo, czy do środy dasz radę się czegoś dowiedzieć? To już za cztery dni – zwrócił się do niej syn.

June poczuła ucisk w dołku.

– Kochanie, mogę nie zdążyć do środy dowiedzieć się czegoś na temat twojej rodziny ze strony ojca, ale wszyscy pomożemy ci wypełnić pola dotyczące twojej rodziny ze strony matki. I możemy napisać psychologowi szkolnemu wyjaśnienie, że pracujemy nad tą pierwszą sprawą – odpowiedziała, uświadamiając sobie, że w przyszłym tygodniu Charlie nie będzie już uczestniczył w obozie. Postanowiła mu o tym powiedzieć w czasie weekendu.

– Czy wtedy dostanę za to zadanie gorszą ocenę? – zaniepokoił się chłopiec, a jego ręka, którą właśnie podnosił do ust z kawałkiem bekonu, znieruchomiała.

June poczuła łzy w oczach.

– Przede wszystkim za zadania wykonywane na obozie nie stawia się ocen – odpowiedziała mu Isabel, spoglądając na niego łagodnie. – Obóz to nie szkoła. A po drugie, Charlie, każda rodzina jest inna. Rozumiesz? Jeśli chodzi o drzewo genealogiczne, nie ma złych odpowiedzi. Jedna rodzina jest liczna, a inna nie. Ty jesteś szczęśliwym chłopcem, bo masz nas wszystkie, jak tu siedzimy.

Dziękuję, Isabel – powiedziała w myślach June i spojrzała rozpromieniona na siedzącą po drugiej stronie stołu siostrę.

– Zgadza się – poparła kuzynkę Kat. – Masz nas wszystkie i wszystkie cię kochamy. Charlie się uśmiechnął i wyliczył je po kolei.

– Mam cioteczną babcię Lolly, ciocię Isabel i drugą ciocię Kat... i mamę. To są cztery różne krewne w drzewie genealogicznym! – zawołał, a słysząc szczekanie psa, podskoczył i dodał: – To chyba Elvis na mnie czeka, bo chce, żebym mu rzucał patyki. Mamo, czy mogę do niego pójść?

Elvis był żółtej maści łagodnym labradorem sąsiadów. Gdy przed piętnastu laty June i Isabel zamieszkały w pensjonacie, poznały go jako szczenię. Teraz był w zaawansowanym wieku, łagodniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, i nadal lubił przynosić w pysku rzucone mu patyki.

– Sprawdź, czy to rzeczywiście Elvis, a nie ten bezpański pies, który wczoraj wieczorem przybiegł do ogrodu – powiedziała Isabel. – Gdy wyszłam na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza, podszedł do mnie biały kundelek z czarnymi uszami i położył pysk na mojej stopie. Zachowywał się przyjaźnie, ale nigdy nie wiadomo.

Charlie podbiegł do drzwi i odsunął zasłonę.

– To Elvis – oznajmił.

– Możesz iść, kochanie – zgodziła się June. – Ale nie wychodź z ogrodu, dobrze? I pamiętaj, żeby nie hałasować, bo jest bardzo wcześnie.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Lolly stwierdziła:

– Charlie robi się taki duży.

Powiedziała to, gdy tylko June skończyła ostatnie zdanie, jakby nie chciała, by ją pytać o diagnozę. June była tego pewna. Bądź o to, jak się czuje. Dziś ubrała się bardziej w swoim stylu, w miękki czarny top, długą do kostek białą spódnicę z gazy i czerwone japonki w kraby, a włosy zaplotła jak zwykle w warkocz.

– I z dnia na dzień jest coraz ładniejszy – dodała Kat, najwyraźniej też się domyślając, że matka nie chce rozmawiać o chorobie. – Jest takim dobrym uroczym chłopcem. Co za przystojniak.

– Wygląda tak jak jego ojciec – oznajmiła June, nie odrywając oczu od talerza i rozgrzebując jajecznicę od chwili, w której Charlie podniósł temat swojego ojca i drzewa genealogicznego. Po czym spytała: – Jak po siedmiu latach odnajdę mężczyznę, który nazywa się John Smith, skoro nie mogłam wtedy?

– Możesz podjąć próbę – powiedziała Lolly i napiła się soku pomarańczowego. – I zawęż poszukiwania. Jeśli go nie odnajdziesz, Charlie będzie musiał się z tym pogodzić.

June się zjeżyła, usłyszawszy ten typowy komentarz Lolly. Pogodzić się, pogodzić, pogodzić...

– To nie będzie w porządku – uznała. – Ma się pogodzić z tym, że nigdy nie pozna ojca i się z nim nie spotka, bo wybrałam faceta, który szukał frajerki?

– Z tego, co mi kiedyś powiedziałaś o Johnie Smisie, wynika, że to absolutnie do niego nie pasuje – oznajmiła Isabel, rozgrzebując jajecznicę na swoim talerzu podobnie jak siostra.

June też by tak o nim pomyślała. Zdumiało ją, że mężczyzna o najbardziej pospolitym

w Ameryce imieniu i nazwisku może być najbardziej oryginalnym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała. Mieli dwie niesamowite randki, z tych, kiedy czujesz, że nie ma na świecie nikogo innego poza tobą i tym mężczyzną, i rozmawiasz z nim o wszystkim, śmiejesz się i patrzysz mu w oczy z jakąś nieprawdopodobną pewnością, że znalazłaś miłość niczym z piosenki.

Poznali się w barze na Upper West Side, na Manhattanie, w pobliżu Columbia University. June wybrała się tam z dwiema koleżankami. On też tam był. Gdy usłyszał, że wymieniła Maine, włączył się do rozmowy, bo również pochodził z tego stanu, a konkretnie z Bangor, miasta znajdującego się dwie godziny jazdy samochodem na północ od Portland. Zaczęli rozmawiać i nie mogli przestać. Okazało się, że wziął roczny urlop dziekański w college'u (Colby), gdyż chciał powłóczyć się z plecakiem po kraju. Był piękny i niemal eteryczny, bo taki blady, o ciemnozielonych oczach i ciemnych włosach. June nie widziała wcześniej mężczyzny przystojniejszego od Johna Smitha. Następnego dnia miał wyjechać do Pensylwanii, gdyż chciał zobaczyć Dzwon Wolności w Filadelfii, ale powiedział, że przełoży wyjazd, jeśli June zechce się z nim spotykać. I na ich drugiej randce, następnego wieczoru, ona, dziewica, zerwała z siebie i z niego ubranie! I zgodnie ze stereotypem nigdy więcej go już nie zobaczyła.

Postanowili spotkać się na lunchu – ona miała przynieść napoje, a on kanapki – w Central Parku, przy rzeźbie *Anioł Wód* wieńczącej fontannę Bethesda. Gdy June czekała na niego, siedząc na kamiennej ławce, ubrana w czerwoną dwurzędową kurtkę i szalik, z torbą, w której miała dwie butelki wody mineralnej i dwa okrągłe ciasteczka z kawałkami czekolady, kupione w ulubionej piekarni, myślała o tym, że w końcu zrozumiała, o czym wszyscy mówią. Na przykład jej siostra Isabel, gdy chodziło o Edwarda (wtedy nie był jeszcze zadowolony z siebie tak jak obecnie). Nigdy wcześniej nie czuła tego, co teraz, do żadnego mężczyzny, bez względu na liczbę randek. John Smith był jej pierwszym mężczyzną – w każdym znaczeniu tego słowa.

Kiedy o godzinie pierwszej się nie pojawił, znalazła powód, żeby go usprawiedliwić, bo przecież, w przeciwieństwie do niej, nie spędził ostatnich trzech lat w Nowym Jorku i mógł się zgubić w metrze lub zabłądzić w parku. Ale gdy tak siedziała, zaciskając usta z powodu listopadowego wiatru i zacierając ręce w rękawiczkach, bo było bardzo zimno, zaczęło do niej docierać, że on nie przyjdzie. Telefon komórkowy Johna miał jedynie opcję rozmów wychodzących, toteż June nie dysponowała jego numerem. Niestety, John nie zadzwonił do niej. W końcu o trzeciej się poddała. Kiedy szła w stronę schodów, wydawało się jej, że zobaczyła go u ich szczytu, a gdy stwierdziła, że to nie on, serce omal nie pękło jej z bólu i załała się łzami.

Prymuska, ha, która wygłosiła przemówienie na zakończenie nauki w szkole średniej! June była głupiotką dwudziestojednatką, która wierzyła we wszystko, co John Smith mówił, i w miłość od pierwszego wejrzenia. Idiotka. Kiedy się okazało, że jest w ciąży, próbowała go odnaleźć i przez dwa tygodnie wieczorami przychodziła do baru, w którym się poznali, a w zimnym styczniu tyle razy spacerowała wokół *Anioła Wód*, że mogłaby narysować tę rzeźbę z pamięci. Niestety, nie odnalazła Johna Smitha. Był przystojnym chłopakiem podróżującym po kraju. Może prowadził specjalny dziennik, w którym odnotowywał, w jakim stanie z jaką dziewczyną się pieprzył?

June Nash, ta dobra siostra Nash, miała w brzuchu dziecko przed ukończeniem ostatniego roku studiów. Nękana przez poranne nudności, w końcu porzuciła studia, bo była w tak fatalnym stanie psychicznym, że nie zadbała o to, by załatwić formalności związane z przerwaniem nauki, jak radziła ciotka Lolly. Nie zaliczyła więc semestru i nie pojawiła się już na uczelni, żeby zrobić dyplom.

Po powrocie do domu, domu Lolly – „Co się stało, to się nie odstanie” – pojechała samochodem do Bangor, rodzinnego miasta Johna Smitha, i rozpytywała o chłopaka, co oczywiście narażało ją na śmieszność. To nie jest małe miasteczko. Została potraktowana

życzliwie, ale niepotrzebnie traciła czas, ponieważ w Bangor poznała aż siedmiu Johnów Smithów, od siedemdziesięcioletniego fryzjera męskiego poczynając, a na młodym prawniku kończąc. Oczywiście żaden nie był tym Johnem Smithem ani też jego krewnym. June udała się nawet do tamtejszej szkoły średniej i poprosiła o umożliwienie wglądu w spis kolejnych roczników. Niestety, w spisie dotyczącym roku ukończenia szkoły przez Johna Smitha (jeśli rzeczywiście miał dwadzieścia jeden lat, jak powiedział) figurowało dwóch chłopców o tym nazwisku. Obaj byli blondynami, którzy nie mieli nic wspólnego z jej Johnem Smithem. June siedziała w sekretariacie szkoły i przeglądała również spisy roczników wcześniejszych i późniejszych, aż w końcu się rozpląkała i zaczęły się na nią gapić nastolatki.

Powiedziała Henry'emu Booksowi prawdę o tym, dlaczego wróciła i musi mieć pracę, a on natychmiast zatrudnił ją jako ekspedientkę w swojej księgarni, choć w tym momencie nie potrzebował nikogo. W pierwszych miesiącach po narodzinach Charliego samotnik Henry, który miał przewrażliwioną dziewczynę, był dla June jak dar niebios. Dawał jej tyle czasu wolnego, ile potrzebowała na zajmowanie się synem, a nawet pozwalał przynosić go do pracy i kołysał, gdy mały zaczynał marudzić. Klientki księgarni były zachwycone opieką Henry'ego nad Charliem, dzięki czemu tego lata i wczesnej jesieni biznes lepiej się kręcił. Gdy jednak pobyt zarówno w Gospodzie Trzech Kapitanów, jak i w Boothbay Harbor stał się dla June nie do wytrzymania, przeniosła się wraz z synkiem do Portland, mając na koncie to, co jeszcze jej zostało z funduszu przeznaczonego na sfinansowanie studiów i słowa Lolly na drogę:

– Dasz sobie radę, ale jeśli zechcesz, zawsze możesz wrócić do domu. Wiesz o tym.

Owszem, wiedziała, bo Lolly Weller łączyła w sobie różne sprzeczności: nie dawała czegoś i zarazem coś dawała. June dość szybko zorientowała się, że ludzie są skomplikowani.

Objęła dłońmi kubek z kawą i stwierdziła:

– Wystawił mnie do wiatru na trzeciej randce po tym, jak dostał to, czego chciał.

Nie można było temu zaprzeczyć, więc wszystkie wróciły do śniadania, zapychając sobie usta jedzeniem.

– Oczywiście możesz teraz otworzyć puszkę Pandory – odezwała się w końcu Lolly. – Nie szukam trudności, lecz po prostu biorę je pod uwagę. Nie znałaś wtedy tego chłopaka i nadal nie wiesz, jaki naprawdę jest John Smith.

June znowu poczuła równocześnie wstyd i złość. Wstyd, że ktoś traktował ją jak idiotkę i że nią była, i złość, że ciotka jej nie rozumie i nigdy nie rozumiała. Bo June zdołała poznać Johna Smitha w ciągu tych dwóch dni. Kiedy przed siedmiu laty próbowała wytłumaczyć Lolly, że zakochała się w nim do szaleństwa – co teraz pozwoliło jej zrozumieć graną przez Meryl Streep Franceskę – ta oznajmiła, że w ciągu dwóch dni nie można nikogo naprawdę pokochać, nie mówiąc już o poznaniu go.

– W każdym razie przekonałaś się o tym – podsumowała wtedy ich rozmowę.

W tamtym okresie, w pierwszych miesiącach ciąży June, ciotka jako osoba niezwykle powściągliwa nie mogła takimi słowami dodać jej otuchy. Jednocześnie była na miejscu i ją wspierała, dopóki June nie przeniosła się wraz z prawie rocznym synkiem do Portland. June czuła do niej za to wdzięczność, podobnie jak za wiele innych rzeczy. Po prostu Lolly nie była typem wylewnej matki, która często obejmuje i okazuje zrozumienie. Była taka, jaka była i June pogodziła się z tym już dawno. Nie znaczyło to jednak, że zaczęła tu częściej bywać, ale myśl o jej stracie... Nawet nie chciała o tym rozmawiać.

– Pomogę ci go szukać – ofiarowała się Isabel i położyła dłoń na jej dłoni.

June spojrzała na nią ponownie zaskoczona tą reakcją.

– Ja też – zawtórowała jej Kat.

Teraz June czekała, aż Lolly coś powie, cokolwiek – na przykład, że życzy jej

pomyślności – ale ciotka milczała.

June w wielkich okularach przeciwsłonecznych i słomkowym kapeluszu, żeby jej nie rozpoznali dawni koledzy ze szkoły, przeszła wśród tłumu turystów Townsend Avenue i skręciła w Harbor Line, uliczkę, przy której znajdowały się jej ulubione w mieście sklepy, lokale i zakłady: urocza mała herbaciarnia Pod Księżycem, z pięcioma okrągłymi stolikami, o wnętrzu utrzymanym w wesołych żółtych barwach, witryna salonu chiromantki, która była niezwykle spostrzegawcza, jeśli nieodbiegająca od normy psychicznej, sklep z pamiątkami znajdujący się w tym miejscu od niepamiętnych lat i oferujący jedyne w swoim rodzaju towary, jak na przykład stojące na schodach konewki w kształcie latarni morskiej, a na końcu uliczki oczywiście księgarnia Bracia Books.

Nacisnęła klamkę w kształcie czerwonego kanu i jak zwykle uśmiechnęła się na widok wnętrza, które wyglądało jak czarodziejski salon. Przy ścianach stały regały z książkami, a na podłodze leżały bambusowe maty. Wygodne stare krzesła nakryte narzutami zachęcały, żeby usiąść i przejrzeć książkę. Na ścianach wisiały fotografie, a na górnych półkach stały obiekty marynistyczne. Były wśród nich zdjęcia Boothbay Harbor wykonane przez miejscowego artystę i stare połamane czerwone kanu. Nauczyciele chętnie przyprowadzali tu uczniów, żeby Henry opowiadał im, jak zdobył te wszystkie rzeczy.

Uśmiechnęła się do kasjerki, która była studentką, podobnie jak ona, kiedy zaczynała pracę w tej księgarni.

– Czy Henry jest w swoim gabinecie? – spytała.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Jest na łodzi, to znaczy na nabrzeżu – poinformowała ją.

June przeszła obok bestsellerów, biografii, pamiętników, działu poświęconego stanowi Maine i kącika dla dzieci, który Henry zbudował z fragmentu części dziobowej łodzi do poławiania homarów. Uśmiechnęła się na widok twarzy dziecka w okrągłym okienku starej łajby. Na tylnej ścianie sklepu otworzyła drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU, a po nich następne, prowadzące na zewnątrz, na pomost, przy którym stała przycumowana łódź mieszkalna Henry'ego. Mężczyzna klęczał przy prawej burcie i trzymał w dłoni szlifierkę, a przy jego nogach stała jakaś puszka.

– Hej! – pozdrowiła go, przesuwając okulary na czubek głowy i zagadnęła: – Sprawia ci kłopoty?

Henry wstał i uśmiechnął się do niej, mrużąc swe bursztynowe oczy jak Clint Eastwood.

– Nigdy nie sprawia mi kłopotów – oznajmił.

Z zewnątrz łódź Henry'ego wyglądała jak typowa, choć duża motorówka. W środku natomiast była przytulnym domem z dwiema sypialniami, salonem, kuchnią i łazienką. Wnętrze zdobiły różne obiekty i dzieła sztuki ze zbiorów Henry'ego. Wisiało tam także zdjęcie Vanessy Gull – jego dziewczyny, z którą to się godził, to rozstawał. Piękna, nosząca się w stylu subkultury gotyckiej, była zarazem nadzwyczaj prostolinijna i prawdopodobnie dlatego, jak podejrzewała June, podobała się Henry'emu. Vanessa nie bawiła się w subtelności, a Henry nie lubił sztucznego zachowania. Od kiedy June podjęła pracę w księgarni, na przemian byli ze sobą i zrywali; ich dziwny związek trwał już długo. Gdy przed kilku laty w czasie odwiedzin u ciotki z okazji świąt June przyprowadziła tu Charliego, żeby spotkał się z Henrym, Vanessa rzuciła do niej:

– Coś mnie w tobie niepokoi.

Powiedziawszy to, odeszła, ubrana w błyszczącą sukienkę i buty do jazdy konnej marki Frye. Podobnie jak Henry, była od June o dziesięć lat starsza i swym zachowaniem sprawiała, że ta czuła się przy niej jak niezdarne dziecko. June ucieszyła się, że teraz jej tu nie ma.

– Przyszłam, żeby formalnie przyjąć twoją ofertę – oznajmiła.

Wczoraj przed wyjazdem z Portland zadzwoniła do niego i już miała powiedzieć o utracie pracy i mieszkania, ale jej przerwał i oświadczył:

– Wiem o wszystkim. Zaczynasz od następnego weekendu, jeśli praca tutaj ci pasuje. Na stanowisku kierowniczym, z taką samą pensją.

Odparła, że jeszcze nie ma żadnych planów, bo nie wie, czy może ponownie zamieszkać w Boothbay Harbor.

– June, minęło dużo czasu, od kiedy stąd wyjechałaś – stwierdził. – Zapomnij o wszystkim. Praca jest twoja, jeśli jesteś nią zainteresowana, ale poinformuj mnie o swojej decyzji w ten weekend, bo w następny jest Święto Pracy i muszę mieć tu kogoś z powodu dużego ruchu. Tylko mi nie mów, żebym zatrudnił Vanessę.

Roześmiała się. Kiedyś Vanessa zastąpiła ją i wystraszyła troje klientów, którzy później bardzo się na nią skarżyli June i Henry’emu. Od tego czasu miała zakaz pracy w księgarni.

– Dobrze – powiedział. – Zacznij w piątek przed świętem, żebyś do tego czasu mogła zająć się ciotką. Przez większość dni będziesz tu tylko ty, a w weekendy i święta przy kasie usiądzie Bean. Jak rozumiem, ty i Charlie zostajecie w pensjonacie?

Kiedy wczoraj wieczorem po obiedzie odbierała stąd Charliego, powiedziała Henry’emu o chorobie ciotki. Sposób, w jaki ją objął i przytulił, sprawił, że na tych kilka chwil zapomniała o całym świecie.

– Na razie – odpowiedziała. – Zobaczymy.

– Wiesz, że oboje jesteście tu mile widziani w każdej chwili, gdy w pensjonacie zrobi się zbyt ciasno – złożył jej propozycję.

Boże, kochała Henry’ego Booksa. Był dla niej jak dar losu, jak mądry starszy brat, którego nie miała. Kiedyś dużo o nim myślała. O tym, jak mruży swe bursztynowe oczy, gdy się uśmiecha, jak kosmyk jego gęstych i prostych ciemnych włosów opada niesfornie na czoło nad lewą brwią i jaki jest wysoki, szczupły i umięśniony. Wreszcie o tym, że choć był człowiekiem morza, mieszkańcem stanu Maine, przypominał jej kowboja mocno związanego ze swoją ziemią.

Kiedy przed laty razem pracowali, traktował ją jak przestraszoną dwudziestoletnią dziewczynę, którą zresztą była, jak dzieciaka, który znalazł się w trudnej sytuacji, nie jak kobietę. Dlatego przestała o nim myśleć i liczyć na związek uczuciowy. Tak czy inaczej, była wtedy w zaawansowanej ciąży, a potem musiała się zajmować nowo narodzonym synkiem, zaś Henry wypływał w morze albo czuł się psychicznie poturbowany przez Vanessę. Ta kobieta zawsze przypominała jej Angelinę Jolie z czasów, gdy aktorka była żoną Billy’ego Boba Thorntona, ze względu na jej ciemne długie włosy, oczy pomalowane kholem i niezwykłą zmysłowość. June Nash, w ubraniu poplamionym ulanym przez niemowlę pokarmem i w chodakach Danskó, nie mogła z nią rywalizować.

– Jeszcze raz dziękuję za wczorajszy wieczór, za opiekę nad Charliem – powiedziała. – Ma bzika na punkcie tej łodzi i jest zachwycony tym, że zabrałeś go na zbieranie małży.

– To wspaniały dzieciak – odparł Henry i rzeczywiście tak uważał, o czym June była przekonana.

Poczuła się dumna i uznała, że kiedyś postąpiła słusznie.

– Spędzaj teraz czas z ciotką i rodziną. Zobaczymy się w piątek i sprawdzimy wszystko, co się tu zmieniło lub jest zarządzane inaczej. Przekaż Lolly, że jeśli mógłbym jej w czymś pomóc, niech zadzwoni – pożegnał ją.

– Jasne, jasne – potaknęła i z powrotem nasunęła okulary na oczy.

Bardzo się cieszyła, że będzie mogła spędzić całe sześć dni z Charliem i pomóc w pensjonacie.

– June! – zawołał za nią. – Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

Odwróciła się, skinęła głową i uśmiechnęła się. Nie miała wiele, ale z pewnością miała Charliego i Henry’ego Booksa. Poza tym z tego, jak potoczył się wczorajszy wieczór i dzisiejszy poranek, wynikało, że zaczęła odzyskiwać rodzinę.

Rozdział 6

Kat

Gdy w późne niedzielne popołudnie Oliver wioził ich swoim odkrytym samochodem w jakieś „tajemnicze miejsce”, wiatr rozwiewał Kat włosy jeszcze odrobinę pachnące czekoladą i lukrem, których użyła do pieczonego dziś tortu urodzinowego. Jechali na drugi kraniec półwyspu. Oliver powiedział jej tylko tyle, że ma dla niej niespodziankę. Wiatr był taki przyjemny, szybszy nawet od myśli. Spoglądała na statki wycieczkowe płynące po szaroniebieskiej wodzie i na ludzi wskazujących dłońmi wieloryba, który wypłynął na powierzchnię. Czuła się taka odrętwiała, że przyjemność sprawiało jej samo siedzenie w samochodzie i słuchanie plusku fal, a nawet dźwięk towarzyszący zmianie biegów.

Spostrzegła za paznokciem kciuka niebieski lukier. Nie miała czasu wziąć prysznic, a nawet umyć rąk. Gdy piekła tort w kształcie statku pirackiego dla pięcioletniego „kapitana Alexa”, od czasu do czasu słyszała, jak jej matka uczy Isabel zarządzać pensjonatem. „Jeśli wzywa cię wczasowicz, zostaw wszystko i idź do niego, nawet gdy jesz lunch lub rozmawiasz przez telefon. Jeśli widzisz gdzieś jakiś nieporządek, piasek na podłodze lub brudną filiżankę, natychmiast sprzątasz”, mówiła Lolly. W tym czasie pojawiali się wczasowicze, chcąc się przywitać, poprosić o mapy regionu lub spytać, jak dotrzeć do ogrodu botanicznego, a jeśli był to ostatni dzień ich pobytu w Boothbay Harbor, radzili się, czy jechać do Portland, Rockland, czy może do Camden. Matka mówiła pewnym, silnym głosem i wszystko przebiegało tak jak zwykle, a Kat była tak skupiona na wyczarowywaniu na torcie doskonałego mostka, że na chwilę zapomniała o słowie „rak”, dopóki nie dotarło ono do jej uszu z ogrodu przez otwarte okno, gdzie dwie pary wczasowiczów rozmawiały przy winie w czasie bezpłatnego koktajlu organizowanego przez matkę zawsze od piątej do szóstej.

– Moja siostra miała raka jajnika – zwierzyła się jedna z kobiet. – Walczyła z nim tak długo, jak długo zdołała, ale przed dwoma laty umarła.

– Moja matka też miała raka – zawtórowała jej druga. – Piersi.

– Tak mi przykro – powiedziała ta pierwsza.

Po tych słowach Kat usłyszała płacz drugiej i głos mężczyzny:

– Chodź, kochanie.

Wyprostowała się i zamknęła oczy. Zaczęły jej drżeć ręce i usta.

– Proszę, nie zabieraj mojej matki – poprosiła błagalnym głosem i złożyła ręce jak do modlitwy.

W tym momencie do kuchni weszła Lolly po kolejny kawałek goudy. Powiedziała, że mgła opadła. Gdy drzwi się za nią zamknęły, Kat odeszła od okna, usiadła w kącie na podłodze, zasłoniła twarz rękami i wybuchnęła płaczem. Nie mogła stracić matki.

Siedziała tak do chwili, gdy pod wpływem nagłego wspomnienia roześmiała się. Kiedyś leżała między rodzicami na drugim krańcu ogrodu na trawie i wszyscy troje obserwowali płynące po niebie obłoki. Każde miało powiedzieć, co przypomina mu wybrany obłok. Kat zobaczyła w swoim renifera, matka samochód, a ojciec indyka, co Lolly Weller bardzo rozśmieszyło.

Jednak to wspomnienie szybko zniknęło i Kat wstała z podłogi poważna i smutna. Była wdzięczna Oliverowi, że za chwilę miał „zabrać ją gdzieś, gdzie pragnęła pojechać”. Musiała się

dokądś wybrać. Zjawił się jak zwykle punktualnie, niezmiennie zabójczo przystojny, wysoki, umięśniony, ubrany w wytarte dzinsy i ciemnozielony T-shirt, a jego gęste rudawozłote włosy były potargane.

Kiedy samochód mknął boczną drogą do nieznanego jej miejsca, wyjęła z torebki notes i długopis, napisała na kartce: „Dokąd jedziemy?” i uniosła ją, żeby Oliver mógł przeczytać.

Zerknął na tekst, uśmiechnął się i poprosił:

– Napisz za mnie: „Wkrótce zobaczysz”.

W dzieciństwie tak się bawili. Siadywali na szerokich parapetach okien swoich sypialni, które znajdowały się naprzeciwko siebie, z boku domów, i prowadzili rozmowę, pisząc kolejne słowa i zdania na dużych kartkach z bloku. To były ich „SMS-y” sprzed ery telefonów komórkowych. Czasami Kat wystarczało, że na niego patrzy i brakowało go jej, gdy rodzice kazali mu wejść do domu albo gdy matka ją zawołała. Dawno temu jego rodzice sprzedali ten dom i przenieśli się do Camden, lecz wciąż jeszcze się zdarzało, jak na przykład w ostatni piątek w nocy, że Kat żałowała, iż nie może unieść w dłoniach dużej kartki ze zdaniem: „Tak się boję” i poczuć się spokojniej na widok słów Olivera na jego kartce: „Zrobię wszystko, co zechcesz. Jestem tu”.

W ostatni piątek, po obejrzeniu filmu wraz z matką, Pearl oraz kuzynkami i dwugodzinnej rozmowie z tymi ostatnimi, Kat wstała z łóżka, zostawiła im krótki list, wyszła po cichu, wsiadła do samochodu i pojechała do Olivera. Ten tylko spojrzał na jej posępną twarz i od razu wiedział, że chodzi o coś więcej niż o przyjazd kuzynek. Powiedziała mu o chorobie matki.

Wypowiedziała słowa, które nie chciały jej przejść przez gardło: „czwarte stadium”, „daje przerzuty”, „chemioterapia”. Oliver wziął ją w ramiona i pozwolił się jej wyplakać, jak wiele razy wcześniej. Przez chwilę rozmawiali, ale właściwie nie było o czym. Na zadawane sobie nawzajem pytania mogli tylko odpowiedzieć: „Nie wiem”.

Położyli się na jego dużej skórzanej kanapie i znowu ją objął. Gdy po dwóch godzinach się obudziła, zostawiła mu list i wróciła do domu. Weszła cicho do pokoju i poczuła się zaskoczona oraz zaniepokojona widokiem Isabel i June, które mocno spały w swoich łóżkach. Były tu z powodu Lolly. Ten niecodzienny widok kuzynek w jej pokoju tylko wzmocnił przeświadczenie Kat, że sytuacja jest straszna. Kiedy położyła się i przykryła kołdrą, znowu ogarnęło ją przerażenie i zaczęła żałować, że nie została w objęciach Olivera na jego kanapie. Pojechała do niego w sobotę wieczorem po obiedzie i spędzili czas podobnie jak w piątkową noc. Tego właśnie potrzebowała: rozmowy, dobrej zupy i silnych męskich ramion, towarzystwa kogoś, kto znał jej matkę i ją od zawsze.

Teraz nie była w nastroju odpowiednim do niespodzianek i sekretów. Chciała powiedzieć Oliverowi, by zawrócił i zabrał ją do siebie, przygotował jej kąpiel i pozwolił patrzeć na pianę lub w sufit. Niestety, nic nie powiedziała i po prostu pozwoliła mu jechać. Od śmierci ojca nigdy nie bała się tak jak obecnie. Znalazłszy się między matką i kuzynkami, nie mogła przyjąć kolejnej „niespodzianki”.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Oliver, zatrzymując się na zwirowanej drodze, przy której nie dostrzegła niczego, oprócz drzew. – Wyjrzyj przez okno od mojej strony.

Teraz Kat uświadomiła sobie, jak bardzo była pogrążona w myślach i nie zwracała uwagi na otoczenie. Po ich lewej stronie znajdowała się łąka pełna polnych kwiatów. Kat dostrzegła na niej swoje ulubione różowe i czerwone goździki brodate, a także naparstnice, żółte jaskry i rudbekie. Uśmiechnęła się. Kwiaty były lepsze niż kąpiel.

– Chodź – powiedział Oliver, wziął ją za rękę i zaprowadził na starą zniszczoną przez deszcz i śnieg drewnianą ławkę, która stała pośrodku łąki.

Kat wdychała zapachy kwiatów i rozkoszowała się słońcem, jego blaskiem i ciepłem oraz

roztaczającym się przed nią pięknym widokiem. Przez chwilę miała ochotę kręcić się w kółko z odchyłoną do tyłu głową i pozwolić przyrodzie działać na nią swą magią. Były tu tylko ziemia i niebo, otwierały się więc różne możliwości. Położyła się na trawie i uniosła ręce, potem zerwała jaskra i przysunęła go do twarzy. To był jeden z pierwszych kwiatków, jakie dał jej Oliver, kiedy byli dziećmi.

– Tu jest pięknie – powiedziała, gdy położył się obok niej. – Tego właśnie było mi trzeba. To tak, jakby zostać przeniesionym na puszysty obłok wędrujący po błękitnym niebie... – Nie dokończyła zdania, bo to wrażenie przypomniało jej rodziców i dzień, kiedy we troje patrzyli w niebo i matkę rozśmieszyło to, że ojciec dostrzegł w obłoku indyka. Od dawna nie słyszała tak śmiejącej się Lolly.

– Wiedziałem, że ci się tu spodoba – odparł Oliver.

Poczuła łyzy w oczach i nie mogła ich powstrzymać. Jej matka umiera. Od kiedy Kat pamiętała, Lolly zachowywała wobec ludzi rezerwę i dystans, a po śmierci męża zamknęła się w sobie jeszcze bardziej, odgrodziła się od innych grubym murem.

Kat nie zapomniała, co wykrzyczała do matki, dowiedziawszy się od niej o śmierci ojca:

– Powinien był pozwolić mi ze sobą pojechać, tak jak chciałam! Teraz mogłabym być z nim w niebie!

Gdy w kolejnych latach powracała pamięcią do tych słów, wstydziła się ich tak bardzo, że z tego powodu wymiotowała. Jak można było powiedzieć coś takiego własnej matce? Komuś, kto stracił męża, siostrę i szwagra? Kiedy Kat miała trzynaście lat, nie dawało jej to spokoju. Wtedy Oliver poradził jej, by po prostu porozmawiała z matką, zapewniła ją, że tak nie myślała. Kat zdobyła się na odwagę i rozmowę, ale matka jak zwykle ją zgasła.

– Kat, nie musimy do tego wracać – powiedziała i odeszła do swoich ksiąg rachunkowych, zostawiając córkę samą, zawstydzoną, z brzemieniem czegoś, czego nie mogła z siebie zrzucić.

Teraz jednak Kat przywołała w pamięci dobre chwile, które spędziła z matką. Pierwszej nocy bez ojca Lolly tuliła ją do siebie przez kilka godzin, szlochającą i krzyczącą, przejęła obowiązek męża codziennego czytania córce przed snem, jeśli nawet była bardzo zmęczona pracą w pensjonacie i opieką nad osieroconymi siostrzenicami, a kiedyś zawiozła samochodem do miejscowego weterynarza znalezionej przez Kat w ogrodzie poranionej drozda. Matka była tu przez te wszystkie lata, solidna, silna, prowadząca księgi rachunkowe, zajmująca się wczasowiczami i przyrządzająca jajka na śniadanie. Również teraz starała się coś zrobić, ściągając tu siostrzenice, a także podejmując walkę z chorobą nowotworową. Kat nie byłaby zaskoczona, gdyby matka powiedziała: „Nie będę sobie zwracać głowy tą straszną chemią i radioterapią. Nadchodzi mój kres. Umieram”. To byłoby bardziej w stylu Lolly. To, że podjęła walkę, było czymś niezwykle, a zarazem zwyczajnym. Świadczyło o jej skomplikowanym charakterze. Ale bez względu na wszystko Kat miała w matce oparcie. Jeśli nawet nie łączyła ich taka zażyłość, jaka czasami istnieje między matką i córką, przejawiająca się we wspólnym robieniu zakupów i zwierzaniu się sobie przy obieraniu marchewki, to w pewnym sensie były współniczkami w biznesie i razem prowadziły pensjonat. A teraz...

Oliver usiadł, pomógł jej usiąść i objął ją ramieniem. Nie mówił tego, co inni w takich sytuacjach, że wszystko będzie dobrze, i nie prosił, by przestała płakać. Milczał. Kat trzymała się go kurczowo, zaciskając palce na jego T-shircie. Kiedy w końcu zabrakło jej łez i zaczęła normalnie oddychać, rozejrzała się po ukwieconej łące i utkwiała wzrok w starej ławce.

– Tę ławkę musiał postawić jakiś romantyk, żeby móc przebywać w otoczeniu tego surowego piękna – powiedziała, wskazując ją gestem dłoni.

Odetchnęła głęboko, wstała i podała mu rękę. Gdy jej dłoń znalazła się w jego dłoni,

pociągnęła go w stronę ławki.

Skinął głową i oznajmił:

– Jasne, to ja.

Spojrzała w dół i wśród wielu wrytych nożem inicjałów i imion spostrzegła na drugiej desce litery OT, a na trzeciej KW, oczywiście nie umieścili swoich inicjałów w sercu. To była „ich” ławka, która stała przy Frog Marsh, z dala od domów rodzinnych obojga. Siadywali na niej i rozmawiali, oglądając żaby i ropuchy wyskakujące z lilii wodnych.

– Coś podobnego? – zdziwiła się Kat i spytała: – Jak się tu znalazła?

– Otrzymałem ofertę zaprojektowania nowego parku i chciano usunąć z tamtego miejsca tę „starość”, więc spytałem, czy mogę ją zabrać, bo ma dla mnie wartość sentymentalną. Zgodzili się. Przed kilkoma tygodniami tędy przejeżdżałem i zobaczyłem tę ławkę. Gdy w piątek powiedział mi o chorobie mamy, uznałem, że dobrze ci zrobi przyjazd tutaj, gdzie będziesz mogła zastanowić się nad wszystkim i pooddychać świeżym powietrzem, wyrwać się z miasta, a zarazem czuć się jak u siebie, no wiesz?

Owszem, wiedziała. Wiedziała doskonale. Uwielbiała jego uczuciowość, to, że jako architekt krajobrazu, tworzący i realizujący projekty ogrodów reprezentacyjnych i komercyjnych, potrafił docenić piękno łąki z polnymi kwiatami.

– Och, Oliverze... – Wyciągnęła do niego rękę. – Jesteś nadzwyczajny.

– Czy to znaczy, że wyjdiesz za mnie? – spytał i wyjął z kieszeni małe pudełeczko.

Znowu zaczęło ją to śmieszyć, ale zaraz spoważniała, inaczej niż dotychczas. Oliver stał wśród polnych kwiatów, obok „ich” ławki, którą ocalił przed zniszczeniem, na łące pełnej różnych możliwości i prosił ją o rękę. Chciała, żeby świat znowu stał się dla niej dobry i bezpieczny.

Otworzył pudełeczko, wyjął z niego stary cenny pierścionek zaręczynowy z okrągłym brylantem i włożył jej na palec.

– Bardzo cię kocham – wyznał. – Wiem, jak się teraz boisz i martwisz o mamę. Chcę należeć do twojej rodziny, Katherine Weller.

Cholera, powiedział coś absolutnie właściwego w absolutnie właściwym miejscu. Zawahała się, ale tylko na moment, i powiedziała:

– Tak.

Ubrana w letnią sukienkę pozwoliła Oliverowi, by ją położył wśród polnych kwiatów, i kochała się z nim po raz pierwszy w życiu, osłonięta przez rosnące dookoła stare dęby i wiecznie zielone tuje.

Po tych wszystkich latach, kiedy wyobrażała sobie, jak będzie się kochać z Oliverem Tate'em, kiedy fantazjowała na ten temat i... strasznie się tego bała, w końcu to zrobiła, czując słońce na twarzy i wiatr we włosach i dostrzegając w spojrzeniu tego mężczyzny miłość i czułość, a także słysząc jego słowa:

– Tak długo na to czekałem.

Ale potem nie poczuła się inna czy po prostu inaczej. Dlaczego? Z pewnością nie eksplodowała i nie rozpadła się na kawałki, wbrew temu, co sobie wyobrażała.

Gdy stanęła przed drzwiami pensjonatu i odwróciła się, by pomachać odjeżdżającemu Oliverowi, jego oświadczyzny znowu zaczęły ją śmieszyć. Dziś wieczorem nie zamierzała mówić nikomu o tym, co wydarzyło się na łące, więc zdjęła z palca piękny pierścionek, obejrzała go i schowała do kieszeni.

Wyjęła z torebki komórkę i wysłała Oliverowi SMS-a: *Zachowajmy to dla siebie, dopóki nie nadejdzie odpowiedni moment, by powiedzieć Lolly, dobrze? Po chwili jej odpowiedział: O to chodzi.*

Zebrała siły pewna, że kiedy tylko matka ją zobaczy, dostrzeże w niej jakąś zmianę. Kat kochała się z Oliverem i zaręczyła się z nim. Dzięki temu w jednej chwili jej życie znowu się odmieniło. Jej matka zachorowała na raka, a ona się zaręczyła i miała wyjść za mąż. Za mąż. Wciągnęła powietrze i otworzyła drzwi. Poczowała zapach popcornu.

– Och, dobrze, że już wróciłaś – powiedziała na jej widok matka. – Oczywiście dziś jest niedziela, a nie piątek, ale skoro od jutra zaczynam chemioterapię i potrzebuję jakiejś rozrywki, żeby oderwać od tego myśli, postanowiłam naprędce zorganizować wieczór filmowy. Obejrzymy film *Diabeł ubiera się u Prady*. Będziemy my dwie, nasze kuzynki, Pearl oraz Tyler i Suzanne, nasi młodzi wczasowicze.

Matka patrzyła na nią, ale w jej spojrzeniu Kat nie wyczytała myśli: „W końcu zgodziłaś się na wszystko, jeśli chodzi o Olivera. Widzę to po twojej minie”.

Gdy Kat była małą dziewczynką, zawsze ją zdumiewało, że po ludziach nie widać, jak wielkie skrywają przed innymi tajemnice. Tak czy inaczej, nie potrzebowała teraz żadnej rozrywki i nie miała ochoty oglądać żadnego filmu. Denerwowała się zaczynając się jutro chemioterapią matki. Chciała pobiec do Samotni, wyjąć z kieszeni pierścionek zaręczynowy i się w niego wpatrywać. Czy zgodziła się wyjść za mąż za Olivera? Tak. Bez wahania. Z powodu jego gestu? Ławki? Polnych kwiatów? Rozwagi? Czy zgodziła się na to w chwili słabości, kiedy się bała? Nadal się bała, ale teraz mogła przynajmniej powiedzieć: „Zgodziłam się wyjść za mąż za Olivera”.

– Dobrze się czujesz? – spytała matkę, przyglądając się jej uważnie.

Od kiedy Lolly podzieliła się ze wszystkimi wiadomością, że jest chora, Kat pytała ją o to co pół godziny i za każdym razem otrzymywała tę samą odpowiedź.

– Dobrze – odpowiedziała Lolly, jakby myślała nie o swoim samopoczuciu, lecz o tysiącu innych spraw. O pensjonacie, przygotowaniu Isabel do zarządzania nim, wieczorze filmowym czy czekającej ją jutro chemioterapii. I dodała: – Nie powiększajmy problemu, dobrze?

Kat spojrzała na nią zaskoczona, ale zaraz jej twarz złagodniała. To Lolly usłyszała diagnozę lekarską i miała prawo traktować swoją chorobą tak, jak chciała.

– Doskonale – powiedziała i uściśniła dłonie matki, nie bacząc, czy to się jej podoba.

Oznajmiła, że zaraz wróci i pobiegła na górę. W swoim pokoju włożyła pierścionek do sekretnej przegródki pod dnem starej kasetki na biżuterię, ozdobionej maleńką baleriną tańczącą do melodii *Moon River*. Otrzymała tę kasetkę w prezencie od ojca na dziewiąte urodziny, wraz z pierwszą biżuterią – złotym łańcuszkiem z wisiorkiem w kształcie serca, na którym została wygrawerowana litera K. Po raz ostatni spojrzała na piękny pierścionek i zamknęła kasetkę.

Po powrocie do salonu usiadła na pufie koło kanapy, na której siedziały matka i Pearl. Isabel i June zajmowały miejsca na dwuosobowej kanapie, a dwudziestokilkuletni wczasowicze, Suzanne i Tyler, wybrali krzesła. Od kiedy przyjechali, przez cały czas trzymali się za ręce. Gdy wczoraj meldowali się w pensjonacie, a Kat, Lolly i Isabel załatwiały formalności, Suzanne zwierzyła się, że przyjechali tu, chcąc w ten sposób uczcić swoją miesięcznicę. A ponieważ nie mieli na palcach obrączek, Kat uznała, że w przypadku tak młodych osób może to być tylko miesięcznica umawiania się na randki.

Dziś nie miała możliwości upieczenia babeczek na zaimprovizowany wieczór filmowy, ale było pod dostatkiem popcornu i draży m&m's w wielkiej misce. Kat wzięła kilka, lecz początek filmu – kiedy grana przez Anne Hathaway Andrea toruje sobie drogę na ruchliwych zatłoczonych ulicach Nowego Jorku – zrobił na niej takie wrażenie, że cukierki wyśliznęły się jej z ręki. Zastanawiała się, jak by się czuła, mieszkając w takim mieście, z całą jego energią, ze światłami, z ruchem ulicznym i ludźmi. W Boothbay Harbor tłok panował latem, wielki tłok, co na swój sposób mogło wydać się zabawne i fascynujące, ale to było małe miasto.

Rolę chłopaka Andrei, Nate'a, grał Adrian Grenier, gorący aktor z serialu *Ekipa*. Kat podobała się ta para. Wyglądali tak, jakby do siebie należeli, co wszyscy mówili też o Kat i Oliverze. Podziwiała Andreę, świeżo upieczoną absolwentkę college'u, która przyjechała do Nowego Jorku pełna ideałów i marzeń o karierze bezkompromisowej dziennikarki podejmującej ważne tematy. Dziewczyna odznaczała się wielką determinacją, ale nie mogła znaleźć pracy. Kiedy więc grana przez Meryl Streep najbardziej wpływowa redaktor naczelna magazynu mody, Miranda Priestly, zaproponowała jej stanowisko swojej drugiej asystentki, Andrea je przyjęła, choć absolutnie nie odpowiadała kryteriom, jakie należało spełnić, by dostać tę pracę.

Kat bardzo się podobało, że Andrea podjęła wyzwanie, bo ze swoimi długimi rozczochranymi włosami, bez makijażu i pozbawiona własnego stylu była absolutnie nie na miejscu w prestiżowym magazynie mody. W ogóle nie przejmowała się modą i swoim wyglądem, ale zależało jej na referencjach, jakie mogła w tej pracy otrzymać. W końcu szykowna i nieoczekiwanie niezastąpiona dla swej „smoczycy” szefowej, musiała wybierać między wartościami, które wyznawała, a tego rodzaju pracą.

Kat wyobrażała sobie, że pracuje w Nowym Jorku w cukierni, hotelu lub restauracji jako szefowa działu cukierniczego i nie nosi już topów z płótna oraz niezgrabnych sandałów Merrell, lecz elegancką czerń, i mieszka na dwudziestym którymś piętrze w apartamencie, którego okna wychodzą na Empire State Building, rzekę Hudson i morze światła.

Była poruszona, obserwując, jak Andrea przeobraża się z kobiety niedbającej o swój wygląd i pozbawionej własnego stylu w kogoś olśniewającego, pewnego siebie i eleganckiego. Zastanawiała się, czy powinna wybrać się do Nowego Jorku zwyczajnie po to, by się przekonać, że nie potrafi tam żyć i oddychać tamtejszym powietrzem, a w związku z tym wybić sobie z głowy tego rodzaju fantazje. Dobrze – pomyślała. – Nagle potrafisz sobie wyobrazić wyjazd z Boothbay Harbor, dwie godziny po tym, jak zaręczyłaś się z mężczyzną, co do którego nie masz pewności, czy chcesz być z nim do końca życia.

Gdy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, Kat żałowała, że nie powstała druga część filmu, by mogła nadal obserwować Andreę w Nowym Jorku i w końcu się dowiedzieć, czy wymarzona praca dziewczyny rzeczywiście istnieje, a także czy szczęśliwie ułożyło się jej życie z chłopakiem. Wierzyła, że tak.

– Meryl trudno było rozpoznać – stwierdziła Lolly. – Czy to nie zadziwiające, że dzięki jej przekonującej roli sympatyzujemy ze „smoczycą”?

Kat napiła się wina.

– Bardzo mi się podoba, że Meryl nadała postaci Mirandy Priestly bardzo ludzkie cechy – zawtórowała matce. – Rozumiemy Mirandę nawet wtedy, gdy jest wyjątkowo okropna i protekcyjna. Uwielbiam tę scenę, w której tłumaczy, jak dokonany przez Andreę wybór prostego niebieskiego swetra wynika z tego, co się dzieje w ich gazecie. „Bawi mnie twoje przekonanie, że dokonałaś wyboru, by odciąć się od świata mody. Tymczasem nosisz sweter wybrany dla ciebie przez obecne tu osoby”, mówi.

– Wiedziałam, że moda to poważny biznes, ale, mój Boże, ta presja ze wszystkich stron wydawała mi się po prostu nie do zniesienia – skomentowała Isabel.

Wszyscy skinęli głowami.

– Jeśli mowa o presji – odezwała się Suzanne – to dla mnie nie do zaakceptowania jest fakt, że chłopak Andrei nie pozwalał jej być tą nową osobą. Dlaczego ludzie nie dają innym swobody, by się zmieniali i dojrzewali?

– Ja bym cię przed niczym nie powstrzymywał, Suze – oświadczył Tyler, trzymając twarz w jej włosach.

– Sądzę, że ze strachu – odpowiedziała jej Isabel. – Ktoś się skądś wyrywa, robi coś

nowego i niszczy swój dotychczasowy świat, a inni zostają w tyle. – Po tych słowach utkwiała wzrok w swoich stopach, a Kat się zastanawiała, czy przypadkiem kuzynka nie pomyślała o Edwardzie.

June sięgnęła po popcorn.

– Przy tego rodzaju pracy chyba nie można mieć życia osobistego – stwierdziła. – Trzeba wybierać: praca albo życie osobiste. Kim oni byli? Ta dziewczyna i jej chłopak? Dwudziestodwu- czy dwudziestotrzylatkami? W tym okresie życia rozważa się taki wybór. Nie wolno go nikomu utrudniać.

– Ale ona wciąż musiała wybierać – przypomniała Suzanne. – Między szefową a przyjęciem urodzinowym chłopaka i zawsze wybierała szefową. Ja nigdy nie wybrałabym pracy zamiast Tylera.

Prawdopodobnie nie jesteś w takiej sytuacji, żebyś musiała wybierać – chciała jej odpowiedzieć Kat, ale ograniczyła się do słów:

– Wiecie, co uważam? Że wybrała szefową i pracę, bo Miranda pozwoliła jej stać się kimś nowym, kimś, kim w środku była, ale nawet o tym nie wiedziała. W tej pracy ujawniła się całkiem nowa strona osobowości Andrei, a jej chłopakowi nie podobało się to. Podobało mu się, gdy była na luzie. Samo w sobie jest to miłe, ale nie w wypadku Andrei. Według mnie ten jej chłopak był po prostu marudny.

– W ogóle nie przyszło mi to do głowy – zaproponował Tyler. – Sądzę, że ją powstrzymał i sprawił, iż pozostała sobą, nie pozwalając jej odejść i potraktować się jak gówno. – Rozejrzał się i dodał: – Przepraszam.

Lolly wstała i zaczęła zbierać naczynia, a za nią wszyscy pozostali.

– A mnie się naprawdę podoba, że Andrea odrzuciła kompromisy – oznajmiła. – Zostawiła to wszystko i powróciła do dawnej siebie, do osoby, jaką zawsze chciała być.

– Ale bardzo się jej podobała praca w magazynie „Runway” – zaproponowała June. – I była w niej dobra.

– Dobra w byciu czyjąś służącą i sumieniem? – spytała Suzanne. – Nie można sprowadzać się do takiej roli.

– Nie jestem tego taka pewna, czy również słuszny był jej powrót do chłopaka – odparła nieprzekonana June. – Cieszę się, że podjęła pracę, którą zawsze chciała wykonywać. To znaczy, rozumiem, że zdała sobie sprawę, iż dla tamtej pracy musiałyby zbyt wiele poświęcić, włącznie ze swoimi ideałami. Wydawało się jednak, że dzięki niej stała się nową osobą i prześcignęła swojego chłopaka. Czy to ma sens?

Owszem, tak – pomyślała Kat, widząc oczami wyobraźni ukryty w szkatułce błyszczący brylant w pierścionku zaręczynowym. Tyle że Oliver nie był jakimś małostkowym marudą. Gdyby chciała podróżować, to prawdopodobnie bardzo by się zaangażował w planowanie wycieczek do Tajlandii, Austrii czy Hiszpanii, a jeśli zapragnęłaby zapisać się na kurs pieczenia placków z nadzieniem w którymś z południowo-wschodnich stanów Ameryki czy na kurs robienia cannoli w Rzymie, toby ją do tego zachęcał. Ale do rzeczy. Dlaczego więc tak się przestraszyłaś, Kat? – spytała siebie w myślach. O co chodziło? Czy tak bardzo bała się o Olivera, o to, że straci miłość, która pojawia się raz w życiu i dlatego zachowywała wobec niego dystans? Czy w głębi serca nie kochała go właśnie taką miłością? I jak ktoś mógł nie znać swoich uczuć? Jej przyjaciółka Lizzie twierdziła, że Kat czyta za dużo pism kobiecych i pozwala, by publikowane tam brednie kierowały jej zachowaniem. Zdaniem Lizzie Kat powinna dokładnie pamiętać, co czuła wtedy, gdy ona i Oliver byli trzynastolatkami, zanim wprawiona w ruch butelka ją wskazała. Potajemnie go kochała i marzyła o tym, żeby złożyć na jego ustach pocałunek, ale czuła się bezpiecznie, gdy nikt o niczym nie wiedział – dopóki butelka jej nie

wskazała, bo wówczas prawda wyszła na jaw.

– Bardzo mi się podoba, że w końcu Andrea staje się sobą – powiedziała Isabel. – A nie kimś, kim musi być, by pasować do świata Mirandy. Staje się dojrzałą wersją kogoś, kim chce być, dojrzałą wersją bezkompromisowej dziennikarki.

June skinęła głową.

– Wiecie, o czym głównie myślałam, gdy oglądałam ten film? O tym, że uwielbiam Nowy Jork, ale nie wytrwałabym ani chwili w miejscu takim jak redakcja „Runway” – wyznała. – Ciekawe, czy wszystkimi poważnymi magazynami kieruje się w ten sposób? Może mimo wszystko uniknęłam czegoś takiego?

Kat potrafiła sobie wyobrazić siebie w czarnym eleganckim stroju, jak przywołuje taksówkę, by ją zawiozła do jej modnej cukierni-kawiarni w SoHo, i jak popija czekoladowe martini, zostawiwszy swe niezgrabne sandały i zablocone wysokie buty w Maine. A jeszcze wczoraj nie fantazjowała o przenosinach do Nowego Jorku i pracy w eleganckiej cukierni. Ale przecież nigdzie się stąd nie wybierała. Teraz matka potrzebowała jej tu bardziej niż kiedykolwiek. Poza tym Kat miała po wyjściu za mąż pozostać w Boothbay, bo Oliver chciał mieszkać w tym mieście do końca życia i mieć czworo dzieci, jak stale powtarzał. Oliver nie zamierzał przenieść się do Nowego Jorku, Rzymu czy Paryża i zapewne zachęciłby ją do pozostania na miejscu. Gdyby za niego wyszła, zostałyby tu na zawsze.

Rozdział 7

Isabel

Zobaczyła w ogrodzie tego wczasowicza przystojniaka, który zameldował się w pensjonacie wczoraj wieczorem, tuż przed projekcją filmu. Nazywał się Griffin Dean. Był zmęczony i chciał szybko załatwić wszelkie formalności. Trzymał na rękach dwu- lub trzyletnią śpiącą dziewczynkę. Towarzyszyła mu nastolatka ze słuchawkami w uszach, która miała nachmurzoną minę. Gdy się dowiedziała, że nie ma dla niej oddzielnego pokoju, zdenerwowała się. Lolly zapewniła ją jednak, że w Pokoju pod Rybołowem jest wnęka oddzielona od reszty apartamentu ścianą, z oknem i czterema pojedynczymi łózkami. Wówczas dziewczyna się uspokoiła i powiedziała:

– Dobra.

Odprowadzając nowo przybyłych na górę, Isabel poinformowała ich, że śniadania wydaje się w jadalni od siódmej do wpół do dziewiątej, a gdyby czegoś potrzebowali, niech dadzą jej znać. Dodała, że w pensjonacie odbywają się wieczory filmowe i dziś można obejrzeć film *Diabeł ubiera się u Prady*. Mężczyzna wyglądał na zakłopotanego, jakby się zastanawiał, dlaczego, u licha, ona uważa, że chciałby to obejrzeć. Podziękował jej za obsługę, poczekał uprzejmie, aż się odwróciła, i zamknął drzwi pokoju.

Był poniedziałek. Isabel spojrzała na zegarek – dochodziła szósta. Wstała dziś wcześniej, po raz pierwszy zastępując Lolly w roli szefowej pensjonatu. Okazało się jednak, że wczasowicz wstał jeszcze wcześniej. Zastanawiała się, czy tak powinno być. Postanowiła spytać o to ciotkę. Ale tak czy inaczej, źle spała, choć nie dlatego, że po południu ciotka udawała się na pierwszą chemioterapię. Isabel i Kat miały ją zawieźć do szpitala, a w tym czasie June musiała się zająć wczasowiczami i oczywiście opiekować Charliem. Isabel miała dziś w nocy dziwny sen: ona i Edward już jako dorośli leżeli w ogrodzie z tyłu pensjonatu na trawie pod dębami i w pewnym momencie on uznał zawartą kiedyś przez nich umowę dotyczącą nieposiadania dzieci za nadal słuszną, twierdząc, że jego żona byłaby złą matką. Isabel obudziła się z rozdartym sercem, złana zimnym potem. Cichym głosem zawołała siostrę po imieniu, aby sprawdzić, czy ta śpi, bo chciała porozmawiać, ale June nie odpowiedziała. Ponieważ Kat mało się odzywała w ciągu ostatnich dwóch dni, Isabel uznała, że tym bardziej kuzynka nie będzie skora do rozmowy o wpół do trzeciej w nocy.

O piątej Isabel wstała i usiadła na balkonie, starając się spokojnie oddychać i pamiętać, że to był tylko sen, choć na jawie usłyszała te słowa od Edwarda wiele razy w okresie trwania ich małżeństwa. Wypowiadał je z gniewem, w czasie kłótni, z których żadne z nich nie mogło wyjść zwycięsko. W siedemdziesięciu pięciu procentach Isabel była jednak pewna, że naprawdę tak nie uważał. Ale, jak sądziła, to z powodu tych pozostałych dwudziestu pięciu procent niepewności pozwoliła mu postawić na swoim.

Gdy spoglądała na zatokę, na migotliwą niebieską powierzchnię wody i statki oraz łodzie, na rybaków ciągnących sieci i kosze, na joggerów, rowerzystów i na kosarzy na balustradzie, koszmar senny zaczął się rozplýwać pod wpływem rozmyślań na temat czekających ją obowiązków. Kolejno przypomniła sobie wszystkie instrukcje, które w ciągu ostatnich dwóch dni przekazała jej Lolly – od meldowania wczasowiczów, poprzez korzystanie z terminalu do

obsługi kart płatniczych, prowadzenie ksiąg rachunkowych i zasięganie informacji o reklamach pensjonatu w stowarzyszeniach hoteli oferujących nocleg ze śniadaniem, po zapewnienie w każdym pokoju pościeli i środków higienicznych. Na codzienne zarządzanie pensjonatem składało się więcej czynności, niż Isabel przypuszczała. Dowiedziała się o tym, gdy wczoraj wieczorem pomagała ciotce zameldować rodzinę Deanów, ponieważ wcześniej sądziła, że przyjęcie wczasowiczów zaczyna się od powitania, a kończy na odprowadzeniu do pokoju. Była przekonana, że lada chwila w pensjonacie zjawi się z walizkami pani Dean, ale gdy sprawdziła dokonane przez Lolly wpisy, zorientowała się, że tygodniowa rezerwacja obejmuje tylko jedną osobę dorosłą i dwoje dzieci.

Griffin Dean stał na drugim końcu ogrodu, pod dziką jabłonią, z rękami w kieszeniach bojówek w kolorze khaki i spoglądał na dom na wzgórzu i port, który był widoczny stamtąd jak na dłoni.

Już miała powiedzieć mu dzień dobry, gdy nagle pojawił się przy niej ten bezański pies i położył na jej bosych stopach miękki biały pyszczek. W czasie weekendu podszedł do niej dwa razy, jakby jej szukał. Kiedy wczoraj wyjrzała przez okno, zorientowała się, że ją zobaczył, bo zatrzymał się w ogrodzie naprzeciwko niej. Nie podbiegł natomiast do Lolly i Pearl, które grały w karty przy piknikowym stole. Kiedy zaś zmęczona Isabel wyszła do ogrodu ze szklanką mrożonej herbaty w dłoni i usiadła na szezlongu, położył pyszczek na jej ręce.

– Och, świetnie – powiedziała do niego tak jak wczoraj i pogłaskała go po uroczej głowie, a on próbował wskoczyć jej na kolana. Nie pozwoliła na to, mimo że nie był duży, chociaż też nie przypominał w niczym malutkiego teriera. Poza tym miała na sobie swój typowy strój – jedwabny marszczony top w lawendowym kolorze, białe spodnie i sandały na płaskim obcasie wysadzone kamieniami półszlachetnymi. W takim stroju nie mogła wziąć psa na kolana. Powiedziała więc do niego: – Nie wolno!

– Jak ma na imię? – usłyszała czyjś głos.

Odwróciła się na dźwięk dobiegającego z ogrodu głosu. Okazało się, że to Griffin Dean pyta o pieska.

– Nie wiem. Przybłąkał się w czasie weekendu. I z jakiegoś powodu lubi tu chyba tylko mnie – odpowiedziała.

Wczasowicz się uśmiechnął.

– Psy wyczuwają ludzi. Widocznie jest pani dobrym człowiekiem – orzekł.

– Chyba polubił mnie bardziej z tego powodu, że dałam mu w piątek niedojedzonego hot doga, którego zostawił mój siostrzeniec – odpowiedziała, drapiąc psa pod brodą, podczas gdy ten opierał łapę na jej ręce. – Czuję się tak, jakby sobie mnie wybrał. Moja ciotka – poznał ją pan wczoraj wieczorem, to właścicielka pensjonatu – chce go zatrzymać, jeśli nikt się po niego nie zgłosi. Rozwiesiliśmy w różnych miejscach ogłoszenia, powiadomiliśmy policję, służby odpowiedzialne za zwierzęta i... – Przerwała, bo nagle uświadomiła sobie, że mówi do tego wczasowicza za dużo, tak samo jak wczoraj wieczorem, i spojrzała na niego, nieprzyzwyczajona, by ktoś tak wytrącał ją z równowagi, ale szybko utkwiała wzrok z powrotem w kundelku.

Isabel nigdy nie miała psa ani żadnego innego zwierzęcia, z wyjątkiem złotej rybki, na którą jej matka się zgodziła, kiedy Isabel wygrała ją w konkursie szkolnym. Żyła w dobrych warunkach materialnych, ale chciała mieć jakąś istotę, o którą mogłaby się troszczyć. Teraz ja też jestem rodzajem bezdomnej istoty – pomyślała i pogłaskała psa po szyi.

Griffin Dean uśmiechnął się do niej ponownie i przez chwilę Isabel nie mogła oderwać od niego oczu. Wyglądał na zmęczonego życiem, ale w wyrazie jego twarzy dostrzegła zyczliwość. I był atrakcyjny, nawet bardzo atrakcyjny. Ten mężczyzna o ciemnych falujących włosach i ciemnych oczach mógł mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Do zielonych bojówek włożył niebieski

T-shirt Henleya. Na jego palcu dostrzegła obrączkę.

– Mam nadzieję, że pokój jest wygodny – powiedziała, przypominając sobie, że pełni funkcję administratorki pensjonatu. – Gdyby państwo czegoś potrzebowali, proszę dać znać.

– Dziękuję. Moja czternastoletnia córka spała w pokoiku naprzeciwko naszego – poinformował. – Mam nadzieję, że to nikomu nie przeszkadza. Zanim się zorientowałem, że wymknęła się z naszego pokoju, zasnęła tam na dwuosobowej kanapie z przewieszonymi przez poręcz nogami i zmarzła.

Isabel uśmiechnęła się.

– Ależ oczywiście, że nikomu to nie przeszkadza – zapewniła go. – Ja, moja siostra i kuzynka zaszywałyśmy się tam jako nastolatki, gdy któraś z nas chciała być sama, więc ją rozumiem.

– Wszystkie tu dorastałyście? – zdziwił się.

Skinęła głową i już miała zupełnie niepotrzebnie, jak uważała, opowiedzieć mu o tym, zastanawiając się, czy to dlatego, że jest taki atrakcyjny, gdy pies chwycił w zęby jeden z posadzonych przez Lolly w skrzynce tulipanów, i musiała go stamtąd odpędzić.

– Nie, piesku! – zawołała. – Nie wolno ci tego robić!

Ale kundelek jej nie słuchał. Odgryzł łodygę tulipana i przyniósł go jej w pysku, merdając ogonem.

– On naprawdę panią lubi! – zawołał ze śmiechem Griffin Dean. – Mogę pani pomóc go ułożyć. Jestem weterynarzem. – Wręczył jej wizytówkę o treści: GRIFFIN DEAN, DOKTOR NAUK WETERYNARYJNYCH, BOOTHBAY HARBOR, MAINE.

– Byłoby wspaniale. Dziękuję – odparła, po czym spojrzała na wizytówkę i stwierdziła z niedowierzaniem: – Boothbay Harbor? Nie jest pan zbyt daleko od domu. – Adres na wizytówce wskazywał, że jego klinika weterynaryjna znajduje się za rogiem ulicy, na której mieściła się księgarnia Bracia Books.

– Musieliśmy wynieść się z domu, choćby nawet na odległość paru kilometrów. To jedno z ostatnich miejsc, gdzie... – przerwał.

Przyjrzała mu się uważniej i dzięki temu spostrzegła, że nosi obrączkę na palcu prawej, a nie lewej ręki.

– Muszę wracać do córek – oznajmił po chwili. – Alexa będzie spała do południa, jeśli jej pozwolę, a Emmy prawdopodobnie maluje pod moją nieobecność ściany. Oczywiście żartuję. – Spojrzała na psa i powiedział na pożegnanie: – Popracuję z nim później. – Uśmiechnął się do Isabel i wszedł do domu.

Miała ochotę pójść za nim i poprosić go, by dokończył zdanie: „To jedno z ostatnich miejsc, gdzie...”. Ale oczywiście nie mogła tak postąpić.

W Coastal General Hospital unosił się typowy dla tego miejsca zapach środków odkażających, który kojarzył się z nadzieją, a zarazem z rozpaczą. Lolly otrzymała jednoosobowy pokój na Oddziale Onkologii, gdzie wraz z towarzyszącymi jej Kat i Isabel spotkała się z lekarzem rezydentem z opiekującego się nią zespołu. Po postawieniu diagnozy lekarze poinformowali Lolly o wszystkim, więc w przeciwieństwie do córki i siostrzenicy wiedziała, czego może się spodziewać. Przed wyjazdem do szpitala Isabel i Kat długo rozmawiały w kuchni o tym, jak mało wiedzą na temat choroby nowotworowej i chemioterapii. Kat z trudem powstrzymywała łzy. Czerpiąc siłę z doświadczenia opiekunki osób, które przeżywały żałobę po stracie bliskich, Isabel potrafiła uspokoić kuzynkę i dodać jej otuchy. Dlatego nie załamały się, co było najważniejsze ze względu na Lolly, która siedziała w samochodzie w milczeniu i wyglądała przez okno.

Kat poprosiła lekarza rezydenta, by dokładnie im wszystko wytłumaczył i mówił do nich

w jak najprostszy sposób. Były mu wdzięczne za zachowanie świadczące o zrozumieniu i współczuciu, zwłaszcza w chwili, gdy pielęgniarka przygotowała kroplówkę do chemioterapii Lolly. Temu trwającemu do czterech godzin zabiegowi chora miała być poddawana co trzy tygodnie. Lekarze przewidywali sześć zabiegów, a potem mieli dostosować leczenie do dalszych potrzeb.

Gdy Lolly położyła się na zielonej leżance i rozpoczął się zabieg, pielęgniarka opuściła salę, przypominając pacjentce przed wyjściem, by w razie potrzeby po nią zadzwoniła. Kiedy lekarz rezydent oznajmił, że również musi udać się do innych obowiązków, Kat wyszła za nim, ponieważ, jak sądziła Isabel, miała do niego wiele pytań, ale nie chciała ich zadawać przy matce.

– Isabel, czy mogłabyś mi przynieść filiżankę herbaty rumiankowej? – poprosiła ją ciotka. Na niskim stoliku przy łóżku leżało dziesięć magazynów, od „People” po „Coastal Inn”, które kupiła Kat, i dwie powieści nabyte przez June w księgarni Bracia Books, obok nich stał dzbanek z wodą. Lolly zapewniła Isabel: – Wszystko będzie dobrze.

– Oczywiście – podchwyciła siostrzenica, wdzięczna losowi, że wychodząc stąd na chwilę, będzie mogła złapać oddech.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi sali, wciągnęła głęboko powietrze. Na korytarzu Kat rozmawiała z rezydentem, młodym cierpliwym lekarzem o uroczym włoskim nazwisku, które Isabel jednak zapomniała. Słyszała, jak przyszedł onkolog przemawia do Kat łagodnie, ale ze znajomością rzeczy. W jej umyśle wypowiedziane przez niego słowa uderzały jedno o drugie: „spowolnić progresję”, „nieoperacyjny”, „daje przerzuty”, „standardowym lekiem stosowanym w chemioterapii jest gemcytabina”, „łagodzi objawy”...

Tłumaczył Kat, że leki stosowane w chemioterapii nie odróżniają komórek zdrowych od nowotworowych i atakują wszystkie, które namnażają się najszybciej. Dlatego pacjenci często łysieją, gdyż komórki włosa należą do właśnie tych dzielących się najszybciej.

Isabel pomyślała o siwiejących jedwabistych włosach Lolly, o jej długich rzęsach i wygiętych w delikatny łuk brwiach. Zamknęła oczy, lecz zaraz je otworzyła i przerwała rozmowę Kat z lekarzem. Nie mogła znieść jej tematu, a poza tym chciała spytać, czy przynieść im coś z kawiarni. Oboje podziękowali i powrócili do rozmowy. „Komórki”, „krwinki białe”, „płytki krwi”, „nowotwór złośliwy”...

Gdy na drugim piętrze otworzyły się drzwi windy i jedna osoba wysiadła, Isabel spostrzegła strzałkę i nazwę ODDZIAŁ POŁOŻNICZO–NOWORODKOWY. Wówczas też wysiadła i idąc za kolejnymi strzałkami, dotarła do szklanej ściany, za którą była sala z noworodkami. Od wielu miesięcy nie pozwalała sobie już oglądać noworodków w szpitalu w Westport.

Spojrzała na swoją obrączkę.

Wczoraj w nocy, kiedy nie mogła zasnąć, złamała się i o trzeciej zadzwoniła do Edwarda na telefon domowy, choć nie miała pojęcia, co mu powiedzieć. Może o chorobie Lolly? – zastanawiała się. Po prostu chciała usłyszeć jego głos, nawet niemiły.

Odebrał od razu.

– Poczekaj chwileczkę – powiedział i połączył się z nią z drugiego aparatu, co uświadomiło jej, że w sypialni w ich łóżku leży obok niego Carolyn Chenowith. Już miała się rozłączyć, gdy oznajmił: – Jestem.

– A więc rzeczywiście to robisz – wydusiła z siebie po chwili.

– Przepraszam, Izzy – powiedział z płaczem.

Po tych słowach umilkł, a Isabel się z nim rozłączyła, włożyła telefon do torebki i wyszła na balkon. Serce jej się ścisnęło. Dla uspokojenia musiała wziąć kilka głębokich oddechów.

Teraz przywołała w pamięci moment, w którym jej miłość do męża zaczęła słabnąć.

Dotychczas bardzo starała się o tym zapomnieć, ale nagle przypomniała sobie ten koszmarne moment sprzed kilku miesięcy, gdy wraz z Edwardem uczestniczyła w kolejnym obiedzie wydanym przez firmę prawniczą, której był współnikiem, a współników zapraszano na obiady wraz z żonami. Isabel miała ochotę uciec od tego towarzystwa, któremu czas upływał na opowiadaniu bez skrępowania różnych rzeczy, picia drogiej whisky i paleniu cygar.

– A więc kiedy zamierzacie założyć rodzinę? – spytał Edwarda jeden ze starszych współników i dodał: – Jeśli chcecie mieć troje dzieci, jak wszyscy inni, to powinniście już zacząć.

Wówczas Edward z udawaną powagą odpowiedział mu cichym głosem:

– Żałujemy, że nie będziemy mieć czworga, ale, niestety, Isabel nie może.

Słyszając to kłamstwo, poczuła się jak smagnięta silnym podmuchem wiatru – nie mogła znaleźć mniej banalnego porównania, aż musiała odejść od stolika, co najwyraźniej sprawiło, że wszyscy jeszcze bardziej zaczęli współczuć „biednej Isabel”. Uznali, że wybiegła do toalety, aby zapłakać nad swą niemocą urodzenia czworga dzieci zasługującemu na to mężowi. Wtedy po raz pierwszy poczuła do Edwarda nienawiść. Jednak wykorzystał swą zręczność prawnika, by wybrnąć z problemu dzięki perswazji słownej i powołał się na zawartą przez nich przed piętnastu laty umowę, a przecież miał wtedy do czynienia nie z dorosłą kobietą, lecz z pogrążonym w rozpacz po stracie rodziców dzieckiem, co gorsza, czującym do siebie obrzydzenie.

Pozwól mu odejść – powiedziała do siebie bezgłośnie. – Zgódź się, żeby to wszystko się skończyło.

Spojrzała na piękny pierścionek zaręczynowy z brylantem i obrączkę ślubną i szybko je zdjęła, zanim mogła zmienić zdanie i pozostawić je tam, gdzie nie było już dla nich miejsca. Czy powinnam je schować do torebki? – zastanawiała się. – A może tylko przełożyć na prawą rękę, jak zrobił to Griffin Dean? Popatrzyła na swoją gołą lewą dłoń i poczuła się bez biżuterii tak dziwnie, że przełożyła ją na prawą, choć również tam nie było dla niej miejsca. Jutro przypadała dziesiąta rocznica ślubu Isabel i Edwarda.

Isabel uniosła wzrok, choć nie przyszło jej to łatwo, i spojrzała na salę z noworodkami, na śpiące niemowlęta okryte znajomymi biało-niebieskimi kocykami. Wewnętrzny głos podpowiedział jej, by przysłała tu jutro i dowiedziała się, czy może pracować jako wolontariuszka. Wzięła głęboki oddech. Na Oddziale Intensywnej Opieki Neonatologicznej nareszcie mogłaby trzymać w ramionach niemowlaki, karmić je butelką i głaskać maleńkie rączki. Przez te wszystkie lata, które przepracowała w szpitalu w Westport jako wolontariuszka udzielająca pomocy osobom przeżywającym żal po stracie bliskich, nie potrafiła zajmować się noworodkami, jakby umowa zawarta z własnym mężem oznaczała, że może tylko na te dzieci patrzeć, ale nie wolno jej ich dotykać. Teraz chciała to zmienić.

Gdy wróciła na pierwsze piętro z herbatą rumiankową i muffinem z borówkami amerykańskimi, ciotki ulubionym, choć zapewne mniej smacznym od tego, jakie piekła Kat, kuzynka nadal rozmawiała z lekarzem rezydentem. Zajrzała do sali i ciotka skinęła na nią głową, by weszła.

Lolly napiła się herbaty.

– Doskonała, dziękuję, Isabel – oznajmiła, a gdy siostrzenica usiadła na krześle, dodała: – Powiem ci to teraz, żeby nie zapomnieć. Chciałabym, żebyś później coś dla mnie zrobiła.

– Oczywiście, ciociu, wszystko, czego sobie życzysz – zaofiarowała się Isabel, która czuła się znacznie pewniej w roli administratorki pensjonatu, gdy wszystko, czym należało się zająć, miała zapisane w notesie, a teraz spodziewała się otrzymać od ciotki jakieś nowe zadanie.

– Czy wiedziałaś o tym, że twoja matka prowadziła dziennik? – spytała Lolly.

Isabel zeszywniała.

– Nie – odpowiedziała.

– Gdy po wypadku pakowałam w sypialni twoich rodziców ich rzeczy, znalazłam tam dwa tomy zapisków z ostatniego roku życia Allie. Okazało się, że moja siostra ukończyła w ośrodku rekreacji kurs prowadzenia dziennika. Wtedy czytałam te zapiski wiele razy, chcąc nadal czuć obecność Allie i słyszeć jej głos. Pisała o tym, co ugotowała na obiad, że June doznała oparzenia słonecznego, że ty wyglądasz ślicznie i wydajesz się taka dorosła w sukience, którą włożyłaś na tańce, po prostu o życiu codziennym swojej rodziny. I rzeczywiście czułam wtedy, że jest ze mną.

Isabel patrzyła na ciotkę zaskoczona tym, co z taką serdecznością powiedziała na temat jej matki, a swojej siostry. Lolly nigdy dotychczas nikogo i niczego nie wspominała. Może zaczęła to robić teraz, ponieważ nie wiedziała, ile zostało jej życia? – zastanawiała się z ciężkim sercem Isabel.

Podeszła do okna, żeby nie patrzeć na Lolly. Gdyby nagle ciotka zaczęła płakać, Isabel nie potrafiłaby udźwignąć takiego psychicznego brzemienia. Poza tym nie chciała wiedzieć o żadnym dzienniku z przeszłości, o tym, co matka w nim napisała, zwłaszcza w ostatnim roku życia, kiedy stosunki między nią i Isabel układały się najgorzej.

– Czy mogłabyś je dla mnie odnaleźć? – poprosiła ciotka. – Zdaję sobie sprawę, że w suterenie panuje bałagan, ale znajdują się w jednym z kufrów z rzeczami twoich rodziców. Wiesz, jak jej się podobały staromodne kufry, które kupowała na pchlim targu.

Na wspomnienie tego Isabel się uśmiechnęła i odwróciła do Lolly.

– Uwielbiała te z naklejkami – przypomniała ciotce.

Gdy kiedyś matka wróciła do domu z kolejnym kufrem, ojciec wywrócił oczami i spytał ją:

– Gdzie zamierzasz go postawić, Allie?

Odpowiedziała mu z uśmiechem:

– Spójrz tylko! Ten był w Indonezji, na Bali i w Australii!

Isabel pamiętała, jak pewnego dnia matka zamknęła oczy i wyznała:

– Boże, jak ja bym chciała zobaczyć kangura. A ty, Isabel?

Isabel, choć była w złym nastroju i miała w uszach słuchawki, zsunęła je z głowy na szyję i odpowiedziała:

– Tak, rzeczywiście jest to coś, co chciałabym zobaczyć.

Słyszając to, matka odwróciła się do ojca z triumfalną miną i stwierdziła:

– A widzisz? Nawet Isabel jest oczarowana pomysłem spotkania skaczącego kangura.

Isabel zabolalo stwierdzenie: „Nawet Isabel”, ale zasłużyła na nie, gdyż stale dąsała się na matkę, ojca i siostrę, skarżąc się na obowiązującą ją „godzinę policyjną”, której nigdy nie przestrzegano, i na panujące w domu zwyczaje, które zwykle lekceważyła.

Nigdy nie pojechali do Australii i nie zobaczyli kangura, ale na szesnaste urodziny matka podarowała Isabel srebrną bransoletkę z maleńkim srebrnym wisiorkiem w kształcie kangura. Od tego czasu Isabel nigdy jej nie zdejmowała. Miała ją na ręce nawet w dniu ślubu.

– Doskonale pasuje do twojej sukni – powiedział jej cicho do ucha podniosłym tonem Edward, gdy stali przed ołtarzem. – Kiedy masz ją na ręce, wydaje się, że twoja matka tu jest.

Isabel zamknęła oczy, nie chcąc wspominać tych dwóch scen, ani trzeciej, kiedy przed dwoma laty zgubiła bransoletkę. Zorientowała się, że jej nie ma, gdy piła cappuccino w Starbucksie. Wtedy zaczęła jej w panice szukać. Spytała nawet baristę, czy może przeszukać śmieci. Niestety, nie odnalazła w nich tej cennej pamiątki ani też na parkingu czy w samochodzie i w różnych innych miejscach, w których tego dnia była. Rozlepiała też ogłoszenia, oferując nagrodę, lecz nikt nigdy jej tej bransoletki nie zwrócił.

– Bardzo bym chciała znowu przeczytać ten dziennik – wyznała Lolly, napiła się herbaty, odgryzła kęs muffina i dodała: – Mieć siostrę przy sobie, słyszeć jej głos. Rozumiesz?

– Poszukam go dziś – zapewniła ją Isabel.

Nigdy tych dwóch tomów nie widziała. Prawdopodobnie matka pisała nie tylko o zapiekankach z homarów i swych znaleziskach na pchlim targu, ale także o tym, jak Isabel unieszczęśliwiała ją i ojca.

– Dobijasz nas swym zachowaniem – powiedziała do niej na kilka miesięcy przed śmiercią.

Isabel nie chciała powracać do tamtych czasów.

– Między tobą i twoją matką były tarcia – oznajmiła Lolly i spojrzała na nią. – Ale może też masz ochotę przeczytać ten dziennik? Dobrze jest poznać prawdę o czymś, a nie poprzestawać na tym, co uważa się za prawdę. Nie wiem, jak długo jeszcze będę żyła. Kilka tygodni? Kilka miesięcy? Naprawdę nie wiem. Teraz to wszystko wydaje mi się takie głupie, to całe napięcie i separowanie się od siebie, nierozmawianie ze sobą i traktowanie się jak obcy ludzie. Sama też jestem temu winna, ale tak być nie powinno.

Isabel podeszła do okna i spoglądała na rosnące w szpitalnym ogrodzie drzewa, piękne na tle błękitnego nieba.

– Nie chcę pamiętać o tym, jaka kiedyś byłam – oświadczyła.

– Czytając ten dziennik, dowiesz się, jaka była twoja matka i co myślała o różnych sprawach, co naprawdę myślała – uprzedziła ją ciotka. – Nie to, co sądzisz. Nie byłeś w jej oczach tym, kim według siebie byłeś. Jest dużo rzeczy, których nie wiesz o swojej matce.

Isabel westchnęła ciężko. Nie chciała czytać dziennika matki. Nie mogła. Teraz dużo się działo i sam widok charakteru jej pisma mógł wytrącić Isabel z równowagi. Ale ciotka siedziała tu, na łóżku, z wbity w rękę igłą kroplówki, aplikując sobie truciznę, i miała łzy w oczach. Isabel mocno uściśniła jej dłoń i ponownie zapewniła, że poszuka dziennika matki.

Zajęło jej kilka godzin, zanim się przemogła i otworzyła drzwi do suterenu w krótkim korytarzu między drzwiami do kuchni a schodami z tyłu domu. Gdy tam zeszła po skrzypiących drewnianych stopniach, zobaczyła liczne stare meble, które Lolly zamierzała odnowić i sprzedać. Były wśród nich także meble z dawnego pokoju Isabel i June w domu dwurodzinnym, którego połowę wynajmowali Nashowie. Isabel zachowała z tamtego okresu swoją komodę, antyk z pięknym owalnym lustrem. Oddała ją do renowacji, dzięki czemu komoda nie przypominała już starego grata z dawnych lat. Przy ścianie z półkami, na których spostrzegła wszystko, co możliwe, od ziemi do kwiatów doniczkowych po rozcieńczalnik do farb, znajdowały się oparcia – na głowę i stopy – łóżka rodziców, a przy ścianie z kilkoma małymi okienkami zobaczyła siedem kufrów matki. Stały na starym wypłowiałym dywanie jeden na drugim w dwóch rzędach.

Isabel zdjęła kufer stojący najwyżej, usiadła po turecku na dywanie i uniosła cienkie drewniane wieko. W środku były ubrania, starannie poskładane koszule i swetry. Po wypadku Lolly poprosiła Isabel i June, aby wybrały spośród nich te, które chciały zachować, a pozostałe postanowiła oddać potrzebującym. Najwyraźniej jednak nie potrafiła się pozbyć niczego. Isabel włożyła do kufra ręce, szukając dwóch tomów dziennika. Lolly powiedziała, że są w twardej oprawie z czerwonego płótna, a na każdym jest wyhaftowany anioł. Niczego takiego Isabel nie znalazła, co przyjęła z ulgą, choć miała z tego powodu poczucie winy.

Przeszukała jeszcze dwa kufry, ale w nich też nie było dziennika. Ciotka mówiła, że ostatni raz czytała go po śmierci siostry i szwagra, czyli piętnaście lat temu. Skoro było to tak dawno, może zapomniała, gdzie go schowała? A może dziennik będzie dopiero w ostatnim kufrze? Zgodnie z prawem Murphy'ego Isabel mogła przyjąć, że rzeczywiście tak się okaże.

Na dnie trzeciego kufra spostrzegła jeden z ulubionych swetrów matki, kaszmirowy,

w kolorze brudnego rózu, z dekoltem w serek. Na kilka tygodni przed wypadkiem matka była w tym swetrze, gdy krzyczała na Isabel, ponieważ ta uciekła z dwóch ostatnich lekcji i została przyłapaną (przez matkę jednej z koleżanek June), jak kąpała się nago razem z dwoma chłopakami, z którymi umawiała się na randki. Gdy Isabel odkrzyknęła, że to nie jest żadna „poważna sprawa”, matka chwyciła ją mocno za rękę. Isabel była tym zszokowana. Nie broniła się, a mimo to matka przyciągnęła ją do siebie i przytrzymała obiema rękami.

– Poważną sprawą jest to, że bardzo cię kocham, Isabel – oznajmiła. – Obchodzi mnie to, co robisz i kim jesteś. To jest poważna sprawa.

Isabel nie próbowała się wyrwać, mając nadzieję, że matka już nic więcej nie powie i pozwoli jej odejść.

– Żałuję, że nie wiem, jak do ciebie dotrzeć, jak sprawić, żebyś się o siebie troszczyła – dodała jednak i nadal ją trzymała.

Isabel się wykręciła i starała uwolnić z jej uścisku, ale matka przytrzymała ją mocniej.

– Kocham cię bez względu na to, czy tego chcesz czy nie – powiedziała i gwałtownie ją wypuściła.

Chcę – pomyślała Isabel i pobiegła do zajmowanego z siostrą pokoju, gdzie trzasnęła drzwiami, czym jeszcze pogorszyła sytuację, bo przeszkodziła przygotowującej się do testu June.

Isabel wyjęła sweter i powąchała go. Poczula ledwie wyczuwalny zapach perfum Coco używanych przez matkę. Przypomniała sobie ten trwający kilka tygodni okres, kiedy jako czternastolatka nagle się zmieniła, będąc pod wpływem tria szalonych dziewczyn, które nic sobie nie robiły z tego, co o nich myślą inni. Oczywiście wtedy nie uświadamiała sobie, że one się o siebie nie troszczą, co zawsze mówiła jej matka. Twierdziła także, że te dziewczyny nie mają poczucia własnej wartości. Ale wszyscy je znali z różnych wyskoków, podczas gdy Isabel nikt nie zauważał, bo była sobą.

Kiedys po południu przed szkołą przeszła próbę, wcale nie mając takiego zamiaru, gdy jedna ze wspomnianych dziewczyn dała jej dwa papierosy i poprosiła o przechowanie do jutra, bo matka sprawdza jej rzeczy. W ten sposób Isabel znalazła się w ich gronie. Następnego dnia miała na sobie pożyczoną obcisłą i seksowną spódnicę, a potem pożyczone modne dżinsy i skórzane czarne buty do kolan. Nie minął tydzień, a zaczęła malować oczy i nosić wielkie okrągłe kolczyki.

– Jest w takim okresie. Nic nie rób – poprosiła matka ojca, który otwarcie powiedział, co myśli o nowym wyglądzie córki.

Niestety, ten okres trwał do pierwszego tygodnia po wypadku, do chwili, w której Edward uznał, że Isabel ma piękne oczy, i wyraził żal, że nie może ich dobrze zobaczyć. Wtedy zmyła makijaż, a Edward orzekł:

– Wyglądasz o wiele lepiej. Jesteś śliczna.

Po tych słowach zaczęła nosić rzeczy, które do tej pory wisały z tyłu szafy, kupowane jej przez matkę w nadziei, że będzie się ubierała jak normalna nastolatka. „Przyjaciółki” Isabel były tak zszokowane wypadkiem, że zupełnie nie wiedziały, co powiedzieć, jak zresztą wiele innych osób, i odsunęły się od niej. Nawet nie przyszły na pogrzeb.

– Przepraszam, że byłam taka okropna – powiedziała Isabel do swetra. Nie poczuła się jednak okropnie, choć dotychczas zawsze tak było, gdy wspominała tamte czasy. Poczula się... w porządku, niemal jakby przeprosiła samą matkę i siebie, z chwilą, gdy „przeprosiła” jej ulubiony sweter, który wciąż nią pachniał.

Stała tak, trzymając go w ręce, niezdolna przeszukać kolejny kufer, przynajmniej dzisiaj. Postanowiła poinformować ciotkę, że szukała dziennika, na dowód tego pokazać jej sweter i przyrzec, że przejrzy zawartość pozostałych kufrów jutro.

Po raz ostatni spojrziała na rzeczy rodziców, weszła po schodach na parter, zamknęła za sobą drzwi do sutereny i skierowała się na główne schody prowadzące na górę. W tej samej chwili usłyszała, że ktoś otwiera drzwi frontowe. Zaraz potem rozległy się czyjeś podniesione głosy.

– Przestań traktować mnie, jakbym była Emmy! – krzyknęła do Griffina Deana jego starsza córka. – Mam czternaście lat! Idę tylko na spacer!

Dean zamknął za sobą frontowe drzwi.

– Alexo, nie pójdziesz nigdzie z nieznajomym chłopakiem – oznajmił. – Koniec, kropka. A już zwłaszcza o... – spojrzął na zegarek – wpół do dziewiątej wieczorem.

– To dlaczego kazałeś mi tu przyjechać, skoro nie mogę nic robić?! – zawołała i rozpląkała się. Po tych słowach odwróciła się, ruszyła biegiem po schodach i minęła Isabel, omal na nią nie wpadając. Po chwili rozległ się trzask drzwi do pokoju zajmowanego przez Deanów.

Isabel nie zamierzała uczestniczyć w scenie z życia rodziny Deanów, ale właśnie się w niej znalazła. Spodziewała się, że wczasowicz uśmiechnie się zmieszany i powie: „Ach, ta młodzież”, ale zamknął oczy i stał nieruchomo, jakby też płakał.

– Kiedyś zachowywałam się w ten sam sposób – powiedziała, schodząc po schodach i stając obok niego. – Sądzę nawet, że właśnie takie słowa wypowiedziałam do mojego ojca, a on dokładnie tak mi odpowiedział, jak pan córce.

Spojrzął na nią.

– I krzyczała pani, i płakała, biegnąc po schodach, i trzaskała drzwiami? – spytał.

Skinęła głową.

– O tak. – Wiele razy.

– Ale wszystko skończyło się dobrze? Wszystko będzie dobrze, prawda? – spytał z nadzieją, próbując się uśmiechnąć.

– Sądzę, że tak. Żałuję jednak, że nie mogę cofnąć czasu i wszystkiego zmienić – wyznała.

Na pierwszym piętrze otworzyły się drzwi i usłyszeli dziecinny głosik:

– Tatusiu?

– Alexa najwyraźniej obudziła Emmy. – Pokręcił głową, ruszył na schody i rzucił przez ramię: – Emmy rzadko się budzi, gdy już położy się ją spać. Pod warunkiem, że Alexa nie trzaska drzwiami, a ostatnio robi to często.

– Tatusiu – powtórzyła na półpiętrze Emmy, ściskając w dłoni żółtego pluszowego króliczka. – Chce mi się pić. Czy mogę prosić o gorącą czekoladę z mlekiem?

Dean odwrócił się do Isabel.

– Czy kuchnia jest otwarta? – spytał.

– Oczywiście – odparła.

Poczekala, aż ojciec weźmie córkę na ręce i zejdzie na dół, a następnie zaprowadziła ich do kuchni.

– Czy mogę tu usiąść? – spytała Emmy, wskazując dłonią należący do Kat fotel papasan z grubą różową poduchą.

– Jasne – powiedziała Isabel, przyglądając się idącej powoli dziewczynce.

Emmy była śliczna. Miała błyszczące ciemne włosy z miedzianymi pasmami i brązowe oczy.

Isabel zaproponowała Griffinowi Deanowi coś do picia, ale odmówił. Gdy robiła czekoladę, wziął córkę na ręce, usiadł z nią w fotelu i po cichu opowiedział jej bajkę o *Złotowłosej i trzech niedźwiadkach*. Skończywszy, pocałował Emmy w czubek głowy.

Isabel podała dziewczynce niezbyt gorącą „gorącą czekoladę” w plastikowym różowym kubku w kropki.

Pijąc, mała przyglądała się jej.

– Jesteś ładna – powiedziała między jednym łykiem a drugim.

Isabel się zaczerwieniła.

– Dziękuję. Ty też – zrewanżowała się.

– Lubię, jak mamusia szczotkuje mi włosy przed snem. Teraz to robi Lexa – oznajmiła dziewczynka.

Czyżby jej ojciec owdowiał? Albo się rozwiódł? – zastanawiała się Isabel.

– Chciałabyś, żebym wyszczotkowała ci włosy, Emmy? – spytała.

Dziewczynka spojrzała na nią, pokręciła głową i wtuliła twarz w pierś ojca.

Dean wręczył Isabel różowy kubek.

– Kochanie, wracamy do łóżka – powiedział do córki, a następnie do Isabel: – Dobranoc.

– Po tych słowach poszedł z małą na górę.

Isabel czekała, chcąc, by wrócił i wypił z nią piwo, wino albo kawę. Wypastowała wszelkie możliwe drewniane powierzchnie i przejechała zamiatarką dywany w przedpokojach i salonie, co zajęło jej ponad godzinę, ale się go nie doczekała. A tak bardzo chciała w ten sierpniowy wieczór posiedzieć z kimś na dworze w milczeniu.

Rozdział 8

June

W ciągu trzech pierwszych godzin pracy na stanowisku kierowniczkii księgarni Bracia Books w Boothbay Harbor June sprzedała cztery powieści, dwie biografie, przewodnik turystyczny po północnej części Nowej Anglii i pięć książek na zamówienie, na łączną sumę ponad trzystu dolarów, a także książki dla dzieci za ponad dwieście dolarów grupie Mama i Ja, która tu przyszła po spotkaniu przy kawie po drugiej stronie ulicy.

To był bardzo dobry piątkowy poranek, nawet jak na długi weekend spowodowany poniedziałkowym Świętem Pracy, również dla niej. W Boothbay Harbor księgarnia Bracia Books to było jej terytorium i prawdopodobnie miejsce, w którym czuła się najlepiej i najbardziej sobą. Siedziała w swoim fotelu przy kasie i pracowała nad listą nowych inicjatyw w biznesie. Już rozmawiała z Henrym o realizacji takich jej pomysłów, jak cotygodniowe spotkanie członków klubu książki i godzina z książką dla dzieci. Rozważała także organizowanie spotkań przy kawie wczesnym wieczorem, na które się wpada, żeby porozmawiać o książkach i życiu, zrelaksować się i coś kupić.

Nagle w jej myśli wdarł się dźwięk dzwonka znajdującego się nad drzwiami księgarni i już miała spojrzeć w tamtą stronę, odrywając wzrok od notatek, gdy usłyszała kobiecy głos:

– Juney Nash? Czy to ty?

Och, nie. To nie wróżyło nic dobrego. Odłożyła długopis na papier firmowy księgarni, zmuszona spojrzeć w zimne niebieskie oczy Pauline Altman. Zobaczyć ją dwa razy jednego lata, a teraz na dodatek w towarzystwie jej dwóch starych przyjaciółek – Marley Mathers i Carrie Fish, to był pech. We trzy wydawały się o wiele groźniejsze: bystre, ładne, popularne i niezbyt miłe.

– Od czasu, kiedy widziałam cię po raz ostatni, ciągle się zastanawiałam, co się z tobą dzieje! – zawołała Pauline, poprawiając ramiączka białego kostiumu kąpielowego wystające spod letniej sukienki. – Kiedy cię spotkałam, byłaś w zaawansowanej ciąży.

Na palcu Carrie połyskiwał wielki brylant.

– Och, zgadza się, Pauline – potwierdziła Carrie. – Mówiłaś mi wówczas, że June zaszła w ciążę i porzuciła studia. – Po tych słowach spytała June: – A więc pracowałeś tu przez ten cały czas?

– Przez ostatnich siedem lat mieszkałam w Portland – poinformowała ją June, plując sobie w brodę, że w ogóle dostrzeżę potrzebę wyjaśnienia jej swojej sytuacji. – Ale moja ciotka zachorowała, więc wróciłam, żeby jej pomagać.

Pauline i Carrie skinęły głowami z udawanym współczuciem, natomiast Marley była pochłonięta przeglądaniem „Vogue’a”, który wzięła ze stojaka na czasopisma.

– Wobec tego zapewne będziesz na zjeździe koleżeńskim uczniów naszej szkoły w październiku – wniosowała Pauline. – Na spotkaniu uczniów naszej klasy zorganizowanym z okazji pięciolecia ukończenia szkoły wszyscy się zastanawiali, dlaczego cię nie ma, więc dyskretnie wytłumaczyłam im twoją... sytuację. – To ostatnie słowo powiedziała szeptem, jakby June miała chorobę zakaźną.

Zjazd koleżeński. Ha! Nie było sposobu, by June nakłonić do wzięcia w nim udziału,

nawet gdyby Kat i Isabel się wybierały. Wyglądało na to, że na długi weekend do rodzinnego miasta przyjechała połowa uczniów dawnej klasy June.

– Wszystko zależy od tego, jak ciotka będzie się czuła – odpowiedziała dyplomatycznie.

– Oczywiście – potaknęła Carrie, zachwycając się swoim pierścieniem. – Och, czy słyszałaś, że Pauline jest teraz zastępcą redaktora naczelnego „New York City”? Uczciła ten awans, organizując niesamowite przyjęcie. Och, Boże, powinnaś zobaczyć jej mieszkanie! Ma taras z widokiem na Empire State Building i morze świąte!

– Fantastycznie, Pauline – powiedziała June, czując ucisk w dołku. To naprawdę było coś. Kiedyś June pragnęła dla siebie takiego życia.

Gdy przeglądały książki na półkach, a także te polecane przez księgarnię, Pauline nie omieszkła wspomnieć o swoim chłopaku, starszym producencie w ABC News, o wakacyjnym pobycie w Hamptons i nowym jachcie rodziców, którzy mieszkali w jednym z najwspanialszych domów na wybrzeżu Boothbay Harbor.

– Szkoda, że spędzam w Boothbay Harbor tylko weekend. Tu jest cudownie – stwierdziła, stając wraz z Carrie przy kasie z naręczem książek, podobnie jak jej przyjaciółka. – Masz szczęście, June, że znowu możesz tu mieszkać przez cały rok. Latem to miasto jest super.

– Pamiętam – odpowiedziała June, nabijając na kasę ich zakupy.

Pauline kupiła bestsellerową powieść, dziennik, przewodnik turystyczny po Machu Picchu i wszystkie tomy o Harrym Potterze w twardej oprawie – dla swojej „utalentowanej ośmioletniej siostrzenicy”. Carrie natomiast wybrała dwie książki kucharskie napisane przez celebrytów. Tylko Marley nie kupiła nic. W przeciwieństwie do niej, jej koleżanki wydały trochę pieniędzy.

Pauline schowała do portfela złotą kartę kredytową, wzięła torbę z zakupami i powiedziała:

– Kiedyś odwiedziłam swoją siostrę, jej mąż był wtedy w podróży. O mój Boże, June, chyłę czoło przed wami samotnymi matkami! Musiałyśmy bez przerwy wszystko robić same! Naprawdę nie wiem, jak wy dajecie radę. To musi być bardzo trudne.

June niemal widziała na jej pomalowanych błyszczącym ustach ten protekcyjny ton.

– Jeszcze gorsze jest to, że wy, samotne matki, nie możecie w trudnych sytuacjach na nikogo liczyć – dodała Carrie. – I wszystko robicie same. Nie możecie nawet zadzwonić do męża, który jest w podróży służbowej, żeby sobie ponarzekać. Musi wam być ciężko i na pewno czujecie się bardzo samotne.

Boże, June nie znosiła ich obu.

– June, jeśli będziesz miała wolną chwilę, pomóż mi w biurze! – rozległ się z zaplecza głos Henry’ego Booksa.

June poczuła się uratowana. Dziękuję, Henry – powiedziała w myślach.

Odwróciły w tamtą stronę głowy i spojrzały na Henry’ego, który wracał do biura.

– Cholera, jest seksowny – szepnęła Carrie i spytała June: – Singiel?

Marley Mathers, która z powodu swych dużych niebieskich oczu, twarzy w kształcie serca i drobnej budowy zawsze wydawała się June anielska, odłożyła gazetę i stanęła przy kasie za koleżankami.

– Naprawdę jest ekstra – oceniła Henry’ego.

Odezwała się po raz pierwszy i od razu powiedziała coś miłego i prawdziwego – pomyślała June.

– Boże, Marley, to dlatego nie masz faceta. Wcale nie jest ekstra. To właściciel księgarni. Proszę cię – pouczyła ją Pauline.

– Co masz na myśli? – spytała June, spoglądając na nią, bo to było okropne zachowanie.

Pauline przewróciła oczami.

– Och, daj spokój. Wiesz, co mam na myśli – obruszyła się.

– Z pewnością – potwierdziła June.

I współczuję ci. Uświadomiłaś mi, że zadzieras nosa i jesteś powierzchowną suką.

Niczym więcej. Nie obchodzi mnie, co takie zadzierające nosa powierzchowne suki myślą – dodała w myślach.

Miała nadzieję, że Henry nie usłyszał słów Pauline, choć wątpiła, by się nimi przejął, gdyby nawet tak się stało. Nie знаła bardziej pewnego siebie człowieka. Był sobą, a jeśli komuś się to nie podobało, trudno.

Zamierzała już pożegnać te trzy wiedźmy i pójść do Henry'ego, żeby się dowiedzieć, jaką ma do niej sprawę, gdy poirytowana Marley wycelowała w twarz Pauline palec.

– Wiesz co, Pauline? – zaczęła. – Z powodu twojego zachowania robi mi się niedobrze.

Mam już ciebie dość z tym twoim poczuciem wyższości i zadzieraniem nosa. Wbrew temu, co ci się wydaje, nie jesteś lepsza od innych. Dłużej tego nie zniosę.

Dość tego! Dalej, Marley! – pomyślała June.

Pauline zrobiła wielkie oczy, ale szybko nad sobą zapanowała.

– Wobec tego sama dotrzyj do tej swojej chałupki – odcięła się i ruszyła do drzwi, a Carrie z otwartymi ustami podążyła za nią. Idąc, Pauline powiedziała do Carrie: – Mówiłam ci, że ostatnio zdziwaczała. Och, Marley Mathers! Nie liczysz się. – Otworzyła drzwi.

Spiesząc do wyjścia, Carrie potrąciła stojak z widokówkami i wszystkie spadły na podłogę.

Zachowywały się jak uczennice szkoły średniej.

– Niedojrzałe suki – skomentowała Marley i podeszła do stojaka, żeby pozbierać widokówki.

June ruszyła tam za nią, chcąc jej pomóc. Gdy przyklękła obok niej, zauważyła, że Marley płacze.

– One nie zasługują na twoje łzy – powiedziała.

– To nie przez nie płaczę – odpowiedziała cichym głosem Marley, wycierając oczy.

Wydawała się przestraszona i zdenerwowana, a równocześnie szczęśliwa, co stanowiło dziwną mieszankę.

Pozbierała widokówki, podała je June i udała się do działu poradników, a po chwili stanęła przy kasie, przyciskając do brzucha jakąś książkę i zasłaniając ją dłońmi, jakby nie chciała, by ktokolwiek zobaczył tytuł.

June jednak wiedziała, co to za pozycja. Czytała tę znaną książkę. Usiadła na swoim stanowisku, chcąc nabić zakup na kasę, lecz Marley nie podała jej książki.

– Marley? – ponagliła ją łagodnym tonem.

– Ja... – zaczęła Marley i pochyliła głowę, jej ciemne, ostrzyżone na pazia włosy opadły na twarz, a wargi zaczęły drżeć.

June włożyła książkę do firmowej torby, nie chcąc naruszać prywatności dawnej koleżanki i wskazała dłonią okrągły stolik stojący na wprost stelaża z gazetami.

– Usiądź, proszę – powiedziała, nalała jej do kubka wody cytrynowej, usiadła naprzeciwko i czekała.

Marley ujęła drżącą dłonią kubek.

– Właśnie się zorientowałam... – Pochyliła się w stronę June i szepnęła: – Że jestem... –

Rozejrzała się po księgarni, jakby chciała się upewnić, że nie ma tu nikogo znajomego i napiła się wody. Wydawało się, że zrobi wszystko, byle nie powiedzieć już słowa więcej. – ...taka samotna – zagryzła wargi i utkwiała wzrok w swoich dłoniach, na których nie było ani pierścionka

zaręczynowego, ani obrączki ślubnej.

June czekała, stwarzając jej możliwość powiedzenia tego, co chciała, ale Marley zmarszczyła twarz i zamknęła oczy.

– Wybrałaś właściwą rzecz – szepnęła w tej sytuacji June i współczującym gestem uściśniła jej dłoń. Pamiętała, że książkę *Czego możesz się spodziewać, gdy spodziewasz się dziecka* wypożyczyła z biblioteki i co tydzień czytała wybrany fragment, bo nie była przygotowana na to, by dowiedzieć się więcej, niż potrzebowała w danym momencie. – Daję ci tę książkę w prezencie. A jeśli jest coś, w czym mogłabym ci pomóc, odezwij się, dobrze? Nawet gdybyś chciała tylko porozmawiać.

June miała poczucie, że w żadnej książce nie ma tego, co przede wszystkim powinna wiedzieć i czego się spodziewać Marley.

Zadzwoił dzwonek i do księgarni weszło kilka osób.

– Muszę iść – powiedziała Marley i zerwała się z krzesła. – Nikomu nic nie mów, dobrze? Jeszcze nikt nie wie.

– Oczywiście, że nie powiem – przyrzekła jej June.

Marley spojrzała na nią, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Naprawdę mogę do ciebie zadzwonić, jeśli będę miała jakieś pytania? – upewniła się.

June zapisała jej swój numer telefonu na odwrocie wizytówki księgarni.

– Nie mam nic przeciwko nikomu, kto przywołuje do porządku Pauline Altman – odpowiedziała z uśmiechem.

Marley uśmiechnęła się do niej niepewnie, ale zaraz spoważniała.

– Naprawdę, Marley. W każdej chwili możesz do mnie zadzwonić – zapewniła ją June i dodała szeptem: – Wiem, co to znaczy być w ciąży i nie mieć męża.

– No właśnie... To dlatego... Dziękuję za książkę – odpowiedziała również szeptem Marley i wybiegła ze sklepu.

June wyszła za nią na chodnik, ale na ulicy panował taki tłok, że nigdzie jej nie dostrzegła. Udała się do magazynu poprosić Bean, żeby ją zastąpiła w księgarni, a sama w końcu poszła do Henry'ego. Kilka minut spędzonych z panem Booksem zawsze potrafiło naprawić niemal wszystko.

Henry siedział przy swoim biurku i przeglądał w komputerze zamówienia. Obok leżała na blacie złożona biała torba, z której wydobywał się wspaniały aromat.

– Proszę – powiedział na jej widok. – Mam nadzieję, że nie wystygł. – Wziął torbę i spytał: – Usiądziesz ze mną na pomoście?

Uśmiechnęła się, poszła powiedzieć Bean, że wychodzi na dwadzieścia minut na lunch, i w ten piękny słoneczny dzień ruszyła z Henrym na pomost. Carrie miała rację, Henry był seksowny. Gdy June stawała lub przechodziła obok niego, zawsze zwracała uwagę na jego wysoką i szczupłą, lecz umięśnioną sylwetkę, i na ciemne, zwykle rozwiane przez wiatr włosy. Henry miał na sobie wytarte džinsy i białą zapinaną na guziki koszulę, której rękawy zawinął do łokci. June była zadowolona, że dziś trochę się wystroiła. Zwykle, tak jak on, miała na sobie džinsy i białą zapinaną na guziki bluzkę oraz nieodłączne bordowe chodaki Dansko. Tym razem włożyła śliczną bawełnianą sukienkę, codzienną, ale odpowiednią do pracy dla kierowniczkii księgarni w czasie drugiego pod względem liczebności turystów w Boothbay Harbor weekendu w sezonie letnim. Gdy zjawiała się dziś rano w księgarni, Henry powiedział jej, że ładnie wygląda. Poza tym spojrzał na nią w taki sposób, zatrzymując wzrok na jej sylwetce, jakby już przestał traktować ją jako dwudziestoletniego dzieciaka, który popadł w tarapaty.

Zatrzymali się w pobliżu jego łodzi mieszkalnej. Henry zdjął buty, podwinął nogawki spodni i zamoczył stopy w błękitnej wodzie. June zrzuciła z nóg sandały i poszła w jego ślady.

Zaczął się wrzesień i późnoletnie słońce działało na jej ramiona jak balsam. Henry wyjął z torby dwie kanapki ze smażonym łupaczem w sosie tatarskim i zieloną sałatą, wspaniałe frytki, kubeczek ketchupu i dwie butelki lemoniady z Boothbay Harbor.

– Kupiłeś to dla mnie? – zdziwiła się.

– Prawdę powiedziawszy, dla Vanessy, ale powiedziała, żebym nakarmił tym swoje „pieprzone bezcenne mieczniki” i trzasnęła słuchawką.

– Jakieś kłopoty w raj? – spytała.

– Zawsze są – odparł, kręcąc głową. – Kiedyś godziliśmy się szybciej, ostatnio jednak, to znaczy w ciągu ostatniego roku przez cały czas się kłócimy. Coś się między nami zmieniło, rozumiesz?

– Szczerze mówiąc, nie, choć może tak – odpowiedziała. – Moja jedyna wielka miłość trwała zaledwie dwa dni. W tak krótkim czasie nic nie mogło się zmienić. Ale, jak sądzę, czegoś brakowało do rozpoczęcia tej znajomości. To znaczy, jemu.

Spojrzał na nią, mrużąc w słońcu swe ciemne oczy o głębokim spojrzeniu.

– A od tamtego czasu jak ci się układało? – spytał.

– Gdy Charlie był niemowlakiem, nie zavracałam sobie głowy umawianiem się na randki. Kiedy przeniosłam się do Portland, umówiłam się kilka razy z kolegami twojego brata, z dwoma klientami, z elektrykiem, który przyszedł naprawić w mieszkaniu przewody instalacji elektrycznej, i z prawnikiem Jaspera. Moje życie miłosne ograniczało się do jednej lub dwóch randek i dwóch tygodni niby-związku – wyznała.

– Może w żadnym z tych mężczyzn się nie zakochałaś? – indagował ją Henry. – Chciałbym poznać faceta, który zdobył serce June Nash. To musiał być naprawdę superfacet.

June uśmiechnęła się. Henry zawsze pozwalał jej czuć się kimś wyjątkowym, zupełnie inaczej niż przed kilkoma minutami Pauline Altman.

– Szukam ojca Charliego i nie wiem, jaki będzie tego efekt – zwierzyła się.

Henry napił się lemoniady.

– Podczas zbierania małży Charlie powiedział mi, że ma wypełnić swoje drzewo genealogiczne – wyznał.

June westchnęła.

– Gdy mu powiedziałam, że zostajemy tu na jakiś czas i nie będzie musiał wracać na obóz, przyjął to z ulgą, bo dzięki temu ominie go konieczność pokazania niepełnego drzewa genealogicznego. Przykleił kartkę z tym drzewem do ściany nad łóżkiem – powiedziała Henry’emu ze ściśniętym sercem. – A wczoraj wieczorem, kiedy kładłam go spać, spytał mnie z nadzieją, czy już dowiedziałam się czegoś o jego ojcu.

– I dowiedziałas się? – spytał Henry.

Pokręciła głową.

– Moje poszukiwania nigdzie mnie nie doprowadziły – odparła.

Od czasu przyjazdu June i Charliego do pensjonatu minął już tydzień i nadal wiedziała o Johnie Smisie tyle samo, co przed siedmiu laty. W poprzednią niedzielę wieczorem z nostalgią i w zadumie obejrzała film *Diabeł ubiera się u Prady* – ze zdjęciami Nowego Jorku, w tym miejsc, w których była, zwłaszcza w listopadzie, gdy poznała Johna, i na początku stycznia, kiedy wróciła na uczelnię, wiedząc już, że jest w ciąży, i desperacko pragnęła go odnaleźć. Po dyskusji na temat filmu poszła do sypialni i przez ponad godzinę oglądała w internecie zdjęcia Central Parku i rzeźby *Anioł Wód*, gdzie miała się spotkać z Johnem. Przypomniała sobie, co wtedy czuła do tego chłopaka, jaką nadzieję i tęsknotę w niej rozbudził.

Kiedy później poszła sprawdzić, jak Charlie śpi, przypomniała sobie także o złożonej mu obietnicy odnalezienia jego ojca. Udzieliwszy sobie reprimendy z powodu tych wspomnień

i życia przeszłością oraz w świecie fantazji, przeszukała w internecie zdjęcia uczniów prywatnych szkół podstawowych w Bangor, ale żaden z kilku Johnów Smithów, na których się natknęła, nie okazał się tym, którego szukała. Byli to blondyni lub rudzielcy, a jeśli już zdarzyli się ciemnowłosi, to ich twarze nie przypominały pięknej twarzy Johna. Nie mieli jego bujnej czupryny i zielonych oczu o głębokim spojrzeniu. Jego rozpoznałaby od razu. Niestety, nie natrafiła na niego na żadnej ze stron internetowych, na którą weszła.

Wczoraj Isabel zasugerowała, że mógł się uczyć prywatnie w domu, a Kat, że być może ukończył szkołę z internatem. Obie też wyraziły pewność, że June go odnajdzie. Uznały, że nie powinna tracić nadziei tylko z powodu braku jego nazwiska w spisach kolejnych roczników różnych szkół w Bangor.

June odłożyła kanapkę, bo straciła apetyt.

– Wczoraj wieczorem Charlie powiedział mi, co mógłby robić razem z ojcem: łowić ryby, zbierać małże, organizować nocne wycieczki z kempingu i odbywać budzące grozę przejażdżki dla starszych dzieci w wesołym miasteczku w czasie karnawału – wyliczyła. – I miał taką rozmarzoną minę, gdy już zasypiał. Ale zanim zasnął, otworzył oczy i spytał: – Mamusiu, a co będzie, jeśli tata nie zechce być moim tatą, bo ma już inną rodzinę i dzieci?

Henry wziął ją za rękę.

– A ty mu odpowiedziałaś: „Charlie, synku, nie chcę, żebyś się czymkolwiek smucił. Każdy, kto cię pozna, jest tobą zachwycony” – snuł domysły.

June spozjrzała na niego. Żałowała, że nie może rzucić mu się w ramiona i tak trwać.

– To właśnie mu powiedziałam. Boże, Henry, będziesz kiedyś wspaniałym ojcem – oznajmiła z podziwem.

Uśmiechnął się.

– Ja? Może kiedyś – potwierdził.

Henry z dzieckiem lub dwójkiem dzieci? Owszem. Łatwo mogła sobie wyobrazić, jak z synkiem i córeczką łowi ryby, zbiera małże, szuka ślimaków morskich oraz muszli i przechadza się po lesie. Nie potrafiła natomiast wyobrazić sobie Johna Smitha z dziećmi. W jej umyśle pozostał wędrowcem z plecakiem na ramionach i mapą w ręku, kimś, kto się nigdzie nie osiedla. Skoro jednak pomyliła się w tylu sprawach, mogła równie dobrze przyjąć, że ten mężczyzna ma żonę i dzieci i nie interesuje go siedmioletni syn, o którego istnieniu nie wie, spędzony w czasie dwudniowego pobytu w Nowym Jorku. Przeszył ją dreszcz. Co będzie, gdy odnajdzie Johna Smitha i okaże się, że sobie tego nie życzył? – zastanawiała się. – Co, jeśli Charlie poczuje się tym zraniony bardziej niż nieznajomością własnego ojca?

„Możesz otworzyć puszkę Pandory”, powiedziała jej ciotka. Możliwe, że miała rację. Ale June nie chciała uczyć Charliego myślenia: Co by było, gdyby. Uważała, że tajemnice należy wyjaśniać, a od strachu się uwalniać. Postanowiła dalej poszukiwać ojca Charliego, a to, co się wydarzy, uznać po prostu za dalszy ciąg... życia. Może John Smith spojrzy na nią, podbiegnie do niej i powie, że przez te wszystkie lata też jej poszukiwał i ucieszy się z posiadania syna? To mogło się zdarzyć.

– Może w pewnym momencie po prostu będę musiała przerwać poszukiwania – powiedziała do Henry’ego. – I pogodzić się z sytuacją, jak uważa ciotka Lolly. Trzeba umieć akceptować fakty, jeśli nawet są straszne.

– Jeszcze nie doszłaś do takiego momentu – odparł Henry. – Teraz poszukujesz tego mężczyzny i masz ku temu powód. Pomogę ci, jak tylko będę mógł. – Nakrył jej dłoń swoją, uśmiechając się w taki sposób, że poczuła większą pewność siebie i przypomniała sobie, jak przed siedmiu laty gapiała się na niego i nie pamiętała połowy z tego, co do niej mówił. Po chwili dodał: – Jeśli dobrze pamiętam, studiował w Colby. Możemy tam pojechać i sprawdzić, czy mają

adres jego rodziców. W tym samym czasie co on studiowało tam pewnie stu Johnów Smithów, ale wątpię, by jeszcze któryś pochodził z Bangor w stanie Maine.

Usłyszawszy tę propozycję, June wyjaśniła Henry'emu, że gdy przed siedmiu laty tam zadzwoniła, niczego się nie dowiedziała. Usłyszała:

– W żadnej sytuacji nie możemy udzielić informacji na temat personaliów naszych studentów, byłych i obecnych, dopóki nie poświadczą, że otrzymali dokumenty ukończenia naszej uczelni... Przykro mi.

– A gdy wpisałam do wyszukiwarki Google: John Smith, Colby, Bangor, otrzymałam ponad trzysta dwadzieścia dziewięć tysięcy wyników – oznajmiła.

– Może jest coś, jakiś drobiazg, którego nie pamiętasz, a który mógłby skierować cię w inną stronę – podsunął jej Henry, odgryzł kęs kanapki i odpędził piękną ważkę.

Przed kilkoma dniami Isabel i Kat powiedziały jej to samo – że być może jest coś, o czym June nie pomyślała. Isabel zaproponowała jej, by opowiedziała wszystko, co zapamiętała z tamtych dwóch nocy, bo może pojawi się coś, co rozjaśni im sytuację. Usiadły więc któregoś wieczoru we trzy przy kuchennym stole, popijały mrożoną herbatę, jadły bułeczki *scone* i słuchały cykania świerszczy za oknem, a June drobiazgowo opowiadała swoją historię. Zwierzyła się z tego, co poczuła, gdy zdała sobie sprawę, że ten piękny chłopak się w nią wpatruje – z sympatią, w skupieniu, z zainteresowaniem. I z tego, jak rozmawiali o Maine, jak jej powiedział, że na wieczorze literackim poświęconym Stephenowi Kingowi miał zaszczyt uścisnąć dłoń pisarzowi, i jak wyznał, że June jest bardzo piękna, jako jedyny mężczyzna w życiu. Opisała im jego twarz i sylwetkę, bardzo wysoką i szczupłą, jak u bejsbolisty. Isabel wszystko notowała. Jednak w trakcie tej opowieści June uświadomiła sobie, że już nie potrafi tak jak kiedyś wyobrazić sobie Johna. Bardzo długo pamiętała jego szmaragdowe oczy i liczbę pieprzyków na prawym udzie, które układały się w kształt Wielkiego Wozu. Teraz natomiast w jej umyśle jego twarz zlała się z uroczą twarzyczką Charliego, oczy ze szmaragdowymi oczami synka, a pieprzyki z pieprzykami chłopca, podobnie jak opadające na czoło ciemne proste włosy. Nadal dobrze pamiętała, co John do niej powiedział, lecz rysy jego twarzy zaczęły się w jej pamięci zacierać.

Znowu miała poczucie pozornej straty, straty... czegoś, co właściwie nie istniało. Może rzeczywiście John ma teraz rodzinę? Może nie powita z zadowoleniem tej rewelacji sprzed siedmiu lat? Może to, może tamto, ale ona go odnajdzie dla Charliego, bo dawno temu przestała myśleć o sobie i swojej miłości. Nie zrezygnowała natomiast z realizacji marzenia syna.

Z księgarni wybiegła Bean i zawołała:

– Słuchajcie, to okropne, że muszę zepsuć wam lunch, ale właśnie przyjechał autobus z wycieczką i do sklepu weszło chyba ze trzydzieści osób!

Gdy pozbierali puste opakowania i butelki i wracali pomostem do księgarni, Henry położył rękę na jej ramieniu, czym naprawdę dodał jej otuchy.

June wróciła do pensjonatu o ósmej trzydzieści wieczorem. Poczula w holu zapach popcornu. Przez cały dzień w księgarni panował taki ruch, że zapomniała o dzisiejszym wieczorze filmowym.

– Och, jesteś, June – powitała ją w przedpokoju Lolly, trzymając w dłoniach wazon ze świeżymi kwiatami. Postawiła je na stole i dodała: – Już myślałam, że nie wrócisz po tym pierwszym dniu pracy. Jak było?

– Był straszny ruch. Wszyscy przychodzili po książki, żeby mieć co czytać na plaży – odparła i dodała w myślach: a Marley Mathers powiedziała Pauline Altman, by przestała zadzierać nosa, czym sprawiła mi wielką przyjemność.

Uśmiechnęła się, ale kiedy tylko uświadomiła sobie, że prawdopodobnie Marley siedzi

teraz w domu sama i zamartwia się, czytając *Czego możesz się spodziewać, gdy spodziewasz się dziecka* i nie mając z kim o tym porozmawiać, spoważniała. Postanowiła zdobyć jej numer telefonu.

– Czy mogłybyśmy przez chwilę porozmawiać w moim gabinecie? – spytała ciotka.

O rany. June miała nadzieję, że Lolly nie ma jej do przekazania żadnej złej wiadomości. Przez ostatnie dwa dni ciotka czuła się wyczerpana chemioterapią. Gdy dziś rano Isabel przyszła do jej sypialni zmienić pościel, znalazła na poduszkach kosmyki włosów. Niebieskie oczy Lolly nadal były błyszczące i przejrzyste, ale nietypowo podkrążone, a na policzkach chyba miała wypieki.

June podążyła za nią do małego kwadratowego gabinetu, którego ściany były ozdobione zdjęciami pensjonatu – pięknymi czarno-białymi i kolorowymi widokami nagromadzonymi od czasu jego wybudowania, a także fotografiami członków rodziny, przedstawicielami kolejnych pokoleń krewnych siostr Allie i Lolly. Była na nich również młoda zdrowa Lolly. June skupiła uwagę na fotografii ukazującej ciotkę w bikini i z fryzurą z lat siedemdziesiątych. Co głosiło porzekadło? Że dni zamieniają się w lata, ale lata w minuty.

– Dobrze się czujesz? Dowiedziałaś się czegoś od swojego lekarza? – spytała ją June. Ciotka zamknęła za nią drzwi.

– Nie, nie, nie o to chodzi – zaprzeczyła. – Uznałam po prostu, że powinnam cię o coś spytać... Pearl wybrała na dzisiejszy wieczór filmowy *Mamma Mia!*, bo ten film bardzo podnosi na duchu i rozwesela, ale jeśli uważasz, że dotyka spraw zbyt osobistych, to wybierzemy inny, na przykład *To skomplikowane*.

Mamma Mia!? June nie widziała tego filmu, ale słyszała o nim. Meryl Streep gra rolę samotnej matki mieszkającej w pięknej starej willi w Grecji z dwudziestoletnią córką, która właśnie wychodzi za mąż za młodego przystojniaka. Dziewczyna nigdy nie poznała tożsamości ojca, więc po cichu zaprosiła na swój ślub trzech mężczyzn, o których przeczytała w pamiętniku matki, w nadziei, że prawda wyjdzie na jaw. June nie pamiętała, czy sprawa się wyjaśniła, czy też nie.

– Ciociu, dziękuję, że troszczysz się o moje uczucia – odpowiedziała jej June i pocałowała ją w policzek. – Naprawdę nie mam nic przeciwko obejrzeniu dziś tego filmu. Może nauczy mnie pracy detektywa lub podpowie, jak odnaleźć pewnego mężczyznę?

Zamierzała spędzić ten wieczór przy komputerze na poszukiwaniu przez internet Johnów Smithów, w nadziei, że znajdzie jakąś informację, cokolwiek, co doprowadzi ją do mężczyzny, którego kiedyś znała, ale perspektywa obejrzenia filmu i dzięki temu zapomnienia na dwie godziny o rzeczywistym świecie była bardzo zachęcająca.

Ciotka wzięła ją za rękę, jakby chciała zachować na dłużej serdeczność i bliskość ich obecnych relacji, lecz w tym momencie Kat zawołała matkę i Lolly ruszyła do drzwi. June po raz ostatni spojrzała na zdjęcie ciotki w bikini. Najwyraźniej ludzie mieli w swoim życiu różne fazy.

– Niech to będzie po prostu faza – szepnęła do siebie. – Faza z nowotworem złośliwym.

Pamiętasz, jak Lolly się leczyła, gdy zachorowała na raka? – spyta po latach Isabel, gdy z okazji Święta Dziękczynienia ciotka poda członkom rodziny jeden ze swoich fantastycznych tradycyjnych obiadów.

Nie sądziłam, że którakolwiek z nas przejdzie zwycięsko przez ten okres – odpowie jej siostra i podziękują sobie nawzajem jak członkowie rodzin oglądanych w telewizji i na filmach, przynajmniej czasami.

Gdy weszła za ciotką do salonu, zastała tam Isabel, Kat, Pearl i dwie starsze spowinowaczone ze sobą wczasowiczki wdowy – siostrę i żonę pewnego mężczyzny. Lolly przedstawiła je jako Frances Mayweather i Lenę Haywood. Obie zachwycały się fantastycznym

wzorem z lukru, którym Kat udekorowała każdą z upieczonych przez siebie babeczek.

June nałożyła sobie na talerzyk jedną z tych czekoladowych babeczek z białym lukrem, nalała do szklanki mrożonej herbaty i usiadła obok Isabel na dwuosobowej kanapie. Nagle zdała sobie sprawę, że w salonie jest to teraz „ich miejsce”. Nie była pewna, czy dotychczas w ogóle miała swoje miejsce w pensjonacie, zwłaszcza takie, które dzieliłaby z siostrą.

– Wszyscy gotowi? – spytała Lolly, włożyła płytę DVD do odtwarzacza i usiadła obok Pearl na kanapie z pilotem w ręku.

Kat podniosła się z pufa i zgasła światło.

– Wygląda na to, że tak – odpowiedziała.

– Gdzie to jest? We Włoszech czy w Grecji? – spytała Pearl, gdy film rozpoczął się widokiem pięknego niebieskiego Morza Egejskiego i pobielonej wapnem willi stojącej na klifie nad plażą.

– W Grecji – odrzekła Lolly, kładąc garść popcornu na rozłożonej na kolanach serwetce.

– To jest kolejna rzecz, którą tak uwielbiam w filmach – że można podróżować do tylu pięknych interesujących miejsc bez ruszania się z salonu.

– Chwileczkę... Meryl potrafi też śpiewać? – zdziwiła się June, gdy grana przez aktorkę, krzątająca się po swojej willi na greckiej wyspie, Donna Sheridan zaczęła wyśpiewywać na cały głos zabawną piosenkę o tym, jak to nigdy nie mamy dość pieniędzy. – To wydaje się wręcz nieprzyzwoite, że ta kobieta jest tak utalentowana.

– Właśnie przypomniałaś mi, że koniecznie musimy obejrzeć *Pocztówki z nad krawędzi* – powiedziała Lolly. – Na końcu tego filmu Meryl śpiewa bardzo dobrą piosenkę. Byłam pewna, że to słynna piosenkarka country.

– Poczekajcie, aż usłyszycie w *Mamma Mia!* śpiewającego Pierce’a Brosnana, który gra tu rolę Sama Carmichaela – oznajmiła ze śmiechem Kat. – Widziałam ten film dość dawno temu, ale pamiętam, że ma głos, jakby znajdował się pod wodą.

Film rzeczywiście podnosił na duchu, zgodnie z tym, co powiedziała Lolly. June zastanawiała się, jak mogła do tej pory go nie obejrzeć. Oczywiście znała odpowiedź na to pytanie. Konieczność wynajęcia na czas wyjścia do kina opiekunki do dziecka i jego koszt w sytuacji, gdy cena popcornu, napoju gazowanego i miętowych drażetek w czekoladzie Junior Mints przewyższała cenę biletu, oznaczały, że musi czekać, aż filmy, które chce obejrzeć, trafią na ekrany telewizorów.

Była zaskoczona, że Donna Sheridan nie wie, który spośród trzech mężczyzn zaproszonych w tajemnicy przed nią na wesele przez jej córkę Sophie, graną przez Amandę Seyfried, jest ojcem dziewczyny. Najwyraźniej powiedziała przyjaciółom i członkom rodziny, że ojcem Sophie jest jeden z nich, ale zataiła, że nie wie który, bo gdy Sam Carmichael złamał jej serce, natychmiast związała się z następnym mężczyzną, a potem jeszcze z jednym.

– Trzech kochanków w tym samym tygodniu! – mruknęła pod nosem jedna z wczasowiczek, kręcąc głową.

June i Isabel wymieniły spojrzenia i uśmiechnęły się. June była bardziej skupiona na śledzeniu więzi łączącej Donnę z jej piękną córką, obdarzoną głosem dorównującym anielskiej urodzie. Choć Sophie wychowała się bez ojca, sprawiała wrażenie pewnej siebie i szczęśliwej i znalazła wspaniałego chłopaka, za którego miała wyjść za mąż. To był tylko film, ale podzielał na June krzepiąco. Uznała, że Charlie też wyrośnie na pewnego siebie i szczęśliwego chłopaka i znajdzie wspaniałą dziewczynę, z którą się ożeni. Uważała jednak, że Sophie i jej narzeczony, mając zaledwie po dwadzieścia lat, byli stanowczo za młodzi na małżeństwo.

Gdy Sam, domniemany ojciec Sophie, którego gra jeden z najprzystojniejszych mężczyzn na świecie, jak uważała June, spytał dziewczynę o jej plany życiowe po wyjściu za mąż,

odpowiedziała mu, że zostanie z matką i będzie jej we wszystkim pomagała. Czy rzeczywiście nie chciała wyjechać z wyspy i poznać świata? Rozwijać swojego talentu artystycznego?

June zerknęła na Kat, zastanawiając się, czy kuzynka kiedykolwiek rozważała wyprowadzkę z Gospody Trzech Kapitanów. Jeśli Kat i Oliver się pobiorą, co, jak sądziła, było im pisane, to z pewnością będą chcieli zamieszkać we własnym domu. Jednak może się też przydarzyć, że zamieszkają w dużym pokoju Kat na poddaszu i uwolnią Lolly od jej obowiązków, a w każdym razie przejmie je po matce Kat. June zauważyła, że gdy Sophie odpowiedziała Samowi, iż pozostanie w willi, bo jest potrzebna matce, wyraz twarzy kuzynki się zmienił. Może Kat nie wyprowadziła się stąd dlatego, że uważała tak samo jak ta dziewczyna? A może mimo wszystko postanowiła mieć własną cukiernię i już na ten cel odłożyła pieniądze? To ostatnie oznaczałoby, że zostawi tu Lolly samą. Mogło też być tak, że teraz z powodu diagnozy lekarskiej, jaką postawiono jej matce, Kat uznała, że musi mieszkać w pensjonacie do końca życia. June przypomniała sobie, jak kuzynka zeszywniała, gdy Sam powiedział Donnie, że jej córka po wyjściu za mąż chce pozostać na wyspie, bo nie wyobraża sobie, żeby matka została sama. Oglądając tę scenę, Kat zagryzła wargi i stuknęła w babeczkę, której jeszcze nawet nie wyjęła z papierowej foremki.

June spojrzała na Lolly śmiejącą się z czegoś, co szeptała jej do ucha Pearl.

– Uwielbiam tę piosenkę! – wykrzyknęła Isabel, gdy zaczęli śpiewać *S.O.S* i wraz z nimi nuciła ją pod nosem.

Dołączyła do niej Lolly, co wszystkie zaskoczyło, i nagrodziły ten występ brawami, z wyjątkiem wczasowiczek, które ją uciszały.

June również nuciła pod nosem, ale jej nastrój się pogorszył, gdy Sophie powiedziała, jakie to jest „okropne” nie znać tożsamości własnego ojca. Dotychczas dziewczyna go nie miała, a teraz pojawiło się aż trzech kandydatów na tatusia.

– Na litość boską, to jest prawo przysługujące każdemu z urodzenia, żeby znać własnego ojca! – oburzyła się Frances Mayweather.

Isabel spojrzała na nią z krzywą miną i oznajmiła:

– Podoba mi się to, co powiedział do Sophie jej narzeczony, że ona nie „odnajdzie siebie” dlatego, że odnajdzie ojca, lecz dzięki temu, iż odkryje, kim jest.

– Uważam, że słusznie – szepnęła do niej Lolly.

Frances Mayweather głośno przeżuła popcorn, jakby na znak protestu. Następnie prychnęła, gdy Sophie z zadowoleniem oznajmiła, że nie musi wiedzieć, który spośród mężczyzn jest jej ojcem, bo każdy z nich nim jest, a poza tym ona i jej narzeczony rezygnują z wzięcia ślubu i decydują się na wyjazd z wyspy i poznanie świata. Jednak przygotowania do ślubu nie poszły na marne, gdyż w zamian Donna wyszła za mąż za Sama. Stanowili wspianą parę.

– To jest szczęśliwe zakończenie – uznała June. – Donna wiąże się ze swą pierwszą miłością. To pozwala mi myśleć, że jest dla mnie nadzieja. – Po tych słowach roześmiała się, choć wypowiedziała je ze śmiertelną powagą.

– Baraszkowanie z trzema mężczyznami – zaczęła Frances, odgryzając kęs babeczki. – I niewiedza o tym, kto jest ojcem własnego dziecka. Czy to celebruje się w tym filmie? Mówiąc szczerze, jestem nim przerażona.

– Proszę cię, Franczy, to tylko film – perswadowała jej szwagierka.

Lolly napiła się mrożonej herbaty i odstawiła szklankę zbyt energicznie, co zwróciło uwagę June.

– Podoba mi się, że przyjęłaś perspektywę tej dziewczyny – poparła siostrzenicę. – Sophie radziła sobie całkiem dobrze, nie znając ojca. Najwyraźniej Donna wychowała ją właściwie.

Dziękuję, Lolly – powiedziała w myślach June.

– Mimo to – zaczęła swoje Frances – w moich czasach kobieta nie sypiała z mężczyzną, dopóki nie został jej mężem. Dlatego wiedziała, kto jest ojcem jej dziecka. W dzisiejszych czasach kobiety tak rozpaczliwie pragną zwrócić na siebie uwagę mężczyzn, że się im oddają. A potem rodzi się biedny dzieciak i grzęźnie bez ojca.

June omal nie zakrztusiła się herbatą.

– Ależ ta dziewczyna wydawała się doskonale przystosowana do życia – zaoponowała Kat i zacisnęła zęby.

June sądziła, że gdyby Frances Mayweather nie była po siedemdziesiątce, Kat dla jej dobra pouczyłaby ją o niestosowności takiego zachowania.

– Tak doskonale przystosowana, że zaręczyła się w wieku dwudziestu lat, bo dorastając u boku matki hipiski, potrzebowała przewodnictwa mężczyzny – nie ustępowała Frances.

– To nie tak – powiedziała Lolly najuprzejmiej, jak potrafiła, z tego względu, że kobieta była gościem w jej pensjonacie. – Sophie się zaręczyła, bo była zakochana. A gdy ktoś jest tak zadurzony jak ona, świętuje to.

Dziękuję jeszcze raz, Lolly – powiedziała w myślach June. Uhm. Lubiła tę nową, udzielającą wsparcia Lolly Weller, ale nienawidziła tego, co być może tkwiło u podstaw jej przemiany.

– Ona ma dwadzieścia lat – prychnęła znowu Frances Mayweather. – Nic nie wie o miłości. Ja wyszłam za mąż w wieku trzydziestu lat, stosunkowo późno, przyznaję, ale kochałam mojego Paula, brata Leny, niech spoczywa w pokoju, bo to był dobry człowiek i odpowiedzialna głowa rodziny, a poza tym miał doskonale maniery. Przez czterdzieści jeden lat pracował w IBM. Zawsze wstawał, gdy wchodziłam lub wychodziłam z pokoju. Wiedziałam, co to znaczy miłość.

– A ja zakochałam się w mężczyźnie w wieku dwudziestu jeden lat – oznajmiła June, wpatrując się w swoją babeczkę, na którą straciła apetyt. – On też miał doskonale maniery. Zakochałam się w nim w ciągu godziny. Czasami po prostu się to wie.

Frances spojrzała na nią z góry, mimowolnie eksponując spiczasty nos.

– Moja droga, nie można się zakochać w ciągu godziny – oświadczyła. – To się nazywa romans i pożądanie. Mężczyzna pójdzie do łóżka z każdą kobietą, która będzie dla niego atrakcyjna i nowa. To dlatego mężczyźni korzystają z usług prostytutek. A ci wszyscy politycy przyłapani z drogimi *call girls*? O to w tym chodzi. Tego nie można nazwać miłością. Dlatego żony ich nie zostawiają. Wiedzą, na czym polega różnica.

Tym razem June zakrztusiła się herbatą.

Isabel wstała, pobrzękując złotymi bransoletkami.

– A wiecie, co ja uważam? Że ludzie robią to, co robią, z miliona różnych powodów. Dlatego osądzanie innych, kiedy nie wie się nic o ich życiu, historii i sytuacji, jest niewłaściwe – ripostowała.

– Powiedziała wystrojona dziewczyna, która nie miała żadnych zmartwień – mruknęła Frances do swojej szwagierki, najwyraźniej przez nią zdominowanej.

– Właśnie całkiem niedawno odkryłam, że mój mąż ma romans – oznajmiła Isabel, opierając dłonie na biodrach. – Przyłapałam go w łóżku z inną kobietą.

– Całe to publiczne pranie brudów jest niestosowne – powiedziała na to Frances i wstała. – Wymeldujemy się jutro, dzień wcześniej. I oczekuję, że nie zostanie od nas pobrana opłata za jeden dzień.

– Och, nie – jęknęła Lolly, krzyżując ręce na piersiach. – Będziemy zadowolone z wyjazdu pań.

Frances otworzyła szeroko swe paciorkowate oczy ze zdumienia, złapała szwagierkę za rękę i ruszyła do drzwi. Ale zanim tam doszły, rzuciła:

– Mimo to oczekuję śniadania zgodnego z moim zamówieniem za piętnaście ósma: jajek w koszulkach na lekko opieczonym pszennym chlebie i sałatki owocowej. To samo ma być dla Leny, z tym że tost nie musi być opieczony.

– Dobranoc – powiedziała Lolly i przewróciła oczami, gdy wczasowiczki wyszły z salonu i powłócząc nogami, ruszyły po schodach na górę.

Wszystkie spoglądały na nią z respektem, zszokowane tą reakcją.

– Dobra robota, mamó – pochwaliła ją Kat i przybiła z nią piątkę.

Lolly wydawała się zadowolona z tej pochwały, ale zmienił się wyraz twarzy Kat. June sądziła, że wie, co trapi kuzynkę, że to samo nie dawało jej spokoju przed kilkoma minutami. Po prostu Lolly w nietypowy dla siebie sposób powiedziała komuś, żeby się wypchał, choć oczywiście nie użyła tych słów. Prawdopodobnie był to jej łabędzi śpiew.

– June, nie słuchaj tej starej wiedźmy – odezwała się Pearl również w niepodobny do niej sposób. – Jeśli połączyło cię z Johnem coś wyjątkowego nawet po godzinie znajomości, to ta wiedza jest dla ciebie wystarczająca.

June przesunęła ćwiartkę cytryny na krawędź szklanki i patrzyła, jak wpada do herbaty.

– Dziękuję, Pearl, ale w pewnym sensie ona ma rację – uznała. – To nie w porządku, że Charlie nie poznał swojego taty z powodu wyboru, jakiego dokonałam.

– June Jennifer Nash, uspokój się natychmiast – ofuknęła ją Isabel. – To okoliczności spowodowały, że Charlie nie zna ojca.

June była bardzo zaskoczona tym, że siostra użyła dwóch jej imion i nazwiska, jak kiedyś robiła ich matka, gdy chciała być wysłuchana, a także tym, że tak jej broniła. Potrafiła tylko uścisnąć dłoń Isabel i wymamrotać:

– Dziękuję.

Może jej historia z Johnem skończy się tak samo jak historia Donny i Sama? Może rozdeleni przez okoliczności odnajdą do siebie drogę? To było możliwe. W ubiegłym tygodniu June przeczytała artykuł w gazecie o parze, którą rozdzieliła druga wojna światowa, a która związała się ponownie po czterdziestu dwóch latach, mając za sobą rozwody i wdowieństwo.

– Jeśli połączyło nas coś wyjątkowego – zaczęła – i byłam dla niego kimś więcej niż tylko „atrakcyjną i nową” dziewczyną, to dlaczego mnie zostawił? – Poczuli w oczach łzy. – Dlaczego sprawił, że uwierzyłam w jego piękne opowieści, a potem zniknął, jakby to nic nie znaczyło, jakby w ogóle się nie liczyło? – Bo dla niej się liczyło, i to pod wieloma względami, a najważniejszy był w tym wszystkim Charlie.

Lolly usiadła obok June i ją objęła.

– Stracił wspaniałą osobę – powiedziała.

June była tak poruszona tymi słowami, że przez chwilę nie mogła mówić.

– Dziękuję, ciociu – szepnęła w końcu. Nie pamiętała, żeby w ciągu siedmiu minionych lat Lolly powiedziała jej coś takiego. Oparła głowę na poduszkach i dodała: – Zawsze sądziłam, że mnie szuka, myśli o mnie, o tym, gdzie jestem i że mnie znajdzie. Łatwo mnie znaleźć. Byłam na uczelni jeszcze przez dwa miesiące po tym, jak się zorientowałam, że jestem w ciąży. I dołączyłam do swoich akt informację, że gdyby ktoś chciał się ze mną skontaktować, znajdzie mnie tu. Podałam też swój mejl, numer telefonu itd. Byłam idiotką, jak powiedziała Frances Mayweather, czy jak tam się ona nazywa.

– Zignoruj tę jędzę – oznajmiła Isabel. – Przez całe życie będziesz spotykała takich ludzi. Musisz ich spławiać. Dlaczego miałabyś przywiązywać wagę do tego, co myśli o tobie ktoś obcy?

– Istotna uwaga – podchwyciła June. – Potępiłam się już wystarczająco za to, co zrobiłam. Kto by się przejmował starszymi paniami?

Isabel z przekonaniem skinęła głową.

– Masz rację – poparła ją. – Przykro mi, June, z powodu tego wszystkiego, co przeszłaś. Przykro mi, że John cię zranił. Przykro mi, że stracił Charliego.

June spojrzała na nią i uznała, że siostra rzeczywiście mówi to, co myśli.

– Nie potrafię wam powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczy wasze wsparcie. Jesteście takie pomocne – wyznała.

– Masz nasze wsparcie – potwierdziła Kat. – Bez dwóch zdań.

Będąc z tymi kobietami, June poczuła się silniejsza: z siostrą nieoczekiwanie zachowującą się jak siostra, z ciotką przejawiającą nagle uczucia macierzyńskie i z kuzynką zaczynającą jej okazywać prawdziwą przyjaźń. Odetchnęła z ulgą, czując wobec nich wielką wdzięczność. I pomyślała o Marley – żeby ze swoją tajemnicą i książką miała dziś z kim porozmawiać.

Rozdział 9

Kat

Wczesnie rano w sobotę Kat wyszorowała łazienkę na drugim piętrze (nie znosiła tego zajęcia), zdjęła żółte gumowe rękawice, wzięła długi gorący prysznic i udała się do kuchni, żeby upiec muffiny (sześć tuzinów – z żurawiną, z borówkami amerykańskimi, z kawałkami czekolady i z kukurydzą) i bułeczki *scone* (cztery tuziny – z mieszanką owoców miękkich, z białą czekoladą i z malinami) dla swoich klientów w mieście. Po takiej pracy kilka godzin pieczenia było dla niej jak regenerująca drzemka. Dotyk mąki przesypującej się między palcami, ciepłego i podatnego ciasta, które słodko pachniało, kawałków czekolady i owoców zawsze podnosił ją na duchu, jak jej matkę oglądanie filmów, Isabel zabawa z bezpiecznym psem, którego przysparzała, a June trzymanie na kolanach synka podczas posiłków.

Kat sprawdziła listę zamówień i zdała sobie sprawę, że ma również upiec tort urodzinowy (tory kolejowe z pociągiem dla trzyletniego Maxa) na drugą po południu. Gdy rozstawiła duże srebrne miski do mieszania składników i sięgnęła po woreczek z mąką, stwierdziła, że ma jej za mało. Co prawda, wystarczająco dużo na tort, ale stanowczo za mało na dziesiątki muffinów i bułeczek *scone*, które musiała upiec dziś rano. Ostatnio była trochę rozkojarzona. Miała tego świadomość. Krążąc w świąteczny weekend między matką, Oliverem i kuzynkami, zapomniała dopisać do listy zakupów mąkę, a także, jak teraz sprawdziła, czekoladę.

Wyprowadziła z szopy rower i pojechała na targ dłuższą drogą, chcąc ominąć biuro Olivera. Kiedy wczoraj wieczorem po dyskusji na temat *Mamma Mia!* zadzwoniła do niego z wiadomością, że nie przyjedzie, bo zrobiło się późno i czuje się zmęczona, a jutro ma przed sobą cały dzień pieczenia, spytał ją wprost, czy go unika. Przez cały tydzień nie znajdowała dla niego czasu, a mieli coś naprawdę spektakularnego do świętowania i rozmawiania o tym. Niestety, o wszystkim zapomniała. „Raczej nie”, odpowiedziała. Jak mogłaby go unikać? A jednak, jak przypuszczała, unikała go, lecz się do tego nie przyznawała. Po prostu potrzebowała więcej czasu na to, by się zorientować, co naprawdę do niego czuje. Tylko jak mogła mu to powiedzieć, nie raniąc go jeszcze bardziej?

Poprosił, żeby zapisała adresy oraz informacje dotyczące warunków dzierżawy, bo znalazł trzy lokale odpowiednie na cukiernię. Wówczas Kat przypomniała mu, że nie jest jeszcze gotowa na realizację tego projektu, a on zaczął jej robić wyrzuty, że niesłusznie odkłada wszystko na później.

– Dlaczego kłócę się z tobą na temat mojego biznesu? – warknęła. Gdy nie odpowiedział, uznała, że go obraziła, i wyjaśniła: – Mam na myśli sprawę cukierni. Nie chcę być ponaglana, Oliverze.

– Ja cię nie ponaglę, Kat, tylko ci pomagam – odpowiedział.

Chyba żałowała, że nie było go u niej wczoraj wieczorem na projekcji *Mamma Mia!*, bo mógłby się dowiedzieć, że nawet w dniu ślubu młoda para może z niego zrezygnować. Bohaterowie filmu pozostali ze sobą, ale dali sobie nawzajem czas, żeby dorosnąć zarówno indywidualnie, jak i jako para. Czy właśnie tego chciała? Więcej czasu?

W trakcie filmu czuła na sobie spojrzenia kuzynek i, co gorsza, matki! Ale jeśli nawet Lolly Weller zastanawiała się, czy Kat, podobnie jak Sophie, niezmiennie uważa, że powinna

pozostać w Boothbay Harbor i w pensjonacie, ponieważ matka jej potrzebuje, nigdy córki o to nie spytała. Nie zrobiłaby tego, bo to nie było w jej stylu. Matka zawsze wierzyła w to, co ludzie mówią i robią. Zatem skoro Kat nie wyjechała z Boothbay Harbor, to zdaniem matki dlatego, że nie chciała. Czasami Kat żałowała, że Lolly Weller nie jest jedną z tych wścibskich osób, które wtykają nos w nieswoje sprawy. Czuła się zawiedziona, że matka nie zadaje pytań i nie draży tematu w poszukiwaniu możliwej prawdy. Rodzice wychowali ją tak, by mówiła to, co myśli, ale tyle spraw było przemilczanych. Z pewnością matka powinna mieć tego świadomość. Teraz jednak czuła się bardzo źle. Była wyczerpana, męczyły ją mdłości i traciła włosy. Jeśli Kat miała matce coś do powiedzenia, jeśli chciała, by ta się o czymś dowiedziała, po prostu musiała jej o tym powiedzieć, nie czekając, aż Lolly Weller zacznie czytać w cudzych myślach i rozpoznawać cudze uczucia.

Gwałtownie skręciła, żeby nie najechać na szarego kota, który niespodziewanie wybiegł na jezdnię. Gdy zbliżyła się do niewielkiego frontu sklepu na Violet Place, z wywieszką DO WYNAJĘCIA w panoramicznym oknie, serce jej podskoczyło. Na tej bocznej uliczce były tylko zakład szewski, salon masażu reiki i czytania aury oraz kancelaria prawnicza, a rosły tam piękne drzewa i stały wielkie żardiniery z niecierpkim balsaminą. Poza tym każdy z tych punktów był w uroczy sposób staromodny, gdyż wszystkie musiały mieć podobne markizy, odpowiadające dawnemu rozporządzeniu władz miejskich. Nawet kancelaria prawnicza wyglądała tu zachęcająco. W tym miejscu Kat potrafiła sobie wyobrazić cukiernię pod szyldem „Ciasta i wyroby cukiernicze Kat”.

Zsiadła z roweru, oparła go o latarnię i zajrzała przez okno do sklepu, który był do wynajęcia. Wnętrze okazało się małe. Miejsca było w nim zaledwie na postawienie lady i oszklonej gabloty. Za to widoczne przez wspaniałe łukowe przejście z cegły pomieszczenie z tyłu wydawało się wystarczająco duże na wygodną kuchnię. Kat podobało się, że długa ściana sklepu jest ceglana, pozostałe pomalowane na morelowo, a podłoga z terrakoty w ciepłym brązowym kolorze. Wyobraziła sobie wymalowany na szybie wielkiego okna napis: „Ciasta i wyroby cukiernicze Kat”.

Przed kilkoma miesiącami Oliver pokazał jej ten sklep. Od chwili, gdy pół roku temu zaczęli się umawiać na randki, zachęcał ją do otwarcia cukierni, proponując pożyczkę na rozruch biznesu i zapewniając Kat, że odniesie sukces. Jednak to nie brak pieniędzy powstrzymywał ją przed podjęciem decyzji. Mogła dostać potrzebny jej kredyt, gwarantowany dzięki uczestnictwu zeszłego lata w seminarium *Rozpocznij działalność biznesową w miejscu zamieszkania*. Właściwie nie wiedziała, co ją powstrzymuje. Może to, że gdyby otworzyła cukiernię, nie mogłaby zajmować się pensjonatem w sytuacji, kiedy matka rzeczywiście potrzebowała jej pomocy? Ale Kat nie traktowała tego jako powodu pozostania w pensjonacie. Po prostu w tej chwili nie mogła zostawić matki samej, nawet gdyby chciała.

Może kiedyś? – pomyślała, spoglądając po raz ostatni na front sklepu. – Tylko nie teraz. Wsiadła na rower i pojechała do spożywczego.

W drodze powrotnej do domu, z koszykiem na bagażniku roweru wyładowanym mąką i czekoladą, spostrzegła doktora Violę, lekarza rezydenta na onkologii, zajmującego się jej matką. Wylegiwał się na pomoście przy starej łodzi do połowu homarów. Matteo Viola. Miał piękne imię i nazwisko. Oslonił oczy okularami przeciwsłonecznymi Aviator, ale Kat była pewna, że to on. Ciemne falujące włosy Mattea, nieco za długie jak na lekarza, były nie do pomylenia z żadnymi innymi, podobnie jak podwinięte teraz do kolan zielone robocze spodnie, oliwkowa skóra i wysoka koścista sylwetka, choć jego naga klatka piersiowa wyglądała rewelacyjnie. Kat nie mogła oderwać od niego wzroku. Leżał na końcu pomostu, opierając głowę na plecaku, z jednym kolaniem uniesionym, i czytał książkę.

Stanęła za nim i przeczytała tytuł: *Podręcznik radioterapii onkologicznej*.

– Lekka lektura na plażę, co? – spytała z uśmiechem.

Usiadł i odwrócił się do niej, przesuwając okulary na czubek głowy.

– Och, witam. Mam przyjemność z Kat Weller? – pozdrowił ją i wstał.

Bardzo ją ucieszyło, że zapamiętał jej imię i nazwisko.

Zerknął na jej rower i prawie pięciokilogramowy worek mąki w koszyku.

– Dużo mąki – skomentował.

– Idę na całość, co nie jest dobre dla cukiernika – zażartowała. – Piekę dużo ciast ekstra, bo po prostu mnie to uspokaja. Moja rodzina ma farta. Wczoraj upiekłam cztery placki z nadzieniem. Nawet wiecznie nadąsana nastoletnia wczasowiczka w pensjonacie mojej matki się uśmiechnęła.

On również się uśmiechnął.

– Ja też przez całe życie odnoszę korzyści z pieczenia różnych placków i ciast. Moi rodzice mają tu piekarnię i ciastkarnię. Wiedziała pani o tym? Włoską, na Townsend, obok kwaciarni.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Oczywiście Alonzo i Francesca. Teraz zdała sobie sprawę, że nie знаła ich nazwiska, bo ze wszystkimi byli po imieniu. Serdeczni i przyjacielscy, zawsze częstowali dzieci okrągłymi ciasteczkami. Czasami w pudełku z tymi ciasteczkami można było znaleźć „dekadenckie” cannoli. Specjalizowali się w pieczywie i włoskich ciastkach. Wszyscy kupowali u nich chleb. Na widok cannoli na wystawie ich sklepu nawet Charliemu ciekła ślinka.

– Nie miałam pojęcia, że Alonzo i Francesca to pańscy rodzice. Uwielbiam to miejsce. Czasami kupuję tam te niesamowite ciastka, żeby spróbować odtworzyć w domu ich czarodziejski smak. Niestety, nigdy nie udało mi się upiec eklera takiego jak ten z włoskiej piekarni.

– Czyli jest pani cukiernikiem? W czym pani się specjalizuje?

– Rozpoczęłam ten biznes w Gospodzie Trzech Kapitanów, gdzie mieszkam. Nazywam go „Ciasta i wyroby cukiernicze Kat”. Piekę na potrzeby pensjonatu, ale specjalizuję się w tortach weselnych i wszelkiego rodzaju ciastach oraz babeczkach. Zaczynam być znana z muffinów.

Spojrzeli na wynurzającego się z wody wieloryba, na którego widok wczasowicze stojący na pokładzie statku wycieczkowego zaczęli klaskać i wznosić okrzyki.

– Chętnie bym kiedyś spróbował – zaprosił się. – Proszę powiedzieć, jak mama się czuje?

– Mówi, że dobrze, ale widzę, że wszystko robi znacznie wolniej niż dotychczas, a poza tym kurczowo trzyma się poręczy, gdy schodzi po schodach, co nigdy dotąd się nie zdarzało. I na poduszkach oraz pod prysznicem znajduję jej włosy – poinformowała.

Ze współczuciem skinął głową.

– To wszystko z powodu chemii – wyjaśnił. – A w jakim jest stanie psychicznym?

– W całkiem dobrym – oznajmiła. – Cieszy się, jak sądzę, że ma tu znowu siostrzenice i synka jednej z nich. Członkowie jej rodziny znowu są razem, a raczej to, co z tej rodziny zostało. Myślę, że znaczy to dla niej więcej, niż przypuszczaliśmy.

– Rodzina działa regenerująco – stwierdził. – A ty, Kat? Jak się czujesz? – zwrócił się do niej po imieniu.

– Jest już lepiej. Trzymam się, ale się martwię – oznajmiła i wzruszyła ramionami.

Wiedziała, że potrafi ją pocieszyć. Pomyślała o tym, jak wziął ją za rękę, gdy podczas pierwszej wizyty w szpitalu zaczęła płakać przed salą, w której matka miała zabieg chemioterapii.

– Co powinnam zrobić? – spytała go wtedy.

– Nie ma na to pytanie dobrej odpowiedzi – oznajmił, patrząc na nią w skupieniu. – Może pani płakać, wściekać się, tłumić strach, zrobić każdą cholerną rzecz, jeśli ma pani taką potrzebę.

Po tych słowach poczuła się tak swobodnie, że wybuchnęła płaczem, a on wziął ją za rękę i trzymał, dopóki się nie uspokoiła. Od tego czasu często przyłapywała się na tym, że o nim myśli.

– Czy mogę zadać panu kilka pytań, doktorze Viola? – spytała teraz. – Poważnych pytań, między innymi o to, ile czasu zostało mojej matce. Tak trudno jest otrzymać na nie jednoznaczną odpowiedź.

Usiadł i poklepał łuszczącą się deskę pomostu obok niego.

– Mów mi po imieniu i usiądź obok – zaproponował – Jestem Matteo.

Zdjęła sandały, usiadła na wskazanym miejscu, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Matteo – pomyślała.

– Doktor Samuels powiedział, że mama może mieć przed sobą tygodnie lub miesiące, a nawet rok, że nie da się tego przewidzieć, gdyż chemia może przedłużyć jej życie, choć zarazem ją osłabia – poinformowała go.

Skinął głową.

– Chemia tak działa – potwierdził. – Daje i odbiera. Nie możemy, Kat, dokładnie określić długości życia twojej matki. Możemy tylko starać się uczynić je łatwiejszym.

– Wiem, że możecie powiedzieć tylko to, co wiecie na pewno. Żałuję, że nie potraficie mi poradzić, co mam robić ze zmartwieniem i strachem – oznajmiła.

– Akurat w tej sprawie potrafię ci poradzić, a przynajmniej powiedzieć, co ja robiłem – odrzekł.

Spojrzała na niego.

– Zachorował ktoś z twojej rodziny? – spytała.

– *Mio padre*. Mój ojciec. To z jego powodu postanowiłem poświęcić się onkologii.

Wykryto u niego raka prostaty stosunkowo wcześniej, bo pilnowałem, żeby ojciec robił badania. Tak na wszelki wypadek. Gdy postawiono mu diagnozę, bardzo się przestraszyłem, zwłaszcza że tak dużo wiedziałem.

Kat często zaglądała przez okno do włoskiej piekarni, chcąc zobaczyć, co oferuje, i wchodziła do środka, aby kupić chleb na śniadanie lub jako przysmak dla matki, która uwielbiała maczać dobre pieczywo w oliwie. Alonzo często rozmawiał z klientami i opowiadał im o Włoszech. Nie miała pojęcia, że jest chory.

– Wyszedł z tego, ale codziennie się o niego martwię – ciągnął Matteo. – To dlatego wystarałem się tu o rezydenturę. Mam szczęście, że w Boothbay Harbor jest wspaniały szpital kliniczny.

– Wydajesz się skupiony i spokojny. Nigdy bym się nie domyśliła, że nęka cię taki problem – wyznała.

Uśmiechnął się.

– Ludzie tacy są, co? Stwarzają pozory. Tego wymaga profesjonalizm. Nigdy nie wiadomo, co naprawdę się z kimś dzieje – stwierdził.

Skinęła głową.

– Przekonują mnie o tym moje kuzynki. Parę dni temu poznałeś jedną z nich, Isabel. Kiedyś zupełnie niesłusznie je zaszukowałam – zwierzyła się.

– To jest w życiu niesamowite, że ludzie potrafią nas tak zaskakiwać – oznajmił. – Pozytywnie i negatywnie.

– Wolę to pierwsze – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Ja też – zawtórował jej.

– Co więc zrobiłeś ze swoim zmartwieniem, kiedy twojemu ojcu postawiono diagnozę?

– Staralem się pamiętać, że tu jest i stoi obok mnie żywy, że muszę się skoncentrować na tym i na jego leczeniu, nie zaś na różnych możliwościach czy własnym strachu. I skupiłem się na tym, by mieć go przy sobie. Dałem z siebie wszystko. Na przykład wykupiliśmy bilety na mecze Red Soxów na cały sezon rozgrywek i robiliśmy długie wypadki samochodem, a dla mojej małej siostrzenicy zbudowaliśmy gokarta na pedały. Nie chcę przemawiać tekstem z kartki z życzeniami, ale cieszyliśmy się życiem, zamiast czekać na jego przeciwieństwo. Takie podejście jest dobre nie tylko dla ciebie i twoich kuzynek, lecz także dla twojej matki.

Kat wzięła głęboki oddech, chłonąc jego słowa jak świeże powietrze. Mogłaby tak przesiedzieć cały dzień, rozmawiając z tym młodym lekarzem i czując powiew wiatru we włosach.

Gdy Matteo się odchylił, mimowolnie dotknął jej ręki. Wówczas oboje znieruchomieli i po chwili odsunęli się od siebie w tym samym momencie.

– Muszę już iść – powiedziała Kat i dodała w myślach: zanim rzucę się na ciebie i pocałuję cię jak w filmach. – Dziękuję za rozmowę. Bardzo mi pomogła.

– Cieszę się. Gdybyś jeszcze chciała porozmawiać, po prostu zadzwoń. W każdej chwili – zapewnił ją.

Uśmiechnęła się do niego i ruszyła do roweru. Kiedy się odwróciła, chcąc spojrzeć na niego po raz ostatni, wpatrywał się w nią.

Leżała w wannie, opierając się na piersi Olivera i relaksując w gorącej kąpieli po dniu ciężkiej pracy. Piekła przez dwie godziny, a potem pomogła Isabel posprzątać dom. Usunęły z podłogi piasek wniesiony na butach, jak podejrzewały, przez czternastoletnią wczasowiczkę i mokre ślady stóp. W świąteczny długi weekend wszystkie miejsca w pensjonacie były zajęte, co oznaczało godzinne zaprowadzanie porządku przez biedną Isabel w pokojach, przedpokojach i miejscach wspólnych. Ale mokre ślady stóp, okruchy ciastek *blondie* po śniadaniu, papierowe chusteczki i różne plamy usuwała na bieżąco, przez cały dzień, za pomocą przyjaznych dla środowiska środków czyszczących i odkurzacza. Kat była pod wrażeniem jej pracowitości. Kuzynka albo zajmowała się gośćmi, albo sprzątała, a gdy w końcu mogła odpocząć, robiła lemoniadę i podawała wczasowiczom przebywającym w ogrodzie.

O siódmej Oliver przyjechał po Kat i zabrał ją do swojego niewielkiego domu, który wynajmował na Townsend. Tę dawną powozownię oddzielał od głównego domu kamienny mur i tuje. Dlatego za każdym razem, gdy Kat tu przyjeżdżała, czuła się tak, jakby wkraczała do zaczarowanego domku z bajki, ukrytego w lesie. Uwielbiała to miejsce. Teraz czekały tu na nią na grillu steki, szparagi i pieczone słodkie ziemniaki, jej ulubione.

W czasie obiadu Oliver nieco natrętnie prezentował jej lokale do wynajęcia na cukiernię. Kiedy jednak oznajmiła mu, że powstrzymuje się z realizacją tego pomysłu w związku z chorobą matki i podjętym przez nią leczeniem, chyba uznał to wyjaśnienie za przekonujące, bo powiedział:

– Jasne, rozumiem.

Po obiedzie zaprowadził Kat do sypialni na piętrze, położył ją na królewskim łóżku pełnym miękkich poduszek, rozebrał, wymasował każdy centymetr jej ciała i kochał się z nią jak prawdziwy znawca sztuki miłosnej.

Gdy była z Oliverem w łóżku, przydarzyło się jej coś strasznego, czego się wstydziła. Myślała o Matteu Violi, o jego ciemnych oczach, twardych jak skała mięśniach brzucha i zielonych roboczych spodniach, które zsunęły mu się poniżej pępka. Pod wpływem spotkania

z tym pięknym lekarzem o egzotycznej twarzy myślała teraz o Włoszech, Europie i swym marzeniu z czasów, gdy była nastolatką, by pojechać na naukę zawodu cukiernika do Rzymu lub Paryża i rozwozić w koszyku na wespie swoje wypieki klientom. Próbowwała skupić uwagę na urodziwej słodkiej twarzy Olivera, ale w jej wyobraźni uparcie pojawiał się Matteo.

– A zatem, czy uważasz, że nadszedł czas, by powiedzieć twojej rodzinie o naszych zaręczynach? – spytał Oliver w wannie, obejmując jej piersi swymi silnymi mokrymi rękami.

– Ja... – zaczęła i dodała w myślach: po prostu nie mogę. Podała mu więc powód, który uważała za odpowiedni: – Nie wydaje mi się właściwe zmuszać matkę i kuzynki do koncentrowania się teraz na czymś tak poważnym jak nasze zaręczyny. Wczoraj wieczorem zmęczyło ją samo oglądanie filmu. Bardzo się martwi swoim stanem zdrowia, Oliverze. Jeśli zaskoczę ją zaręczynami, poczuje się zmuszona do okazywania radości i zadowolenia, a być może nawet do zorganizowania ślubu, nie mówiąc już o pokryciu wszelkich związanych z tym kosztów. Jak mogłabym jej to zrobić? Należy się skupić na opiece nad nią, a nie na mnie i moim ślubie.

Oliver masował namydlonymi dłońmi jej ramiona. Czowała, jak wspaniale rozluźniają się jej mięśnie.

– Wiem, o co ci chodzi, ale raczej uznałbym, że ta wiadomość zdziała cuda i uszczęśliwi Lolly, bo ślub będzie oznaczał w twoim życiu stabilizację i czyjąś opiekę – argumentował.

Opiekę. Kat nie chciała niczyjej opieki, a słowo stabilizacja budziło w niej lęk. Kiedyś pragnęła Olivera niemal desperacko, ale lata tłumienia tego uczucia (jak twierdził narzeczony jej najlepszej przyjaciółki Lizzie, który był psychoterapeutą) odbiły się negatywnie na jej podejściu do ich znajomości. Przed kilku laty mogła się związać z Oliverem, lecz nie chciała. Teraz oferował jej wspólną przyszłość, a ona zbyt się bała przyjąć jego propozycję. (Tak to ujął psychoterapeuta).

– Ty po prostu nie chcesz należeć do żadnego klubu – przekazała jej Lizzie słowa swojego narzeczonego. – Będziesz się więc umawiała z tym facetem na randki i tak dalej. I będziesz miała namiętne, trwające miesiącami romanse, które się wypalą albo zostaną zerwane. Bo obawiasz się tego, kim naprawdę jesteś i czego naprawdę chcesz.

– Czego? – spytała przyjaciółkę.

– Może tego, żeby być tu, gdzie jesteś? – oznajmiła Lizzie. – Może nie wyjechałaś z Boothbay Harbor ani też nie wyprowadziłaś się z domu nie dlatego, że wtedy twoja matka zostałaby sama, lecz dlatego, że odczuwasz silną potrzebę wspierania jej i kochasz to miasto, pensjonat, matkę i Olivera. Jednak jeśli przyjmiesz jego propozycję i zgodzisz się tu żyć, wraz z tym odważysz się zaakceptować to, co cenisz sobie w życiu najbardziej, a śmiertelnie się boisz stracić.

Kat uznała te słowa za psychologiczny bełkot, chociaż dostrzegła w nim ziarno prawdy, więc starała się za bardzo nie myśleć o tym, co przekazała jej Lizzie.

– Kat – zaczął Oliver, nabierając na ręce lawendowej piany i pieszcząc nimi jej piersi, brzuch i uda – dopóki nie powiesz o naszych zaręczynach swojej rodzinie, ja też nikomu o nich nie powiem. A chciałbym wykrzyczeć tę wiadomość, stojąc gdzieś na dachu, żeby wszyscy ją usłyszeli.

– Wiem – potwierdziła, starając się skoncentrować na jego pieszczotach, na rytmie, w jakim przesunął dłonie po jej ciele. – Po prostu chcę, żeby wszyscy dostosowali się do sytuacji, w jakiej znalazła się moja matka, zanim zaskoczę ich czymś, z czego się bardzo ucieszą.

– Powiedziałaś Lizzie o naszych zaręczynach?

Westchnęła i szepnęła:

– Nie.

– Może nie powiedziałaś o nich zarówno członkom swojej rodziny, jak i najlepszej przyjaciółce dlatego, że nie jesteś pewna swej decyzji? – spytał bliski gniewu czy frustracji. – Może to z tego powodu byłaś dla mnie nieuchwytna przez cały tydzień?

Spojrzała na lawendową pianę na wodzie.

– Nie jestem pewna, jeśli nie jestem, Oliverze – odparła i pokręciła głową. – Boże, posłuchaj. Jestem śmieszna. Nie jestem pewna, jeśli nie jestem.

Wziął ją za rękę.

– Zdaję sobie sprawę, że sytuacja jest bardzo niestabilna. Znajdujesz się teraz między twoją mamą i kuzynkami. To jeden z powodów, dla którego oświadczyłem ci się teraz, to znaczy, aby cię wspomóc, dać ci pewność, że jest ktoś, kto naprawdę cię wspiera – powiedział.

Doceniała to, ale... Co znaczyło to „ale”? Że nie potrzebowała, by ktoś ją wspierał? Że musiała sama znaleźć sposób radzenia sobie z sytuacją? Że zanim zapewni sobie na zawsze stabilizację życiową w tym miejscu, powinna doświadczyć czegoś innego? Teraz, gdy jej matka była... To znaczyło, że pensjonat przypadnie jej, a Isabel i June powrócą do swojego życia. Jej życie będzie się toczyło tu i będzie w nim Oliver, jak zawsze dotychczas.

– Kat, chcę tu być dla ciebie i spędzić z tobą życie. Jednak jeśli zaręczyłaś się ze mną w chwili słabości, myśląc, że nie wiesz, czy tego chcesz, odmów mi teraz. Nie baw się ze mną – oświadczył surowym tonem.

– Ja po prostu... ja po prostu jeszcze tego nie wiem – wyznała mu prawdę.

Odwrócił ją do siebie, żeby spojrzała mu w oczy, i spytał:

– Kat, chcesz wyjść za mnie czy nie?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze. – Czy możesz mi dać trochę czasu, żebym się mogła nad tym zastanowić?

– Bardzo mi na tobie zależy i oczywiście dam ci czas, ale uważam, że człowiek wie, co czuje. W głębi duszy wie i sędzę, że ty też wiesz. Martwi mnie to, że nie jestem pewny, co naprawdę czujesz. Bardzo – wyznał.

– Po prostu daj mi trochę czasu, dobrze? – poprosiła.

Wyszedł z wanny i zniknął za drzwiami łazienki, a jej nagle zrobiło się zimno.

Rozdział 10

Isabel

Nie tak dawno temu Isabel mieszkała w luksusowym domu w Connecticut, sprzątanym dwa razy w tygodniu przez gosposię, a teraz, ubrana w stare, pożyczone od Kat dzinsy, znajdowała się w Maine, w pensjonacie ciotki, w Pokoju pod Rybołowem dokąd przyniosła zmiatarkę, żółte gumowe rękawice i środki czyszczące. Posprzątała już Pokój pod Drozdem i Pokój pod Muszlami, a na koniec zostawiła sobie ten, w którym mieszkał Griffin Dean. W tajemnicy przed wszystkimi podkochiwała się w tym mężczyźnie i dlatego czuła się tu trochę dziwnie, jakby go szpiegowała.

Jednak rzeczywiście przyszła tu po to, żeby posprzątać. Z pewnością nie miała w tym wprawy, ale w ciągu ostatniego tygodnia odkryła, że nie brzydzi się wkładać stert brudnych naczyń do zmywarki, szorować kuchennych blatów, odkurzać podłóg i przecierać ich mopem zamoczonym w rozcieńczonym wodą płynie cytrynowym, a także zbierać rzeczy pozostawionych przez wczasowiczów i zaprowadzać porządku w pokojach. Nie budziło w niej też wstrętu zmienianie pościeli i ślanie łóżek. Gdy niosła wiklinowy kosz z brudnymi prześcieradłami, poszewkami i ręcznikami do pralni za kuchnią, czuła się użyteczna, po raz pierwszy od długiego czasu. Nie znaczyło to, że lubiła sprzątać tak samo jak kierować pensjonatem, bo to ostatnie sprawiało jej większą frajdę, niż mogła sobie wyobrazić.

Cóż, przynajmniej była lepsza w sprzątaniu niż w gotowaniu obiadów dla członków rodziny. Wczoraj wieczorem nikt nie poprosił o dokładkę kurczaka *cacciatore* i sałatki cezar, które przyrządziła, podobnie jak przedwczoraj żadna z osób siedzących przy stole nie miała ochoty na dodatkową porcję podanej przez nią lazanii, a było to jedno z ulubionych dań Charliego. Szczęście, że chociaż upieczony przez nią chleb czosnkowy wydawał się smaczny. Oczywiście nie była dobrą kucharką, ale lubiła gotować i uczyła się tej sztuki z należącej do ciotki książki kucharskiej Julii Child.

Do tej pory nie miała pojęcia, jak miło jest co wieczór ugotować obiad dla bliskich osób. Ona i Edward często zamawiali obiady w swojej ulubionej restauracji, specjalizującej się w przygotowywaniu dań na wynos, jedli na mieście albo na przyjęciach wydawanych przez jego klientów i współników. Gdy zaś Isabel jadła obiad w domu sama, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, po prostu rozmrażała jakieś ugotowane wcześniej przez gosposię danie. Teraz postanowiła nauczyć się dobrze gotować. Rozważała nawet zapisanie się na jakiś kurs. Zawsze chciała umieć to robić.

Zauważyła, że Griffin Dean, w przeciwieństwie do swojej starszej córki, jest schludny. Tylko jej ubrania kłębiły się w otwartych szufladach komody, jakby nie potrafiła się zdecydować, co włożyć i wyjmowała wszystkie rzeczy po kolei. Isabel przywołała w pamięci słodką twarz Alexy w kształcie serca i jej fiołkowe oczy, w których zawsze malowała się złość.

– Rozumiem cię, dziewczyno, aż za dobrze – powiedziała do leżących bezładnie ubrań.

Miała ochotę je uporządkować, starannie wszystkie poskładać, ale Lolly uważała, że jeśli wczasowicz zostawia otwartą szufladę albo szafę, to można je tylko zamknąć, nie dotykając niczego w środku. Isabel zamknęła szuflady, potrząsnąwszy nimi nieco, żeby wystające z nich szorty, topy i dzinsy wpadły do środka.

Zdjęła z łóżek dziewczynek prześcieradła oraz poszewki z poduszek i włożyła je do wiklinowego kosza. Zmieniła pościel i posłała łóżka, odwracając na drugą stronę kołdry w rozgwiazdy i strzepując poduszki. Łóżko ich ojca zostawiła na koniec.

Gdy niespiesznie zdejmowała z materaca jasnoniebieskie prześcieradła, wyobrażała sobie, że Griffin Dean leży tu nagi, a ona obok niego, na nim i pod nim...

– Och, przepraszam, że przeszkadzam. Nie zdawałem sobie sprawy, że będziesz tu sprzątać. Przyjdę za chwilę.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach Griffina Deana z kluczem do pokoju w ręce. Mówili już sobie po imieniu, lecz mimo to poczuła nagle pieczenie policzków i zastanawiała się, jak bardzo są zaczerwienione. Dean wpatrywał się w nią, jakby się domyślał, co sobie wyobrażała. Pod wpływem tego spojrzenia zarumieniła się jeszcze bardziej.

– To żaden kłopot. Nie zważaj na mnie i weź, co potrzebujesz – odparła i włożyła do kosza prześcieradła, a następnie zaczęła zdejmować z poduszek poszewki, pachnące jak ten facet męskim świeżym zapachem szamponu, którego używał.

– Prawdę powiedziawszy, Isabel, zważam na ciebie, od kiedy się tu zameldowałem – wyznał.

Zerknęła na niego tak zaskoczona jego słowami, że upuściła poduszkę na podłogę. Griffin podszedł tam, gdzie stała, podniósł poduszkę, zdjął z niej poszewkę i wrzucił do kosza.

– Po pierwsze, uważam, że jesteś piękna, a po drugie, lubię spędzać z tobą czas i układać twojego Szczęściarza – oznajmił.

W ciągu ostatnich kilku dni układał kundelka Isabel – Szczęściarza, jak trafnie nazwał go Charlie, i uczył ją podstawowych zasad tresury psów, podczas gdy Alexa bawiła się na tarasie z Emmy. Isabel często czuła się jak zahipnotyzowana wyglądem twarzy i oczu oraz brzmieniem głosu Griffina Deana, aż w końcu przestawała go słuchać, co uświadamiała sobie po długiej chwili. Ze zdumieniem odkryła, że pociąga ją inny mężczyzna, że się w nim... zadrzyła. Gdyby tak się nie stało, pomyślałaby, że to niemożliwe, że nie znajdzie dla niego miejsca w swoich myślach i sercu i że nie potrafi sobie wyobrazić Deana nagiego. A teraz stał obok niej i dawał jej do zrozumienia, że nie jest mu obojętna, tak jak on nie był obojętny jej.

Czuła się tak zaskoczona i... uradowana, a także zawstydzona jak nastolatka, że nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Hm, mamy dziś w pensjonacie wieczór filmowy – poinformowała go po chwili. – Wprawdzie jest niedziela, a wieczory filmowe odbywają się tu zazwyczaj w piątek, ale znana ci moja ciotka, Lolly Weller, czasami wybiera na projekcję inny dzień. Obejrzymy *Zgagę*, z Meryl Streep i Jackiem Nicholsonem. To klasyka, dość zabawna, to znaczy na tyle, na ile może być zabawny film pokazujący romans.

O Boże, czy rzeczywiście to powiedziałam? – zastanawiała się.

– Wiem, jak mało zabawne są romanse – oznajmił, a ona natychmiast spoważniała.

Czyżby miał romans? Czy to wywołało w jego rodzinie konflikt? Czy z tego powodu Alexa jest ciągle zła? Czy dlatego spędzają wakacje w pensjonacie w mieście ich zamieszkania? – rozmyślała.

– O której rozpoczynacie? – spytał.

– O dziewiątej. Będzie popcorn i niesamowite babeczki Kat, która piecze je zawsze na tę okazję, a także wino i piwo, jeśli sobie życzysz – zasypała go informacjami i dodała w myślach: przestań tak trajkotać, Isabel.

– Przyjdę – oznajmił, uśmiechnął się do niej niezdecydowanie i wszedł do wnęki Alexy, skąd wyszedł z iPodem starszej córki i różowym kapeluszem przeciwsłonecznym młodszej, spojrzał na Isabel i ruszył do drzwi.

Po obiedzie Isabel po raz trzeci poszła do sutereny. (Dziś wszyscy chwalili klopsy i ziemniaki purée z czosnkiem, które przyrządziła według przepisów Julii Child, a Charlie poprosił o dokładkę). Przed kilkoma dniami powiedziała ciotce, że w żadnym kufrze nie znalazła dziennika matki. Wówczas Lolly oznajmiła, że na pewno włożyła go do jednego z dwóch kufrów z naklejkami. Usłyszawszy to, Isabel przyznała w duchu, że przeszukała kufry zbyt pośpiesznie. Postąpiła tak w nadziei, że nie znajdzie dziennika, bo czuła się z jego powodu fatalnie. Ale ciotka chciała go mieć, potrzebowała tego dziennika, żeby się lepiej poczuć psychicznie. Chemioterapia źle wpływała na jej żołądek i powodowała wielkie zmęczenie. Isabel uznała, że zachowuje się zbyt egoistycznie, nie starając się dostatecznie, by odnaleźć dziennik. Teraz postanowiła nie wychodzić z tego dusznego pomieszczenia, w którym unosił się zapach stęchlizny, aż go odzyska.

W jednym z kufrów odkryła swoje papiery szkolne. Przejrzała świadectwa, niektóre testy i wypracowania z najwyższą oceną, które jej matka zachowała. Była tam też kopia listu wysłanego przez matkę przed piętnastu laty, w październiku, do psychologa szkolnego:

Niniejszym chcę zapewnić, że w głębi duszy Isabel jest wspaniałą dziewczyną, zdolną do okazywania współczucia. Sądzę, że znajduje się w trudnym, niestety, długo trwającym okresie sprawdzania siebie i innych. Nie wątpię jednak, że moja córka wyjdzie z niego dzięki zdobytym doświadczeniom wzmocniona. Isabel jest jak brylant i gdy tylko zdoła zabłysnąć, świat...

Isabel przeczytała list ponownie i się rozpląkała. Matka czasami przemawiała jej do rozumu, twierdząc, że w nią wierzy i wie, że stać ją na więcej. Niestety, Isabel uważała to za kłamstwo mające na celu spowodować poprawę jej zachowania. Tymczasem okazało się, że matka była jej obrończynią. Isabel złożyła list, schowała go do kieszeni i od nowa rozpoczęła poszukiwanie dziennika, z mniejszym niepokojem. Może to, co matka napisała w dzienniku, okaże się dla Isabel mniej niekorzystne, niż się spodziewała? Przeglądała zawartość kufrów przez czterdzieści pięć minut, ale i tym razem bez rezultatu. Natrafiła natomiast na różne skarby, które postanowiła stąd zabrać: kilka sukienek, kapelusz (z pewnością spodoba się June) i malunek wykonany przez siedmioletnią Kat dla cioci Allie i wujka Gabriela, rodziców Isabel i June. Ten malunek Isabel chciała postawić na swoim biurku. Teraz była pewna, że dziennika matki nie ma w żadnym z kufrów. Ale ze względu na Lolly i samą siebie miała satysfakcję, że tym razem porządnie wykonała robotę.

To Isabel wybrała na dzisiejszy wieczór *Zgagę*. Owszem, był to kolejny film o miłości, jaki miały obejrzeć, lecz została ona pokazana zupełnie inaczej niż w innych filmach. Poza tym Isabel mogła odnieść do tego filmu swoją sytuację życiową. Grana przez Meryl Streep Rachel Samstat z Nowego Jorku, dziennikarka pisująca na tematy kulinarne do jednego z czasopism, i Mark Forman (Jack Nicholson), felietonista z Waszyngtonu, pobierają się mimo cynizmu, z jakim każde traktuje swoje pierwsze małżeństwo. Rachel przenosi się do Waszyngtonu i odkrywa, że Mark ma romans z kobietą z towarzystwa, podczas gdy ona spodziewa się ich drugiego dziecka. Dowiaduje się o wszystkim jako ostatnia.

Isabel zastanawiała się, czy Griffin Dean też mógł odnieść ten film do swojej sytuacji życiowej, i uznała, że aż za bardzo. Jeśli wziąć pod uwagę tak dużą różnicę wieku między jego córkami, coś musiało się wydarzyć. Spojrzała na zegarek. Minęła dziewiąta. Po szybach spływały krople deszczu, bo rozpętała się ulewa, co oznaczało, że Dean nie zdecyduje się pójść na spacer, zamiast obejrzeć film.

– Uwielbiam *Zgagę* – powiedziała Pearl, gdy usadowiła się na kanapie obok Lolly. – Kto by pomyślał, że film o niewierności może być taki zabawny i przejmujący.

Lolly włożyła płytę DVD do odtwarzacza.

– To dzięki Norze Ephron – oznajmiła. – Napisała scenariusz do tego filmu na podstawie swojej książki. Uważa się, że jest w dużym stopniu autobiograficzny. Jej byłego męża w innym filmie zagrał Dustin Hoffman... Co to było? O Watergate?

– *Wszyscy ludzie prezydenta*, też oparty na prawdziwej historii – odpowiedziała Kat, wnosząc do salonu swoje wspaniałe babeczki, dziś na wierzchu aksamitnie czerwone.

Za nią podążała June z dwiema wielkimi miskami popcornu na tacy.

– Ja jestem dziwadłem, które chętnie czyta książkę po obejrzeniu adaptacji filmowej – wyznała. – Przeczytam *Zgagę* po dzisiejszej projekcji, bo jeszcze nie miałam jej w rękach, nie widziałam także tego filmu.

Pearl postawiła babeczkę w papierowej foremce na kufrze pełniącym rolę ławy.

– Pożyczę ci – zaoferowała się. – Uwielbiam Norę Ephron. A za każdym razem, gdy oglądam ten film, rozumiem, dlaczego Jack Nicholson jest takim wielkim aktorem. Ma niesamowity urok... w każdym razie przez jakiś czas.

– Och, zapomniałam o mrożonej herbacie! – zawołała Isabel i poszła do kuchni po dzbanek i szklanki. Spojrzała na schody w nadziei, że zobaczy schodzącego Griffina Deana. Niestety, nie było go.

Gdy wyszła z kuchni, zobaczyła go w połowie schodów. Wyglądał tak... seksownie. To było właściwe słowo. Wysoki szatyn na luzie. Nawet jego włosy wydały się jej seksowne.

– Chyba nie jestem spóźniony? – spytał. – Emmy się obudziła i ponowne uśpienie jej zajęło mi chwilę. Musiałem dwa razy przedzierać się przez słowa i melodię piosenki z filmu *Mała syrenka*, aż w końcu Alexa nie wytrzymała tego fałszowania i przejęła moją rolę. Emmy zasnęła, gdy Alexa była w połowie pierwszego okrążenia.

Isabel uśmiechnęła się. Jakże chętnie zaśpiewałaby małemu dziecku do snu.

– Szkoda, że nie nagrałeś tego na wideo – skomentowała. – Tata fałszujący kołysankę podczas śpiewania swojej małej córeczce. Jakie to urocze.

– Śpiewam jak Pierce Brosnan w *Mamma Mia!* – zażartował. – Widziałas to? Nie obejrzałbym tego filmu, gdyby Alexa nie oglądała go kiedyś wieczorem i nie powiedziała, że koniecznie muszę to z nią zobaczyć. To nie zdarza się często.

Isabel roześmiała się.

– Widziałam film przed kilkoma dniami – odparła. – W *Gospodzie Trzech Kapitanów* jest teraz miesiąc filmów z Meryl Streep. Cieszę się, że do nas dołączysz.

– Ja też się cieszę. Minęło trochę czasu, od kiedy po raz ostatni widziałem film, w którym nie grają rozśpiewane leśne zwierzątka – oznajmił, gdy usiedli obok siebie na krzesłach.

June uśmiechnęła się.

– Wiem dokładnie, co masz na myśli – powiedziała.

Rozległy się słowa powitania i wywiązała towarzyska rozmowa. Wśród zebranych zaczęły krążyć miski z popcornem i taca z babeczkami. Kat pospieszyła do kuchni po dwie butelki piwa, dla siebie i Griffina Deana.

– Czy są już wszyscy, którzy mieli być? – spytała Lolly, trzymając w ręce pilota.

– Sądzę, że tak – odpowiedziała Kat, podając piwo Deanowi.

Na pufie zajmowanym zwykle przez Kat siedziała teraz dwudziestokilkuletnia gadatliwa wczasowiczka Jillian. Zameldowała się ze swoim chłopakiem, który w *Pokoju pod Drodem* najwyraźniej grał na laptopie w *Warcraft* coś tam.

Griffin był tak blisko Isabel. W trakcie oglądania przez cały czas miała świadomość, że tuż obok jest jego ręka, udo i twarz o wyrazistym męskim profilu, włosy. Pachniał mydłem ivory.

– No! No! Naprawdę mi się podoba Meryl jako szatynka – powiedziała June. – Jest piękna. Po prostu uwielbiam jej twarz.

– Ja też – zawtórowała jej Kat. – Ma takie drobne kości. Prezentuje się dobrze nawet w tej zabawnej fryzurze z lat osiemdziesiątych i w marynarce z poduszkami na ramionach.

Rzeczywiście w fantastycznym zakiecie Rachel Samstat zwracały uwagę poduszki. Rachel była na weselu, gdzie kokietowała nieznanego mężczyznę, Marka Formana, i nagle wylądowała z nim w łóżku; po północy zjedli spaghetti carbonara, które przyrządziła. Gdy okryci prześcieradłami jedli ten późny posiłek, Mark powiedział, że chciałby, by po ślubie Rachel gotowała tę potrawę raz w tygodniu. To przypomniało Isabel Edwarda. Kilka tygodni po tym, jak się poznali, powiedział do niej, że gdy się pobiorą, będzie codziennie gotował jej spaghetti. W kolejnych tygodniach i miesiącach po śmierci jej rodziców jedli dużo spaghetti. To była jedyna potrawa, którą potrafił ugotować, a poza tym umiał jeszcze robić kanapki. Przyrządził więc dla nich obojga kolejne półmiski spaghetti z sosem własnej roboty i siedzieli nad talerzami, nawijając kolejne nitki na widelec i rozmawiając o wspólnej przyszłości po ślubie. Według niego w ich małżeństwie miało nie być nie tylko dzieci, ale także cierpienia i smutku. Gdy teraz oglądała na ekranie Rachel i Marka, nie patrzyła na ich związek z wielką nadzieją.

– Stop! – zawołał Griffin. – Gdy Rachel mówi, że już nigdy nie wyjdzie ponownie za mąż, że małżeństwo się nie sprawdza i że nie wierzy w nie, a Mark przez cały czas jej potakuje, po prostu powinni się rozstać. W tym momencie film powinien się skończyć. Powinno nastąpić cięcie.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Przepraszam – powiedział. – Nie mogłem się powstrzymać.

– Sądzę, że wszyscy uważają tak samo – poparła go Lolly.

Isabel zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek uwierzy w małżeństwo.

– To nie może być prawda – zaczęła Kat. – Czterdzieści procent powtórnych małżeństw kończy się rozwodem? Pomyślałabym raczej, że za drugim razem ludzie dobierają sobie partnerów znacznie staranniej.

June sięgnęła do miski po popcorn.

– A może od drugiego małżeństwa oczekują więcej, niż oczekiwali od pierwszego? – zastanawiała się. – Poranieni czy cokolwiek innego za pierwszym razem, nie zadowolają się byle czym. Albo szybciej się rozstają.

Ale małżeństwo Rachel i Marka, drugie w przypadku obojga, układało się wspaniale. I mieli dziecko. Dziecko. Gdy Rachel oznajmiła redaktorowi naczelnemu magazynu, w którym pracowała: „Ty też się rodzisz. Ta część ciebie, o której nie wiedziałeś. Nagle masz w sobie tyle miłości, którą pragniesz dawać i... Jakby ci serce rosnęło”, w oczach Isabel pojawiły się łzy. Wyobrażała sobie, że dokładnie tak jest, ale postanowiła jeszcze spytać o to June.

Kat pokręciła głową.

– Jakie to dziwne, że wszyscy mówią o romansie tej Thelmy Rice z towarzystwa z czyims mężem, a nikt nie wie, z kim konkretnie, i w końcu okazuje się nim Mark Forman – skomentowała.

– Trudno sobie nawet wyobrazić, że zdradzał Rachel – zawtórowała jej Isabel. –

Wydawali się naprawdę szczęśliwi. Po prostu tego nie rozumiem.

June polizała lukier na babeczce.

– Żałuję, że nie wiem, co popycha ludzi do zdrady, to znaczy, czasami wiem. Jednak w tym wypadku, jak w wielu innych, to po prostu nie ma sensu – oceniła.

Kat pokręciła głową.

– Czy dla was jest to do przyjęcia, że w trakcie tej głupiej zabawy towarzyskiej na przyjęciu Mark odczytuje listę słów, które go określają, choć jego romans trwa? Dlaczego nie dodaje słów „oszust i kłamca”? Dlaczego nie ma poczucia winy? – spytała zbulwersowana.

– Bo być może niektórzy ludzie rozdzielają różne rzeczy – odpowiedziała jej Isabel. – Żeby być we własnych oczach w porządku. Mieszkają w swoich domach z małżonkami, jakby nic się nie stało. – W myślach dodała: Jak przez całe miesiące Edward, dopóki nie przyłapałam go na gorącym uczynku. Po czym powiedziała głośno: – Mimo to uważam, że gdyby to kobieta była w sytuacji Marka, oszukująca męża, rzuciłaby tę listę i wybiegła stamtąd z płaczem.

– Moja żona nie uciekła – oznajmił Griffin Dean. – Moja była żona.

Wszystkie utkwily w nim wzrok.

– To znaczy, nie miała poczucia winy – uściślił. – Czuła się w porządku, uprawniona do szczęścia osobistego. Zakochała się i to przekreśliło inne jej uczucia, wierność małżeństwu i rodzinie.

Och, to nie on oszukiwał, lecz był oszukiwany. Isabel wolałaby patrzeć na niego, a nie na ekran, ale oczywiście nie mogła.

– To zabawne, że ona, to znaczy Rachel, po prostu zorientowała się, że Mark ma romans – zaczął Griffin Dean, najwyraźniej chcąc zmienić temat – w chwili, gdy będąc w salonie fryzjerskim, usłyszała, jak czesząca ją fryzjerka opowiada koleżankom, że chłopak ją zdradza, o czym dowiedziała się jako ostatnia.

Pearl z aprobatą skinęła głową.

– Mam poczucie, że często tak się zdarza – oznajmiła. – Moja siostra, niech spoczywa w pokoju, weszła kiedyś do domu i też od razu wiedziała, choć w swoim środowisku dowiedziała się o tym jako ostatnia. Czy uważacie, że rzeczywiście tak jest? Że wiedzą wszyscy, tylko nie żona?

– Ja nie wiedziałam – powiedziała cicho Isabel.

– Ja też nie – powiedział również cicho Griffin.

Zerknęli na siebie i w tym momencie Isabel zorientowała się, że oczy wszystkich są zwrócone na nich.

– O Boże, jak ja nie znoszę tego momentu – zaczęła Lolly. – Gdy Rachel znajduje rachunki za hotele i za prezenty, dowiaduje się o wszystkim i pyta Marka: „Kochasz ją?”, a on jej odpowiada: „Nie mogę tego robić. Nie teraz”. – Po tych słowach Lolly spojrzała w ciemne okno.

Isabel zastanawiała się, o czym ciotka myśli, co sobie przypomina. Nie sądziła, by wuj Ted miał kiedykolwiek romans. Świata poza nią nie widział, na tyle, na ile pozwoliła mu się adorować.

– No, jakby było tego wszystkiego za wiele dla biedaka – zgodziła się z ciotką June i przewróciła oczami. – Do tego momentu Mark bardzo mi się podobał, to znaczy do momentu, w którym okazuje się, że ma romans.

– Dla mnie straszne jest to, że życie ludzi tak się zmienia – wyznała Kat. – Tak po prostu – strzeliła palcami – się zmienia.

Isabel skinęła głową.

– Tak po prostu – potwierdziła. – Zmienia się całkowicie. Hej, zauważcie, że Rachel wróciła do domu, w którym dorastała, tak samo jak ja. Tak jakoś.

– Nie mogę w to uwierzyć – odezwała się Jillian – że naprawdę czekała na telefon od tego dupka i na jego przyjazd. Po tym, jak ją potraktował? Isabel, ty chyba nie czekasz na powrót swojego byłego?

Zadała mi pani zbyt osobiste pytanie – pomyślała Isabel, świadoma, że Griffin Dean ukradkiem na nią spogląda i czeka na jej odpowiedź. Rzeczywiście nie czekała na telefon od Edwarda i na jego przyjazd, ale chciała, żeby w sensowny sposób się przed nią wytłumaczył, choć może nie da się sensownie wytłumaczyć z takich rzeczy?

– Mój Boże, co powiedział ojciec Rachel?! – zawołała szybko June, ratując Isabel

z opresji, a starsza siostra spojrzała na nią z wdzięcznością. – „Jeśli chcesz monogamii, wyjdź za łabędzia”. Ciekawe, czy ojciec Nory Ephron rzeczywiście tak się zachował, czy to wymyśliła?

Isabel i June milczały podczas sceny, w której Rachel powiedziała ojcu, że brakuje jej mamy, zmarłej dawno temu, „choć, bądźmy szczerzy, nie była dobra w takich chwilach”. Isabel zastanawiała się, jaka byłaby jej matka w czasie takim, jak ten. Może Isabel miałyby z nią inne relacje jako osoba dorosła? Gdyby rodzice nie zginęli w wypadku, gdyby Isabel nie poznała Edwarda i nie zmieniła się tak gwałtownie, to kto wie, jak ułożyłyby się jej dalsze stosunki z matką i z kimkolwiek innym. Może wyszłyby za mąż za kogoś innego, choć jest możliwe, że poznałaby Edwarda w inny sposób. Tego nie można było wiedzieć. Ale uznała, że w czasie takim jak ten, to znaczy w obecnej sytuacji June i Isabel, ich matka zachowałaby się wobec nich wspaniale.

– Czy ona naprawdę zamierza do niego wrócić? – odezwała się Kat, gdy pojawił się Mark Forman ze swoim „Chcę, byś wróciła (...) Kocham cię”.

– Isabel, czy wróciłabyś do męża, gdyby przyjechał do pensjonatu i to powiedział? – spytała Jillian, robiąc balon z gumy do żucia.

Isabel zerknęła na June i z jej miny wyczytała, że siostra chętnie roztrzaskałaby ten balon na twarzy zbyt dociekliwej kobiety.

Edward nie zadzwonił i nie przyjechał. Nie powiedział słów, które, jak uznała w głębi duszy, naprawdę chciała usłyszeć, by wiedzieć, że obchodzi go ona i ich małżeństwo. Nie miała pojęcia, czy jeszcze kiedykolwiek by mu zaufała. Mimo to, mówiąc uczciwie, chciała usłyszeć, że jest mu przykro, że ma świadomość popełnionego błędu i że błaga ją, by do niego wróciła.

– Co z tym *Warcraftem*? – odezwała się tym razem Kat i ze zdziwioną miną zaczęła się wpatrywać we wścibską wczasowniczkę, aż ta, jak się wydawało, w końcu zrozumiała, że zachowuje się niewłaściwie.

– No dobra, Mark skończy z romanssem – prychnęła. – Jak ona może być taka głupia, żeby mu wierzyć? Mam nadzieję, że Nora Ephron nie zrobiła tego w swoim życiu.

– Nie można nikogo osądzać, dopóki nie jest się w jego skórze – zwróciła jej uwagę Lolly.

Jillian zrobiła z gumy następny balon.

– Ja tylko mówię, że kto raz zdradzi, na zawsze pozostanie zdrajcą – odparła. – Co go powstrzyma przed dalszymi zdradami, zwłaszcza gdy kogoś odzyskał?

– Moja droga, nie słyszę, co mówią aktorzy – zwróciła jej uwagę Pearl, za co Isabel chętnie by ją pocałowała, choć podczas projekcji wszyscy przez cały czas gadali.

W wyobraźni Isabel pokręciła głową na widok Rachel, będącej teraz z Markiem w Waszyngtonie, która budzi się i patrzy w nocy w sufit w stanie silnego wzburzenia, podczas gdy on, nieświadomy niczego, śpi. Ile nocy Isabel tak przeleżała obok śpiącego mocnym snem Edwarda?

– Ha, widzicie – zaczęła znowu Jillian. – Ona mu nie ufa. Podjęła próbę, ale, dzięki Bogu, nie jest głupia.

– Wiecie, czego nie pojmuję? – odezwał się Griffin Dean. – Jak to jest możliwe mieszkać z kimś i nie wiedzieć, że przeżywa on coś poważnego, co nie ma z nami nic wspólnego? A dodatkowo sprawia, że czujemy się jak skończeni idioci.

Isabel wzięła go za rękę. Spojrzała na nią zaskoczony, ale nie wypuścił jej dłoni, aż w końcu sama ją cofnęła.

– Ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć – prychnęła znowu Jillian.

– Aha, o to chodzi – powiedziała Kat, nie odrywając oczu od ekranu. – Wiemy, że dzieje się źle, ale sygnał ostrzegawczy jest dla nas słaby.

June westchnęła.

– Podoba mi się to, co Rachel powiedziała na temat sposobu radzenia sobie z romansiem małżonka. Można nic z tym nie robić, co jest nie do zniesienia, albo zacząć marzyć o czymś innym – podsumowała.

Zacząć marzyć o czymś innym. Isabel chciała właśnie tego.

Jillian zaczęła bić brawo.

– To budzi respekt! – zawołała. – Rachel rzuca tartą w twarz kłamliwemu, zdradzającemu ją Markowi i ucieka do swojego domu, do Nowego Jorku.

Gdy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, Isabel zaczęła się zastanawiać, co ze sobą pocznie. Pomyślała, że może Lolly wyzdrowieje, może nastąpi u niej remisja choroby, a ona pozostanie blisko ciotki albo zastanowi się nad tym, co mogłaby robić, gdyby w wieku szesnastu lat nie poznała Edwarda i nie pozwoliła mu pokierować swoim życiem? Z pewnością miała wtedy jakieś marzenia, a nie tylko to jedno, by wszyscy zaczęli ją zauważać. Teraz marzyła jedynie o dziecku, co znaczyło, że marzyła też o czymś innym. Uśmiechnęła się, gdy zdała sobie z tego sprawę.

– Przejdiesz się ze mną po porcie? – zaproponował Griffin. – Deszcz przestał padać.

– Z największą przyjemnością – odpowiedziała.

Isabel poszła na górę po torebkę. Chciała też sprawdzić w lustrze, czy nie ma między zębami okruszków popcornu. Nie była zaskoczona, gdy zaraz po niej zjawiły się w pokoju June i Kat, uśmiechając się głupawo.

– Zamierzasz iść w tym? – siostra spojrzała na jej legginsy, bawełnianą marszczoną tunikę i baletki.

Isabel czuła się w tym stroju swobodnie, ale zerknęła ponownie do stojącego antycznego lustra.

– Powinnam się przebrać? – spytała.

Kat pokręciła głową.

– Wyglądasz świetnie. Nałóż tylko odrobinę błyszczycy na usta – poradziła.

– A może jednak włóż seksowną letnią sukienkę i sandały na obcasie? – podsunęła jej June. – To twoja pierwsza druga randka w życiu.

Słyszac to, Isabel uśmiechnęła się głupawo, ale odpowiedziała siostrze z powagą:

– To nie jest randka, lecz spacer. Nie jestem jeszcze gotowa umawiać się na randki z kimkolwiek, nawet...

– Ze wspaiałym weterynarzem? – odpowiedziała jej June.

– Jest bardzo atrakcyjny – potwierdziła z uśmiechem Isabel.

– Bardzo – zgodziła się z nią Kat.

– Może, jeśli bardziej się zaprzyjaźnimy i umówimy na randkę, to trochę się wystroję – zapewniła siostrę. – Ale dziś idę tylko na spacer.

Gdy zjawił się po nią Griffin, June zapewniła go, że będzie nasłuchiwała, czy Emmy i Alexa śpią. Uspokojony wyruszył z Isabel do portu. Po drodze powiedział jej, że urodził się i wychował w Bostonie, ale przeniósł się z byłą żoną do Camden, w stanie Maine, skąd pochodziła. A ponieważ Alexa została poczęta na wakacjach w Boothbay Harbor, postanowili tu zamieszkać. Jego była żona lubiła się otaczać drogimi rzeczami. On zarabiał dobrze, ale nie tak dobrze jak jej szef, bankier inwestycyjny, który miał dom wart wiele milionów dolarów.

– Zostałem niemile zaskoczony, tak samo jak ty – powiedział, gdy skręcili na Townsend Avenue, wciąż pełną turystów, mimo późnej pory. – Kiedyś wróciłem dzień wcześniej z konferencji i zastałem ją w łóżku z szefem, w naszym łóżku. Po dwóch latach przekonywania mnie, że powinniśmy mieć drugie dziecko, bo Alexie potrzebna jest siostra. Emmy nie miała

jeszcze roku, gdy nasza rodzina się rozpadła.

Isabel pokręciła głową.

– Żałuję, że nie mogę wyrzucić z pamięci obrazu Edwarda i tej kobiety. Ile czasu ci to zajęło? – spytała.

– Trochę – odparł. – Za dużo. Jednak w końcu wspomnienia zaczęły się zacierać. Teraz w ogóle nie myślę ani o niej, ani o nim. Dla dobra córek utrzymuję z nią raczej serdeczne stosunki, lecz już nic do niej nie czuję, nawet jako do człowieka. Jednak przy dziewczynkach wypowiadam się o niej życzliwie. Alexa wciąż jest na nią wściekła, że zniszczyła naszą rodzinę. Twierdzi, że nienawidzi swojej mamy, ale wiem, że tak nie jest. Po prostu się na nią gniewa i czuje się przez nią zraniona.

Isabel westchnęła na wspomnienie siebie czternastoletniej.

– Czternaście lat to trudny wiek – stwierdziła i dodała: – Wiem, co przez to rozumiesz, gdy mówisz, że już nic nie czujesz do byłej żony. Byłam z Edwardem tak długo, że gdy moje uczucie do niego zaczęło się wypalać, walczyłam z tym i tłumiałam to, robiłam wszystko, by do tego nie dopuścić. Nawet gdy sprawiał mi zawód w różnych drobnych sprawach, wciąż szukałam jakiegoś wyjścia z sytuacji, bardzo starając się odnaleźć do niego drogę powrotu.

– Aż w końcu ci to uniemożliwił – oznajmił Griffin, wziął ją za rękę i splótł jej palce ze swoimi. Poczowała mrowienie na całym ciele. – Jak mnie moja była.

Z powodu świątecznego weekendu kawiarnia wciąż była otwarta. Weszli do środka, kupili mrożoną kawę i udali się do portu na most dla pieszych. Stanęli pośrodku i spojrzeli w niebo, na którym świecił księżyc i bardzo nieliczne gwiazdy. Isabel doliczyła się siedmiu, na szczęście.

Griffin popijał kawę.

– Gdy powiedziałem Alexie, że wychodzę na chwilę na spacer do portu, spytała mnie, czy idę sam – odezwał się. – Kiedy poinformowałem ją, że z tobą, nakryła głowę poduszką.

– Dziewczynie w jej wieku musi być ciężko dawać sobie z tym wszystkim radę – stwierdziła Isabel. – Jej matka ponownie wyszła za męża, a ojciec umawia się na randkę, jeśli nawet jest to tylko spacer.

– Oznajmiłem jej, że to tylko spacer i otrzymałem odpowiedź: „Dobrze, tylko spacer”.

Spojrzeli na siebie i Griffin znowu wziął ją za rękę. Natychmiast dostała gęsiej skórki. Widząc wchodzącą na most grupę osób, ruszył z Isabel na drugi koniec. Idąc, spoglądali na statki wycieczkowe.

– Cieszę się, że cię poznałem, Isabel, jeśli nawet poznanie kogoś było ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwałem, gdy rezerwowałem pokój w Gospodzie Trzech Kapitanów – wyznał.

– Ja też się cieszę, Griffinie, że cię poznałam – odrzekła, chcąc się zatrzymać, pocałowała go pod siedmioma gwiazdami i zasypać mnóstwem pytań, ale powiedziała tylko: – Mówiłeś, że już kiedyś mieszkałeś w Gospodzie Trzech Kapitanów.

– Mieszkaliśmy tu we troje, gdy była żona ode mnie odeszła – wyjaśnił. – Po prostu chciałem się wynieść z domu wraz z dziećmi. Wszystko stało się tak nagle. Zarezerwowałem pokój w pensjonacie twojej ciotki, bo spodobała mi się jego nazwa i ponieważ uznałem, że dziewczynkom spodoba się dom i ogród. Byliśmy tu tydzień. Emmy była za mała, by zrozumieć, co się dzieje, Alexa natomiast czuła się okropnie. Spędziła dużo czasu w Samotni. Twoja ciotka nie miała nic przeciwko temu. Chociaż nie sądzę, by nas pamiętała.

– Jest pochłonięta swoimi sprawami. Zdiagnozowali u niej raka trzustki w czwartym stadium – poinformowała go Isabel. – To dlatego tu jestem, podobnie jak moja siostra.

– Tak mi przykro – powiedział Griffin. – Cieszę się, że pomagam na swój sposób, układając twojego psa. Oficjalnie Szczęściarz jest psem z Gospody Trzech Kapitanów.

Isabel uśmiechnęła się i spojrzała na niego. Wówczas pochylił się i ją pocałował. Pociągał ją ten mężczyzna. Poczowała dotyk jego ust na swoich, wciągnęła zapach mydła ivory i przytuliła się do szerokiego męskiego torsu. Lecz Griffin Dean był dla niej obcym mężczyzną. Znała go zaledwie od paru dni, więc niemal w tej samej chwili się od niego odsunęła.

– Przepraszam, ale to jest dla mnie bardziej... dziwne, niż mogłam sądzić – powiedziała. – Nie minęły jeszcze dwa tygodnie od czasu, gdy się dowiedziałam o romansie męża. Naprawdę byłam tą zdradą bardzo zaskoczona. Oczywiście miałam świadomość, że w naszym małżeństwie pojawiły się problemy i wyniknęła jakaś poważna sprawa, ale nigdy nie przyszło mi do głowy... – Przerwała i westchnęła: – Nie powinnam chyba o tym mówić?

– Nie ma żadnych powinności i zasad – zapewnił ją. – Poza tym doskonale wiem, jak się czujesz.

Zacząła płakać, a on ją objął i stali tak na drugim końcu mostu, dopóki nie minęła ich grupa nastolatków. Jeden z nich krzyknął:

– Wynajmijcie sobie pokój!

Isabel i Griffin roześmiali się, słysząc, jak młodzi ludzie chichoczą, oddalając się od nich.

– Mam pokój, ale mieszkam w nim z gniewną czternastolatką i chrapiącą trzylatką – powiedział.

– A ja z siostrą i kuzynką.

– Chyba tak jest dobrze – uznał, wpatrując się w nią.

– Owszem – powiedziała cicho i wrócili do pensjonatu, trzymając się za ręce.

Rozdział 11

June

Jak się tu znalazłam? – zastanawiała się June o szóstej rano w dniu Święta Pracy, siedząc za kierownicą swojego sprawdzonego subaru. Jej samochód w jakiś sposób stał się tym, którym Marley Mathers mogła uciec z „miejsca przestępstwa” – gdyby musiała. Marley wierciła się w fotelu dla pasażera, spoglądając przez szybę na okna mieszkania znajdującego się nad kwiaciarnią Boothbay Flowers, gdzie mieszkał jej były ukochany od czasów szkoły średniej, gwiazda bejsbolu, którego June pamiętała jako wyjątkowego przystojniaka. Teraz Marley nie była z nim, a on miał letni romans (a raczej już go skończył). Najwyraźniej przed kilkoma tygodniami okropnie się pokłócili i Marley z nim zerwała, a Kip (zdrobnienie od Christopher, jak June dowiedziała się wczoraj wieczorem) od razu zaczął się umawiać z inną dziewczyną. Mieszkał przez okrągły rok w Boothbay Harbor, pracując jako trener doskonałej drużyny uniwersyteckiej i realizując różne programy rekreacyjne. Tego lata dość szybko zaczął romansować ze swoimi dawnymi miłośnikami. Niestety, tak samo jak kiedyś, nie chciał się spotykać tylko z Marley.

Teraz miała mu powiedzieć, że od dziesięciu tygodni jest z nim w ciąży. Szósta rano nie wydawała się najlepszą porą na przekazywanie tego rodzaju wiadomości, ale która była najlepsza? Marley zadzwoniła do niego wczoraj wieczorem i oświadczyła, że ma mu coś ważnego do powiedzenia, a on oznajmił, że dysponuje wolnym czasem jedynie przed treningiem. Następnie zadzwoniła do June i z płaczem poprosiła ją o radę. Chciała wiedzieć, jak ojciec Charliego przyjął wiadomość o ciąży June i jak ona mu o tym powiedziała.

June bezzwłocznie zaprosiła ją do pensjonatu i o północy w salonie opowiedziała jej przy winie swoją bardzo krótką historię. Mimo że nie miała doświadczenia w przekazywaniu ojcowi dziecka takich wiadomości, Marley chciała, by jej towarzyszyła w drodze do Kipa i z powrotem. June zastanawiała się, jak by to było, gdyby odnalazła Johna, kiedy okazało się, że jest w ciąży, a on odciąłby się od niej i pozostałaby w Nowym Jorku z poczuciem odrzucenia i opuszczenia. Nie знаła dobrze Marley Mathers, ale postanowiła jej pomóc.

– No dobra – powiedziała Marley i po raz trzeci w ciągu pięciu minut wyciągnęła rękę w stronę klamki. – Idę.

– Będę tu na ciebie czekać – zapewniła ją June.

Po chwili Marley wysiadła i podeszła do drzwi znajdujących się między kwiaciarnią i sklepem z farbami do ceramiki. Z ręką na gałce odwróciła się, chcąc zobaczyć na twarzy June współczujący uśmiech, po czym zniknęła w środku.

June nie wiedziała, co Kip powie, jak zareaguje na wiadomość, ale zazdrościła Marley, że ma z nim kontakt. Przynajmniej Kip dowie się, że zostanie ojcem. Proszę, przyjmij to entuzjastycznie – przemówiła do niego w myślach. – Chwyć ją w ramiona i zawiruj z nią w tańcu, świętując to wydarzenie. Powiedz jej, że jest wam sądzone być razem i teraz stworzycie rodzinę. – Chciała tego dla Marley. Chciała tego dla siebie. To nie musiała być fantazja i Marley mogła zaraz potwierdzić trafność myśli June.

Niestety, nie minęło nawet pięć minut, gdy Marley przybiegła do niej z płaczem i kazała jej natychmiast stąd odjeżdżać, bo nie chciała tu być ani chwili dłużej.

W tym momencie June przestała jej zazdrościć, a zaczęła się o nią bać.

Podczas śniadania w pensjonacie, które Isabel przygotowała i podała w kuchni, Marley powiedziała June, że marzyła o tym, by Kip po usłyszeniu wiadomości poprosił ją o rękę, ale on tylko powtarzał w kółko: „Co, co?”, jakby jedna pęknięta prezerwatywa nie wystarczyła do poczęcia dziecka. Był w szoku i oznajmił, że musi się nad wszystkim zastanowić, a nie może tego zrobić w należytym skupieniu, jeśli ona, do cholery, będzie nad nim stała i tak się na niego gapiła. Uciekła więc stamtąd.

Jezu. Gdy June pomyślała o możliwej podobnej reakcji Johna, zarówno przed siedmioma laty, jak i teraz, żołądek podszedł jej do gardła.

Na widok Charliego, który wkroczył do kuchni rozczochrany, w piżamie jak kostium Spidermana i rzucił się na kolana June, żeby uściśnęła go na dzień dobry, wyraz twarzy Marley się zmienił.

– O mój Boże! – zawołała zadziwiona i oczy jej rozbłysły.

– Owszem – szepnęła June. – Bez względu na wszystko to właśnie dostaniesz.

Marley zagryzła wargi i dotknęła dłonią brzucha. Teraz June wiedziała, że z jej nową przyjaciółką będzie wszystko w porządku.

Mężczyzna stojący w przejściu w dziale księgarń poświęconym Maine z *Off the Beaten Path: Coastal Maine* w ręce był bardzo podobny do Johna Smitha. June gwałtownie wciągnęła powietrze i serce zabiło jej mocniej, ale zaraz się zorientowała, że to nie on. Wysoki i chudy, z taką samą gęstą czupryną ciemnych prostych włosów kontrastujących z jasną cerą, miał nie więcej niż dwadzieścia jeden lat. Przypomniało to June, jak bardzo żyje przeszłością. Podeszła do niego śliczna młodziutka kobieta z dwiema książkami w twardej oprawie, które wzięła ze stołu „Nowości w beletryście”.

Na ten widok June poczuła bolesne ukłucie w sercu, aż musiała usiąść przy kasie w swoim fotelu i wziąć głęboki oddech. Tęskniła za miłością, za obejmującymi ją męskimi ramionami i seksem. Musiała się pogodzić z faktem, że John Smith nie przyjdzie do księgarń Bracia Books, nie zjawi się na kamiennej ścieżce prowadzącej do Gospody Trzech Kapitanów, nie będzie jej poszukiwał po siedmiu latach od ostatniego spotkania i nie powie, że nigdy nie przestał o niej myśleć. Bo w rzeczywistości przestał o niej myśleć po dwóch wspólnie spędzonych nocach. Musiała pozwolić mu odejść, mimo że poszukiwała go ze względu na Charliego. To ostatnie było w tym wszystkim kluczowe. Poszukiwała go dla syna, a nie dla siebie. To, czego doświadczyła dziś rano Marley, trafiło, jeśli chodzi o sytuację June, w sedno bardziej niż cokolwiek innego. Poza tym June bardzo martwiła się tym, że w ostatnich kilku tygodniach przed zaśnięciem fantazjowała i marzyła o czymś, co nie miało się zdarzyć. Narażało ją to tylko na bolesny zawód, który mógł ją ponownie zdruzgotać. Nie miała już czasu i siły, by to znosić. Nie chciała zwłaszcza, żeby chwilowa głupota popchnęła ją w jakimś niewłaściwym kierunku.

Pozwól mu odejść – powiedziała do siebie w myślach po raz nie wiadomo który.

Spojrzała na duży zegar w kształcie statku pirackiego wiszący na ścianie działu dziecięcego. Była za piętnaście dziesiąta, czyli kwadrans do zamknięcia księgarń. W czasie długiego weekendu księgarnia była czynna od ósmej rano do dziesiątej wieczorem. Chcieli wykorzystać to, że ludzie, idąc na plażę, potrzebują czegoś do czytania albo spacerując czy wysiadając ze statków wycieczkowych, z radością zaglądają do księgarń i kupują co najmniej jedną książkę. Wczoraj June poszła spać późno z powodu spotkania z Marley i dziś wstała wcześniej, odwoząc ją do Kipa, ale czuła się naładowana energią, jakby... objawienie, jakiego Marley doznała na widok Charliego, z wielokrotniło i wzmocniło przeświadczenie June o tym, jak bardzo powinna być wdzięczna losowi za to dziecko.

Dziś brakowało jej czasu, by pomyśleć o czymś innym niż praca, bo bez przerwy sprzedawała książki, pomagała klientom dokonać ich wyboru, inkasowała pieniądze i przygotowywała specjalne ekspozycje. Przez cały długi weekend w księgarni panował wzmożony ruch. I teraz, w poniedziałek wieczorem, kiedy nieoficjalnie kończyło się lato i sezon turystyczny, June oczekiwała na szampana, którym mieli oblać w łodzi Henry'ego weekendowe obroty.

Tuż przed dziesiątą zadzwoniła do Kat, prosząc ją, by sprawdziła, czy Charlie śpi. Dziś Kat i Oliver zabrali go na piknik na plaży, gdzie serwowano owoce morza i odbył się pokaz sztucznych ogni. Charlie zasnął, trzymając w dłoni róg w kształcie homara. June była zachwycona zainteresowaniem, jakie okazywali Charliemu członkowie jej rodziny. Na myśl o tym uśmiechnęła się, idąc obok Bean pomostem do łodzi Henry'ego. Uśmiech nie schodził z twarzy June, gdy Henry wręczył jej i Bean kieliszki z szampanem, a następnie czekał z premią. Kwota na jej czeku wystarczała na więcej niż dwie godziny dodatkowych zajęć w szkole Charliego w ciągu roku. Stuknęli się kieliszkami i zaczęli popijać szampana oraz jeść zrobioną przez Henry'ego pyszną salsę podaną na chipsach tortilla. Poza tym Henry włączył płytę z piosenkami Van Morrisona, uruchamiając wiekowy sprzęt stereo.

Po krótkim czasie zjawił się po Bean jej chłopak. June zdumiało odkrycie, jak bardzo chce, by po nią też ktoś przychodził. Ktoś, kto by ją kochał i troszczył się o nią. Tak dawno temu się usamodzielniała, że przywykła do radzenia sobie bez pomocy innych ze wszystkim – z emocjami, ciekącym kranem, kładzeniem dziecka do łóżka i czasami z gryzoniami. Chciała mieć kogoś, na kim mogłaby się oprzeć, kochać go i kochać się z nim.

– Bez ciebie, June, nie miałbym nawet połowy obrotów, jakie osiągnęliśmy w ten weekend – pochwalił ją Henry, opierając ręce na blacie kuchennym. – Sposób, w jaki rekomendujesz klientom książki, to jest naprawdę coś. Jesteś wiarygodna, mówisz to, co myślisz – że rzeczywiście podoba ci się jakaś książka, że pasjonuje cię ten lub inny temat czy głos autora w danej sprawie. Ludzie to lubią.

June doceniła pochwałę.

– Jedna z korzyści, jakie odnoszę, spędzając samotnie sobotnie wieczory, jest taka, że mam czas na czytanie różnych dobrych książek – powiedziała.

Henry odstawił na bok pełny kieliszek z szampanem i otworzył butelkę swojego ulubionego piwa. June obserwowała, jak jej szef podnosi butelkę, wznosi toast i pije, odchylając głowę do tyłu, a jego nieco za długie ciemne włosy o kasztanowozłotawym odcieniu dotykają karku. Był takim przystojnym i... seksownym samotnym wilkiem. Jednak gdy wyobraziła sobie, że całuje Henry'ego Booksa, jego miejsce natychmiast zajmował blade dwudziestojednolatek o ciemnych włosach i zielonych oczach. Skoro nawet Henry Books nie mógł wyprzeć Johna z jej wyobraźni, to być może nigdy nie uwolni się od niego? Jej serce wciąż należało do mężczyzny, który tego nie chciał i porzucił ją. Zresztą przez cały czas istniał w jej synu. Jak miała pozwolić mu odejść?

Henry odstawił piwo i spojrzał na nią w skupieniu ciemnymi oczami Clint Eastwooda, w ich kącikach dostrzegła lekkie zmarszczki. Niech się ruszy – pomyślała, nie odwracając od niego wzroku. – Jesteśmy tu sami i przez całe lata... coś nas do siebie ciągnęło. Chyba, że się jej przywidziało i nigdy tak na nią nie patrzył. Ale coś w wyrazie jego twarzy powiedziało jej, że Henry się nad czymś zastanawia, coś rozważa. Czyżby zamierzał ją objąć, namiętnie pocałować i zanieść do łóżka? O czym myślisz, Henry? – spytała go bezgłośnie. – O tym, że mogliby się kochać na tej łodzi, teraz, zaraz? A może o tym, że jest nieładna i stara, zawsze taka sama, i w ogóle go nie pociąga? Żałowała, że nie wie i że nie ma odwagi wstać z tego stołka, na którym siedziała na wpół odwrócona, podejść do Henry'ego i pocałować go.

– O, jaka jebana sielanka!

June momentalnie odwróciła się w stronę drzwi i zobaczyła Vanesę Gull. Jak zwykle zapomniawszy o rzeczywistości i o Wielkiej Narzeczonej Henry'ego. Przez chwilę była tak zszokowana widokiem tej kobiety, że nie mogła ruszyć się z miejsca. Vanessa, ubrana w letnią sukienkę i trampki Chuck Taylor, stała, spoglądając z wściekłością to na nią, to na niego.

– My tylko oblewamy doskonały wynik finansowy świątecznego weekendu – pospieszenie wyjaśniła June.

– Dobra, dobra – naprawdę wkurzona Vanessa zwróciła się do Henry'ego: – Dlaczego wcześniej się do tego nie przyznałeś? Oszczędź mi dyskomfortu czekania jeszcze kilka lat na propozycję małżeństwa, choć nawet nie jestem pewna, czy chcę za ciebie wyjść. Po prostu powiedz to, abyśmy oboje... troje wiedzieli, że jesteś zakochany w June i zawsze byłeś.

Co?! June spoglądała to na nią, to na niego ze zdziwioną miną.

Vanessa rzuciła jej wściekle spojrzenie.

– Och, do kurwy nędzy, June, daruj sobie to zdziwienie! – krzyknęła. – To mogło działać, gdy byłaś osiemnastolatką czy ile tam lat miałaś i ktoś ci zrobił dziecko, ale teraz jest nudne. Uwierz mi, dawno już masz za sobą okres naiwności.

June patrzyła na Vanesę, a Vanessa na Henry'ego.

– Vanesso, nie lubię, jak ktoś próbuje zapędzić mnie w kozi róg – powiedział w końcu.

Vanessa wycelowała w niego palec.

– Ja też nie przepadam za rywalizowaniem z inną kobietą, niezależnie od tego, czy jest w tym mieście, czy też nie – odcięła się. – Robi mi się od tego niedobrze, Henry. Uważaj się od tej chwili za wolnego. Zaczęłam się spotykać z Beckiem Harglowem. On przynajmniej w nikim od lat nie kocha się bez wzajemności! – Chwyciła kieliszek, z którego Bean piła szampana, i rzuciła nim o ścianę, pod którą stał Henry. Gdy odłamki szkła spadły na podłogę, odwróciła się i wyszła, trzaskając drzwiami.

– Idź za nią – powiedziała June, nie wiedząc, co się naprawdę stało.

Beck Harglow był supermechanikiem, którym wszyscy się zachwycali, ale tak czy inaczej Vanessa przeżywała wielkie wzburzenie, skoro czymś rzuciła.

– Nie tym razem – odparł. – Poza tym, że zrobiła scenę, nie pomyliła się.

June zerknęła na niego, wstrzymując oddech.

Spojrzał jej głęboko w oczy, jak Clint Eastwood aktorkom, z którymi grał w filmach.

– Zawsze cię kochałem, June – wyznał, podszedł do niej znieruchomiejącej, uniósł jej podbródek i pocałował ją namiętnie, jak to sobie wyobrażała, gdy Charlie był maleńki, a po chwili odsunął się i dodał: – Zawsze chciałem to zrobić, w weekend czy w zwykły dzień, zawsze, od lat.

June nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Pragnęła tego. Zawsze tego pragnęła. Jednak mimo to, że ktoś, choć nie jakiś tam zwykły ktoś, lecz Henry Books, jedyny poza Johnem Smithem mężczyzna, o którym marzyła, ofiarował jej wszystko, za czym tęskniła, nie mogła... tak nagle przestać poszukiwać ojca swojego syna. Podtrzymywała w sobie to niemądre przekonanie, że odnajdzie Johna Smitha i otrzyma odpowiedzi na wszystkie pytania, z którymi od ponad siedmiu lat zasypiała codziennie wieczorem, i dowie się, że on też jej szukał. Może nie powiedziała mu, jak się nazywa? Spędzili ze sobą zaledwie siedem czy osiem godzin, zamroczeni piwem i dżinem z tonikiem. Mimo to, może jednak mnie teraz poszukuje? – pomyślała.

– June? – odezwał się Henry.

– Ja... – odwróciła się i usiadła w skórzanym fotelu przy biurku. – Ja...

– Czekasz na kogoś innego – dokończył za nią. – Wiem o tym.

Poczuła łzy w oczach.

– Czy jestem idiotką? – zaczęła. – Teraz, gdy tak intensywnie go poszukuję, dla Charliego, ciągle myślę... mam nadzieję... Może to głupie i bezcelowe, ale chyba nie mogę przestać. – Po tych słowach dodała bezgłośnie: Zawsze cię kochałam...

Oparł się o słupek i oznajmił:

– Kto mówi, że to głupie i bezcelowe? Istnieje wiele możliwości, które musisz sprawdzić, June. Właśnie to teraz robisz i w to zaangażowałaś swoje myśli i uczucia. To nie jest bezcelowe. Porządkujesz swoje sprawy. I może z czasem, w zależności od tego, co się wydarzy, zyskasz swobodę działania i jasność sytuacji.

Odetchnęła głęboko, wdzięczna mu za to, że ją rozumie. Ona również chciała mu wyznać miłość i zrobiła to, jeśli nawet bała się tego, co do niego czuła, gdy oznajmiła:

– Zawsze mnie rozumiałeś, jako jedyny. Dobrze się przy tobie czuję.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Cieszę się.

Wstała z fotela, wzięła kieliszek i napiła się szampana.

– Ty i Vanessa od lat się kłóćcie i do siebie wracacie. Najwyraźniej łączy was prawdziwa namiętność – stwierdziła.

Uważała, że łączy ona z Henrym również ją. Pod wpływem tego krótkiego pocałunku była bliska omdlenia.

Pokręcił głową.

– Kiedyś pomyliłem teatr z namiętnością, przyzwyczajenie z czymś rzeczywistym – wyznał. – W tym bardzo długim okresie rzadko łączyła nas autentyczna więź, a mówiąc uczciwie, każde grało w życiu drugiego swoją rolę.

Jak John Smith nadal pełni w twoim życiu. – Była pewna, że tak pomyślał i odwróciła się zmieszana. Wtedy spostrzegła na jego biurku zdjęcie swoje i Charliego, zrobione przed dwoma lub trzema laty w czasie świąt Bożego Narodzenia. Pamiętała ten dzień. Musiała wynieść się z pensjonatu, bo nie mogła wytrzymać panującej tam atmosfery i zachowania Edwarda oraz swojej siostry. Henry przyszedł jej na ratunek. Ulepił wraz z Charliem bałwana, a potem obrzucali się śnieżkami. Zrobił wtedy zdjęcie jej i Charliemu, ubranemu w pomarańczową pikowaną kurtkę i spodnie, do których przyłgnał śnieg, gdy lepili anioły i uśmiechali się radośnie. Henry zawsze był jej zaufaną osobą, kimś, do kogo zwracała się najpierw, kiedy czegoś potrzebowała, bez względu na powód. Kiedy kogoś potrzebowała.

– Spędziliśmy ze sobą bardzo miłe chwile, my troje – powiedział, stając za nią.

My troje... Nigdy nie zapominał o Charliem. Nigdy.

Odwróciła się do niego. Co by bez niego poczęła? Nie miała pojęcia. Ostatnio wprawdzie zbliżyła się do swojej rodziny, ale Henry nadal był dla niej ważny jak powietrze. Patrzył na nią, a ona przypominała sobie różne chwile ze swojego życia, w których uczestniczył: Henry głaszczący ją po plecach, gdy była w dziewiątym miesiącu ciąży, Henry kołyszący maleńkiego Charliego, zmieniający mu pieluszkę i obsikany, Henry przytulający ją, gdy płakała z powodu nieobecności Johna Smitha, brzemienia losu, jakie musiała dźwigać i swej niepewnej przyszłości.

– Rób to, co uważasz, że powinnaś, June – oznajmił na koniec.

Spotkało mnie wielkie szczęście, że mam ciebie – pomyślała, chcąc to powiedzieć, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

Gdy rano krzątała się po kuchni, przygotowując Charliemu przekąskę i lunch do szkoły, Lolly włożyła do pudełka z fotosami Spidermana sławne okrągłe ciasteczko Kat z kawałkami czekolady, spojrzała na nią i powiedziała:

– Wyglądasz na szczęśliwą, June. Najwyraźniej służy ci powrót do tego miasta i praca tu, jeśli nawet nie jest to ta sama księgarnia.

June omal się nie roześmiała. Szczęśliwa w Boothbay Harbor? Owszem, tak, bo Charlie czuł się tu szczęśliwy. Uwielbiał życie wśród bliskich i cieszył się, że ma psa, choć w rzeczywistości kundelek należał do Isabel. Z powagą przyjął od niej ofertę pracy za dwa dolary tygodniowo – wyprowadzania na spacer i szcztokowania Szczęśliwca. I był bardzo podekscytowany szkołą, do której szedł dziś po raz pierwszy. Ale z nadzieją w oczach nadal pytał June, czy poczyniła już jakieś postępy w poszukiwaniu jego ojca. Zagadnął ją o to przed kilkoma minutami.

– Zaraz idę do biblioteki, bo chcę znaleźć coś więcej na jego temat – zapewniła go.

– Dobrze. Może naprawdę dziś coś znajdziesz – powiedział i pierwszy raz nie spojrzął na nią zawiedziony, co zwykle następowało po jej odpowiedzi, lecz wybiegł na dwór, chcąc jeszcze przez kilka minut pobawić się z psem, zanim będzie musiał pójść na przystanek autobusowy.

Naprawdę czuł się tu szczęśliwy wśród rodziny, która go uwielbiała. Wszyscy dyskretnie wkładali okrągłe ciasteczka do jego pudełka na lunch, obejmowali go, spotykając gdzieś w przedpokoju, i kupowali mu T-shirty z nadrukowanym z tyłu nazwiskiem jego ulubionego gracza Red Soxów.

I June miła była świadomość, że istnieją inni ludzie i nie musi czuć się odpowiedzialna za każdy drobiazg, na przykład za zawieszenie w toalecie nowej rolki papieru toaletowego, napompowanie opon samochodowych czy zatamowanie synowi krwotoku z nosa o drugiej w nocy. Dzisiejszej nocy jeszcze nie spała, myśląc o Henrym i o tym, co jej powiedział – że zawsze ją kochał – o należącym do niej Henrym, gdy nagle Charlie krzyknął, że leci mu krew z nosa. Dzięki temu, że, jak się okazało, zawsze kochał ją ktoś, kogo sama darzyła wielkim uczuciem i niezmiernie podziwiała, zyskała pewność siebie, jakiej nigdy dotychczas nie miała.

Wyglądała, zdaniem ciotki, na szczęśliwą. Czy było tak z powodu Henry’ego, mimo że wiązała jeszcze jakieś nadzieje z Johnem? A może ona też czuła się tu szczęśliwa w gronie rodziny, do której zawsze zaliczała Henry’ego? Gdy w nocy wycierała Charliemu nos kolejnymi papierowymi chusteczkami, Isabel spontanicznie wyjęła z szuflady komody górę od swojej nowej piżamy, zmoczyła ją zimną wodą i wytarła krew z twarzy chłopca, a Kat zdjęła z jego poduszki zakrwawioną poszewkę i zmieniła na nową, w małe niebieskie i czerwone roboty.

Po raz pierwszy ona i Charlie mieli rodzinę we właściwym znaczeniu tego słowa. Znajdowali się wśród ludzi, którzy się o nich troszczyli. Podczas tego wspólnego pobytu w pensjonacie, martwienia się o Lolly i codziennego rozmawiania późnym wieczorem o stanie jej zdrowia, bycia świadkiem różnych drobnych i poważnych zdarzeń, które składały się na ich życie tu, wszystkie cztery stały się sobie bliższe, co nastąpiło spontanicznie.

June podeszła do drzwi siatkowych i wyjrzała na dwór. Charlie właśnie rzucił Szczęśliwcowi jego ulubioną pluszową zabawkę i czekał, aż pies przyniesie mu ją w pysku.

– Jesteś gotowy, skarbie?! – zawołała.

– Tak! Cześć, piesku! – wykrzyknął i energicznie podrapał kundelka na pożegnanie.

June i Lolly odprowadziły go na przystanek autobusowy, znajdujący się w połowie drogi do następnej przecznicy. Gdy uściśniły go na pożegnanie i wskoczył do szkolnego autobusu, June myślała, że z żalu pęknie jej serce.

W drodze powrotnej Lolly opowiedziała jej, że czuła się wewnętrznie rozdarta, wsadzając małą Kat do żółtego szkolnego autobusu i spoglądając, jak jej kruszyna sama udaje się w daleki świat. June prowadziła ciotkę pod rękę, bo Lolly szła znacznie wolniej niż zwykle.

Po wypiciu dwóch stawiających na nogi filiżanek kawy, po zapewnieniach ciotki, że czuje się całkiem dobrze oraz jej prośbie, by siostrzenica „wybrała się na poszukiwania”, June pojechała do biblioteki. Panował tam przyjemny chłód i spokój. Tylko czy sam fakt skorzystania z tutejszego komputera, zamiast z tego stojącego w gabinecie ciotki czy z laptopa Kat, musiał

przynieść coś nowego? Nie wiedziała, czego jeszcze mogłaby spróbować. Miała wrażenie, że próbowała już wszystkiego. Poza wynajęciem prywatnego detektywa.

Może rzeczywiście powinna zdecydować się na to ostatnie? Dotychczas tego nie zrobiła, bo nie miała kilkuset dolarów ekstra na opłacenie usługi. Skonsultowała się z prywatnym detektywem tylko raz w życiu i usłyszała, że jeśli nie zna numeru ubezpieczenia społecznego lub daty urodzenia poszukiwanej osoby, będzie jej trudno odnaleźć kogoś o tak pospolitym nazwisku. Detektyw poradził, by sama poszukała w internecie tego, czego szukałby i on i dzięki temu zaoszczędziła dwieście pięćdziesiąt dolarów na honorarium za „wstępny przegląd”.

Usłyszała śpiew małych dzieci i poszła tam, skąd dochodził. W sali siedziało w kręgu na kolanach opiekunek może dziesięcioro maluchów, które powtarzały za bibliotekarką rymowaną *Itsy Bitsy Spider*. June uśmiechnęła się, bo sama śpiewała tę piosenkę i wykonywała gesty dłoni odpowiadające poszczególnym słowom, gdy Charlie był maluchem.

Wzięła przepustkę do sali komputerowej i ruszyła po schodach. Gdy mijała dział poradników, spostrzegła Marley siedzącą w fotelu w ciemnych okularach i kapeluszu o miękko opadającym rondzie, a obok niej stos książek. Serce drgnęło jej boleśnie na myśl o tym, jak kiedyś sama odczuwała potrzebę ukrywania się pod przebraniem w ich mieście rodzinnym.

Podeszła do Marley, chcąc się z nią przywitać, i zobaczyła, że przyjaciółka czyta poradnik *Czego naprawdę potrzeba twojemu dziecku* i robi notatki.

– Miałaś jakąś wiadomość od Kipa? – spytała po cichu.

Marley pokręciła głową.

– Ale powiedziałam o wszystkim mamie, która chce, żebym została w Boothbay Harbor i rozejrzała się za pracą nauczycielki – zwierzyła się. – Zaofiarowała się jako darmowa niania, a właściwie babcia piastująca wnuka. Nie rozpaczam już tak jak przedtem.

– Miło, że tu zostajesz. Kip na pewno się u ciebie zjawi, jeśli nawet dopiero po narodzinach dziecka – dodała jej otuchy June.

– Mam taką nadzieję – stwierdziła Marley. – Może tylko niemądrze fantazuję, ale nie przestaję myśleć, że ofiarowuję mu wspaniały dar, czyli rodzinę – zakochaną w nim do szaleństwa kobietę i dziecko – i to powinno go zainteresować.

– Z czasem się okaże – uznała June. – Gdy tylko wszystko to do niego dotrze.

Umówiła się z Marley w tygodniu na obiad, powiedziała, w co, jej zdaniem, powinna się zaopatrzyć młoda mama, a co jest niepotrzebne (na przykład podgrzewacz do chusteczek pielęgnacyjnych dla niemowląt), zostawiła przyjaciółkę, by dokończyła robić notatki, i podeszła do jedyne go włączonego komputera.

Poszukiwała informacji w ten sam co zwykle sposób. Jednak po upływie pół godziny zdała sobie sprawę, że tylko nieliczne spośród stron internetowych, na które teraz zajrzała, poznała już wcześniej. Przez następne pół godziny wpisywała do wyszukiwarki kolejne dane. Niestety, nie znalazła żadnych nowych informacji, ale po jakimś czasie natknęła się na coś obiecującego, bardzo obiecującego. Gdy do wyszukiwarki Google Blogs wrzuciła informacje: John Smith, Colby College, 2003, 2004, 2005, w ostatnim roku pojawiła się wzmianka o kwartecie jazzowym o nazwie Jazz Experience istniejącym w tym college’u z dołączonym ziarnistym zdjęciem. John Smith powiedział jej, że uwielbia jazz, ale nie wspomniał, że jest członkiem zespołu muzycznego. Tymczasem pod drugim od lewej muzykiem z Jazz Experience, grającym na gitarze basowej, widniał podpis „John Smith”. Mężczyzna miał proste, łagodnie opadające na czoło ciemne włosy, które zasłaniały mu oczy, gdyż patrzył w dół, na gitarę. To mógł być on. Rok się zgadzał.

Tylko co miała teraz zrobić? Skontaktować się z trzema pozostałymi muzykami i oznajmić: „Cześć, uczęszczałeś do college’u z Johnem Smithem o ciemnych, miękko

opadających na czoło włosach. Grał z tobą w zespole Jazz Experience, na gitarze basowej. Wiesz może, czy na ostatnim roku przerwał studia, aby móc jeździć po kraju?”. Cóż, przynajmniej miała kogo o to spytać, trzy osoby.

– Przykro mi, lecz przekroczyła pani o dziesięć minut limit czasu korzystania z tego komputera. Teraz chce z niego skorzystać ktoś inny – zwróciła jej uwagę bibliotekarka.

June zerwała się z krzesła.

– Przepraszam! Już zwalniam miejsce! – powiedziała i ruszyła na schody.

W końcu coś miała. Znajdę go – powiedziała do siebie w myślach. To było to. Tak czuła. Wreszcie się dowie, co się stało, dlaczego John nie przyszedł na spotkanie mimo tego, co ich połączyło przez dwie poprzednie noce, mimo tego, jak na nią patrzył, jak trzymał ją za rękę i jak bardzo dał jej poznać, że jest w niej tak samo zakochany jak ona w nim. I być może istniała szansa, że jej dwuosobowa rodzina stanie się trzyosobowa.

Po obiedzie June na podstawie postu na wcześniej przeglądany blogu odnalazła mężczyznę o niezwyklej nazwisku, bo tylko on był tam wymieniony – Theodore’a Theronowskiego. Tylko on! Dziękuję, że pan się tak nazywa! – pomyślała. Wpisała do wyszukiwarki to imię i nazwisko oraz słowa „białe strony” i od razu otrzymała adres i numer telefonu. Theodore Theronowski mieszkał w Illinois.

Chwyliła telefon i wystukała numer, serce biło jej jak oszalałe.

– John Smith, John Smith... – powtarzał Theodore Theronowski, gdy mu wyjaśniła, w jakiej sprawie dzwoni. – Z Jazz Experience? Nie pamięć... Och, zaraz, tak. Kiedy Parker zachorował na mononukleozę, czy coś podobnego, jego przyjaciel John zastępował go przez dwa miesiące, grając na basie. Pod koniec roku przeniosłem się na Boston University, więc nie poznałem Johna zbyt dobrze.

Pamiętał go. June zamknęła oczy w niemym podziękowaniu. Była blisko.

– Nie ma pan jego adresu? Nawet starego? Lub starego numeru telefonu? Czegoś, co mogłabym wykorzystać, aby nawiązać z nim ponownie kontakt? – zarzuciła go pytaniami.

– Nie, przykro mi. Ale pamiętam, że mieszkał na Haywood Street lub Place, lub coś takiego – przypomniał sobie. – Haywood to moje drugie imię i niektórzy tak do mnie mówią. Pamiętam, jak kiedyś powiedział, że wychował się na Haywood coś tam. Niestety, nie wiem gdzie.

Haywood coś tam. W Bangor. To było wszystko, czego potrzebowała. To doprowadzi ją do jego rodziców, a oni do niego.

Dziękuję, Theodore Theronowski. Dziękuję – powiedziała w myślach.

Gdy się z nim rozłączyła, wpisała do wyszukiwarki Google Maps słowa: Haywood, Bangor, Maine, i otrzymała nazwę „Haywood Circle, ślepa uliczka”. Oczywiście jego rodzice mogli tam już nie mieszkać, ale szybko sprawdziła w wyszukiwarce sekwencję słów: „Smith, Haywood Circle, Bangor, Maine” i otrzymała adres: Eleanor i Steven Smith, Haywood Circle 22. Poczuli łyżę w oczach i zasłoniła usta dłonią wstrząśnięta, że w końcu go znalazła lub prawie znalazła po tylu latach i żmudnych poszukiwaniach. Odnalazła do niego drogę. Co teraz? Ma zadzwonić do jego rodziców i powiedzieć, że jest dawną przyjaciółką Johna i bardzo chciałaby się z nim skontaktować? A co, jeśli nie przekażą mu wiadomości od niej? Jeśli nie utrzymują z nim kontaktów? Jeśli John jest zaręczony lub żonaty i jego rodzice nie zechcą udzielić jej informacji, jak się z nim skontaktować? Dawnej dziewczynie? Ile powinna im powiedzieć, żeby sprawa nabrała biegu? Dużo czy mało?

„Dzień dobry, pani Smith. Nazywam się June Nash. Przed siedmioma laty poznałam w Nowym Jorku pani syna Johna. Straciłam z nim kontakt i bardzo chciałabym się dowiedzieć, jak mogę go odnaleźć”.

Te słowa brzmiały rozsądnie. Przedyskutowała je z Isabel i Kat i otrzymała ich opinie. Po raz nie wiadomo który podziękowała w myślach losowi, że jej siostra i kuzynka tu są, przez cały czas dostępne i chętne do poważnych rozmów.

Rozdział 12

Kat

Matka wydawała się taka słabowita. Zamiast poprawy po pierwszym cyklu chemioterapii – następny miał się rozpocząć za półtora tygodnia – organizm Lolly zaczął się buntować. Często miała mdłości i czuła się zmęczona, a czasami tak wyczerpana, jak właśnie teraz, że ledwie potrafiła unieść rękę. Leżała podparta na specjalnym szpitalnym łóżku, które Kat zamówiła do jej sypialni. Tyle wysiłku kosztowało ją odwracanie stron „Good Housekeeping”, że Kat kuliła się na ten widok, siedząc na skraju łóżka w popołudniowym słońcu, którego promienie przesuwają się po powierzchni żółtej kołdry haftowanej w blade rozgwiazdy, należącej kiedyś do Allie.

Na widok tej kołdry Kat czasami zaczynało brakować tchu w piersiach, bo kojarzyła się jej ze stratą tych dwóch silnych kobiet. Jedna już odeszła, a druga właśnie odchodziła, obie przedwcześnie. Kat dobrze pamiętała piękną ciotkę Allie Nash i to, jak w dzieciństwie żałowała, że nie ma jej długich i gęstych falujących kasztanowych włosów ze złocistymi pasmami. Isabel miała po matce więcej złocistych pasm we włosach, a June były bardziej kasztanowe. Gdy podczas bardzo pracowitych weekendów matka oddawała Kat pod opiekę wujostwa, Allie szcztokowała długie jasne włosy siostrzenicy, tak jasne, że wydawały się Kat bezbarwne, i bardzo je chwaliła, co napawało dziewczynkę dumą. Ciotka była taka miła. Kat chętnie była w domu wujostwa.

Po drodze do nich oglądała wystawę salonu wróżki Madame Esmeraldy, dwie przecznice od domu. Ciocia Allie powiedziała jej, że ani ona, ani Isabel i June nie wierzą w zdolność Madame Esmeraldy przepowiadania przyszłości, ale ona potrafi zarobić na swoje utrzymanie, bo umie interpretować miny ludzi, gdyż każdy ma wypisane na twarzy swoje lęki i pragnienia. W pewien zimowy dzień, kiedy Madame Esmeralda przemieniła się w krawcową, chcąc mieć jakieś zajęcie, przepowiedziała Kat przyszłość za cenę doręczenia trzech pakunków klientom. Kazała Kat usiąść w swoim małym salonie, gdzie w oknach wisiały kosztowne czerwone zasłony, a na stole stał kandelabr, i powiedziała jej różne oczywiste rzeczy. Wyjątek stanowiło jedno zdanie, które Kat zapamiętała na zawsze: „W końcu sama siebie zaskocysz”.

Gdy kilka dni po wypadku zobaczyła Madame Esmeraldę w sklepie spożywczym, podbiegła do niej i nakrzyczała na nią, że jest fałszywą wróżką i nie ma pojęcia, o czym mówi, w przeciwnym razie przestrzegłaby jej ojca przed zabieraniem do samochodu wujostwa, gdyż wiedziałaby, że mężczyzna o wiele bardziej od nich pijany staranuje swym autem subaru ojca kilka minut drogi od domu, gdzie wszyscy troje byłiby bezpieczni. Madame Esmeralda była tak wstrząśnięta i zasmucona tym, co usłyszała, że Kat znieruchomiała, a po chwili ją przeprosiła i uciekła. Od tej pory przestała przywiązywać wagę do zdania wypowiedzianego przez tę kobietę, bo już jej nie wierzyła. Ale oczywiście zaskoczyła samą siebie, gdyż życie było pełne cholernych niespodzianek.

Odwróciła wzrok od wyblakłej rozgwiazdy na kołdrze, która wywołała u niej te wspomnienia, i skupiła się na krojeniu na malutkie porcje kruchego ciasta z truskawkami i bitą śmietaną, za którym nie przepadała, ale matka bardzo je lubiła.

– Hm, rozplywa się w ustach – pochwaliła Lolly, gdy Kat podała jej na widelczyku pierwszy kawałek, westchnęła i po raz trzeci w ciągu piętnastu minut zaczęła się wpatrywać

w córkę.

– Mamo, no już – zachęciła ją do rozmowy Kat. – Najwyraźniej coś ci nie daje spokoju. Jednak Lolly tylko zacisnęła usta i nadal się w nią wpatrywała.

– Miałam nadzieję, że to ty masz mi coś do powiedzenia – rzekła w końcu.

– O czym? – spytała Kat z widelczykiem w ręce.

– Może o pierścionku z brylantem? – podsunęła jej matka.

– Och, nie – jęknęła Kat.

– Zdarzyło się kiedyś, że już miałam wejść do kuchni, ale zobaczyłam cię przez okienko w drzwiach, jak stoisz przy kuchence, trzymając w ręce coś, co wyglądało jak pierścionek z brylantem. Nie chciałam, żebyś pomyślała, że cię śledzę, więc pchnęłam drzwi, chcąc wejść do środka, a ty zlustrowałaś mnie wzrokiem i schowałaś pierścionek do kieszeni – powiedziała matka.

– Oliver mi go wręczył – wyznała Kat tak cicho, że nie była pewna, czy matka usłyszała, i dodała w myślach: Prawie dwa tygodnie temu, lecz nadal ten pierścionek wydaje mi się tak samo dziwny jak dzień, w którym Oliver wsunął mi go na palec.

– Czy ci się oświadczył? – dociekała matka.

Kat skinęła głową.

– I co? – dopytywała się Lolly.

– Przyjęłam jego oświadczenie, ale... uważam zaręczanie się w tej sytuacji za niewłaściwe, podobnie jak robienie wokół tego szumu, kiedy ty przechodzisz przez to wszystko, masz chemioterapię, a w pensjonacie jest pełno wczasowiczów. Po prostu nikomu się z tego... nie zwierzam – wyjaśniła.

Lolly spojrzała na nią tak surowo, że Kat odwróciła wzrok, i oznajmiła:

– Kat, wiesz, że nie lubię wtykać nosa w cudze sprawy, włącznie ze sprawami swojej córki, ale muszę ci teraz powiedzieć coś, czego w normalnej sytuacji bym nie powiedziała.

O rany.

– Otóż nic nie mogłoby uczynić mnie szczęśliwszą niż twój ślub z Oliverem i łącząca się z tym stabilizacja, nic – oświadczyła.

Teraz Kat spojrzała na matkę.

– Dlaczego? – spytała i dodała w myślach: Żebyś nie musiała się o mnie martwić? Ponieważ sądzisz, że chcę wyjść za mąż? Bo ty i tata wybraliście mi Olivera na męża, gdy miał pięć lat?

– Bo się kochacie – odparła Lolly. – To jasne i proste.

Miłość jest czymś jasnym i prostym? – chciała spytać matkę, ale nie mogła. Nie mogła z nią rozmawiać. Nigdy nie mogła, nawet teraz. Odkroiła kolejny kawałek ciasta, chcąc coś zrobić z rękami.

– Po prostu nie chcę, żebyśmy przestali koncentrować się na tobie, mamo. Jak mogę myśleć o nakryciach głowy i listach gości, kiedy moja mama... – zaczęła, lecz przerwała, gdy zdała sobie sprawę, że rzeczywiście tak uważa.

Niezależnie od swojego ambiwalentnego stosunku do Olivera była zdania, że nie może zajmować się suknią ślubną, gdy jej matka umiera. Prawda, że Lolly odchodzi, okazała się tak bolesna, iż Kat poczuła ucisk w dołku. Tak naprawdę nigdy cię nie miałam, a teraz...

Na myśl o tym przyszło jej do głowy przykre wspomnienie z dzieciństwa, kiedy matka znalazła ją zapłakaną z powodu tego, co wydarzyło się w szkole: koleżanki nazwały ją sierotą. Robiły to już wcześniej i kiedy Kat ośmieliła się zwierzyć June, kuzynka wytłumaczyła jej, że robią to z zazdrości, bo niektórym złośliwym dziewczynom nie podoba się śliczna Kat, a poza tym to idiotki, zbyt tępe, by wiedzieć, co naprawdę znaczy słowo sierota. Kuzynka poradziła jej,

by je ignorowała i powiedziała o wszystkim psychologowi szkolnemu. Dzięki temu Kat poczuła się nieco lepiej. Dotychczas o takich sprawach rozmawiała z ojcem, na przykład o tym, że ktoś próbował się nad nią znęcać lub ją obrażać, albo że otrzymała słabą ocenę z testów, choć się do nich przygotowała. Ojciec zawsze wiedział, co powiedzieć. Natomiast matka ograniczała się do polecenia, by Kat się rozchmurzyła, i do zawołania:

– Na litość boską!

W ten sposób tylko sypała sól na rany. Po śmierci ojca Kat nie zaczęła się zwracać do niej w trudnych sprawach, a gdy matka pytała ją, co się złego stało, mamrotała pod nosem, że nic, i uciekała. Czasami rozmawiała o swoich problemach z June, która była o trzy lata starsza i bystra, ale na ogół trzymała się Olivera. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo odpycha matkę od siebie. Może po śmierci ojca rzeczywiście nie dała Lolly zbyt wielu szans zbliżenia się do siebie?

Matka usiadła z takim wysiłkiem, że Kat pobladła.

– Kat, wiesz, o kim myślałam podczas chemioterapii? – spytała. – O tobie. O tym, że zostawię cię tu samą. Pamiętasz, jak w *Mamma Mia!* córka martwi się, że zostawi matkę samą? Tam było inaczej niż u nas, bo to ja się martwię, że cię zostawię.

– Mamo, ja...

– To pewne, że ty i twoje kuzynki stajecie się sobie coraz bliższe, ale nie wiadomo, czy Isabel nie wróci do Connecticut, a June do Portland – przerwała jej matka. – Czuję strach na myśl, że zostaniesz sama. Nie twierdzę, że nie jesteś doskonale przygotowana do samodzielnego prowadzenia pensjonatu czy kierowania własnym życiem, ale nie mogę cię tu zostawić samej, Kat. Byłabym uszczęśliwiona, gdybym cię zobaczyła jako żonę Olivera, gdybym wiedziała, że jesteś bezpieczna. Wiesz, co mam na myśli.

Kat poczuła łzy w oczach. Teraz, gdy matka z nią rozmawiała i po raz pierwszy uzewnętrzniła swoje uczucia, żalowała, że nie może po prostu powiedzieć, jak bardzo wszystko jest pogmatwane, a jej stosunek do Olivera ambiwalentny. Tylko jak mogłaby to zrobić, skoro przed chwilą Lolly zwierzyła się jej ze swoich lęków i pragnień?

– Myślałam też o tym, jak bardzo Oliver cię kocha i jaki z niego wspaniały człowiek – ciągnęła matka. – Pamiętasz, jak po śmierci twojego taty przesiadywaliście pod tujami rozdzielającymi nasze posesje? Oliver przez cały czas ci towarzyszył, gdy tkwiłaś tam, ubrana w jego kombinezon, buty i rękawiczki. I biegał do domu po termos z zupą i gorącą czekoladą, bo przez długi czas nie chciałaś się stamtąd ruszyć. Czuwał przy tobie w zimnie godzinami, a miał dopiero dziesięć lat. Tak samo jak ty.

– Pamiętam – potwierdziła Kat.

„Nigdy cię nie opuszczę. Przyrzekam”, powiedział wtedy do niej i spytał: „Chcesz, żebyśmy złożyli przysięgę krwi?”

Zrobili to kilka razy.

Matka wydawała się pogrążona w myślach.

– Kiedy pięć czy sześć lat temu obie miałyśmy anginę, a Pearl również była chora, Oliver sam zarządzał pensjonatem i przynosił nam na tacy posiłki. Pamiętam tę niesamowitą zupę z restauracji Żarłoki – powiedziała po chwili.

– A ja poza tym gorącą czekoladę z kawiarni Światła Portu, z grubą pianką marshmallow – dodała Kat i przypomniała, jak Oliver zmienił im pościel, przyniósł kwiaty i magazyn „People”.

– W bardzo młodym wieku zachowywał się jak właściciel i takim pozostał – stwierdziła Lolly. – Masz szczęście, Kat, że znalazłaś go tak wcześnie i zawsze okazywał ci miłość.

Mam szczęście, że jest przy mnie – pomyślała, przywołując w pamięci jego urodziwą

twarz i przykłady wspaniałego zachowania. Chyba była idiotką. Jasne, że miała szczęście. Kto powiedział, że gdy się z nim zwiąże, nie zacznie podróżować? Temu służył miesiąc miodowy, który mogli spędzić na przykład w Paryżu, a na wakacje wyjeżdżać do Rzymu, Sydney, Moskwy... To, że pociągał ją doktor Matteo Viola, znaczyło tylko tyle, że jest normalną pełnokrwistą kobietą. Wcale nie znaczyło, że nie kocha Olivera.

– Znacznie bardziej wolałabym spędzać kolejne tygodnie na organizowaniu twojego ślubu i wesela niż na zamartwianiu się swoim stanem zdrowia – wyznała matka. – Na przeglądaniu zdjęć w magazynach poświęconych ślubom i robieniu listy gości. Od razu czuję się lepiej, gdy tylko pomyślę o tym, jaki fason sukni ślubnej mógłby ci się spodobać, czy o menu przyjęcia weselnego. A więc, jaka suknia by cię interesowała? Uszyta z dużej ilości materiału, o skomplikowanym fasonie, biała, czy może jakaś prostsza?

Kat nie pamiętała, kiedy po raz ostatni czuła taką bliskość z matką. Niech ona zajmie się wszystkim. Kat i Oliver należeli do siebie. Wydawało się, że każdy to wie i rozumie. Musiała w to uwierzyć.

– Myślałam o jakiejś prościej – odpowiedziała matce szybciej, niż zamierzała. – Żeby nie miała za dużo bufek i koronek.

Twarz Lolly rozpromienił uśmiech.

– A jak ci się podoba pomysł zorganizowania ślubu i przyjęcia weselnego w ogrodzie? Czy nie byłoby doskonale?! – zawołała z ożywieniem.

– Z pewnością, mamó – zgodziła się Kat.

Może tak być powinno? – pomyślała, zdawszy sobie sprawę, że już dwukrotnie ktoś za nią zdecydował. Może tego potrzebowała, by ktoś z nią porozmawiał i w końcu oznajmił: „Posłuchaj, Oliver to najlepszy chłopak na świecie. Nigdy nie znajdziesz wspanialszego. Poślubisz go”.

– Pokaż mi, jak wygląda ten pierścionek na twojej ręce – poprosiła matka.

Kat wyjęła go z kieszeni i wsunęła na palec, jakże piękny, prosty, złoty z brylantowym oczkiem. To była pamiątka rodzinna, po prababce Olivera.

– Dzięki niemu teraz wszystko wygląda tak jak powinno – podsumowała Lolly.

Dlaczego więc Kat nadal nie odczuwała z tym wszystkim żadnego związku?

W piątek wieczorem, mając od dwóch dni na palcu pierścionek zaręczynowy z błyszczącym brylantem i otrzymawszy bezpośrednio, przez telefon lub za pośrednictwem mejli gratulacje od wszystkich w pensjonacie, od rodziny Olivera i przyjaciół, Kat była gotowa do obejrzenia w spokoju filmu wraz z matką, June i Isabel i do późniejszej dyskusji na temat tego filmu, a nie zaręczyn, ślubu i przyszłości. Nie chciała już być zasypywana pytaniami o to, gdzie ona i Oliver zamieszkają po ślubie i czy wiedzą, że dwie przecznice stąd wystawiono na sprzedaż stary dom w stylu wiktoriańskim, który na pewno by się jej spodobał.

Lizzie nie posiadała się z radości, gdy dowiedziała się o zaręczynach, i podrzuciła do pensjonatu co najmniej trzydzieści magazynów poświęconych ślubom. Oznaczyła w nich kolorowymi samoprzylepnymi karteczkami najpiękniejsze jej zdaniem suknie, nakrycia głowy, buty, biżuterię, fryzury i bieliznę. Dostarczyła również spisy odpowiednich na przyjęcie weselne lokali, usług cateringowych, prezentów i miejsc, gdzie Kat mogłaby spędzić z ukochanym miesiąc miodowy. Lizzie i jej przyszły mąż właśnie wybierali się na Hawaje, a Kat udawała się do swojego pokoju z powodu grożącego jej bólu głowy, bo było tego wszystkiego stanowczo za dużo.

Stała, przeszukując w salonie płyty DVD z filmami. Matka poprosiła ją, żeby na dzisiejszy wieczór wybrała coś zabawnego. Zamierzały obejrzeć film w pokoju Lolly, która przez ostatnie dwa dni czuła się tak wyczerpana, że mogłaby zasnąć w trakcie projekcji. W kolekcji

matki filmy były ułożone tematycznie i skatalogowane. Wśród informacji znajdujących się na pudełkach interesujących Kat płyt z filmami z udziałem Meryl Streep znajdowały się też nazwiska innych aktorów grających w poszczególnych z nich. Clint Eastwood, Shirley MacLaine, Tommy Lee Jones, Nicole Kidman, Robert De Niro, Cher, Jack Nicholson, Uma Thurman, Robert Redford, Albert Brooks.

W obronie życia. Tytuł wydał się Kat odpowiedni. Wzięła do ręki płytę i przeczytała tekst na odwrocie. Grany przez Alberta Brooksa Daniel Miller w dniu urodzin rozbija swój luksusowy samochód i ginie, po czym trafia do sali rozpraw w Mieście Sądu, gdzie musi obronić swoje dotychczasowe życie, a w szczególności przekonująco wyjaśnić, dlaczego w różnych momentach pozwolił, by strach powstrzymał go przed działaniem. Tylko dzięki temu będzie mógł przejść dalej, w „kierunku postępowym”, wraz z graną przez Meryl Streep nową miłością Julią, której życie było bez zarzutu. „Bardzo śmieszny i szczerzy” – napisał o filmie krytyk.

Strach. Kat doświadczyła go w życiu wiele razy. Położyła płytę DVD na odtwarzaczu i poszła do kuchni, żeby na wieczór filmowy upiec miniaturę swego tortu weselnego, bo chciała spróbować, jak smakuje. W kuchni nigdy nie odczuwała strachu. Niech się przekonam, jaka jestem nieustraszona, piekąc własny tort weselny – pomyślała.

– *W obronie życia* widziałam dość dawno temu – powiedziała Lolly, siedząc na łóżku i trzymając na kolanach pilota. – Pamiętam, że jest bardzo zabawny, ale zmusza też do zastanowienia się nad tym, co w swoim życiu człowiek musi obronić, choć nie umie tego zrobić.

Na wielkim szpitalnym łóżku między Kat i jej matką leżała taca, na której stał talerzyk z porcją tortu weselnego. Lolly, June i Isabel nie mogły się nachwalić jego smaku. Kat wzięła głęboki oddech. Pieczenie swojego tortu weselnego w miniaturze – ozdobionego maleńkimi sikorkami i kwiatami róży japońskiej – sprawiło jej przyjemność. Gdy go robiła, nie myślała o sobie, Oliverze i ślubie, lecz jedynie o samym torcie, o tym, żeby się doskonale udał. Tak też się stało, ale po spróbowaniu poczuła na języku gorycz, choć przecież był słodki. Naprawdę potrzebowała czyjejs pomocy, żeby móc uspokoić targające nią sprzeczne uczucia, gdyż jednocześnie chciała i nie chciała poślubić Olivera. Ponadto pociągał ją Matteo Viola bez względu na to, czy sobie tego życzyła czy nie. Co więcej, pragnęła zostać w tym pensjonacie i w tym mieście, a zarazem stąd wyjechać.

Isabel i June siedziały po prawej stronie łóżka na wyściełanych rozkładanych krzesłach. June trzymała na kolanach miskę z popcornem. Pearl nie mogła przyjść z powodu rocznicowego przyjęcia, więc były we cztery. Kat z wdzięcznością przyjęła nieobecność na wieczorze filmowym jakichś zarozumiałych wczasowiczów, którzy by bez przerwy gadali.

– Rozśmiesza mnie sama twarz Alberta Brooksa – powiedziała Lolly, gdy film się zaczął od zabawnego przemówienia wygłoszonego przez Daniela Millera w pracy. – To znaczy, jego miny i sposób operowania głosem. Jest taki komiczny.

Kat śledziła na ekranie, jak Daniel Miller, sympatyczny i zabawny spec od reklamy, kupuje sobie na urodziny bmw z opuszczanym dachem i przypadkowo wjeżdża nim w autobus, gdy szuka upuszczonej płyty CD (dobrej kiedyś, dziś już nieużywanej). Ginie w wypadku i trafia do Miasta Sądu, które przypomina Las Vegas, gdzie musi obronić swoje życie na ziemi na rozprawie sądowej z udziałem obrońcy i oskarżyciela, zanim będzie mógł przejść dalej wraz z Julią, która dokonała na ziemi wspaniałych czynów, ratując z pożaru dwoje dzieci i kota. Gdyby nie obronił swojego życia, musiałby wrócić na ziemię i spróbować jeszcze raz.

June podniosła do ust kawałek tortu.

– O mój Boże, możecie to sobie wyobrazić, że każda sekunda waszego życia jest rejestrowana i zostanie przeciwko wam wykorzystana w procesie podejmowania przez kogoś decyzji, czy wolno wam przejść dalej? Mnie ciągle będą odsyłali na ziemię – skomentowała.

Mnie też – pomyślała Kat. – Za to, że przyjął oświadczenia Olivera ze strachu przed wszystkim, włącznie z odmową. I za to, że będąc w łóżku z Oliverem, wyobrażałam sobie Mattea...

– Mnie nigdy nie wpuszczą do nieba za samo to, co wyrabiałam w szkole średniej – oznajmiła Isabel, kręcąc głową.

– No cóż, na ziemi ludzie wykorzystują możliwości swojego mózgu tylko w trzech procentach – przypomniała Kat słowa obrońcy Daniela Millera. – Co rzekomo stanowi wyjaśnienie problemów, jakie stwarzają sobie w życiu. Chyba tak jest rzeczywiście.

Ten emanujący ciepłem, interesujący film istotnie był bardzo śmieszny i szczery, jak napisał recenzent. Po jego obejrzeniu Kat poczuła się odprężona i ze smakiem jadła tort. Jednak gdy zaczęła się zastanawiać nad jednym zdaniem, jej samopoczucie się zmieniło.

– Czy uważacie, że to prawda, że strach uniemożliwia człowiekowi zaznanie prawdziwego szczęścia? – spytała.

– Prawdopodobnie tak – uznała June. – Czasami obawiałam się podjąć jakieś działanie, bo nie wiedziałam, jaki będzie tego skutek. Albo po prostu ze strachu. To takie ludzkie.

Isabel skinęła głową.

– Niejednokrotnie strach, że nie usłyszę tego, co bym chciała, powstrzymywał mnie przed rozmową z Edwardem o naszych problemach – wyznała.

Kat poprawiła poduszkę, starając się zapewnić sobie komfort fizyczny, ale zaraz zorientowała się, że tak naprawdę odczuwa dyskomfort psychiczny. W niemalym stopniu to właśnie strach powstrzymywał ją przed mówieniem i działaniem. Może nie wiedziała, czego chce i po prostu bała się podjąć próbę?

– Daniel Miller musi obronić dziewięć dni swojego życia, prawda? – zdziwiła się June. – Ja musiałabym obronić ich znacznie więcej.

– Ja też – powiedziała cicho Lolly.

Kat spojrzała na nią, lecz matka sięgnęła po mrożoną herbatę, co było jej sposobem na: „Nie pytaj”. I może, gdyby Kat tak się nie bała przekroczyć wyznaczonej granicy, spytałaby.

I ja też – pomyślała.

– Och, i oto mamy Meryl w roli Julii – powiedziała Isabel. – To zabawne, że spotykają się w klubie komediowym, w którym występuje zły komik.

Kat ucieszyła się, że w końcu w filmie pojawiła się Meryl. Tak przywykła do jedwabistych jasnych włosów, min i radosnego śmiechu aktorki, że sam widok tej kobiety dodawał jej otuchy.

– To dobre pytanie – skomentowała Isabel, gdy zaczął się proces Daniela Millera i w sali sądowej na ekranie wyświetlano zdarzenie z jego dzieciństwa. – O różnicę między strachem a powściągliwością. Czasami granica rzeczywiście jest cienka.

Lolly skinęła głową i ziewnęła po raz trzeci od rozpoczęcia filmu.

– Zbyt silna samokontrola powstrzymuje przed zrobieniem tego, co rzeczywiście należy – stwierdziła. – Jednak czasami ludzie winni wykazać się większą powściągliwością. Niemniej trudno jest określić, kiedy należy dopuścić strach, a kiedy być powściągliwym.

June odstawiła pusty talerzyk na nocny stolik.

– Ha, to także jest dobre – powiedziała na widok wyświetlanych na ekranie w sali rozpraw momentów z życia bohatera, w których pomylił się w ocenie czegoś – gdy o naszym postępowaniu decydują strach i głupota. W moim życiu było tego wiele.

– W moim również – wyznała Isabel. – Ale ostatnio nie ma, daję słowo, ciociu.

Kat z ulgą przyjęła śmiech matki, bo dotychczas Lolly głównie milczała, miała posępną minę i wydawała się pogrążona w myślach. Kat zastanawiała się, o czym przypomniał matce ten

film.

– Daniel Miller jest dla mnie absolutnie rewelacyjny – stwierdziła Isabel. – Taki zabawny i autoironiczny, ale w wyrazie jego twarzy jest coś prawdziwego, w sposobie, w jaki patrzy na Julię i w tym, jak mówi. Rozumiem, dlaczego Julia się w nim zakochuje.

June skinęła głową.

– Ja też – powiedziała. – A także to, co ma na myśli, gdy mówi, że jest zmęczony tym sądzeniem. Wiecie, co wydaje mi się niesamowite? Że jestem swoim najsurowszym krytykiem. Ostatnio o tym myślałam.

– Sądzę, że wszystkie jesteście – orzekła Isabel.

Uwagę Kat przykuła scena, w której Daniel mówi Julii, że nie chce iść do jej pokoju i kochać się z nią, bo ma obawy, że to zniszczy ich doskonale układające się relacje. Wolał grę wyobraźni. Dokonał złego wyboru, ale świetnie go rozumiała.

– Och, musi zejść na ziemię – zauważyła June. – I spróbować ponownie.

Kat westchnęła.

– To jest właściwe podejście do życia, co? – uznała. – To właśnie powiedział jego obrońca, że gdy Daniel wróci na ziemię, powinien wykorzystać różne okazje, które mu się nadarzą, bo właśnie dlatego, że do tej pory się przed tym powstrzymywał, teraz nie może przejść dalej.

Wyjdę za Olivera. Nie wyjdę. Wyjdę. Nie wyjdę. Wyjdę. Nie wyjdę. Co powinna zrobić? Którą nadarżającą się okazję wykorzystać? Dlaczego tego nie wiedziała?

Spoglądała na Daniela jadącego w tramwaju wraz z tymi, którzy byli zmuszeni wrócić na ziemię. Nagle pojawił się drugi tramwaj, z Julią i innymi przechodzącymi dalej. Julia zawołała Daniela, a on wyrwał się do niej. Skorzystał więc z nadarżającej się okazji, nie obawiając się rzeczywistości, z jaką łączy się miłość. Musiał przejść z Julią dalej.

– Wspaniały film – orzekła June, gdy pojawiły się napisy końcowe.

Kat włączyła stojącą na nocnym stoliku lampkę.

– Mamo? – spytała, przyglądając się Lolly. – Ty płaczesz?

Matka otarła łzy.

– Ten film zawsze sprawia, że... – zaczęła ze smutnym wyrazem twarzy. – Nie jestem pewna, czy przejdę przez Miasto Sądu. – Odwróciła głowę i spojrzała w ciemne okno.

– Mamo, ależ oczywiście, że przejdiesz – pocieszyła ją Kat, zastanawiając się, co konkretnie matka ma na myśli. – Pójdzie ci lepiej, niż to będzie konieczne.

– Ciociu, wyłącz – odezwała się Isabel. – Wzięłaś na wychowanie dwie osierocone siostrzenice. Już samo to pozwoli ci przejść dalej.

Lolly próbowała się do niej uśmiechnąć, ale nie wyłączyła odtwarzacza, tylko ponownie utkwiała wzrok w napisach końcowych.

Z miny matki, jej nieprzeniknione spojrzenia i zaciśniętych ust Kat wywnioskowała, że nie dowiedzą się od niej nic więcej. Często zastanawiała się nad jej życiem osobistym. W ciągu piętnastu lat wdowieństwa Lolly Weller nigdy nie umówiła się z żadnym mężczyzną. Kat spytała ją kiedyś, czy kiedykolwiek myślała o jakimś adoratorze, bo matka wolała to słowo od określenia „przyjaciel”, a ta odpowiedziała:

– Nie bądź śmieszna.

Oznajmiła wtedy, że już z tym skończyła. Z czym? Z miłością? Trudno było rozszyfrować tę tajemniczą kobietę. Owszem, prowadziła pensjonat, należała do różnych klubów i miała drogą jej sercu przyjaciółkę Pearl, która zawsze była dla Lolly jak mądra ciocia. Ale Kat nigdy nie widziała matki szczególnie czymś uradowanej. Może dlatego, że niektórzy ludzie nie potrafią się cieszyć? Jednak ilekroć Kat tak pomyślała, odrzucała to przypuszczenie. Uważała, że

brak radości to raczej symptom czegoś.

Gdy pozbierała talerzyki i szklanki, spostrzegła, że matka śpi albo udaje. W czasie filmu Lolly kilka razy ziewnęła, więc może nie udawała. Lecz z pewnością nie chciała kontynuować dyskusji po projekcji *W obronie życia*. Mimo to Kat była bardzo ciekawa, o czym matka myśli.

– Mamo? – szepnęła.

Niestety, nie było żadnej reakcji.

– Przenieśmy się do salonu albo do nas – zaproponowała cichym głosem Isabel.

– Chodźmy do nas – powiedziała Kat, stawiając na tacy obok szklanek i dzbanka z herbatą paterę z resztą tortu. – Będziemy się tam czuły swobodniej.

Szybko pozbierały z podłogi okruchy popcornu, doprowadziły sypialnię Lolly do porządku, zgasiły światło i po cichu zamknęły za sobą drzwi. Idąc do siebie, starały się zachowywać jak najciszej pod drzwiami pokoju Charliego.

June zajrzała do niego i szepnęła:

– Czy mógłby być jeszcze śliczniejszy, gdy śpi?

Kat i Isabel też zajrzały do środka.

– Jaki słodki! – zachwyciła się Isabel.

Obok chłopca leżał Szczęśliwiec. Na jego łapie spoczywała ręka Charliego.

W sypialni Kat postawiła tacę na biurku i spojrzała na łóżko June, na którym leżały pogniecione kartki papieru.

– Pracujesz nad czymś? – spytała.

June zdmuchnęła z twarzy kosmyk włosów i ciężko usiadła na materacu, aż pogniecione kartki podskoczyły.

– Piszę list do rodziców Johna – odpowiedziała. – Minęły trzy dni od czasu, gdy nagrałam się na ich automatyczną sekretarkę. Do tej pory się nie odezwali. Obsesyjnie sprawdzam swój telefon, a więc na pewno niczego nie przeoczyłam.

Przed trzema dniami siedziały do późna w nocy i zastanawiały się, co June może powiedzieć, jeśli jedno z rodziców Johna odbierze telefon, albo jak powinna odpowiedzieć na nagraną przez któreś z nich wiadomość. W obecności Kat i Isabel ćwiczyła co najmniej dziesięć razy tekst, który sobie przygotowała, dopóki nie uznała, że jej głos nie jest piskliwy i nie świadczy o jej zdenerwowaniu, aby rodzice Johna podali mówiącej takim miłym tonem dziewczynie numer telefonu syna lub przynajmniej zapewnili ją, że przekażą mu jej numer.

– Prawdopodobnie jest żonaty – dodała, marszcząc twarz. – Nie zamierzają podawać mi numeru telefonu jakiejś kobiety. Wymyśliłam, że powinnam napisać do nich list, informując w nim, że przed siedmiu laty poznałam Johna w Nowym Jorku i mam mu coś bardzo ważnego do powiedzenia. I tak to zostawić. Nie wiem tylko, jak dokładnie to ująć, żeby nie wyjść na wariatkę i żeby moje działanie odniosło skutek.

– Sądzę, że możesz napisać właśnie tak, krótko, ale przyjaźnie – powiedziała Isabel, siadając na swoim łóżku po turecku z talerzykiem w ręce, na którym miała jeszcze spory kawałek tortu. – Słowa „coś ważnego” mogą skłonić ich do przekazania mu listu i powiedzenia, że dzwoniłaś.

June oparła się o ścianę, podciągnęła nogi pod brodę i objęła je ramionami.

– Zastanawiam się, co by się stało, gdyby spotkał się ze mną tamtego dnia przy fontannie w Central Parku. Czy zostałby ze mną w Nowym Jorku, dopóki nie skończyłabym studiów? A może przekonałby mnie do wspólnego podróżowania po kraju i wzięcia rocznego urlopu dziekańskiego? Ciekawe, czy teraz bylibyśmy razem?

– Tego nie można wiedzieć – oznajmiła Isabel. – Oglądając *W obronie życia* myślałam o tych chwilach, których musiałabym bronić, kiedy kierowałam się strachem lub innym

uczuciem. I zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdybym tamtego dnia w ośrodku nie poznała Edwarda. Co by było, gdyby pomagał tam inny nastolatek? Kim bym teraz była?

Kat położyła się na brzuchu i oparła podbródek na splecionych dłoniach.

– Uważacie, że jesteście tak różne od tych dawnych? To znaczy w głębi duszy? W swoim wnętrzu? – spytała.

– Ja byłam nieokiełznana – stwierdziła Isabel.

– Mogę to poświadczyć – zgodziła się z nią June, uśmiechając się.

– No. Ja też to pamiętam – potwierdziła Kat. – Ale czy nie dlatego, że przyciągały cię te nieokiełznane dziewczyny, tak jak po wypadku przyciągał cię Edward? Taka byłaś. Ktoś cię przyciągał lub odpychał.

Isabel wydawała się zamyślona.

– Sądzę, że tak – powiedziała po chwili. – Wolę myśleć, że miałam większą samokontrolę niż rzeczywiście, że reagowałam na sytuację, a nie sytuacja miała na mnie wpływ.

Kat skinęła głową.

Właśnie to ją niepokoiło, że teraz sytuacja miała na nią wpływ, a nie ona reagowała na sytuację. Oba stany różniły się od siebie, choć granica między nimi wydawała się tak cienka, że Kat nie potrafiła jej dostrzec i była rozdarta wewnątrz.

– Wiecie, nad czym się zastanawiam? – powiedziała. – Nad tym, czy gdyby mój ojciec i wasi rodzice nie zginęli w wypadku, a życie mojej matki się nie zmieniło po otrzymaniu telefonu z komendy policji, poszłabym do college'u, do szkoły kucharskiej, wyjechałabym do Francji, skończyłabym z Oliverem?

– O tym decyduje przeznaczenie – oznajmiła June. – Jeśli wierzy się w takie rzeczy.

– Owszem. Myślałam o tym, że być może poznałabym Edwarda tak czy inaczej – zgodziła się z nią Isabel. – Jeśli nie spotkałabym go w Regionalnym Ośrodku dla Dzieci w Żałobie w Boothbay Harbor, to gdzie indziej.

Po jej słowach wszystkie milczały.

– Sądzę, że zawsze możemy bronić swojego życia – dodała po chwili Isabel. – Wyborów, których dokonaliśmy. To nie znaczy, że koniecznie musimy pójść dalej, ale uważam, że ten film ma ważne przesłanie. Gdy człowiek się czegoś boi, powinien poznać tego powód i potem działać już bez strachu. Podjąć taką decyzję, na jakiej rzeczywiście mu zależy.

Kat przewróciła się na plecy i spojrzała na wentylator na suficie.

– A co, jeśli człowiek się obawia, że podejmie złą decyzję? – spytała. – Co, jeśli, powiedzmy, nie powinnam wychodzić za mąż za Olivera? Co, jeśli moim przeznaczeniem jest zrobić coś innego?

– Myślałabym, że to wiesz – powiedziała June. – Wiesz, prawda, Kat?

Kat usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Skinęła głową, ale bez przekonania.

– Znasz Olivera całe swoje życie – zaczęła Isabel. – Bardzo mi się podoba, że wychodzisz za niego za mąż, znając go tak długo. To jest przeciwieństwo tego, co ja zrobiłam, poślubiając Edwarda. Poznałam go w wieku szesnastu lat, a poślubiłam mając lat dwadzieścia jeden. Wiesz dokładnie, co dostajesz. I wiesz, kim jesteś.

– Czy naprawdę? – spytała Kat i zdziwiła się, że powiedziała to głośno. – To znaczy, wiem, kim jest Oliver, na tyle, na ile rzeczywiście można poznać drugiego człowieka. Ale wcale nie jestem taka pewna, czy wiem, kim ja jestem.

– Serio? – June spojrzała na nią w zadumie. – Zawsze uważałam, że masz szczęście, bo tak wspaniale ułożyło ci się życie. Pieczenie ciast, Oliver i pensjonat zapewniają ci poczucie bezpieczeństwa.

– Czasami mam ochotę wyjechać do Paryża i po prostu spacerować po tym mieście,

odwiedzić cukiernie w każdej dzielnicy, pocałować każdego fajnego faceta, którego spotkam, i przespać się z kilkoma. Czy to jakieś szaleństwo? – odpowiedziała Kat.

– Pytasz o to niewłaściwe osoby – stwierdziła June. – To znaczy, jesteście tu, ja i Isabel, a nasze życie znajduje się w stanie zawieszenia. Poczucie bezpieczeństwa i promienna przyszłość wydałyby się nam czymś bardzo dobrym.

– Kat, czy masz jakieś wątpliwości dotyczące swojego zamążpójścia? – spytała Isabel i stwierdziła: – Jeśli tak, nie rób tego.

Ale moja mama marzy o tym, żeby mnie zobaczyć mężatką – odpowiedziała jej w myślach Kat. – Zobaczyć mnie jako żonę mężczyzny, którego mój ojciec uwielbiał i wybrał na mojego przyszłego męża, gdy ten miał pięć lat. Jak mogłabym pozbawić ją tego w sytuacji, gdy jest to jedyna rzecz, która brutalnie dokopuje mojej ambiwalencji?

– Nie mam żadnych wątpliwości – odrzekła głośno, ale kuzynki patrzyły jej głęboko w oczy, jakby niedowierzając.

– Kat – zaczęła June, spoglądając na Isabel – założmy, że jutro po południu w pensjonacie urządzimy kameralnie przyjęcie zaręczynowe i zaprosimy na nie rodziców i brata Olivera oraz niektórych waszych przyjaciół z miasta. Czy nie masz nic przeciwko temu?

Kat mogłaby zerwać się z łóżka i odpowiedzieć: „Odwołajcie to przyjęcie, odwołajcie wszystko!”. Skoro mogło się odbyć przyjęcie zaręczynowe, to wszystko inne było rzeczywiste. Ale spojrzała na swój pierścionek zaręczynowy i pomyślała o matce śpiącej w szpitalnym łóżku.

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu – odpowiedziała. – I dziękuję. – Ponieważ Isabel nadal nie spuszczała z niej z oka, zmieniła temat i spytała: – Czy uważacie, że z moją mamą jest dobrze? Czy po prostu martwi się, że... – Nie potrafiła wymówić tego słowa.

– Sądzę, że tak – odparła June. – Jestem pewna, że całe to gadanie o przejściu dalej, sędzie i obronie dokonanych przez ludzi wyborów skłoniło ją do rozmyślenia o swoim życiu.

– Na pewno skłoniło mnie do rozmyślenia o moim – wyznała Kat.

W sobotę po południu Kat udawała zaskoczoną, gdy wraz z Oliverem weszła do ogrodu Gospody Trzech Kapitanów i zobaczyła, że odbywa się w nim kameralne przyjęcie z okazji ich zaręczyn. Z Camden przyjechali rodzice Olivera z jego bratem i dziewczyną brata. Na przyjęciu zjawili się też przyjaciele z czasów dzieciństwa Kat i Olivera. Wszyscy popijali mimoszę i częstowali się przystawkami. Kat z uśmiechem obserwowała, jak Lizzie zajmuje uwagę Lolly magazynami poświęconymi ślubom, rozkładając je na piknikowym stole i objaśniając jej oznaczenia, jakie wprowadziła, wybranych przez siebie sukni, fryzur i różnych dodatków.

Kat stała z trójką przyjaciół, których знаła od przedszkola i obserwowała, jak Oliver wita się ze swoim bratem, niemal własną młodszą kopią, i jego śliczną dziewczyną. Rodzice Olivera, Fred i Freya, stali z Nutleyami, którzy przed laty kupili ich dom sąsiadujący z domem Wellerów. To będzie moja rodzina – pomyślała, popijając mimoszę. Znała tych uroczych ludzi od zawsze i wiele razy spotkała ją ze strony Frei Tate życzliwość. Jednak gdy spróbowała sobie wyobrazić, jak spędza z Tate'ami święta, urodziny i inne specjalne okazje, pomyślała o Lolly, Isabel i June, które wyzwalają w niej opiekuńcze uczucia. Nigdy nie odnosiła wrażenia, że kuzynki, a nawet matka, do niej należą, a mimo to miała ochotę uciec z nimi do salonu i obejrzeć *Silkwood* lub *Kochanicę Francuza*.

– Wiesz, co byłoby najwspanialsze? – usłyszała, jak Oliver zwraca się do jej matki. – Ślub tu w Święto Dziękczynienia. To przecież twoje ulubione święto, Lol.

Już za dwa miesiące – pomyślała Kat, czując ucisk w dołku. Oliver był życzliwy i praktyczny, chciał zapewnić Lolly obecność na ślubie córki. W ciągu ostatnich kilku dni przysyłał Kat SMS-y w rodzaju: *Paryż = miesiąc miodowy. W różnych cukierniach skosztujemy ciast, choć żadne nie dorównają Twoim. Czyżby zapomniał, że nie była pewna, czy chce tego*

ślubu? Że mogła przyjąć jego oświadczenia w chwili słabości, kiedy bardzo się martwiła diagnozą postawioną jej matce? Ale sytuacja się powtarzała, bo oczywiście wiedział, że zawsze marzyła o pobycie w Paryżu i odwiedzeniu tamtejszych cukierni, o uczeniu się cukiernictwa od francuskich mistrzów. Czy znowu wykorzystywał sytuację? A może po prostu miał nadzieję, że pokona jej upór? To będzie jedna z tych chwil w jej życiu, których będzie musiała bronić w Mieście Sądu. Wiedziała o tym.

Paryż jest doskonały, wysłała mu w odpowiedzi SMS-a. Był. Tak jak wszystko w SMS-ie Olivera nie było. Na przykład stwierdzenie dotyczące miesiąca miodowego.

Gdy dziewczyna brata Olivera opowiedziała jej ze szczegółami, jaką chciałaby mieć suknię ślubną – wersję bez rękawów sukni Kate Middleton – gdyby, powiedzmy, Declan Tate się jej oświadczył, zadzwoniła komórka Kat. To był Matteo. Zmartwiona, że jego telefon ma jakiś związek z serią badań, które ostatnio przeszła matka, Kat przeprosiła wszystkich i poszła do domu, do toalety na parterze.

– Matteo, proszę, powiedz mi, że wszystko jest w porządku – zaczęła.

– Tak – odpowiedział szybko. – Przepraszam, Kat, że cię niepokoję. Wyników badań jeszcze nie ma, będą w poniedziałek rano, ale nie spodziewamy się zmian. Staraj się nie martwić. Dzwonię, żeby po prostu sprawdzić, jak ona się czuje. Gdy widziałem ją po raz ostatni, nie było dobrze. Jak się trzyma?

Kat zwiesiła ramiona, czując ulgę.

– Matteo, jesteś bardzo troskliwy. Czuje się znacznie lepiej – odrzekła.

Kiedy mówił, czego należy oczekiwać po zbliżającym się drugim cyklu chemioterapii, jak wpłynie na matkę i jak może zareagować organizm, Kat uświadomiła sobie, jak bardzo chce się spotkać z tym lekarzem, chłonąc jego wiedzę i słuchać mądrych słów.

– Muszę wracać na obchód, Kat, ale gdybyś miała jakieś pytania i potrzebowała pomocy, po prostu mnie wezwij – zaofiarował się. – Aha, byłbym zapomniiał. Opowiedziałem o tobie mojemu ojcu. Chciałby cię nauczyć robić swoje słynne cannoli w zamian za to, że ty nauczysz go piec swoje słynne muffiny. Muffiny to nie jest jego specjalność. Jadł twoje w kawiarni Światła Portu i powiedział, że rozpluwają się w ustach.

Kat była cała w uśmiechach.

– Będę zaszczycona możliwością pokazania niezrównanemu Alonzowi Violi, jak robię muffiny – oznajmiła. – A lekcja przygotowywania cannoli bardzo by mnie ucieszyła. Ucząc się od mistrza, poczułabym się niemal tak, jakbym była we Włoszech.

– Dokąd zawsze chciałaś się wybrać? – spytał.

– Do Włoch, Francji, Hiszpanii, Anglii, Rosji i Szwecji. Kiedyś marzyłam o podróży dookoła świata i nauce cukiernictwa w każdym kraju. Jednak zawsze byłam tu potrzebna, więc odkładałam wszystko na później – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Wystarczy, że spędzisz kilka godzin z moim ojcem, a na pewno poczujesz się tak, jakbyś była we Włoszech – zapewnił ją.

Umówili się na przyszły tydzień i Kat uznała, że powinna wyjść z toalety, bo ktoś może chce z niej skorzystać.

– A więc zadzwonisz w poniedziałek, jak będą wyniki badań? – upewniła się, otwierając drzwi i zerkając na Isabel, która czekała z kieliszkiem mimozy w ręku. – Dobrze. Jeszcze raz dziękuję.

– Czy to był doktor Viola? – spytała, gdy Kat włożyła komórkę do torebki.

Doktor Viola stał się dla Kat Matteem.

– Pytał o mamę. Chciał wiedzieć, jak się trzyma – odpowiedziała.

– To bardzo miło z jego strony – uznała Isabel.

– Jego ojciec nauczył mnie robić cannoli – oznajmiła Kat, spoglądając na swe letnie sandały i pomalowane różowym lakierem paznokcie u nóg. – To Alonzo z włoskiej piekarni. Nie miałam o tym pojęcia.

– Czy zawsze chciałaś nauczyć się robić cannoli? – spytała Isabel i utkwiała w niej bystre piwnozielone oczy, pytając o coś więcej, z czego Kat zdawała sobie sprawę.

– Nie wiedziałam, że chcę się nauczyć robić cannoli, dopóki ktoś mi tego nie zaproponował – odpowiedziała cicho Kat. – I w tym momencie nie ma niczego, czego chciałabym się nauczyć bardziej. Czy to ma sens?

– Ma. – Isabel uściśniła jej dłoń. – Wiem, co masz na myśli.

Kat miała ochotę zabrać Isabel do ich pokoju i spytać, jak to możliwe, że może pociągać ją inny mężczyzna, skoro kocha Olivera, o ile to nie znaczy, że jednak go nie kocha i nie powinna wychodzić za niego za mąż. A może to coś normalnego, że kobietę pociąga inny mężczyzna, jeśli to nic nie znaczy? Lub przeciwnie, zawsze to coś znaczy? Jednak w tym przypadku chodzi o uczucia, o sprawy sercowe. Czy nie były bardziej intymne niż seks? Postanowiła zachować te pytania dla siebie, dopóki czegoś nie wymyśli.

Rozdział 13

Isabel

W poniedziałek rano Isabel rozpoczęła pracę wolontariuszki w Coastal General Hospital na Oddziale Intensywnej Opieki Neonatologicznej. Przydzielono jej dwoje niemowląt, które zachorowały na żółtaczkę i co najmniej przez sześć dni musiały być poddawane fototerapii lampami obniżającymi poziom bilirubiny w organizmie. Miała przy nich czuwać, siedząc między dwoma inkubatorami, a gdy któreś się obudzi, odpowiednio się nim zająć. W porze karmienia mogła je karmić butelką i zmieniać im pieluchy pod nadzorem pielęgniarki. Została przeszkolona i zaliczyła trzy sesje treningowe obejmujące naukę wszystkiego – od prawidłowego mycia rąk przed wejściem na oddział po prawidłowe trzymanie noworodka. Po długim weekendzie i zmniejszeniu się ruchu turystycznego w mieście Isabel czuła się w porządku, podejmując pracę wolontariuszki i codziennie na krótko opuszczając pensjonat ciotki. Jednak choć był to poniedziałek, tydzień po świątecznym weekendzie, w kilku pokojach przebywali wczasowicze i Kat zaofiarowała się, że dziś przejmie jej obowiązki w pensjonacie.

Siedziała, trzymając na rękach ważącą niecałe trzy kilogramy trzydniową Chloe Martel. Opierała na przedramieniu jej piękną główkę w białej czapeczce. Karmiła dziewczynkę butelką z pokarmem matki. Myślała, że z dumy pęknie jej serce. Takie jest moje przeznaczenie – pomyślała. – Obojętne, czy chodzi o moje dziecko, czy też o maluchy z oddziału. Zastanawiała się nad tym, jakie byłoby jej życie, gdyby Edward zgodził się na dziecko. Mieliby w domu niemowlę, potem malucha i przedszkolaka, a pewnego dnia otrzymałaby anonim lub zobaczyła męża nie tam, gdzie być powinien. Teraz była wdzięczna losowi, że nie potrafiła nakłonić Edwarda do ustąpienia w sprawie dziecka.

Przez oddział przechodziła para w towarzystwie pielęgniarki, rozmawiali po cichu. Byli rodzicami bliźniąt wcześniaków, które urodziły się dwa miesiące przed terminem. Jedno z dzieci nie rozwijało się dobrze. Isabel zobaczyła lzy w oczach ojca, ale otarł je szybko i objął kobietę, bo zaczęła płakać.

Tak mi przykro, że przez to przechodzie – powiedziała do nich w myślach i bezgłośnie odmówiła modlitwę w intencji bliźniąt, maleństw walczących o życie. Podczas szkolenia pielęgniarka powiedziała jej, że na oddziale sytuacja może się zmienić w jednej chwili, z umiarkowanej na złą, ze złej na gorszą, z gorszej na lepszą, a potem na dobrą. Isabel o tym wiedziała.

Griffin Dean powiedział jej wczoraj wieczorem przez telefon, że Emmy urodziła się sześć tygodni przed terminem. Od czasu wymeldowania się z pensjonatu w ostatni poniedziałek dzwonił do niej codziennie wieczorem, czasami tylko po to, by powiedzieć jej dobranoc, a kiedy indziej, żeby porozmawiać. Isabel podobało się, że szanował jej potrzebę poznawania go bez pośpiechu, zanim będzie mogła pomyśleć o pocałunkach na długich spacerach nad morzem. Nie była z innym mężczyzną od szesnastego roku życia i choć przystojny weterynarz bardzo ją pociągał, nie czuła się gotowa do intymnych kontaktów. Mimo to czekała wieczorem na jego telefon i niemal wstrzymywała oddech, gdy dzwonił aparat.

Zwierzyła się Griffinowi, że dziś zaczyna pracę wolontariuszki na Oddziale Intensywnej Opieki Neonatologicznej, co uznał za niezwykle szlachetne z jej strony. Opowiedział jej

w związku z tym, że Emmy leżała na tym oddziale ponad dwa tygodnie, zanim stała się na tyle silna, że można było zabrać ją do domu. Odwiedzał córkę trzy razy dziennie, rano, w południe i wieczorem, i zawsze w południe zastawał uroczą wolontariuszkę – starszą panią o imieniu Ernabelle, która kołysała Emmy. Dzięki niej mała otrzymała na drugie imię Belle, bo ta kobieta wydawała się anielska. Usłyszawszy tę historię, Isabel zdała sobie sprawę, że zakochała się w Griffinie śmiertelnie, czy była na to gotowa, czy też nie.

Dzisiaj po południu miał się zjawić w pensjonacie, żeby dalej układać Szczęśliwca.

– No dobrze, tak naprawdę przyjeżdżam po to, żeby móc cię znowu zobaczyć – wyznał, a jej zrobiło się ciepło na sercu.

Chloe zjadła i Isabel delikatnie oparła jej główkę na pieluszce na swoim ramieniu – tak jak uczyła ją pielęgniarka – żeby małej się odbiło. Wzięła dziewczynkę na ręce, usiadła w bujanym, odrobinę skrzypiącym fotelu i zaczęła ją kołysać, a po chwili zanuciła jej kołysankę, którą kiedyś wieczorem June śpiewała Charliemu. Chloe zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła i znowu zamknęła.

– Jesteś piękną, silną dziewczynką – szepnęła Isabel i włożyła małą z powrotem do inkubatora.

Czekając, aż się obudzi mająca zaledwie cztery dni Eva Rutledge, poprawiła pieluszki. Nadeszła pielęgniarka i oznajmiła Isabel, że może zaopiekować się noworodkiem, którego rodzice przyjdą dopiero o trzeciej. Isabel zerwała się z fotela i poszła do miejsca, gdzie w płataninie przewodów leżał malusieńki wcześniak Logan Paul. Pielęgniarka wyjęła go z inkubatora i ostrożnie podała Isabel, która z maleństwem wróciła na fotel i zaczęła je bujać i nucić kołysankę, spokojna jak nigdy dotąd w swoim życiu.

Dochodziła czwarta i Griffin mógł się zjawić w każdej chwili. W pensjonacie panował wzorowy porządek. Isabel zaktualizowała stronę internetową Gospody Trzech Kapitanów, odbyła rozmowę z dwoma miejscowymi agentami turystycznymi, chcąc im się przedstawić, i wpadła do sklepu Home Depot po nową gałkę do drzwi Pokoju pod Drozdem. Księgi rachunkowe prowadziła na bieżąco, regularnie notowała w kalendarzu daty przyjazdu i wyjazdu wczasowiczów i podlewała rośliny, których nie brakowało w pensjonacie. To szczęście móc sobie tak dobrze radzić z różnymi zajęciami – pomyślała. Nigdy dotąd nie miała zbyt wielu obowiązków, w których mogła się wykazać, i cel, jaki ostatnio realizowała, oraz kierunek, w którym podążała, dobrze jej służyły.

Szczęśliwiec wylegiwał się w słońcu, leżąc na grzbiecie i tarmosząc ulubioną zabawkę – piszczącego szczurka z gumy. W ciągu tygodniowego pobytu w pensjonacie Griffin dokonał cudów w układaniu psa, przemieniając go w posłuszne zwierzę domowe, jakkolwiek skłonne do płatania figli. Nawet Lolly polubiła Szczęśliwca i cieszyła się, widząc go leżącego przy niej, kiedy wieczorem czytała. Isabel zabierała go codziennie na spacer, bawiła się z nim, ile tylko mogła, ale tak naprawdę zawłaszczył go jej słodki siostrzeniec, z czego była zadowolona. Szczęśliwiec mógł być przecież ich wspólnym psem.

Podkscytowana spoglądała, jak Griffin i jego córki zmierzają do pensjonatu kamienną ścieżką od strony frontu. Niemal nie mogła uwierzyć, że tak bardzo ją pociąga. Oczywiście również wcześniej spotykała atrakcyjnych mężczyzn i zwracała uwagę na różnych przystojniaków, a poza tym robili na niej wrażenie niektórzy gwiazdorzycina, ale żaden z nich jej nie pociągał. Griffinie, chciałabym cię pocałować i mogę to zrobić, bo po raz pierwszy od szesnastego roku życia jestem wolna – pomyślała.

Alexa miała przypięty do białych szortów nieodłączny iPod i słuchawki w uszach. Nie przywitała się, tylko położyła na szeslongu, wystawiła twarz do słońca i zaczęła się lekko kołysać w rytm muzyki. Emmy natomiast jak zwykle wpatrywała się w Isabel. Tym razem jedną

rękę trzymała z tyłu.

– To dla ciebie – powiedziała i wręczyła Isabel różowy kwiatek.

Isabel uśmiechnęła się szeroko i przyklękła przy niej.

– Bardzo mi się podoba. Dziękuję – rzekła i spytała: – Czy mogę założyć go za ucho? –

Odsunęła włosy, założyła kwiat za ucho i spytała ponownie: – No i jak wyglądam, Emmy?

– Ładnie – odpowiedziała rozpromieniona dziewczynka, podbiegła do leżącego na grzbiecie Szczęśliwca i zaczęła go drapać po brzuchu. Zadowolony kręcił głową, a ona śmiała się radośnie.

– Wyglądasz pięknie – szepnęła Isabel do ucha Griffin, aż dostała gęsiej skórki. Zwróciła uwagę, że jest niezwykle seksowny w tych swoich bojówkach i czarnym T-shircie. Następnie zwrócił się do córek: – No dobrze, dziewczynki. Muszę z Isabel zająć się tresurą Szczęśliwca. Lex, popilnuj Emmy.

Gdy starsza córka nie odpowiedziała, podszedł do niej i wyjął jej z uszu słuchawki.

– Chcę, żebyś popilnowała Emmy, kiedy będę układał Szczęśliwca. Bez słuchawek w uszach – oznajmił.

– To co mam robić? – spytała.

– Ciesz się słońcem, baw się z siostrą, przejrzyj jakiś magazyn – zaproponował i wskazał dłonią gazety leżące w wiklinowym koszu, a widząc, że Emmy usiadła w znajdującej się pod płótem piaskownicy i wsypuje piasek do pomarańczowego wiaderka, dodał: – Zbuduj z Emmy zamek z piasku.

– Jestem w białych szortach. Pobrudzą się – argumentowała Alexa.

Isabel zaimponowało, że w reakcji na zachowanie starszej córki Griffin nie okazał zniecierpliwienia i nie przewrócił oczami, choć był tego bliski.

– To siedź tu, ciesz się słońcem i po prostu miej na nią oko. Zrozumiałas?

– Zrozumiałam, zrozumiałam – potwierdziła.

Isabel poszła wraz z nim i ze Szczęśliwcem na drugi koniec ogrodu.

– Gdy miałam czternaście lat, zachowywałam się bardzo podobnie. To było straszne – powiedziała.

– Zdarzają się chwile, choć nieczęsto, kiedy Alexa naprawdę jest tak urocza, jak wtedy, kiedy była małą cudowną dziewczynką – oznajmił. – Staram się więc skupić na tym, żebym mógł przejść ten trudny okres ponuractwa i sarkazmu. Czy wiesz, że w każdy weekend, który spędzają u mnie, kładzie Emmy spać? Wchodzę do sypialni, kiedy mała jest gotowa, żeby ją położyć, ale robi to Alexa. Czyta Emmy bajkę, stara się rozczesać jej rozczochrane włosy, całuje ją na dobranoc w czoło i gasi światło. Jest tak za każdym razem.

– No, no – skomentowała Isabel, zerkając na Alexę, która włożyła zasłaniające jej niemal całą twarz wielkie przeciwsłoneczne okulary i czytała jakiś magazyn. – Po prostu kocha swoją młodszą siostrę. Cieszę się, że Emmy będzie się wychowywać otoczona jej miłością. Ja i moja siostra nigdy nie byłyśmy w dobrych stosunkach.

– Naprawdę? – zdziwił się Griffin. – Miałem wrażenie, że ty, twoja siostra i kuzynka trzymacie się razem. Sposób, w jaki ze sobą dyskutowałyście po obejrzeniu filmu, świadczył o tym, że mówicie, co myślicie i czujecie i rzeczywiście troszczycie się o siebie nawzajem.

Ha! Istotnie w czasie dyskusji po wspólnym obejrzeniu każdego kolejnego filmu otwierały się. Było tak od chwili, kiedy każda wyraziła swoje zdanie na temat pierwszego razem obejrzanego filmu *Co się wydarzyło w Madison County*, a Isabel wyrzuciła z siebie, że Edward ją zdradza. W ciągu minionych tygodni wszystkie trzy, a właściwie cztery, zbliżyły się do siebie właśnie dzięki rozmowom o wspólnie obejrzanych filmach, a także dzięki mieszkaniu w tym samym domu, a w wypadku ich trzech w jednym pokoju, wykonywaniu razem różnych zajęć

w pensjonacie i zjednoczeniu w trosce o zdrowie Lolly.

Szczęśliwiec próbował rozkopywać ziemię łapami.

– Przestań, mały! – zawołał Griffin i rozpoczął tresurę.

Pokazał Isabel, jak radzić sobie z niewłaściwym zachowaniem psa, takim właśnie jak rozkopywanie ziemi, w jaki sposób go nagradzać, gdy wykonuje komendę, a także jak skutecznie przywołać zwierzę do siebie, co miało znaczenie na spacerach w ruchliwym centrum Boothbay Harbor.

Omawiał z Isabel system nagradzania, gdy zadzwoniła jego komórka.

– Ten dźwięk oznacza pilne wezwanie – powiedział Isabel i odebrał telefon. Po krótkiej rozmowie rozłączył się, schował aparat do kieszeni i oznajmił: – Muszę pojechać niedaleko stąd do starego owczarka, na którego punkcie mam bzika. Idę po dziewczynki. Jeśli się wyrobię w rozsądnym czasie, wrócimy tu i będziemy dalej układać psa. – Ruszył do córek.

– Przypilnuj dziewczynkę – zaoferowała się Isabel. – Jedź do tego owczarka i nie martw się.

Zerknął na nią.

– Naprawdę? – spytał. – Nie chcę...

– Naprawdę – weszła mu w słowo. – Nie ma problemu.

Była zachwycona możliwością spędzenia godziny sam na sam z jego córkami, poznania ich dzięki temu nieco lepiej i matkowania im.

Uściskał jej dłoń.

– Jestem ci wdzięczny – powiedział i podszedł do Alexy, zsunął jej okulary na czubek głowy i oznajmił, że jedzie do chorego psa i wróci za trzy kwadransy, do godziny, a w tym czasie nią i siostrą zaopiekuje się Isabel.

Isabel spostrzegła, że Alexa zerknęła na nią i z powrotem włożyła okulary.

Griffin podszedł do młodszej córki, powtórzył jej to, co powiedział Alexie, cmoknął ją w głowę i popędził przed dom, gdzie stał jego samochód.

– Może macie ochotę na świeżo zrobioną lemoniadę i ciasteczka? – zaproponowała Isabel zbyt pogodnym tonem, jak uznała czternastolatka.

Emmy klasnęła w dłonie i zawołała:

– Tak!

– Wpadłam na jeszcze lepszy pomysł – oznajmiła Isabel. – Może chcecie, abym przyniosła z domu dzbanek zimnej wody, lód, cukier i cytryny i żebyśmy tu zrobiły lemoniadę? Możecie też zrobić ją same i poczęstować wczasowiczów.

– Tak! – zawołała znowu Emmy.

– Alexo, jakie ciasteczka lubisz najbardziej? – Isabel zwróciła się do dziewczyny. – Moja kuzynka Kat jest doskonałym cukiernikiem i upiekła dziś wszelkie możliwe rodzaje ciasteczek.

Alexa spojrzała na nią.

– Upiekła może z masłem orzechowym i kawałkami czekolady? – spytała.

Isabel uśmiechnęła się.

– Oczywiście – odpowiedziała. – To też są moje ulubione. Będę ze wszystkim za trzy minuty. Przypilnujesz Emmy?

Alexa skinęła głową i wróciła do lektury czasopisma.

Isabel pospieszyła do domu podekscytowana tym, że spędzi trochę czasu z siostrami Dean i będzie za nie... odpowiedzialna. W kuchni chwyciła dużą tacę i postawiła na niej dzbanek z wodą, pojemnik z lodem, pełną cukierniczkę, miskę cytryn i paterę z trzema rodzajami ciasteczek, włącznie z tymi, których zażyczyła sobie Alexa. Po chwili podniosła tacę i wyszła z nią na dwór.

Niestety, Alexy nie było na szezlongu, a Emmy w piaskownicy. Bardzo śmieszne, Alexo – pomyślała z ironią. – Wpadłaś na pomysł zorganizowania zabawy w chowanego, żeby mnie nastraszyć?

– Alexo! – zawołała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Rozejrzała się wśród drzew i rzuciła okiem na duży głąz na drugim końcu posesji, ale nigdzie nie było śladu dziewczynki.

– Alexo! Emmy! – krzyknęła. – Proszę, pokażcie się! Przyniosłam wszystko, co potrzebne, by zrobić lemoniadę!

I tym razem nie doczekała się odpowiedzi.

Z bijącym sercem pospiesznie przeszukała ogród, zaglądając za drzewa rosnące po obu stronach pensjonatu, a następnie weszła do domu. Sprawdziła łazienkę, Samotnię i wszystkie wspólne pokoje, zajrzała do każdego kąta. Niestety, siostr Dean nigdzie nie było. Czując coraz większą panikę, wybiegła przed dom, ale zobaczyła tam tylko Pearl podlewającą róże.

– Widziałaś może Alexę i Emmy?! – zawołała. – No wiesz, córki Griffina Deana, nastolatkę i trzylatkę.

– Przed kilkoma minutami widziałam tę starszą – oznajmiła Pearl. – Niemal biegła w stronę portu. Gdy mnie mijala, śmiała się, rozmawiając z kimś przez telefon.

Isabel wzięła głęboki oddech.

– A tę trzylatkę? – spytała.

– Nie było jej z Alexą – odpowiedziała Pearl.

Gdzie więc podziała się Emmy? – zastanawiała się Isabel.

Szybko opowiedziała Pearl, co się wydarzyło, i pędem wróciła do ogrodu. Znowu zaczęła szukać i przywoływać Emmy, lecz i tym razem bez skutku.

Alexa miała komórkę. Niestety, Isabel nie знаła jej numeru. Musiała zadzwonić do Griffina i powiedzieć mu, że jego starsza córka uciekła, a młodszej nigdzie nie może znaleźć. O, Boże. Wystukując numer jego telefonu, wciąż przywoływała dziewczynkę, ale bez rezultatu.

Griffin odebrał od razu.

– Isabel? Co się stało?

Histerycznym głosem opowiedziała mu o wszystkim. Stała sama w ogrodzie i jak szalona rozglądała się dookoła, a potem sprawdziła drzewa i pospieszyła do części ogrodu z przodu domu, w nadziei, że może mała pobiegła tam za wiewiórką. Przeszukała też każdy skrawek ziemi po lewej i prawej stronie domu. Niestety, dziewczynki nadal nigdzie nie było. Emmy, gdzie jesteś? – pytała w myślach.

– Pearl jest pewna, że Emmy nie było z Alexą? – spytał Griffin.

– Tak. Powiedziała, że Alexa przeszła obok niej w pośpiechu i śmiała się, rozmawiając z kimś przez telefon. Nie mam jej numeru. O, Boże, Griffinie, o Boże. Przepraszam.

– Cholera. A może Pearl po prostu nie zauważyła idącej przed Alexą Emmy? – zapytał zaniepokojony. – Zadzwonię do Alexy, a potem do ciebie. Szukaj Emmy. Sprawdź różne dziwne miejsca, do których mogła wejść. Jeśli nie znajdziesz jej do mojego następnego telefonu, powiadomię policję.

Isabel zamknęła oczy, czując, jak cięży jej żołądek. Włożyła telefon do kieszeni i ponownie pospiesznie przeszukała dom, a potem ogród, wołając dziewczynkę po imieniu i zaglądając w każdy kąt. Znowu bez rezultatu.

Po pięciu minutach zadzwonił Griffin.

– Skontaktowałem się z Alexą – oznajmił. – Zostawiła Emmy w ogrodzie i wymknęła się stamtąd po kryjomu. Jest teraz ze mną w samochodzie. Zaraz będziemy.

Isabel usłyszała w słuchawce, że Alexa mówi z płaczem:

– Przepraszam, tato. Myślałam, że Isabel zaraz wyjdzie, więc sobie poszłam.

Naprawdę zaraz wyszłam – pomyślała sparaliżowana strachem Isabel. – Nie było mnie tylko kilka minut. Tylko kilka minut. Ale w jednej chwili może się przydarzyć wszystko.

– Emmy! – krzyknęła na cały głos. – Emmy!

Zacząła nasłuchiwać, ale nie usłyszała nic poza typowymi odgłosami lata i biciem łomocącego jej w piersiach serca. Emmy, gdzie jesteś? – powtórzyła w myślach.

Właśnie przyjechała policja, a także pojawił się samochód June – do której Pearl zadzwoniła w panice – gdy Isabel nieoczekiwanie usłyszała dziwne szczekanie Szczęśliwca dochodzące z ogrodu sąsiadów, dokąd natychmiast poszła za Griffinem. Można było tam wejść w miejscu, gdzie kończył się płot, a zaczynał rząd tui.

Szczęśliwiec leżał na grzbiecie przed budą psa Walshów tuż przy głowie ich starego labradora, Elvisa, który drzemał.

– Piesku – powiedział Griffin do Szczęśliwca. – Pomóż nam znaleźć Emmy. – Podsunął mu pod nos sweterek dziewczynki, a gdy kundel zaczął szczekać jak oszalały, dodał: – Znajdź Emmy. No już.

Jednak Szczęśliwiec nie poszedł szukać, tylko nadal szczekał i zaczął biegać w kółko przed budą. Elvis natomiast nie ruszył się z miejsca i spoglądał na Szczęśliwca leniwym wzrokiem.

– Przepraszam, Griffinie. Ja... – zaczęła Isabel.

„Daj spokój, Isabel. Przecież ty nie masz instynktu macierzyńskiego”, słyszała nieraz od Edwarda.

– Przepraszam – powtórzyła po chwili łamiącym się głosem.

Alexa wpatrywała się w swoje paznokcie u nóg, pomalowane metalicznym niebieskozielonym lakierem. Nawet nie spojrzała na Isabel.

Griffin przykucnął i zajrzał do psiej budy.

– Tam jest! Mocno śpi! – krzyknął i powiedział do labradora: – No już, Elvis, odsuń się, żebyśmy mogli wyjąć moją córkę.

Jednak pies się nie poruszył. W końcu Eric Walsh odciągnął go, kusząc sucharkiem dla psów, a wówczas Griffin ujął rękę Emmy.

– Tatuś? – spytała obudzona dziewczynka.

Griffin wyciągnął ją z psiej budy i wziął na ręce. Zerknął na Isabel. Dostrzegła w jego ciemnych oczach gniew, frustrację i ulgę, ale uznała, że przede wszystkim gniew.

– Jedziemy do domu – powiedział do Alexy.

Z Emmy na rękach i z nadąsaną Alexą u boku przeszedł koło pensjonatu, kierując się na drogę dojazdową, gdzie zaparkował, i wszedł do samochodu, nie powiedziawszy do Isabel ani słowa i nawet na nią nie spojrzawszy.

Rozdział 14

June

We wtorek rano mewy obudziły June wcześniej, ale nie żałowała, bo dzięki temu mogła zobaczyć nad zatoką różową zorzę zwiastującą wschód słońca. Wyszła na balkon i wciągnęła do płuc przesycone solą, zapachem kwiatów i wonią ściętej trawy powietrze, co sprawiło, że pomyślała o Henrym. Tyle razy w ciągu minionego tygodnia pragnęła z nim porozmawiać, ale go unikała, bo w tych dniach kierowała swe myśli i uczucia do innego mężczyzny. Unikała Henry'ego. A ponieważ był wspaniałym człowiekiem, nie narzucał się jej.

Spojrzała na port i rybaków, którzy byli już w swoich łodziach i na statkach. Może dziś nadejdzie ten dzień? – pomyślała. Minął tydzień od czasu, gdy na automatycznej sekretarce telefonu Smithów zostawiła wiadomość, krótką i prostą – że jest dawną przyjaciółką Johna i bardzo chciałaby się dowiedzieć, jak może się z nim skontaktować. Od tego czasu codziennie rano, gdy tylko się obudziła i usiadła na łóżku, podtrzymywała w sobie nadzieję, że oddzwonią.

Nie była pewna, czy zrobią to właśnie dziś, bo gdyby zamierzali się do niej odezwać, może już by to zrobili. Codziennie dzwoniła do niej tylko Marley, ciekawa, czy June otrzymała jakąś wiadomość. Polepszało to June nastrój, a przede wszystkim rozumiała, dlaczego jej nowa przyjaciółka to robi. Marley od dnia, w którym poznała Charliego, rozbudzała w sobie uczucia macierzyńskie. Sporządzała listę potrzebnych jej rzeczy, wpatrywała się w budynek, w którym mieścił się najlepszy w mieście żłobek i czytała podarowaną jej przez June książkę *Czego możesz się spodziewać...* June znalazła w Marley prawdziwą przyjaciółkę. Gdy pomyślała o tym, jak było to nieoczekiwane, zdała sobie sprawę, że może się zdarzyć wszystko: Smithowie oddzwonią, John się odnajdzie i założy z nią rodzinę.

Poszła sprawdzić, czy Charlie śpi, a właściwie po to, by zobaczyć słodką twarzyczkę synka i popatrzeć, jak jego szczupła klatka piersiowa porusza się w rytm oddechu. Jej wzrok padł na kartkę z rysunkiem drzewa genealogicznego przyklejoną do ściany nad łóżkiem. Jak dotychczas, nie pojawiły się na drzewie żadne zmiany.

Gdy wróciła do sypialni, stwierdziła, że łóżko Isabel jest puste. Czyżby siostra wstała w ciągu dwóch minut, kiedy June tu nie było? A może zrobiła to, zanim June się obudziła? Kat spała mocno, tak blisko krawędzi, że jej śliczne jasne włosy opadały z boku łóżka. June odczuwała potrzebę przesunięcia jej na środek materaca, jak robiła z Charliem, gdy spał niebezpiecznie blisko brzegu. Wiele razy słyszała w nocy odgłosy upadku, ale Kat jest dorosła i June wiedziała, że nic kuzynce nie grozi.

Spojrzała na puste łóżko Isabel. Jasnoniebieskie prześcieradła w boje były pogniecione, jakby przez całą noc siostra rzucała się w pościeli i przewracała z boku na bok. Wczoraj wieczorem Isabel prawie się nie odzywała. Na obiad upiekła trzy pizze, każdą z interesującymi dodatkami, znajdując pocieszenie w krojeniu dużej ilości warzyw na potrawę i realizowaniu długiego przepisu. Nie chciała przyjąć od nikogo pomocy i chyba niczyje słowa nie poprawiły jej samopoczucia, żadne zapewnienia, że mogło się to przydarzyć każdemu i prawdopodobnie w ciągu ostatnich lat przydarzyło się Griffinowi nieraz, kiedy Alexa przyrzekała, że zaopiekuje się młodszą siostrą, ale nie dotrzymywała słowa. Mimo to Isabel nadal miała kamienną twarz i oświadczyła, że przez jakiś czas chce być sama. Poprosiła wszystkich na obiad, lecz sama nie

siadła do stołu, tylko poszła do sypialni. Gdy June i Kat przyniosły jej jedzenie, udawała, że śpi.

June nie miała już wątpliwości, że w nocy siostra nie zmrzyła oka. Wyrzała przez okno od strony frontu, chcąc sprawdzić, czy przypadkiem Isabel nie spaceruje ze Szczęśliwcem, ale nie dostrzegła jej wśród osób wyprowadzających psy lub uprawiających jogging. Podeszła do małego okna wychodzącego na ogród i zobaczyła Isabel na wielkim gładzie, na który dzieci uwielbiały się wspinać i na nim bawić. Siostra siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, obejmując je ramionami. Obok niej stał kubek. Pod gładem leżał Szczęśliwiec, obgryzając kość wołową ze skórą, ale nagle się zerwał w pogoni za wielkim białym motylem.

June nie przebiegając się, zeszła do kuchni w T-shircie i legginsach, nalała sobie do kubka zaparzonej przez Isabel kawy, wzięła z puszki opatrzonej przez Kat kartką z napisem: MUFFINY PSYCHOTA – PROSZĘ SIĘ CZĘSTOWAĆ dwa muffiny i wyszła do ogrodu.

– Cześć – pozdrowiła siostrę, postawiła kubek i muffiny w papierowych foremkach na gładzie, wspięła się na niego i usiadła obok Isabel.

Siostra miała zaczerwienione oczy. Zerknęła na nią i zaraz utkwiała wzrok w drzewach.

– Cześć – odpowiedziała jak automat.

– Isabel, to, co się wczoraj wydarzyło, nic o tobie nie mówi. Mam nadzieję, że to wiesz – zaczęła June.

– Ależ mówi – zaprzeczyła siostra. – Kiedyś Edward oznajmił mi – to prawda, w czasie klótni – że nie mam instynktu macierzyńskiego, że brak mi naturalnej zdolności ochrony innych. Być może istotnie byłabym złą matką.

– Izzy, Edward okazał się kompletnym dupkiem. Całkowicie się myli. Mogę podać wiele przykładów na to, że w czasie krótkiego pobytu tutaj bez cienia wątpliwości dowiodłaś, że masz instynkt macierzyński i byłabyś wspaniałą matką – argumentowała June.

– Wymień choć dwa takie przypadki – poprosiła Isabel przybitym głosem.

– Po pierwsze, swoim podejściem do Charliego od chwili naszego przyjazdu. Na przykład pierwszego dnia, kiedy przy śniadaniu powiedział o swoim drzewie genealogicznym, oznajmiłaś, że powinien w nim uwzględnić nas wszystkie siedzące przy stole. Po drugie, natychmiast zareagowałaś, gdy Charliemu leciała krew z nosa. Wytarłaś mu buzię, zmieniłaś piżamę i prześcieradła. Po trzecie, wykazujesz wielką cierpliwość do czternastoletniej córki Griffina, na którą ktoś inny już wiele razy by warknął. Po czwarte, z wielką życzliwością traktujesz Pearl, która chce się czuć użyteczna. Po piąte, darzysz wielkim uczuciem Lolly i pensjonat. Mogłabym tak wymieniać bez końca.

Isabel zaczęła płakać i zakryła twarz dłońmi.

– Myślałam, że postępuję właściwie, godząc się z rozpadem swojego małżeństwa, choć od dziesięciu lat nic innego nie znałam, żyjąc samodzielnie i robiąc tu coś ważnego, czyli pomagając przy Lolly i w prowadzeniu pensjonatu, a także nie odpychając od siebie uczuć do innego mężczyzny, który ma dzieci. Jednak potem dopuściłam do tego, że zaginęła Emmy i pomyślałam o słowach Edwarda i... – przerwała, westchnęła ciężko i dodała: – June, Emmy mogło się przydarzyć coś znacznie gorszego. Mogła wybiec na ulicę i zostać potrącona przez samochód. Elvis mógł zgłupieć i ją pogryźć. Ktoś mógł ją porwać...

– Zawsze może być o wiele gorzej – weszła jej w słowo June. – Nie możesz tak myśleć, Izzy. Musisz... wierzyć w siebie i w innych, w powodzenie tego, na czym ci zależy i o co się starasz. To wszystko, co możemy zrobić. W przeciwnym razie po prostu się poddasz i będziesz się zamartwiać. Nie wolno do tego dopuścić.

– Jak można się nie zamartwiać? – spytała sceptycznie siostra.

– Musisz i powinnaś w siebie uwierzyć – powtórzyła June.

Isabel wzięła głęboki oddech i odgryzła kęs cytrynowego muffina z białą czekoladą.

June już wiedziała, że siostra uporała się ze swoim problemem, nawet jeśli tylko częściowo.

Tego dnia June, Isabel i Kat przyszły do pokoju Lolly na niezaplanowany wieczór filmowy. Wszystkie były tak przybite, że Lolly poprosiła June, by wybrała coś poruszającego, trafiającego do serca. June przejrzała jej kolekcję filmów w nadziei, że znajdzie ten, którego szuka. Tak, ciotka miała *Sprawę Kramerów*.

June widziała ten film po raz pierwszy dawno temu. Ponownie obejrzała go w telewizji, gdy leżała chora na grypę. Grana przez Meryl Streep Joanna Kramer opuszcza męża Teda Kramera (Dustin Hoffman) i siedmioletniego synka, zmęczona pracoholizmem Teda i brakiem jego zainteresowania rodziną. Ted musi sam zająć się chłopcem i wówczas odkrywa, co naprawdę znaczy być rodzicem. Kiedy uświadamia sobie, że rola ojca jest ważniejsza niż wszystko inne, zjawia się Joanna i chce mu odebrać syna. Ted nie daje za wygraną. Bardzo się starał, żeby zostać takim ojcem, jakim jest teraz, więc walczy w sądzie o to, by chłopiec pozostał pod jego opieką. Niestety, sąd przyznaje opiekę nad dzieckiem Joannie. Ale nawet ona dostrzega, jak Ted się zmienił i jak silna więź łączy syna z ojcem, jak bardzo go kocha i potrzebuje. Dlatego godzi się, by pozostali razem.

Może ten film pozwoli Isabel zrozumieć, dlaczego Griffin jest wzburzony i nie odpowiada na jej telefony? – zastanawiała się June. Reakcja Deana miała mniej wspólnego z zachowaniem Isabel, a więcej z jego lękiem. I może wreszcie do Isabel dotrze, dlaczego byłaby doskonałą matką, co potwierdziły już ponad wszelką wątpliwość jej instynkt macierzyński i zdolność do miłości, a przede wszystkim jej osobowość.

Weszła do pokoju, wnosząc na tacy miski z popcornem.

– Wszyscy już są? – spytała.

Jak poprzednim razem, były tylko we cztery. Mąż Pearl się przeziębził, więc została w domu, żeby się nim opiekować. Poza tym od kiedy Lolly nie czuła się najlepiej, wolała, żeby wieczór filmowy odbywał się w jej pokoju, tylko z udziałem członków rodziny.

Kat leżała na szpitalnym łóżku obok matki, przykryta kaszmirową narzutą, którą dostała w prezencie z okazji zaręczyn. Smutna Isabel wręczyła jej miskę z popcornem, zgasiła światło, usiadła obok June na wyściełanym składanym krześle, wyciągnęła nogi i położyła je na stojącej przed nimi otomanie.

– Griffin nadal się nie odezwał? – spytała ją szeptem June, sięgając po popcorn do trzymanej przez siostrę na kolanach miski.

Isabel pokręciła głową.

– Sądzę, że się tego nie doczekam. Dzwoniłam do niego dwa razy wczoraj wieczorem i raz dziś rano – odpowiedziała.

– Jestem pewna, że zadzwoni – oznajmiła June. – Po prostu panikuje. To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Nie doszłoby do tego, gdybym nie zostawiła dziewczynek samych nawet na dwie minuty – obwiniała się Isabel.

– Isabel, Alexa ma czternaście lat – przypomniała jej Kat. – Nie podsłuchuję waszej rozmowy. No dobra, słuchałam, co mówiłyście. Każdy zrobiłby to samo co ty, czyli poprosił czternastolatkę o przypilnowanie przez dwie minuty młodszej siostry, kiedy byłby zajęty przygotowaniem w kuchni składników na lemoniadę. Każdy, włącznie z Griffinem. To nie stało się z twojej winy.

– To dlaczego czuję się tak koszmarnie? I dlaczego Griffin do mnie nie zadzwonił? – spytała nieprzekonana jej argumentacją Isabel.

June wszystko rozumiała, ale dawała Griffellowi jeszcze tylko jeden dzień na to, by sobie poradził ze sobą i przestał narażać Isabel na okropne samopoczucie. Widziała przecież wczoraj,

jak bardzo siostra przejęła się zaistniałą sytuacją.

Lolly podniosła się nieco na poduszkach.

– Tak jak powiedziała June, panicznie się wystraszył tego, że Emmy zaginęła – powiedziała. – Ale prawdopodobnie najbardziej wściekły jest na siebie. Gdy się uspokoi, zadzwoni.

Isabel sięgnęła po popcorn, co było dla June drugim dobrym znakiem, że dochodzi do siebie.

– Mam taką nadzieję – odrzekła.

Lolly włączyła odtwarzacz.

– Uważam, że June wybrała na dzisiejszy wieczór bardzo dobry film – pochwaliła ją.

– Zwróćcie uwagę, jaka młoda jest tu Meryl – odezwała się June w trakcie sceny, w której Joanna oznajmia Tedowi, że odchodzi od niego i zostawia go z synem. – W którym roku nakręcili ten film? W siedemdziesiątym którymś?

Lolly włączyła lampkę na nocnym stoliku i przeszukała wzrokiem pudełko płyty.

– W siedemdziesiątym dziewiątym – odpowiedziała siostrzenicy.

– Meryl dostała za tę rolę Oscara, prawda? – powiedziała June.

Lolly skinęła głową.

– I za rolę w *Wyborze Zofii* oraz w *Żelaznej damie* – poinformowała.

– Super. Doskonale rozumiem, dlaczego Joanna ma dość męża, ale żeby zostawić własne dziecko? Tego zupełnie nie pojmuję – wyznała June.

Kat sięgnęła po popcorn do miski stojącej na łóżku między nią a matką.

– To niesamowite, jak Meryl potrafi sprawić, że mimo to widz współczuje Joannie – zwróciła uwagę. – Jest niezwykle utalentowaną aktorką.

– Rzeczywiście jest – zgodziła się z córką Lolly. – To dlatego mogę ciągle oglądać filmy z jej udziałem. Gdy nakręciła ten film, była taka młoda.

Wszystkie usadowiły się wygodnie ze swoimi przysmakami i napojami i w milczeniu obserwowały, jak Ted Kramer zarazem wolno i szybko przemienia się z egoistycznego pracochlika w kogoś, kto dostrzega we własnym synu małego człowieka, który go potrzebuje.

– Dustin Hoffman też jest niesamowitym aktorem – stwierdziła z uznaniem June. – Naprawdę widać, jak Ted Kramer się zmienia, jak odkrywa, że jego dziecko jest ważniejsze niż jakikolwiek projekt realizowany w pracy.

Lolly sięgnęła po popcorn.

– Widać też, jak bezwzględna jest branża reklamowa, a przynajmniej była wtedy – skomentowała. – Wylanie go z pracy przez szefa, uświadamia mu, że w tym środowisku nikt nikogo nie obchodzi.

– Zaraz, zaraz... – zaczęła zdumiona Isabel. – Joanna wraca do niego po piętnastu miesiącach? Dopiero wtedy nagle chce odebrać mu syna?

June pokręciła głową.

– Nie potrafię sobie wyobrazić dnia bez Charliego, bez patrzenia na niego, obejmowania go i okazywania mu, jak go kocham – oznajmiła.

– A ja nie wierzę w tę walkę sądową – zmieniła temat Kat. – W to, jak jest pokazana na filmie, bo przecież ci adwokaci i sędziowie nie byli świadkami życia Kramerów. Nie mogli wiedzieć, co i w jaki sposób się wydarzyło, na przykład jak doszło do wypadku chłopca na placu zabaw.

– Ale Joanna wie – stwierdziła Isabel. – Bo zna swojego męża i syna.

June skinęła głową.

– O Boże! – zawołała. – Wiedziałam, że do tego dojdzie, ale wciąż nie mogę uwierzyć, że

sąd przyznaje opiekę nad dzieckiem Joannie. Ted tak bardzo kocha syna. Właśnie go odnalazł, naprawdę odnalazł, stał się ojcem we właściwym tego słowa znaczeniu, a tymczasem chłopiec został mu odebrany.

Wszystkie się popłakały.

Lolly otarła łzy papierową chusteczką.

– Uwielbiam ten moment: Joanna przychodzi po syna, a potem mówi, że wie, iż chłopiec jest już w domu – oznajmiła.

– Przynajmniej teraz płacę z radości – stwierdziła Isabel, też ocierając łzy. – O mój Boże, ależ to było wzruszające.

– Zadzwoń jeszcze dziś do Griffina – poradziła jej Kat. – Nagraj się na jego komórkę. Powiedz, że rozumiesz, dlaczego nie oddzwania, i chcesz tylko, by to wiedział.

Isabel pokręciła głową.

– Dzwoniłam do niego trzy razy. Nie odpowiedział, a przez cały ostatni tydzień rozmawialiśmy codziennie wieczorem.

– Uważam, że nie oddzwaniając do ciebie, jest nie w porządku – uznała June. – Rozumiem jego wzburzenie, ale postępuje źle, dopuszczając, żebyś czuła się fatalnie. Powinien oddzwonić przynajmniej po to, by ci powiedzieć, że po prostu potrzebuje trochę czasu, że musi wszystko przemyśleć, czy coś w tym rodzaju.

– Może wyślij mu mejla? – zasugerowała Kat. – Napisz, że dziś podczas wieczoru filmowego obejrzałyśmy *Sprawę Kramerów*, że film bardzo cię poruszył i dał ci wgląd w życie samotnego taty oraz w jego silne emocje, pokazał, jak Ted Kramer był przerażony, gdy jego syn miał wypadek na placu zabaw, co pomogło ci zrozumieć przerażenie Griffina spowodowane wczorajszym zniknięciem córki.

– A co będzie, jeśli uzna mnie za idiotkę, która porównuje życie z filmem? – spytała Isabel.

– Ale ten film przemówił do ciebie i pozwolił ci spojrzeć na sytuację oczami samotnego ojca – przekonywała ją Lolly. – Sądzę, że możesz to napisać. Tak czy inaczej, musisz wyrazić swoje zdanie... – Nie dokończyła, ziewnęła i zamknęła oczy.

– Śpij – powiedziała Kat i pocałowała ją w rękę.

Isabel i June zrobiły to samo. Isabel od razu poszła do sypialni, żeby wysłać mejla do Griffina, a Kat pojechała do Olivera. June nagle znalazła się w przedpokoju sama. Na szczęście z Pokoju pod Drozdem wyszli goście i poprosili ją o kawę. Poszła z nimi do kuchni, zaparzyła im dzbanek kawy i położyła na paterze ciasteczka z kawałkami czekolady. W tym momencie zadzwoniła jej komórka. Szybko odebrała telefon, w nadziei, że to może Smithowie, ale dzwonił Henry.

– Cześć, June – przywitał się i oznajmił: – Chciałbym o czymś z tobą porozmawiać. To ważne. Czy mogłabyś do mnie przyjechać?

Czyżby zamierzał ją wylać z pracy? Nie, to było niemądre przypuszczenie. Oczywiście, że jej nie zwolni. Po prostu chciał pogadać o tym, co wydarzyło się na jego łodzi wieczorem w Święto Pracy. June była tego pewna. Pragnął jej powiedzieć, że rozumie, iż ona powinna wyjaśnić sprawę, skończyć to, co zaczęła, bez względu na rezultat, i że stosunki między nimi nie muszą być niezręczne, jak do tej pory. We wtorki i w środy June miała wolne, więc nie widziała się z nim po Święcie Pracy, kiedy to powiedział jej, że zawsze ją kochał. Natomiast w jej dni robocze gdzieś przepadał, a na weekend wyjechał dokądś swoim motocyklem. Gdy raz musiała z nim rozmawiać o zamówieniu, które zostało źle zrealizowane, zapukała do drzwi jego gabinetu, lecz nie otrzymała odpowiedzi. Wówczas wyjrzała przez okno z zaplecza księgarni i zobaczyła, że Henry coś robi na pokładzie łodzi, ale nagle znieruchomiał i po prostu spoglądał

na wodę, a potem na port. Nie wie, co zrobić – pomyślała. – Z tą sprawą, z June i ich znajomością.

Ona też miała mu coś do powiedzenia. Gdy wyznał jej miłość, nie chciała się zwierzyć z tego, że zdobyła adres i numer telefonu rodziców Johna. Może jednak powinna podzielić się z nim tą wiadomością, aby w ten sposób dać mu do zrozumienia, że jest jej bliski i nie porusza się już w pustce? Jeśli oczywiście nie skończy się to brakiem odpowiedzi rodziców Johna na wiadomość od niej. Nie wątpiła jednak, że się odezwą. Musi teraz napisać do nich list i tak go sformułować, by nie wyszła na śledzącą go „dziewczynę, z którą krótko się spotykał”. Nie mogła się też odkryć i powiedzieć, dlaczego chce odnaleźć ich syna. Najpierw musiała poinformować o wszystkim Johna i pozostawić mu decyzję o poinformowaniu rodziców. Pracowała dziś nad listem i zamierzała go wysłać, jeśli nie oddzwonią do jutra do południa.

– Mogę zaraz do ciebie przyjechać – zaproponowała Henry’emu, nalewając kawę do filiżanek i stawiając na srebrnej tacy obok patery z ciasteczkami dzbanuszek ze śmietaną i cukiernicę. – Poproszę tylko Isabel, by nasłuchiwała, czy Charlie się nie obudził. Będę za dwadzieścia minut.

– Będę czekał na ciebie na moim pomoście – powiedział i rozłączył się.

June mogłaby przysiąc, że usłyszała bicie jego serca.

Gdy otworzyła drzwi domu, zobaczyła na werandzie Marley i Kipa. Właśnie mieli zadzwonić. Kip wyglądał tak jak June go zapamiętała, przystojny i wysoki, ubrany w szare spodnie do bejsbolu i czarny T-shirt z długimi rękawami. Boże, będą mieli piękne dziecko.

Marley sprawiała wrażenie całkowicie odmienionej. Uśmiechała się, a jej wielkie niebieskie oczy były pogodne i błyszczące.

– June, chyba nie masz nic przeciwko temu, że wpadliśmy? – zagadnęła. – Może zjawiliśmy się w niewłaściwym momencie? Wybierasz się dokądś?

„My” – pomyślała June, spoglądając to na jedno, to na drugie. Czyżby Kip przekonał się do posiadania dziecka? Miał tak poważną minę, że nie była tego pewna.

– Jadę do księgarni na spotkanie z Henrym – poinformowała ich. Kiedy zorientowała się, że nie przyjechali samochodem, spytała: – Pojedziecie ze mną do portu?

Kip objął Marley i ruszyli do samochodu. June zrobiła wielkie oczy i zerknęła na przyjaciółkę, która promieniała.

– June, chciałbym ci podziękować za pomoc, jakiej udzieliłaś Marls – zaczął. – Dowiedziałem się od niej, że naprawdę miała się na kim oprzeć, jeśli chodzi o ciebie, czego ja, niestety, nie mogę powiedzieć o sobie w momencie, gdy się o wszystkim dowiedziałem, a i później też. Jestem ci za to bardzo wdzięczny. Wciąż się osuwam z nową sytuacją, ale wiem, że kocham Marley i to wystarczy.

June uśmiechnęła się. Podobało się jej, gdy miłości nie zagrażały żadne komplikacje.

– Byłam zszokowana, jak wczoraj wieczorem zapukał do moich drzwi – powiedziała Marley. – Przegadaliśmy wiele godzin. Sporządziliśmy nawet listę imion dla dziewczynki i chłopca, które bierzemy pod uwagę. – Uśmiechnęła się do niego ciepło, a on do niej, i dodała: – June, nigdy nie zdołam ci podziękować za to wszystko. Ciągle myślę o tym, jak zostałam sama w wieku dwudziestu jeden lat. Mam nadzieję, że miałaś kogoś, kto cię wspierał, tak jak teraz ty mnie.

– Miałam – potwierdziła June i pomyślała o Henrym, który nie pozwolił jej dźwigać książek, a kiedyś rano przyniósł pięć paczek słonych krakersów, gdy miała takie nudności, że spędziła dwie godziny w toalecie. To on pierwszy dowiedział się, że zaczęła rodzić, bo stało się to w księgarni, i powiadomił Lolly, a potem czekał przed porodówką, przechadzając się nerwowo jak ojciec.

I to on pierwszy powiedział jej:

– Charlie jest doskonały, tak jak ty, June.

Poczuła lzy w oczach, ale powstrzymała płacz. Wyznał jej miłość, a ona goniona marzeniem, od którego nie mogła się uwolnić. Bo miała przed sobą dowód, że marzenia się spełniają, tę szczęśliwą parę.

Rodzice Johna skontaktują się ze mną i ja też dostanę od życia szansę – pomyślała, spoglądając, jak Marley i Kip patrzą na siebie.

Gdy dojechali do portu, uściśliła ich na pożegnanie, przypomniała Marley, że w przyszłym tygodniu mają obejrzeć spacerówki i odprowadziła oboje wzrokiem, kiedy się oddalali, trzymając się za ręce. Słowo „możliwość” było jej ulubionym i pojawiło się tu w swej namacalnej postaci. Ze spokojem i zadowoleniem podeszła do księgarni Bracia Books i skręciła w boczną alejkę na pomost. Skoro Marley i Kip potrafili się odnaleźć, to potrafią również June i John.

Był jeden z tych pięknych wrześnieowych wieczorów w stanie Maine, kiedy przyroda ukazuje całą swoją wspaniałość. Ciepłe powietrze przesyciły zapachy kwiatów, choć dało się odczuć pierwsze oznaki zbliżającej się jesieni. W każdym razie nie było aż tak ciepło, aby zdjąć cienki kardigan i pozostać w samym topie.

Henry stał na pomoście w pobliżu swojej łodzi, trzymał ręce w kieszeniach dżinsów i spoglądał na wodę.

– Cześć – przywitała się, podchodząc do niego. – Cieszę się, że zadzwoniłeś. Mam dla ciebie wiadomość.

Odwrócił się do niej i patrzył na nią przez chwilę, ale jakoś inaczej niż dotychczas. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej tak na nią patrzył.

Czyżby rzeczywiście chciał ją zwolnić? Nie potrafił już z nią pracować?

– Henry? – spytała przestraszona.

– Wejdźmy do środka i usiądźmy – odrzekł, pomógł jej wsiąść do łodzi i dodał: – Powiedziałaś, że masz dla mnie wiadomość, więc ty zacznij.

Zeszła po trzech schodkach do części mieszkalnej i odwróciła się do niego.

– Znalazłam go – oznajmiła.

Utkwił w niej wzrok, a po chwili spytał:

– Znalazłaś ojca Charliego?

Usiadła na wysokim reżyserskim krześle i odparła:

– Znalazłam jego stare zdjęcie z college’u, kiedy grał w zespole muzycznym, i dotarłam do jednego z członków tego zespołu, bo, dzięki Bogu, ma bardzo oryginalne nazwisko. Okazało się, że drugie imię tego mężczyzny jest takie samo jak nazwa ulicy, przy której mieszkał John. Dzięki temu mogłam odnaleźć jego rodziców, to znaczy ich adres i numer telefonu.

Henry znowu zaczął się w nią wpatrywać, jakby czekał na to, by powiedziała coś, czego się spodziewał.

– Zadzwoniłam do nich i nagrałam na automatyczną sekretarkę wiadomość, że jestem przyjaciółką ich syna, że poznałam go przed siedmiu laty w Nowym Jorku, kiedy podróżował po kraju, i bardzo chciałabym się z nim skontaktować. Nie oddzwonili, ale właśnie piszę do nich list. Nie mogę tak po prostu się odkryć i...

– June – przerwał jej Henry, zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

Wstała z krzesła.

– Henry, co się stało? – spytała.

Sięgnął do biurka po złożoną kartkę. Trzymał ją, ale jej nie rozłożył i nie podał June.

– Przyszło mi do głowy, by sprawdzić, po prostu sprawdzić, zobaczyć i, o Boże, June,

przykro mi, że muszę ci to pokazać – oznajmił, rozprostował papier i podał go jej.

To był wydruk nekrologu z „Bangor Daily News”, z listopada 2005 roku, Johna Smitha, który, jak się okazało, zmarł w dniu, kiedy June miała się z nim spotkać w Central Parku przy rzeźbie *Aniola Wód* wieńczącej fontannę Bethesda.

John Smith, lat 21, z Bangor, w stanie Maine, zmarł na białaczkę 10 listopada w Nowym Jorku. Bardzo chory, postanowił w ostatnich miesiącach życia spełnić swoje marzenie i zrobić objazd po kraju, od największych miast po najmniejsze miasteczka. Zostawił rodziców, Eleanor i Stevena Smithów z Bangor w stanie Maine, dziadków ze strony matki...

Było też zdjęcie. Zobaczyła na nim twarz pięknego mężczyzny, którą przechowywała w pamięci od siedmiu lat, o rysach codziennie widzianych w twarzy Charliego. To z pewnością było zdjęcie uśmiechniętego Johna.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i zatoczyła się. Usiadła na krawędzi krzesła w samą porę, zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Kiedy powtarzałam w kółko, że mnie wykorzystał i porzucił, i szukałam go po Nowym Jorku, on leżał martwy w szpitalu, niedaleko ode mnie – powiedziała i zalała się łzami.

– Tak mi przykro, June. Nie porzucił cię, tylko został ci zabrany – szepnął Henry.

June płakała rozpaczliwie, jej szloch wydobywał się z głębi trzewi, a kiedy Henry przyklęknął obok niej i wziął ją za rękę, odsunęła się od niego.

– Dlaczego sprawdzałeś nekrologi?! – krzyknęła. – Tego chciałeś? Żeby nie żył?

W chwili gdy to powiedziała, wiedziała, że zachowuje się wobec niego niewłaściwie, ale musiała wyrzucić z siebie wszystko. John Smith nie żył. Nie żył przez cały ten czas.

– Nie, June – odpowiedział łagodnym, niemal łamiącym się głosem Henry. –

Sprawdziłem je dlatego, że było tylko jedno sensowne wytłumaczenie, dlaczego ten mężczyzna cię opuścił.

June ze złamanym sercem wybiegła z łodzi Henry’ego i wsiadła do samochodu.

*

Gdy wróciła do pensjonatu i wbiegła po schodach na górę, zalewając się łzami, Isabel właśnie wychodziła na palcach z pokoju Charliego.

– Śpi mocno jak... – przerwała w pół zdania na widok zapłakanej siostry i spytała: – Co się stało? June, co złego się stało?

June nie mogła mówić. Cały czas płakała, więc Isabel ostrożnie zamknęła drzwi pokoju chłopca, wzięła siostrę za rękę i zaprowadziła do sypialni. Gdy tylko weszły do środka, June osunęła się na podłogę, oparła plecami o drzwi i zaczęła łkać.

Isabel przyklęknęła obok niej i odsunęła z jej twarzy mokre loki.

– Co się stało? – powtórzyła pytanie.

June wciąż ścisnęła w dłoni kartkę z wydrukowanym nekrologiem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Kiedy teraz uświadomiła to sobie, włożyła ją siostrze do ręki.

Isabel przeczytała i gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Och, nie, nie – jęknęła i też zaczęła płakać, obejmując June.

June przytuliła się do niej mocno i szlochała tak głośno, że mogła obudzić Charliego. Obawiała się tego, ale nie potrafiła się uspokoić.

Rozdział 15

Kat

Włoska piekarnia wyglądała i pachniała cudownie, jakby człowiek nagle znalazł się w Rzymie i wszedł do pasticcerii. Specjalizowała się we włoskich ciastkach, takich jak cannoli z serem ricotta, żółtym i czekoladowym kremem oraz kawałkami czekolady, małe placuszki posypane cukrem pudrem, ptysie, ogony homara i napoleonki. Specjalnością piekarni były także chleby: sodowy z parmezanem, focaccia, włoski formowany w owalne bochenki, piadina i ciabatta, oraz tłoczona na miejscu oliwa. Kat mogłaby tam stać przez cały dzień i wdychać te cudowne aromaty.

Poczuła się stanowczo zbyt uszczęśliwiona wyobrażeniem Mattea ubranego w ciemnozielony T-shirt i džinsy i delektującego się przy jednym z okrągłych stolików espresso oraz okrągłymi ciasteczkami. Gdy otworzyła drzwi, zadzwonił zawieszony nad nimi dzwonek i Matteo z uśmiechem uniósł się z krzesła na jej widok. Za ladą stał jego ojciec Alonzo, wysoki jak syn, ale tęższy, o ciemnych rzednących włosach przetykanych siwizną.

– A więc to jest moja śliczna konkurentka – powiedział, wyszedł zza lady i uściskał jej dłonie, uśmiechając się serdecznie. – To wielka przyjemność poznać panią i uczyć się od niej. Jakże był uprzejmy.

– Czuję się zaszczycona, że smakują panu moje muffiny, panie Viola. Wszyscy w mojej rodzinie uwielbiają pana cannoli – zrewanżowała się. – Zwykle kupują wypieki ode mnie, ale robią wyjątek dla pańskich cannoli i tiramisu. Mój mały kuzyn sądził, że sprawi mi zawód, kupując u pana cannoli za pieniądze, które dostaje za wyprowadzanie psa. Zachwycał się tymi ciastkami przez ładnych parę dni.

Wymieniając go, Kat zaczęła się martwić o June, która nie wstała rano z łóżka. Gdy w nocy Kat wróciła od Olivera, kuzynki siedziały na łóżku June, która miała zaczerwienione od płaczu oczy. Isabel pokazała Kat nekrolog. Dziś rano słyszała, jak June płacze, ale kuzynka leżała odwrócona twarzą do ściany. Kiedy Charlie otworzył drzwi swojego pokoju i jak zwykle zawołał: „Ahoj, kamraci!”, Kat powiedziała June, że wyprawi go do szkoły i usprawiedliwi ją przed synem. Isabel zadzwoniła natomiast do księgarni Bracia Books i powiadomiła Bean, że June nie czuje się dobrze i nie przyjdzie dziś do pracy. Kat podrzuciła Charliego do szkoły. Gdy wróciła do domu, June nadal leżała w łóżku i patrzyła na ścianę. Położyła się przy niej i pogłaskała ją po plecach, proponując jej ulubione bułeczki *scone* z cynamonem i białą czekoladą, które upiekła dziś wcześniej rano. Niestety, June ledwie zdołała pokręcić głową.

– Po prostu muszę trochę побыć sama – oświadczyła i Kat przekazała to Isabel, która też już wiele razy zaglądała do ich sypialni.

Po zapewnieniu jej przez Isabel, że będzie czuwała nad siostrą, Kat pojechała na spotkanie do włoskiej piekarni.

– Żałuję, że nie pozna pani mojej żony, matki Mattea, ale opiekuje się dziś naszą chorą małą wnuczką. Z pewnością jednak wkrótce się poznacie – oznajmił Alonzo, odwrócił się do syna i powiedział: – Poczęstuj młodą damę espresso, a ja w tym czasie przygotuję wszystko w kuchni.

Matteo nie ruszył się z miejsca i patrzył na jej pierścionek zaręczynowy.

– Wygląda na to, że należy ci złożyć gratulacje – skomentował po chwili.

Zerknęła na piękny, artystycznie oprawiony brylant w cennym starym pierścionku i uśmiechnęła się do Mattea, jakby w ten sposób dziękowała mu za gratulacje.

– Wprost nie mogę się doczekać, kiedy wejdę do kuchni, tak niesamowicie tu pachnie. To wspaniałe ze strony twojego ojca, że zechciał mi poświęcić czas – zaczęła trajkotać, czując, że Matteo na nią patrzy i czeka, aby mu coś powiedziała na temat pierścionka.

Tylko co miała powiedzieć? Zaręczyłam się, lecz nie jestem pewna swoich uczuć? Nie jestem pewna odpowiedzi, dlaczego jestem niepewna? Moja matka jest pewna i pozwala mi poczuć się bardziej pewnie, ale patrzę na ciebie, rozglądam się tu... moje marzenie... i zastanawiam się...

– Napijesz się espresso? – zaproponował, patrząc na nią.

Chciałaby wiedzieć, o czym on myśli, ale nie знаła go na tyle dobrze, by móc to wyczytać z wyrazu jego twarzy.

– Nie, dziękuję – odmówiła.

– Chodźmy zatem do kuchni – zaproponował.

W dużej kuchni Alonzo pracował przy starym farmerskim stole, na którym leżała owinięta w folię kula ciasta i stały miski i miseczki z różnymi produktami.

Matteo przystanął w drzwiach, oparł się o framugę i patrzył na Kat, popijając espresso.

– Proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że postanowił pan zostać piekarzem i cukiernikiem i otworzyć swoją pasticcerię? – Kat spytała Alonza, stając obok niego i spoglądając na składniki potrzebne do zrobienia cannoli.

W miskach i miseczkach znajdowało się wszystko, od mąki, poprzez cukier, do ricotty. Dziś Kat miała tu lekcję robienia cannoli, a w przyszłym tygodniu w pensjonacie Alonzo i Francesca będą mieli lekcję pieczenia muffinów.

– Postanowiłem? – powtórzył za nią, gdy sypała mąkę na dużą drewnianą stolnicę. – Zawód to jest raczej coś, co nas sobie wybiera, czyż nie? Po prostu pociągało mnie gotowanie i pieczenie. Piekleń już jako dziecko i sprzedawałem swoje ciastka i chleby w wiosce. Teraz w czasie wakacji ja i moja żona podróżujemy i szukamy wypieków, które – jak to powiedzieć? – zwałyby nas z nóg. Czegoś nauczyły.

Na myśl o tym, że można tak robić, serce jej podskoczyło.

– To brzmi fantastycznie! – zawołała podekscytowana. – Bardzo bym chciała podróżować po świecie i próbować każdego ciasta, dopóki nie znajdę takiego o najwspanialszym smaku i nie podejmę nauki u mistrza, który je upiekł.

– Właśnie. Jest pani młoda, więc może to zrobić. Może pani zabierze świeżo poślubionego męża w taką podróż na miesiąc miodowy? – zasugerował Alonzo i skinął głową, patrząc na jej pierścionek zaręczynowy.

Ponownie zerknęła na pierścionek, a następnie na Mattea, który w milczeniu opierał się o framugę. Zaraz jednak wyszedł na środek piekarni. Kat zdała sobie sprawę, że czuje się zawiedziony z powodu tego pierścionka. Może dopóki go nie zobaczył, planował po lekcji robienia cannoli umówić się z nią na randkę? Na myśl o tym dostała gęziej skórki. Próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby randka z nim. Z mężczyzną, którego rodzice byli włoskimi emigrantami i który miał tyle do powiedzenia na temat swojej rodziny, studiował w Nowym Jorku medycynę, ale wystarał się tu o rezydenturę, bo chciał być bliżej rodziców i opiekować się ojcem w czasie jego chemioterapii, zwiedził piętnaście czy więcej krajów i mógł szeptać jej do ucha wszystkie czułe słówka po włosku.

To jest jego zewnętrzna powłoka – przypomniała sobie. – Idealizuję go, a tak naprawdę go nie znam. Jej pierwszy chłopak, którego uważała za supergościa, bystrego i dość światowego

jak na szesnastolatka, okazał się małosłowny, co ją zaskoczyło. W końcu uświadomiła sobie, że zgodność charakterów i chemia między dwójgim ludzi nie mają związku z ich kompetencjami. Bo jej drugi chłopak, który do wszystkich mówił „stary” i jeździł po kraju za U2, miał latem firmę strzygącą trawniki, a zimą odśnieżającą, wyróżniał się wiedzą polityczną i historyczną. Ludzie potrafią zaskakiwać. Nie zamierzała więc pozwolić, aby ktoś zawrócił jej w głowie tylko dlatego, że miał piękne imię i nazwisko, nosił fartuch lekarski i mógł się pochwalić niesamowicie wyćwiczonymi mięśniami brzucha oraz urodziwą twarzą o egzotycznej urodzie. Oczywiście już pozwoliła, aby zawrócił jej w głowie, ale miała się na bacności. Oliver zasługiwał na lepsze traktowanie.

– To ciasto leży tu już wymaganą godzinę – wdarł się w jej myśli głos Alonza. – Nie wiedziałem, ile będzie miała pani czasu, więc nie chciałem, żebyśmy za długo czekali.

Wręczył Kat napisany ręcznie przepis i wyjaśnił, jak wyrabia sztywne ciasto, a potem krok po kroku pokazał jej, jak ma korzystać z form i smażyć rurki cannoli na złotobrazowy kolor tylko dwie minuty, a potem napełnić je kremem ze śmietany, ricotty i cukru. Przygotowali kilka rodzajów nadzienia. Do niektórych dodali kawałki czekolady i zamoczyli końcówki rurek w rozpuszczonej czekoladzie.

Kat bardzo owocnie spędziła czas i zapomniała o pierścionku zaręczynowym oraz o młodym lekarzu, dopóki nie przyszedł do kuchni, chcąc spróbować jej wypieku. Wówczas Alonzo wyszedł obsługiwać klientów, a Kat nagle odniosła wrażenie, że ta duża kuchnia zrobiła się mała, bo Matteo stanął tak blisko niej, że poczuła zapach jego mydła. Obserwowała, jak zmysłowymi ustami odgryza kęs cannoli.

– *Perfetto* – pochwalił ją. A więc uznał ciastka za doskonałe.

Uśmiechnęła się i też odgryzła kęs. Cannoli było dobre, choć nie tak dobre jak to zrobione przez Alonza Violę.

– Masz na ustach krem i cukier puder – szepnął i wpatrywał się w nią z taką miną, jakby chciał powiedzieć: Zatroszczyłbym się o nie, gdyby nie ten pierścionek zaręczynowy.

Coś w niej pękło, jakaś słaba bariera, która nie mogła przetrwać, choćby Kat nie wiem jak przekonywała samą siebie, że to tylko seksowny młody lekarz, którego ojciec może ją nauczyć robić prawdziwe cannoli. Podobało się jej, że Matteo z respektem traktuje pierścionek. Dręczyło ją jednak poczucie winy, że ona sama tego respektu nie ma.

Odgryzł następny kęs.

– Podziwiam twoje doskonałe skupienie na nauce – pochwalił ją ponownie. – Widzę, z jaką pasją i powagą traktujesz cukiernictwo. Kiedyś będziesz właścicielką cukierni. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Marzę o tym – wyznała i rozejrzała się po kuchni. – Żeby mieć taki piec, takie srebrne miski, taką mąkę i takie miejsce. – Odłożyła cannoli. – Ale teraz wszystko wygląda tak... mizernie.

– Z wyjątkiem tego pierścionka – odrzekł i znowu utkwiał w nim wzrok.

– Nawet on – powiedziała tak cicho, że nie była pewna, czy usłyszał.

– Och! – westchnął z powagą.

Utkwiła wzrok w mące.

– Jestem taka zagubiona – wyjawiała. – Moja matka. Ona... Wiesz, w jakiej jest kondycji. Nie potrafię normalnie myśleć. Nie... znam stanu swoich uczuć. Czuję się taka...

– Jaka? – spytał, ujmując jej dłoń w swoją silną i ciepłą.

– Wydaje mi się, że podążam jednokierunkową drogą. – Rozłożyła ręce i natychmiast zatęskniła za jego dłonią.

– Jednokierunkową drogą dokąd? Do życia, które już znasz? To masz na myśli? – zasypał

ją pytaniami.

– Właśnie to, życie, które już znam, które się nie zmieni – wyjaśniła. – Ani trochę. Wyjdę za mąż za chłopaka, z którym przyjaźnię się od piątego roku życia i będę piekła na potrzeby pensjonatu niezliczone bułeczki *scone* i muffiny, raz w roku wyjeżdżając na wakacje do Paryża lub Rzymu czy w inne miejsce, które zawsze chciałam odwiedzić, i powracając do domu, do życia urządnego mi na zawsze.

– Urządzonego ci? Przez kogo? – dziwił się Matteo.

Spojrzała na niego.

– Przez... – zaczęła. Słowo „kogo” było odpowiednie, odrzekła jednak: – Przez sytuację. Rozwazałam pójście do college’u, ale ponieważ chciałam mieć własną cukiernię, postanowiłam praktykować w zawodzie cukiernika, piekąc na potrzeby pensjonatu. I to robię. W sytuacji, gdy moja matka od piętnastu lat prowadzi ten pensjonat sama, pozostanie tu i pomaganie jej zawsze uważałam za słuszne.

– Czyli sama sobie urządziłaś takie życie, choć teraz nie jesteś pewna, czy słusznie – podsumował. – Przecież wiesz, że możesz je zmienić, prawda? Jak to się mówi, jesteś kapitanem swojego statku.

– Ale moja matka umiera, Matteo, i najbardziej ze wszystkiego pragnie zobaczyć, że mam ustabilizowane szczęśliwe życie jako żona mężczyzny, którego mój ojciec kochał kiedyś jak własnego syna – tłumaczyła mu. – Poza tym nie jestem pewna, czy rzeczywiście chcę wyjść za Olivera. To złoty chłopak, jak mówi o nim moja przyjaciółka Lizzie. Naprawdę taki jest. Po prostu nie wiem, czy już chcę mieć ustabilizowane życie. Pragnę zobaczyć Paryż, posmakować tamtejszych ciast i nauczyć się sztuki cukierniczej od takich mistrzów jak twój ojciec, skosztować w Hiszpanii *tapas*, zobaczyć miejsce w Afryce, gdzie Karen Blixen miała farmę. Jednak to nierealne.

– Kto tak mówi? – spytał. – Masz dwadzieścia pięć lat, Kat. Jeśli teraz nie wyruszysz w świat, nie poznasz nowych ludzi i nie przeżyjesz przygody, to kiedy? Teraz jest na to pora.

– Teraz umiera moja matka i Oliver mi się oświadczył, a ja zgodziłam się zostać jego żoną – odparła. – Matka poczuje spokój, gdy zobaczy nasze wesele w ogrodzie Gospody Trzech Kapitanów.

Spojrzał na nią w zadumie.

– Pomyślałbym, że ty też chętnie poczułabyś spokój, ale bez względu na to, co przyniesie ci życie i dokąd cię zabierze, cieszę się, Kat, że cię poznałem – zapewnił ją.

Mało brakowało, a rozplakałaby się, więc odwróciła się od niego i powstrzymała łzy.

– Przypuszczam, że twój ślub odbędzie się w nieodległej przyszłości – dodał, gdy milczała.

Odwróciła się do niego bliska szoku, że poruszył tę sprawę. Ale to znaczyło, że ją rozumie.

– Postanowiliśmy się pobrać w listopadzie, w okolicy Święta Dziękczynienia. To jest ulubione święto mojej matki, która zajmuje się organizowaniem wszystkiego, kiedy ma na to ochotę – oznajmiła i spytała: – Czy to będzie dla niej zbyt duże obciążenie, jeśli zaczniesz odwiedzać salony sukien ślubnych i lokale gastronomiczne?

– Sama musi ocenić, czemu podola – oświadczył Matteo. – Jeśli czuje się słaba, to po prostu musi odpoczywać. Skoro jednak chce zorganizować twój ślub, to może właśnie tego jej potrzeba? Realizacji jakiegoś dającego zadowolenie celu, inauguracji pięknej nowej drogi życia, zainicjowania nowego początku. Jeśli działa ze słusznych pobudek.

Ze słusznych pobudek... To, co słuszne, i to, co niesłuszne tak się Kat wymieszało, że nie potrafiła już odróżnić jednego od drugiego. I o jakim nowym początku on mówił? Dlaczego

pomysł, żeby wyjść za mąż za Olivera, stale mieszkać w Boothbay Harbor, prowadzić pensjonat, a nawet otworzyć tu własną cukiernię odbierała jako przeciwieństwo nowego początku? Czuła, że skręca się jej żołądek.

– Muszę wracać do pensjonatu – oznajmiła, spragniona świeżego powietrza. – Dziękuję, Matteo, za zorganizowanie tego spotkania. To był dla mnie bardzo szczególny poranek. Nigdy go nie zapomnę.

Zaczęła zbierać ze stołu brudne miski, ale ją powstrzymał.

– Jesteś naszym gościem – przypomniał jej, patrząc na nią w skupieniu.

– Dziękuję za wszystko – pożegnała go.

Uśmiechnęła się i pospiesznie ruszyła do drzwi, chcąc być jak najdalej od tej twarzy, tego ciała i głosu, które wywierały na nią tak hipnotyczny wpływ. Zatrzymała się przy ojcu Mattea i przez kilka minut z nim rozmawiała, dziękując mu za naukę. Alonzo uścisnął ją na pożegnanie i podarował pudełko ciastek dla rodziny, w tym coś „absolutnie wyjątkowego” dla Lolly.

Chciała tu zostać i równocześnie stąd wyjść.

Po południu zawiozła matkę do szpitala na badanie krwi. Isabel czuwała nad June, która ze względu na syna wstała z łóżka, ale wciąż była tak rozrzucona, że prawie się nie odzywała. Kat zaproponowała, że odbierze Charliego z przystanku autobusowego, lecz June oznajmiła, że sama tam pójdzie, bo od wieczora nie widziała słodkiej twarzyczki synka. Kat poszła z nią na ten krótki spacer, ale o nic nie pytała i nic nie mówiła. Gdy wróciły do pensjonatu, June znowu zniknęła w sypialni. Kat opowiedziała o wszystkim matce, która po wysłuchaniu historii weszła po schodach do ich pokoju, choć sprawiało jej to trudność. Po upływie pół godziny Kat zobaczyła przez okienko w drzwiach kuchni, że June sprowadza Lolly po schodach z tyłu domu. Teraz kuzynka wyglądała nieco lepiej. Cokolwiek ciotka jej powiedziała, najwyraźniej trochę June pomogło.

Gdy pielęgniarka wchodziła i wychodziła z pokoju Lolly, mierzyła jej temperaturę ciała i ciśnienie krwi, badała tętno, częstość oddechu itd., matka Kat na wpół leżała w fotelu, wolno przeglądając magazyn poświęcony ślubom. Nawet odwracanie stron zdawało się ją wyczerpywać.

– Och, Kat, zobacz to – powiedziała.

Kat przysunęła krzesło do jej fotela i spojrzała na zdjęcie panny młodej w pięknej prostej sukni. Właśnie na widok takiej kreacji Kat zatrzymałaby się przed wystawą salonu sukien ślubnych. Uszyta z białego atłasu, nieco w stylu lat pięćdziesiątych, nie miała rękawów i sięgała za kolano, a pod biustem zdobiła ją niebieska wstążka. Była idealna na ślub obywający się na wolnym powietrzu. Kat widziała się w niej. Naprawdę.

– Mamo, jest doskonała – zachwyciła się. – Zawsze znałaś mój styl, co?

– To nie jest trudne – stwierdziła matka. – Lubisz rzeczy proste. Nie stwarzasz problemów.

Ale skomplikowała sobie życie.

Lolly zaszklily się oczy, podniosła rękę do ust i skinęła na Kat, by podała jej „miednicę na wymioty”, jak mówiła. Kat nie mogła znieść, że matkę tak osłabia coś, co miało jej pomóc. Jak w przyszłym tygodniu zniesie drugi cykl chemioterapii, skoro była taka słaba po zakończeniu pierwszego?

Lolly zwymiotowała i położyła się. Twarz błyszczała jej od potu. Kat poszła szybko do łazienki, żeby zmoczyć ściereczkę zimną wodą. Gdy wróciła, otarła matce czoło i policzki i odgarnęła z jej twarzy mokre od potu kosmyki, które wysliznęły się z warkocza. Pasma siwiejących włosów matki pozostało jej w ręce. Na ten widok rozplakała się.

– Wszystko w porządku, Kat – uspokajała ją Lolly. – To się zdarza. Nie ma w tym nic

zaskakującego. Nie znoszę prawdziwych niespodzianek.

Kat spoglądała na trzymane w ręce włosy.

– Kocham cię, mamó – wyznała, zdumiewając tym samą siebie i matkę.

Lolly wzięła ją za rękę.

Wkrótce Kat straci matkę. Musiała natychmiast dokądś pójść, w jakieś odosobnione miejsce, żeby się wypłakać, ze łzami wyrzucić z siebie cały strach i niepewność. Nie mogła tego zrobić w łazience, nie chciała martwić matki.

Lolly wyjęła z podręcznej torby opakowanie krakersów Wheat Thins, które dla niej były najlepsze na mdłości.

– Kat, czy możesz mi przynieść mrożoną herbatę z dwiema ćwiartkami cytryny i łyżeczką cukru? – poprosiła.

– Zaraz ci przyniosę – odpowiedziała wdzięczna losowi, że matka umożliwiła jej wyjście z pokoju.

Weszła do toalety na korytarzu i tam się wypłakała, po czym ruszyła pospiesznie do kawiarni. Nagle zobaczyła przed salą chorych Mattea wpatzonego w podkładkę do pisania. Zatrzymała się przy nim, nie mogąc powstrzymać łez.

– Kat? Czy twoja matka dobrze się czuje? – zaniepokoił się.

– Jest taka słaba i blada i ma mdłości. Zostało mi w ręce pasmo jej włosów – odpowiedziała i w tym momencie zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma je w dłoni. Rozprostowała ją i dodała: – Nienawidzę tego. Nienawidzę.

Znowu zaczęła płakać. Matteo wziął ją za rękę i zaprowadził do stojących przy ścianie krzesel. Matka wybiera mi suknię i buty na ślub, a także wymyśla przekąski na przyjęcie weselne i tylko dzięki temu czuje się w tej całej chorobie szczęśliwa – pomyślała Kat. Matteo wskazał jej dłonią krzesło, a gdy usiadła, zajął miejsce obok niej, wciąż trzymając ją za rękę.

– Staraj się pamiętać, że tego rodzaju skutki chemioterapii są chwilowe, że teraz twoja matka potrzebuje tej terapii – perswadował jej.

– Zwyczajnie nie miałam pojęcia, że tak to będzie wyglądać – odparła. – Sądziłam, że dzięki chemii mama poczuje się lepiej, a nie gorzej. To jest jak krok do tyłu. Nienawidzę tego.

Matteo przysunął się do niej, wyjął z jej dłoni pasmo włosów Lolly i zawinął je w papierową chusteczkę.

– To skutek uboczny chemioterapii – przypomniał, wstał z krzesła i wyrzucił zawiniątko do kosza. – Ale chemia pomaga przedłużyć twojej matce życie.

– Jakoś marnie to idzie – skomentowała.

W spojrzeniu jego ciemnych oczu dostrzegła takie współczucie i empatię, że miała ochotę rzucić mu się w ramiona, by ją po prostu w nich trzymał.

– Wiem, co czujesz, Kat. Przeszedłem przez to wszystko, gdy zachorował mój ojciec. Jedyne sposobem, żeby przetrwać bezradność, kiedy ktoś, kogo kochasz, czuje się tak źle, a ty nie możesz mu pomóc, to oprzeć się na przyjaciółach i członkach rodziny, na każdym, kto może dodać ci siły – tłumaczył.

– Czy to w porządku, że opieram się na tobie? – spytała.

– Absolutnie – potwierdził. W tym momencie zawibrowała jego komórka. Spojrzał na ekran i dodał: – Posłuchaj, dziś będziemy wiedzieli, w jaki sposób zmodyfikować przewidziany dla twojej matki na przyszły tydzień drugi cykl chemioterapii. To okaże się bardzo pomocne. – Gdy komórka zawibrowała ponownie, oznajmił: – Kat, muszę już iść, ale możesz mnie w każdej chwili wezwać, w dzień i w noc. Rozumiesz?

– Tak – odparła zaskoczona tym, że poczuła się silniejsza.

Teraz mogła pójść do kawiarni po mrożoną herbatę dla matki i być z nią w sali, a nie

rozklejać się i pogarszać jej samopoczucie.

Odprowadziła Mattea wzrokiem, dopóki nie zniknął za rogiem.

– Nie wiedziałem, że z lekarzem twojej matki łączą cię tak bliskie stosunki – usłyszała głos Olivera.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że jest zły i zakłopotany. Zaczerwieniła się i zerwała z krzesła. Z wyrazu jego niebieskich oczu wyczytała, że czuje się zraniony.

– Przyjechałem, bo wczoraj wieczorem powiedziałaś, że martwisz się dzisiejszymi badaniami matki i musisz być silna, zwłaszcza mając na głowie również June z jej problemami – oznajmił. – Zjawiłem się tu, by cię wesprzeć, ale wygląda na to, że znalazłaś sobie kogoś innego, do kogo możesz się zwrócić.

Och, nie.

– Oliverze, znam Mattea... doktora Violę... od kilku tygodni. Gdy dziś wyszłam z sali matki, rozplakałam się, a on to zobaczył i przyprowadził mnie tutaj, bo chciał ze mną porozmawiać. Trzymał mnie za rękę, ponieważ... – przerwała, zdając sobie sprawę, że to, co chce powiedzieć, nie jest kłamstwem, absolutnie nie.

– Ponieważ? – dopytywał się Oliver.

– Ponieważ został moim dobrym przyjacielem – wyznała.

– No cóż, Kat. Stałem tu od chwili, w której twój „dobry przyjaciel” Matteo cię tu przyprowadził... za rękę. I widziałem, jak na niego patrzyłaś i jak on patrzył na ciebie. Nie kłam mi więc w twarz – powiedział nieprzekonany.

– Oliverze, ja nie...

– Sypiasz z nim?

– Oliverze!

– Sypiasz z nim? – powtórzył wolno z gniewem.

– Nie.

– Powiedz mi to teraz, Kat. Chcesz zwrócić pierścioneł zaręczynowy? Domagam się prawdy – nie ustępował.

Pochyliła głowę, chcąc, by umysł i serce powiedziały jej, co naprawdę myśli i czuje.

– Nie chcę – odrzekła i musiała uwierzyć, że to prawda, że w głębi serca chce wyjść za mąż za Olivera Tate'a, bo po prostu tego nie wiedziała.

Spojrzał na nią z ulgą.

– Kat, nie chcę ci teraz utrudniać życia. Wiem, że przechodzisz przez bardzo bolesne doświadczenia i muszę ci dać dużą swobodę działania. Ale jeśli mi coś mówisz, ja w to wierzę. Dobrze? Tego wymaga miłość i zaufanie – zakończył ugodowo.

Skinęła głową.

– Muszę przynieść mamie z kawiarni mrożoną herbatę. Przyjadę do ciebie wieczorem, dobrze? Wówczas porozmawiamy – pożegnała go.

Przytaknął i objął ją.

Gdy pospiesznie szła do wind, czuła na plecach jego wzrok.

Rano Kat i Lolly pojechały do miasta, do eleganckiego butiku Piękne Panny Młode, gdzie były umówione z właścicielką Claire Wignall. Wczoraj po powrocie ze szpitala Lolly zadzwoniła do niej z informacją, że w magazynie „Coastal Brides” znalazła zdjęcie sukni ślubnej, która się jej podoba. W butiku nie było tej sukni, ale właścicielka miała do zaproponowania dwie bardzo podobne.

Wymyślne stroje, fantazja, bajka – pomyślała Kat, gdy weszła do sklepu. Na jednej ze ścian wisiały zdjęcia prawdziwych panien młodych w strojach z tego butiku, stały tam także manekiny w sukniach i welonach.

Claire przywitała się z Lolly i Kat, pogratulowała jej zaręczyn, pochwaliła pierścioneek i zaprowadziła obie do przymierzalni, gdzie na metalowym wieszaku na zewnętrznych drzwiach wisiały dwie suknie, o których rozmawiała z Lolly przez telefon.

– Ty, Lolly, usiądź tu – poprosiła i wskazała pluszową dwuosobową kanapę w morelowym kolorze, stojącą naprzeciwko drzwi do przymierzalni. – A Kat niech się przebierze i wyjdzie, żeby się nam pokazać. Zostawiłam tam też ładne atłasowe czółenka w twoim rozmiarze.

Lolly uśmiechnęła się i usiadła.

– Nie mogę się doczekać, żeby cię zobaczyć w sukni ślubnej – powiedziała do Kat.

Kat też się uśmiechnęła, ale serce zaczęło jej łomotać. Gdy stała w przymierzalni, dotykając plastikowego pokrowca na pierwszej sukni, wiedziała, że nie chce jej przymierzyć, ani tej drugiej; żadnej. Tak nie powinna reagować przyszła panna młoda, która po raz pierwszy jest w takim sklepie. Przed kilkoma miesiącami, gdy Lizzie się zaręczyła, nakłoniła Kat do obejrzenia dwóch kolejnych odcinków telewizyjnego reality show *Salon sukien ślubnych* o słynnym salonie znajdującym się w Nowym Jorku. Powinna się tu czuć tak, jak przyszłe panny młode czuły się w programie, podekscytowana i ufna, że znajdzie odpowiednią dla siebie suknię. To miało być wielkie magiczne wydarzenie w jej życiu.

Wczoraj wieczorem pojechała do Olivera, ale nie pytał jej, czy go kocha i dlaczego trzymała za rękę lekarza swojej matkę. Zachowywał się typowo dla siebie: był wobec niej serdeczny i nie żądał, by się z czegokolwiek tłumaczyła. Otworzył drzwi, wziął ją w ramiona i mocno objął, a tego właśnie potrzebowała, uścisku swego najlepszego i wypróbowanego od czasów dzieciństwa przyjaciela. Poszli do miasta na lody, wyjadali nawzajem swoje sorbety, a potem wrócili do niego i kochał się z nią namiętnie jak zwykle.

Rano, gdy matka powiedziała, że umówiła je na dziś z właścicielką salonu sukien ślubnych, niebieskie oczy Lolly błyszczały, a policzki były zaróżowione bardziej niż wczoraj. Wówczas Kat ogarnął spokój w związku z zaręczynami, jak już kilka razy wcześniej, bo te zaręczyny stanowiły antidotum na raka matki. Chemioterapia ją osłabiała, a one działały wzmacniająco. Jednak teraz, gdy Kat stała wśród tych wszystkich białych sukien symbolizujących dozągonną miłość, przyszłość i przysięgę małżeńską, nie była pewna, czy powinna podejmować jakiegokolwiek decyzje dotyczące długości sukni, nie mówiąc już o swoim dalszym życiu.

Udaj, że dostałaś migreny – pomyślała. – Nagle poczuć się słabo i oprzyj o drzwi. Po prostu wyjdź z tego sklepu. Ale była tu matka. Siedziała na morelowej kanapie. Od połowy sierpnia schudła prawie dziesięć kilogramów. Wyraz wymizerowanej twarzy Lolly Weller, której obce były romantyczne uniesienia, świadczył o tym, że czuje się szczęśliwa.

Matka gwałtownie wciągnęła powietrze i Kat natychmiast się do niej odwróciła, trzymając rękę na klamce drzwi przymierzalni.

– Och, Kat, spójrz na ten welon – powiedziała, wolno i ostrożnie wstała z kanapy i podeszła do starego cennego stołu, na którym stało popiersie kobiety w krótkim welonie, ślicznie ozdobionym na czubku głowy wzorem z maleńkich rozgwiazd i pączków kwiatów. – Jest doskonały. Widzisz te rozgwiazdy?

Ojciec Kat zbierał różne rozgwiazdy, od ciężkich srebrnych przycisków, po te wykonywane przez Kat w szkole podstawowej z papier *mâché*, z okazji Dnia Ojca.

– Jest piękny – powiedziała do matki, przypominając sobie, jak ojciec kupił jej złote filigranowe kolczyki z rozgwiazdami „na dzień, w którym przekłuje sobie uszy”.

Poprosiła wtedy matkę, by pozwoliła jej przekłuć uszy jeszcze tego samego dnia, i matka się zgodziła. Kat nosiła je przez cały czas i również teraz miała w uszach.

Wszechświecie, chcesz mi coś powiedzieć? – pomyślała i spojrzała w sufit.

Claire skinęła na Lolly, która zdjęła welon z popiersia i podeszła do córki. Kat pochyliła głowę i matka włożyła jej welon. Wianek okazał się wygodny – nie był zbyt obcisły ani nie drapał.

Lolly zasłoniła usta dłonią.

– Och, Kat! Przejrzyj się w lustrze! – zawołała i stanęła za córką, która patrzyła na swoje lustrzane odbicie.

Istotnie welon był śliczny. Kat czuła się w nim naprawdę jak panna młoda.

Matka ścisnęła ją za ramiona.

– Przymierz go razem z tymi sukniami – ponagliła.

– Kat, powiedz, jeśli mogę ci w czymś pomóc – odezwała się Claire. – Ale łatwo włożyć i zdjąć i jedną, i drugą.

Kat weszła do eleganckiej przymierzalni, niemal dorównującej wielkością Pokojowi pod Drozdem w pensjonacie. Powiesiła obie suknie na metalowym wieszaku na ścianie, zdjęła welon i położyła go na wyściełanej ławie, po czym zdjęła bluzkę i spódnicę, włożyła pierwszą suknię, atlasową, i zasunęła z tyłu zamek. Suknia była śliczna i wyglądała jak ta na zdjęciu w magazynie. Teraz Kat włożyła welon i zaczęła się przeglądać w trzech lustrzanych ścianach. Ale czuła się ubrana zbyt wymyślnie i fantazyjnie, jak ktoś, kto w rzeczywistości nie zostanie panną młodą.

– Kat, pomóc ci? – spytała Lolly.

Kat wyszła do niej.

– Jest taka śliczna – orzekła matka.

– Po prostu piękna – zawtórowała jej Claire i spytała przyszłą pannę młodą: – A ty, Kat, jak uważasz?

– Naprawdę mi się podoba – odparła Kat, przechadzając się przed lustrem. – Jednak nie jestem pewna, czy to ta.

– To przymierz tę drugą i pamiętaj, że jesteś w tym sklepie pierwszy raz, zaledwie od kilku minut – powiedziała Claire. – Znalezienie tej jedynej sukni może wymagać przymierzenia dziesięciu, a nawet dwudziestu. Będiesz wiedziała, czy to ta w momencie, gdy ją włożysz.

Dziesięciu, a nawet dwudziestu? Kat nie sądziła, by wytrzymała przymierzenie dwóch. Mimo to weszła do przebieralni, zdjęła suknię numer jeden i włożyła suknię numer dwa. Gdy spojrzała w lustro, poruszył ją własny widok. To była ta suknia. Wiedziała to lepiej niż cokolwiek innego ostatnio, uznając ją za doskonałą, niezwykle piękną, dodającą skórze blasku. Kiedy włożyła welon, w reakcji na swoje odbicie w lustrze gwałtownie wciągnęła powietrze.

To tylko śliczna suknia – powiedziała do siebie w myślach. – Nic nie znaczy.

Wszechświat nic ci nie przekazuje. To tylko suknia, w której wyglądasz tak, jakby była uszyta dla ciebie, wyłącznie dla ciebie.

– Jesteś gotowa? – spytała matka.

Kat wzięła głęboki oddech. Wiedziała, że gdy Lolly ją zobaczy, zacznie płakać. Matka nie była sentymentalna, ale skoro suknia zrobiła takie wrażenie na Kat, to na matce zrobi jeszcze większe. Otworzyła drzwi do przymierzalni.

Nie pomyliła się. Lolly wstała z kanapy i położyła rękę na sercu, a potem zakryła twarz dłońmi, gdyż łzy napłynęły jej do oczu. Dotychczas Kat nie zdawała sobie sprawy, że matka tak bardzo ją kocha.

– To ta suknia – powiedziała krótko Kat.

– Prawie nie wymaga poprawek – stwierdziła z uśmiechem Claire. – Muszę tylko odrobinę zwęzić ją w pasie i o kilkanaście milimetrów podłużyć, a poza tym wygląda tak, jakby została uszyta dla ciebie.

– Kosztuje fortunę? – spytała Kat.

– Za suknię twoich marzeń płaci osoba anonimowa, niezależnie od tego, jaką wybierzesz i ile kosztuje – odpowiedziała Claire z błyskiem w oczach. – Wyznam ci, że nie mam zbyt wielu takich sytuacji.

Czyli płaci Oliver – domyśliła się Kat.

Lolly promieniała.

– A więc, Kat, jeśli jesteś pewna, że to ta, weźmiemy ją – oznajmiła.

Kat znowu spojrzała w lustro. Oliver zamówił dla niej suknię jej marzeń, żeby Lolly nie musiała się martwić ceną, a Kat tym, że matka jest zmartwiona. Teraz matka stała obok niej i nie kryła podziwu.

– Umrę szczęśliwa, jeśli zobaczę, jak idziesz w tej sukni do Olivera w ogrodzie Gospody Trzech Kapitanów, zanim zamknę oczy – wyznała.

Kat spojrzała na nią. Zanim zamknę oczy...

– Jednak jeśli nie jesteś pewna swojego wyboru, Kat, możemy jeszcze poszukać innej. Widziałam na manekinach co najmniej trzy suknie, w których wyglądałabyś niesamowicie – dodała.

Jeśli nie jesteś pewna... Jeśli nie jesteś pewna...

Te słowa nie dawały jej spokoju, aż w końcu musiała się odwrócić od lustra. Była pewna tylko jednego: że chce, by matka do końca swoich dni czuła się szczęśliwa.

– Jestem pewna – odpowiedziała.

Rozdział 16

Isabel

Pamiętasz to? – spytała June, pokazując siostrze zdjęcie w albumie.

Siedząca po turecku Isabel oparła oglądany przez siebie inny album na udach i spojrzała na zdjęcie. Byli na nim wszyscy: ona, wówczas siedmioletnia, czteroletnia June, tata w czapce Myszki Miki i wyglądająca ślicznie w letniej białej sukience i słomkowym kapeluszu mama, z przyklejoną przez June na ramieniu naklejką z Kopciuszkiem. Uśmiechali się wraz z Kaczorem Donaldem w Disneylandzie na Florydzie.

Isabel i June zeszły do sutereny, chcąc wspólnie poszukać dziennika matki. Dokładnie sprawdziły zawartość wszystkich kufrów, ale go nie znalazły. W dwóch odkryły natomiast dwanaście albumów ze zdjęciami i od trzydziestu minut były nimi oczarowane. W ciągu minionych lat Lolly przypominała o nich Isabel, ale ona w pierwszych tygodniach po śmierci rodziców wzięła tylko kilka swoich ulubionych, z czasem coraz rzadziej myślała o pozostałych, bojąc się wspomnień, smutku i żalu.

Gdy przed godziną Isabel weszła do sypialni, aby wziąć sweter dla wczasowiczki, zastała June siedzącą na balkonie i wpatrującą się w port z tak nieszczęśliwą miną, że można było się rozplakać. Od czasu, kiedy June dowiedziała się, że ojciec Charliego zmarł w dniu ich niedoszłej randki w Central Parku, minęły już dwa dni, ale wciąż była tym zdruzgotana, choć starała się funkcjonować normalnie i udawała przed synem, że nic się nie stało. Isabel zaproponowała, by razem poszukały dziennika matki, choć nie była pewna, czy to siostrze pomoże. Równie dobrze mogło ją jeszcze bardziej przygnębić, przypominając, że straciła także rodziców. Ale June przyjęła propozycję i zeszła z Isabel do sutereny.

Wydawało się, że rzeczy pozostałe po rodzicach, na przykład ulubiona sukienka mamy czy okulary lenonki taty, obudziły w niej tęsknotę za tym, co minęło, a zarazem podziały na nią uzdrawiająco. Wzięła do ręki okulary i roześmiała się, pogrążona we wspomnieniach, którymi nie podzieliła się z Isabel. Następnie wtuliła twarz w ciemnoniebieski wełniany szalik ojca, zrobiony na drutach przez mamę, który miał na szyi tej nocy, kiedy zginął, i rozplakała się. Isabel ją objęła. Serce jej się ścisnęło, bo June znowu cierpiała, w kółko powtarzając:

– Każdy umiera.

Już zaczęła mieć obawy, że siostra zaraz stąd ucieknie, gdy nagle spostrzegła plik listów wysłanych do domu z obozu letniego, kiedy ona miała czternaście lat, a June jedenaście, i otrzymanych od rodziców. Uwielbiała być poza domem – psycholog szkolny i dyrektor grozili jej, że jeśli złamie jeszcze jedną z zasad obowiązującego na obozie regulaminu, odeślą ją do domu. June natomiast bardzo tęskniła za domem.

Isabel wzięła pierwszy z brzegu list i zaczęła czytać go na głos, a June przysunęła się do niej i utkwiała wzrok w tej starej kartce papieru.

Kochana June Bug,

słyszę, że czujesz się nieco przytłoczona życiem na obozie i chcesz wrócić do domu. Rozumiem, że stykasz się tam z wieloma nowymi rzeczami i może to być dla Ciebie trudne doświadczenie. Ale jesteś taką bystrą i silną dziewczynką z wielkim sercem, interesującą się

tyloma sprawami, że jeśli dasz obozowi szansę, to na pewno znajdziesz na nim swoje miejsce, zdobędziesz przyjaciół i nagle zapragniesz, by nigdy się nie skończył. June, daj sobie jeszcze tydzień. Jeśli po tym terminie nadal nie będzie Ci się tam podobało, tata i ja przyjedziemy po Ciebie, ale pokaż innym, jaka jesteś – wesola, inteligentna, wrażliwa, z pomysłami i wyobraźnią, doskonała tancerka i wspaniała przyjaciółka, o silnym ciele i umyśle. Potrafisz zrobić wszystko, June.

Kochająca mama

– Naprawdę nas kochała – skomentowała June, przytulając list do serca.

Złożyła go, schowała do kieszeni i sięgnęła po następny.

Naprawdę nas kochała, nawet mnie – pomyślała Isabel. – Dobrze zrobiliśmy, że przyszyliśmy tu razem.

June uśmiechnęła się na widok ich rodzinnego zdjęcia z Disneylandu i zaczęła odwracać kolejne strony albumu. W pewnym momencie nawet się roześmiała, co przy jej smutku zabrzmiało krzepiąco. Isabel zerknęła na zdjęcie: tata usiłuje posadzić June na ramionach bałwana, a Isabel wtyka w śnieżną twarz marchewkę jako nos. Obejrzały album do końca, a June sięgnęła po następny list.

– Ten jest do ciebie, Iz – powiedziała i tym razem ona zaczęła czytać list na głos.

Droga Isabel,

tata i ja bardzo za Tobą tęsknimy. Bez Ciebie jest tu cicho. W tygodniach poprzedzających Twój wyjazd na obóz nasze stosunki nie układały się najlepiej, ale gdy wrócisz do domu, z pewnością spędzimy razem dużo czasu. Obejrzę nawet nową część filmu Krzyk. Twój psycholog szkolny powiedział mi, że bardzo przeżyłaś odejście Flopa. Wiem, że od trzech lat był Waszym obozowym króliczkiem i miał szczęśliwe życie wśród uwielbiających go dzieciaków, chętnie głaszczących go po długich uszach i rozkosznym futerku. Od tego psychologa dowiedziałam się też, że jedna z dziewcząt bardzo chciała wrócić do domu, dopóki nie powierzono jej karmienia Flopa codziennie rano marchewką. Wówczas sam wygląd zwierzaka, jego różowe ruchliwe nozdrza tak ją uszczęśliwiły, że zapomniała o chęci powrotu do domu. To był wyjątkowy królik, a kiedy tracimy coś lub kogoś bardzo dla nas wyjątkowego, powinniśmy w związku z nim pamiętać o dobrych rzeczach i szczęśliwych czasach i pielęgnować te wspomnienia. Przynajmniej ja w ten sposób zawsze radziłam sobie ze stratą, jak wtedy, gdy zmarł Twój dziadzio. Pamiętasz? Miałas dopiero pięć lat i prawdopodobnie o tym zapomniałaś, ale mnie dręczył wielki smutek, dopóki nie zaczęłam myśleć o tym, jak wspaniale czułam się przy moim ojcu, jak doskonałym był rodzicem, jak się nim cieszyłam. Skupiłam się na tym i podziałało uzdrawiająco. Odtąd nie miałam już złamanego serca.

Isabel, to pomaga, moja dzielna córko.

Kochająca mama

Po policzkach Isabel płynęły łzy i spoglądała na siostrę z niedowierzaniem.

– Teraz ty mi go przeczytaj – poprosiła ją June.

Isabel spełniła jej prośbę.

Zapomniała o Flopie i nie pamiętała dziadka ani jego śmierci, a także samego listu.
– Ona ma rację – uznała June, biorąc list od siostry i przesuując po nim wzrokiem. – Muszę myśleć o tym, jak wspaniale czułam się przy Johnie i jakie miałam szczęście, że go znałam, mimo że przez tak krótki czas. – Rozejrzała się wśród rzeczy pozostałych po rodzicach, a potem utkwiała wzrok w suficie i dodała: – Dziękuję ci, mamo.

Isabel uścisnęła jej dłoń.

– Weź ten list – zaproponowała.

To, że przychodziła tu codziennie od kilku dni, również jej dobrze zrobiło. Przestała oczekiwać na telefon od Griffina. Epizod sprzed trzech dni odstraszył go, może niekoniecznie od niej, lecz, jak zasugerowała wczoraj wieczorem Kat, od umawiania się na randki. Koniec, kropka. Isabel też nie była na nie gotowa, więc może dobrze się stało, że Griffin pozostał w świecie jej fantazji, gdzie przeżywała najcudowniejsze chwile niespiesznych pocałunków i pieszczot, a także odbywała rozmowy, dzięki którym znowu czuła się seksowna, interesująca i pożądana. W tym świecie nie działo się nic złego: małe dzieci nie znikwały w psich budach, nastolatki nie patrzyły na nią krzywo, a mężczyźni, na których ponownie zaczęła zwracać uwagę, nie odsuwali się od niej i nie sprawiali, że się wycofywała. Jednak ten sposób myślenia nie sprawiłby, że bohater filmu *W obronie życia* przeszedłby dalej.

Przeglądając papiery, natknęły się również na plik kserokopii listów wysłanych przez Lolly do nauczycieli i dyrektorów szkół, do których uczęszczały Isabel, June i Kat.

Szanowna Pani Patterson,

dziękuję, że zaalarmowała mnie Pani o odmowie Isabel uczestniczenia w lekcji angielskiego i o wprowadzeniu przez nią zmian w wypracowaniach na temat przydzielonego tekstu. Jak Pani wie, przed niespełną miesiącem straciła rodziców i powoli wraca do normalnego życia. Proszę o wyrozumiałość i współczucie dla niej, zwłaszcza że tekst dotyczy szczęśliwej pełnej rodziny.

Dziękuję, Lolly Weller

Isabel gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Nie miałam pojęcia, że tak trzymała moją stronę – oznajmiła. – Nigdy nie tolerowała głupstw. Pamiętasz, jak zawsze nam powtarzała: „Po prostu róbcie to, co do was należy, a wszystko będzie grało”? Nie znosiłam tego.

– Ja też, zwłaszcza że w większości sytuacji było to słuszne – wyznała June. – To zabawne, ale nadal jest taka, a poza tym niezmiennie ostrożna, jeśli nawet trochę się otworzyła. Jednak teraz bardziej to doceniam. Niczego nie lukruje, rozumiesz? – Rzuciła okiem na kolejny list ciotki i powiedziała do siostry: – Posłuchaj tego:

Szanowny Panie Dyrektorze Thicket,

moja córka Kat nadmieniła przy kilku okazjach, że dwie uczennice z klasy, do której chodzi, ciągle jej dokuczają, nazywając ją sierotą i śmiejąc się z tego, jak się ubiera. Zwracam na to uwagę jej nauczycielce i Panu. Jeśli jeszcze raz o tym usłyszę, przyjadę do szkoły z dziennikarzami z News Chanel 8, aby publicznie spytać, dlaczego szkoła nie chroni mojego dziecka przed takim znęcaniem się nad nim.

Dziękuję, Lolly Weller

– No! No! – wykrzyknęła Isabel. – Musimy pokazać ten list Kat. Lolly zachowywała się tak, jakby w większości przypadków nie obchodziło jej, co się z nami dzieje. Ale dyskretnie potrafiła ostro dowalić.

Na górze zadzwonił telefon i rozległ się głos Kat:

– Isabel, telefon do ciebie!

Isabel poszła do gabinetu ciotki i podniosła słuchawkę, którą Kat odłożyła na biurko. Na blacie leżał także list do niej, zaadresowany uczniowską ręką, bez adresu zwrotnego.

– Dzień dobry, tu Isabel McNeal – powiedziała do słuchawki.

– Chciałbym zarezerwować na sobotę wieczór, jeśli to możliwe, Pokój pod Rybołowem, dla jednej osoby dorosłej i dwójki dzieci – usłyszała głos Deana.

– Griffin? – spytała, ale nie miała wątpliwości, że ten mocny głęboki głos należy do niego. Dean dzwonił do niej pierwszy raz od pamiętnego poniedziałku.

– Przepraszam, że nie oddzwoniłem, ale byłem... – zaczął się tłumaczyć, lecz przerwał i dodał: – Tak czy inaczej, porozmawiamy o tym w weekend, jeśli pokój jest wolny.

– Wczoraj ktoś odwołał rezerwację – poinformowała go.

– Wobec tego zobaczymy się w sobotę. Aha, Isabel, może wybralibyśmy się na spacer w sobotę wieczorem, gdy położę Emmy spać? – zaproponował.

Serce jej podskoczyło.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała.

Miała do niego mnóstwo pytań, ale skoro wkrótce przyjeżdżał z dziewczynkami, to znaczyło, że mogła się czegoś spodziewać.

Otworzyła kopertę. Kartka była od Alexy Dean.

Isabel,

przepraszam za to, co stało się w poniedziałek. Nie powinnam była mówić, że przypilnuję Emmy, gdy pójdziesz do domu, jeśli nie miałam zamiaru tego robić. Postąpiłam źle. Przepraszam za kłopoty, które spowodowałam.

Alexa D.

Isabel uniosła brwi i uśmiechnęła się. Wyobraziła sobie, jak Griffin stoi za siedzącą przy biurku córką – z nieodłącznymi słuchawkami w uszach i grymasem na twarzy – nalegając, by napisała list z przeprosinami i dziewczyna formułuje kilka oschłych zdań. Isabel nie mogła się doczekać spotkania z całą trójką, nie wyłączając Alexy.

*

Gdy w piątek wieczorem wniosła do pokoju Lolly na wieczór filmowy miskę z popcornem, ciotka oglądała album ze zdjęciami, który przyniosła jej June. Stary rodzinny album ze zdjęciami Lolly i jej siostry Allie, gdy były dziećmi.

– Uwielbiam oglądać te stare fotografie – powiedziała ciotka, śmiejąc się na widok zdjęcia, na którym Allie, wówczas niespełna dziesięcioletnia, ze śmieszoną miną wystawia zza głowy Lolly dwa palce.

Isabel uśmiechnęła się. Wciąż bardzo bawił ją widok zawsze poważnej ciotki, która na tym zdjęciu jest figlarną ośmiolatką pokazującą język.

– Ja i June też oglądałyśmy dziś albumy ze zdjęciami – powiedziała. – W kufrach

znalazłyśmy różne niesamowite rzeczy, stare listy i drobne pamiątki, które obudziły w nas wspomnienia wbrew temu, czego mogłyśmy się spodziewać. Ale niestety wciąż nie mogę znaleźć dziennika matki. Może gdzieś ci się zawieruszył?

– Może – odrzekła bez wahania Lolly, odwracając kolejną stronę albumu.

Isabel uważnie ją obserwowała. Miała poczucie, że ciotka prowadzi z nią jakąś grę.

– Lolly Weller, czy ten dziennik w ogóle istnieje? – spytała z uśmiechem.

– Byłam pewna, że tak, ale może się pomyliłam? – odpowiedziała ciotka pytaniem na pytanie i ziewnęła, dając w ten sposób do zrozumienia, że Isabel nie powinna na nią zbyt mocno naciskać w tej sprawie.

Isabel usiadła na krawędzi łóżka i wzięła Lolly za rękę.

– Dziękuję, że kazałaś mi go poszukać. Odkryłam w tych kufrach różne skarby, których nie spodziewałam się tam znaleźć – wyznała i dodała w myślach: Byłaś inna, niż sądziłam.

– Ani przez chwilę nie wątpiłam, że tak się stanie – oznajmiła ciotka.

– Te rzeczy pomogły również June – dodała cichym głosem Isabel. – Znalazłyśmy listy mamy, które napisała do nas, kiedy byłyśmy na obozie, zgodnie z zaleceniem psychologa szkolnego, a także kopie listów, które ty wysłałaś do nauczycieli i dyrektorów naszych szkół. Dziękujemy.

Lolly uśmiechnęła się i lekko uściśniła jej dłoń.

Do pokoju weszła June z płytą DVD z filmem *Pocztówki z nad krawędzi*, a za nią Kat z tacą, na której niosła cztery babeczki czekoladowe z białym lukrem. To był jakiś cud, że od pierwszego wieczoru filmowego żadna z nich nie przytyła kilkunastu kilogramów. Oczywiście Lolly z powodu choroby straciła ich zbyt dużo. Tylko ona widziała ten film, i to dwukrotnie, ale to było dawno temu.

– Och, zapomniałabym – odezwała się. – Pojechałyśmy z Pearl do salonu sukien ślubnych i zrobiłam kilka zdjęć sukni Kat. – Wyjęła z szuflady stolika nocnego aparat fotograficzny, wcisnęła dwa guziki i podała go Isabel.

– Jaka piękna suknia! – zawołała Isabel i przekazała aparat June.

– Wspaniała – potwierdziła siostra.

Kat nie rzuciła się do aparatu, aby wpatrywać się w swoją suknię ślubną, jak mogłaby zrobić podekscytowana przyszła panna młoda. Nie zachwycała się delikatnymi perełkami i ślicznym dekoltem. Milczała. Dziękowała uśmiechem za pochwały. Po chwili Isabel schowała aparat do szuflady.

– Jesteście gotowe? – spytała Kat, trzymając dłoń na kontakcie.

Najwyraźniej chciała zmienić temat – stwierdziła Isabel. Czyżby nie była pewna, czy chce wyjść za mąż za Olivera? Miała ze swym narzeczonym jakieś problemy? Interesował ją doktor Viola? Martwiła się o matkę? Isabel uznała, że ona i June powinny porozmawiać z Kat po filmie. Próbowaly przed projekcją, ale kuzynka przez cały czas udzielała im wymijających odpowiedzi i twierdziła, że wszystko jest w porządku.

Lolly włączyła odtwarzacz.

– Sądzę, że ten film bardzo wam się spodoba, podobnie jak wielkie aktorstwo Meryl Streep i Shirley MacLaine. W filmie gra też Dennis Quaid, och, całkiem atrakcyjny – powiedziała.

Meryl Streep wcieliła się w aktorkę Suzanne Vale – córkę słynnej byłej gwiazdy filmowej Doris Mann, którą gra Shirley MacLaine. Suzanne jest uzależniona od narkotyków, świeżo po kuracji odwykowej, dlatego firma ubezpieczeniowa nie chce ubezpieczyć jej roli w nowym filmie. Chyba, że ktoś weźmie za aktorkę pełną odpowiedzialność podczas jego kręcenia. Tego zadania podejmuje się matka Suzanne, co oznacza, że kobieta musi na ten okres zamieszkać ze

swą okropną matką, z którą nie jest w dobrych stosunkach.

– Shirley MacLaine jest taka nieznośna, to znaczy Doris Mann, którą gra – skomentowała Kat. – Jej córka dopiero co przeszła kurację odwykową i tak bardzo się stara, a ona ją po prostu poniża i odgrywa się na niej.

– O mój Boże, czy właśnie powiedziała, że wkrótce chyba umrze, bo ma mięśniaki? – odezwała się June, uśmiechając się i kręcąc głową. – Można nie znosić tej kobiety za to, że jest taka melodramatyczna, ale równocześnie nie sposób jej nie kochać.

Lolly się roześmiała, choć Kat miała poważną minę, zwłaszcza gdy Doris oznajmiła Suzanne, że powinna być przygotowana na jej śmierć.

– Czy cały film jest taki? – spytała Kat. – Chyba nie mogę tego oglądać. Wiem, że to ma być śmieszne, ale...

Lolly ugryzła kawałek babeczki i powiedziała do córki:

– Kat, w tym filmie bardzo podoba mi się także to, jak zmieniają się relacje między matką a córką. Na początku Doris i Suzanne są od siebie oddalone, pod każdym względem, a potem stopniowo odnajdują wspólną drogę. Trzeba zacząć od tego, co złe, żeby móc dojść do tego, co dobre. Przysięgam, że warto.

Kat spojrzała na matkę i oznajmiła:

– To zamknę buzię i będę oglądać.

Uśmiechnęła się do niej serdecznie i odgryzła kęs babeczki.

Isabel wybuchnęła śmiechem, gdy grany przez Dennisa Quaida Jack Faulkner, absolutnie doskonały i seksowny w tym filmie, wyznał Suzanne Vale miłość słowami: „Chyba cię Kocham”, a ona go spytała: „Kiedy będziesz pewien?”.

– Dobry Boże, mam nadzieję, że nie zakocha się w nim z powodu tego zdania – zaczęła Kat. – Jack powiedział Suzanne, że „jest najprawdziwszą z osób w abstrakcji”, że jest jego fantazją i chce uczynić ją rzeczywistością. Czy uważacie, że ludzie robią takie rzeczy? To znaczy, czy nawiązują relacje z tymi, których stworzyli w swojej wyobraźni?

– Może po to, żeby coś zacząć – odpowiedziała jej matka. – W świecie fantazji wszystko dzieje się szybko, a potem zaczyna się normalne życie.

Isabel uderzyło, jak bardzo Griffin Dean jest dla niej postacią, w której fantazja i rzeczywistość zlewają się w jedno.

– No! No! Czy to Annette Bening? – spytała June. – Jest zachwycająca. Nic dziwnego, że stała się wielką aktorką. I tu jest odpowiedź na twoje pytanie, Kat, bo Jack Faulkner zdradza wszystkie, nawet Evelyn Ames, którą gra Annette.

Gdy film zbliżał się do końca, Kat chwyciła papierową chusteczkę i otarła łzy.

– Miałaś rację, mam – powiedziała. – Bardzo mi się podoba, że Suzanne i Doris odkryły, co jest naprawdę ważne w ich relacjach, to, że mają siebie i mogą się wspierać. Przed obiema jest jeszcze wiele do zrobienia, ale człowiek naprawdę wierzy w to, że zaczną wszystko od nowa.

– Szkoda, że nie było to dane mnie i mamie. Nienawidzę siebie za to, że tak ją traktowałam – wyznała Isabel. – Jakby nie miała mi nic do powiedzenia, jakby próbowała kierować moim życiem. Żałuję, że jej bardziej nie słuchałam.

– Ale mama potrafiła cię przejrzeć, Izzy. Świadczą o tym listy, które znalazłyśmy w suterenie – pocieszyła ją June.

– Zgadzasz się z tobą – odparła Isabel. – Dzięki nim mogłam się dowiedzieć, że potrafiła przeniknąć moją głupotę i brawurę. Jednak gdybym jej bardziej słuchała, to może nie zawarłabym tej idiotycznej umowy, bo byłabym silniejsza psychicznie, miałabym wyższą samoocenę i mocniej w siebie wierzyłam.

– Jakiej umowy? – spytała June.

Isabel spojrzała na siostrę, kuzynkę i ciotkę. Nigdy nikomu nie powiedziała o umowie. Gdy ktoś ją pytał, czy ona i Edward planują dziecko, po prostu wzruszała ramionami.

– Gdy miałam szesnaście lat, zawarliśmy z Edwardem umowę, że nie będziemy mieli dzieci, bo nie chcemy, by spotkał je taki los jak nas – powiedziała wreszcie.

– Och, Isabel! – zawołała Lolly.

– Poza tym Edward powiedział mi kiedyś, że prawdopodobnie nie byłabym dobrą matką. Nie potrafiłam mu się przeciwstawić, choć w głębi duszy uważałam inaczej. Zdawałam się we wszystkim na niego, bo tak bardzo mi pomógł po śmierci rodziców. Myślałam, że ma rację. Ale nie miał. Był na mnie taki zły, że zmieniałam zdanie w sprawie dziecka, że chcę je mieć – wyznała Isabel.

– Gnój. To jest nie do zniesienia – oburzyła się June. – Isabel, on był kompletnie zablokowany. Nie potrafił zrobić kroku do przodu. Postawił cię w miejscu i tak trzymał, dopóki nie zaczęłaś czuć się z tym źle.

Kat pokręciła głową.

– Jestem zaskoczona tylko tym, że to wszystko zajęło ci piętnaście lat – oznajmiła. – Boże, trudno się dziwić, że byłaś tak załamana tym, co się stało z Emmy. Myślałaś, że to potwierdza słuszność opinii Edwarda.

Isabel odchyliła głowę. Poczula na twarzy chłodny wietrzyk, jakby była z Edwardem w ogrodzie tego wieczoru, kiedy zawarli umowę. Rozumiała, dlaczego to się stało i dlaczego tak bardzo zakochała się w Edwardzie, a także z jakiego powodu była z nim długo po tym, gdy drobne złośliwości i małe zdrady z jego strony uświadomiły jej, że nie jest już tą przestraszoną dwudziestojednoletnią młodzieńką kobietą, z którą się ożenił. Tą, która czuła się taka samotna, choć miała siostrę, kuzynkę i ciotkę. Przez długi czas pozwalała Edwardowi wmawiać sobie, kim jest, ale już z tym skończyła. Nigdy więcej nie pozwoli nikomu wmawiać jej takich rzeczy ani tego, co potrafi.

– Żałuję, ciociu, że wtedy o tym z tobą nie porozmawiałam – powiedziała, ale gdy na nią spojrzała, okazało się, że Lolly zasnęła z ręką na pilocie.

– Dobranoc, mamó – szepnęła Kat, wyjęła z jej dłoni pilota, okryła ją kołdrą i zgasiła światło.

June i Isabel pozbierały naczynia i wszystkie przeszły do kuchni, gdzie June nastawiła wodę na herbatę.

– To, co czujemy jako nastolatki, nie powinno nas określać jako osoby dorosłe – stwierdziła Kat, chowając pozostałe babeczki. – Czasami... zastanawiam się, czy jestem z Oliverem przede wszystkim z powodu tamtych uczuć. Bo mam być.

June wsypała earl greya na sitko dzbanka do herbaty.

– Czy masz jakieś wątpliwości dotyczące swojego zamążpójścia? – spytała kuzynkę.

– Może? – odparła Kat, siadając na krześle. – Tak. Nie. Nie wiem. Nic nie wiem. Nie zwracajcie na mnie uwagi.

– To niemożliwe – oznajmiła Isabel i położyła rękę na jej ramieniu, a po chwili zalała herbatę wrzątkiem. – Ja tylko mam nadzieję, że zrobisz to, czego naprawdę chcesz, a nie to, co ktoś inny uważa, że powinnaś zrobić. Kapujesz?

Kat uśmiechnęła się.

– Kapuję.

– Gdy nie jest się czegoś pewnym, można zrobić dwie rzeczy: cofnąć się o krok albo pozostać w miejscu, czyli nie robić kroku do przodu – powiedziała June. – I czekać, aż coś człowieka oświeci, aż obudzi się rano i zda sobie sprawę, że rozumie to, czego nie pojmował dzień wcześniej.

Kat napełniła trzy filiżanki aromatyczną herbatą.

– Mam nadzieję, że tak jest – oznajmiła. – Czekam na taki poranek. Ale przynajmniej Isabel wie, co czuję. – Uśmiechnęła się szeroko i spytała: – Masz jutro wieczorem randkę z Griffinem, co?

– To nie jest randka, tylko spacer – odpowiedziała Isabel. – Może chce się ze mną pogodzić i dać mi do zrozumienia, że wszystko między nami skończone, zanim jeszcze się zaczęło?

June wrzuciła do herbaty kostkę cukru.

– Nie sądzę, żeby płacił za to sto pięćdziesiąt dolców, wynajmując Pokój pod Rybołowem – uznała.

Isabel uśmiechnęła się.

Isabel była przy tym, jak Deanowie przyjechali do pensjonatu w sobotę po południu. Kiedy się zjawili, Alexa ledwie na nią spojrzała, a Emmy spytała, czy może odwiedzić uroczego Elvisa, w którego budzie zasnęła, gdy byli tu ostatnim razem. Przerazona tymi słowami Alexa otworzyła usta ze zdziwienia, co wyglądało niemal komicznie. Kiedy Griffin wszedł do pensjonatu, spojrzął na Isabel z takim uczuciem, że dostała gęsiej skórki i miała ochotę zaciągnąć go do gabinetu ciotki, zamknąć drzwi i namiętnie pocałować. Ale Emmy poprosiła o loda na patyku, zadzwonił telefon, a Alexa ruszyła po schodach do pokoju. Pocałunek musiał poczekać do wieczora, jeśli w ogóle miało do niego dojść. Isabel nie mogła spać w nocy, myśląc o swej randce czy spacerze do portu z Griffinem, o trzymaniu się za rękę, przechadzce po molo w świetle księżycy i długim gorącym pocałunku, kiedy uniesie jej podbródek.

Wypełniała w biurze księgi rachunkowe, kiedy zobaczyła, że Dean i dziewczynki gdzieś wychodzą. Wrócili po kilku godzinach, gdy odkurzała salon. Emmy trzymała w ręce czekoladowego lizaka w kształcie homara, a Alexa, z nieodłącznymi słuchawkami w uszach, niebieski napój z kruszonym lodem. Griffin uśmiechnął się do Isabel i spytał, czy mogą się spotkać o wpół do dziewiątej.

O siódmej Isabel pospieszyła do sypialni i wzięła prysznic, wyobrażając sobie pocałunek i dotyk rąk Griffina na jej namydlonym ciele pod prysznicem i potem w łóżku... Była podekscytowana tym, że ma erotyczne myśli związane z Deanem, jak w filmie dozwolonym od lat osiemnastu. Oznaczało to, że „znowu do tego powraca”, jak w piosence śpiewanej przez Carly Simon w *Zgadze*.

Włożyła ulubioną codzienną bawełnianą sukienkę, którą kupiła w sklepie w pobliżu portu przed kilkoma tygodniami, w bardzo jasnym odcieniu żółtego. Sukienka miała podwyższoną talię, a jej ramiączka zdobiły maleńkie haftowane kwiatki. Isabel wyglądała w niej korzystnie i czuła się swobodnie. Skropiła się lekko ulubionymi perfumami Coco, podmalowała rzęsy tuszem, nałożyła na usta odrobinę ciemnego błyszczycy, zerknęła w lustrze na fryzurę i ruszyła na dół.

Schodząc po schodach, usłyszała na pierwszym piętrze czyjś płacz. Zatrzymała się i nasłuchiwała. Po chwili zorientowała się, że dźwięk dochodzi z Samotni. Czyżby to była June? Isabel zapukała cicho i ktoś rzucił czymś w drzwi, chyba książką. To musiała być Alexa.

– Alexo, to ja, Isabel. Wpuść mnie – poprosiła.

– Nie – usłyszała stanowczą odpowiedź.

Isabel nie odeszła jednak spod drzwi.

– Naprawdę chcę z tobą porozmawiać, skarbie – przemówiła do niej łagodnie.

– Jaki to ma sens? – spytała Alexa. – Nienawidzisz mnie, a teraz jesteś dziewczyną mojego ojca. Mam wspaniałe życie. Co mogłoby być w nim złego?

Dziewczyną mojego ojca? Byli tylko raz na spacerze, ale dla nastolatki mającej

rozwidzonego ojca to wystarczyło.

– Alexo, to nieprawda, że cię nienawidzę. I wcale się na ciebie nie gniewam – zapewniła ją.

– Nie wierzę ci – odpowiedziała jej z płaczem po chwili milczenia. – Ale wszystko jedno. Czy nie jesteś spóźniona na randkę?

Och. Nie do niej należała rozmowa z Alexą na temat życia miłosnego Griffina, choć nic takiego Isabel z nim nie łączyło, przynajmniej dotychczas, i może nigdy nie połączy.

Przekręciła gałkę w drzwiach, chcąc porozmawiać z jego córką twarzą w twarz. Niestety, drzwi się nie otworzyły. Najwyraźniej dziewczynka przysunęła do nich coś ciężkiego.

– Twój tata i ja idziemy na spacer z psem – powiedziała.

– Idziecie na randkę, tak jak moja mama chodziła ze swoim szefem i doprowadziła do rozpadu małżeństwa z tatą. A teraz mój tata umawia się na randki. Nienawidzę mojej mamy. Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę! – krzyknęła Alexa. – Gdyby wszystkiego nie zniszczyła, nasze życie byłoby wspaniałe. Nienawidzę jej i cieszę się, że jej to powiedziałam.

Dobry Boże. Sprawa była poważna. Isabel nie wiedziała, czy powinna pójść po Griffina i przekazać mu problem, czy zawierzyć swojemu instynktowi. Przysunęła się do drzwi.

– Naprawdę chcę z tobą porozmawiać, Alexo – powtórzyła. – Sądzę, że nasze kontakty stałyby się trochę łatwiejsze, gdybyś dowiedziała się o mnie niektórych rzeczy.

– Nie chcę nic o tobie wiedzieć – usłyszała w odpowiedzi.

Dotknęła łańcuszka na szyi. To był jeden z delikatnych złotych łańcuszków należących kiedyś do jej matki, z małym medalionem w kształcie serca.

– Naprawdę chcę ci coś powiedzieć – oznajmiła i zaczerpnęła powietrza. Dotychczas zwierzyła się z tego tylko Edwardowi. – Kiedyś w trakcie potwornie głupiej kłótni, do jakiej doszło między mną i matką, zawołałam do niej: „Szkoda, że nie umarłaś!”. I było to ostatnie zdanie, jakie ode mnie usłyszała, bo gdy obudziłam się rano, już nie żyła. Zginęła w wypadku samochodowym w sylwestra, wraz z moim tatą i wujkiem – ojcem Kat Weller.

Alexa milczała.

Isabel wzięła głęboki oddech.

– Oczywiście nie chciałam, żeby umarła, kochałam ją, naprawdę kochałam, jeśli nawet czasami nie zdawałam sobie z tego sprawy. Byłam na nią wściekła, że w sylwestra kazała mi wrócić z zabawy o wpół do pierwszej w nocy, że przez cały czas mnie strofowała, ograniczała mi swobodę i twierdziła, że staję się zbyt rozhukana i w końcu zrobię coś, czego pożałuję. I wiesz, że miała rację? Nigdy nie było mi dane powiedzieć jej, że wcale nie chciałam, by umarła i przeprosić ją za te słowa.

Z Samotni dotarł do jej uszu płacz Alexy i dźwięk spadających na podłogę książek.

– Przynajmniej nie zdradzała twojego ojca! – krzyknęła dziewczynka. – Nie rozbiła twojej rodziny i nie zniszczyła ci życia.

– To prawda, kochanie, ale odeszła na zawsze i nie będę mogła niczego naprawić, podobnie jak ona. Alexo, nigdy nie wiadomo, co się może stać. Bolesne sprawy pojawiają się w życiu przez cały czas. Jeśli bez przerwy będziesz się na wszystkich wściekać, to twoje samopoczucie może się tylko pogarszać. Poprawa relacji z mamą zmieni całe twoje życie – perswadowała.

– A więc powinnam jej wybaczyć? Tak? – spytała sceptycznie Alexa.

Boże, ale była twarda.

– Postaraj się – poradziła jej Isabel. – I nadal ją kochaj, choć jesteś na nią wściekła. Pozwól jej też kochać ciebie i poprawić wasze relacje. To jest twoja matka, Alexo. Moja umarła, gdy miałam szesnaście lat. Odeszła na zawsze.

W Samotni znowu zapanowała cisza, ale po chwili rozległ się odgłos przedmiotu odsuwanego od drzwi, a następnie szcęk zasuwki. Isabel odczekała minutę. Gdy drzwi się nie otworzyły, lekko przekręciła gałkę i weszła do środka.

Alexa siedziała na dwuosobowej kanapie, która stała teraz bokiem na środku pokoju. Wraz ze łzami spłynął po policzkach dziewczyny tusz do rzęs.

– Nie chciałam powiedzieć matce tego wszystkiego – wyznała, znowu płacząc. – Ale nadal jestem na nią wściekła.

Isabel usiadła obok niej.

– Mojej mamy już nie ma i nie mogę z nią porozmawiać, zapewnić jej, że nie chciałam powiedzieć połowy czy nawet ćwierci tego, co powiedziałam, a zwłaszcza tego zdania, o którym ci wspomniałam. Twoja mama natomiast mieszka niedaleko stąd, piętnaście minut jazdy samochodem – przekonywała ją.

– Ale ja jej nienawidzę, choć w rzeczywistości tak nie jest – wyznała Alexa i zaczęła łkać.

Isabel doskonale rozumiała dziewczynę. Żałowała, że choć głęboko odczuwa sytuację Alexy, nie potrafi wyrazić tego właściwymi słowami. Może znajdzie je z czasem, kiedy córka Griffina jej zaufa i będzie dojrzała. Objęła ją i trzymała w ramionach, choć Alexa momentalnie zeszywniała. Po chwili Isabel opowiedziała o liście wysłanym do niej kiedyś na obóz przez mamę i znalezionym wczoraj przez nią i siostrę w rzeczach pozostałych po rodzicach, o tym, co było w tym liście, o obozowym króliczku, który właśnie zdechł, o wszystkim, co było między wierszami, i o tym, jak po latach słowa matki ukoiliły ból odczuwany przez obie córki z powodu ich własnych problemów. W trakcie tej opowieści Alexa uspokoiła się szybciej, niż Isabel mogła się spodziewać.

Było już po dziewiątej, gdy Isabel powiedziała Alexie, że pójdzie do jej taty i wyjaśni mu, dlaczego nie zjawiała się o wpół do dziewiątej na randce, a potem tu wróci.

– Nie musisz wracać – oznajmiła dziewczyna cichym drżącym głosem. – Powinnaś iść na spacer z moim tatą i z psem.

Isabel uśmiechnęła się.

– Pozwól, że teraz z nim porozmawiam – powiedziała i zeszła na dół.

W przedpokoju wpadła na June.

– Jest w salonie – rzekła do niej siostra. – Przed dwudziestoma minutami powiedziałam mu, że pójde sprawdzic, co zatrzymało cię na górze i poinformowałam o twojej rozmowie z Alexą. Zerknął na schody, jakby się zastanawiał, czy powinien interweniować, ale w końcu tylko westchnął i poszedł do salonu z piwem, którym go poczęstowałam.

Isabel uścisnęła jej dłoń.

– Dzięki, June – powiedziała.

Gdy weszła do salonu, Griffin, opierając łokcie na udach wpatrywał się w obraz przedstawiający trzech kapitanów. Na niskim stoliku stała nietknięta butelka piwa. Na widok Isabel wstał i spytał:

– Co się stało? A może nie powinienem wiedzieć?

– Alexa otworzyła się przede mną – wyjaśniła. – Zajęło to chwilę, ale tak się stało. Nie masz pojęcia, jak dobrze mi zrobiło, że mogłam jej pomóc poczuć się lepiej, jeśli chodzi o różne sprawy i o nią samą.

Uśmiechnęła się, widząc, jak Griffin jest zszokowany tą wiadomością.

– Cokolwiek powiedziałaś Alexie, najwyraźniej przebiłaś się przez jej pancerz. Dziękuję, Isabel – oznajmił.

– Mogłabym się założyć, że gdybyś teraz do niej poszedł i z nią porozmawiał, też by się przed tobą otworzyła. Możemy pójść na spacer, gdy zaśnie albo jutro. Idź do córki – poradziła

mu.

To znaczyło mieć dzieci. Isabel zdawała sobie sprawę, że wiążą się z tym różne komplikacje, jakieś zawirowania i dramaty życiowe. Rodzicielstwo było ciągłym dawaniem i braniem, i miało w sobie jakąś magię i piękno, mimo ofiar, których wymagało, i łączących się z nim w bólu i rozpacz. Spoglądała spod drzwi, jak Griffin kieruje się na schody.

Z gabinetu ciotki wyszła June i stanęła obok Isabel.

– A tak się martwiłaś, że nie byłabyś dobrą matką – skomentowała.

Rozdział 17

June

June stała przed zakurzonym starym lustrem w drewnianej ramie, sięgającym do podłogi, i przymierzała czerwony wełniany płaszcz. Kołnierz wciąż lekko pachniał perfumami mamy, choć może tak jej się tylko wydawało. Może to było myślenie życzeniowe. Ten płaszcz wisiał na wieszaku wśród innych starych płaszczy, okryty pokrowcem. Była tam również pomarańczowa kurtka puchowa marki L.L. Bean mamy i brązowa skórzana kurtka lotnicza taty, a poza tym kilka wełnianych płaszczy, których June nie pamiętała. Może należały do Lolly?

Płaszcz okazał się na June za długi, bo matka była wyższa od niej o dziesięć centymetrów. Prawdopodobnie idealnie pasowałby na Isabel, ale June bardzo odpowiadał – przyjemny w dotyku, dodający jej otuchy i przypominający matkę. Dotychczas nie sądziła, by przy swoich kasztanowych włosach i jasnej karnacji mogła się ubierać w czerwone stroje, teraz jednak wydawało się, że w tym płaszczu jej cera jest lekko zaróżowiona, a piwnozielone, jak u siostry, oczy mają więcej blasku. Ale może znowu uległa myśleniu życzeniowemu? Tak czy inaczej, w tym płaszczu czuła się szczęśliwa. Za dwa miesiące nadejdzie zimny listopad i okrycie będzie jak znalazł.

Zdjęła płaszcz i powiesiła na wieszaku, przesuwając w lewo, w stronę rosnącej obok sterty skarbów. Podniosła leżący wśród innych rzeczy jeden z albumów ze zdjęciami Allie i Lolly z czasów dzieciństwa spędzonego przez nie w Wiscasset, pięknym mieście położonym niedaleko Boothbay Harbor. Usiadła po turecku na starym okrągłym wyplatany dywanie i zaczęła kartkować album. Zatrzymała się przy zdjęciu nastoletniej Lolly stojącej wraz z przystojnym chłopakiem przed domem rodzinnym w stylu Cape Cod i ubranej w lawendową suknię z bukiecikiem kwiatków na piersiach, którą włożyła na bal z okazji zakończenia roku szkolnego.

Czy ten chłopak to Harrison? – zastanawiała się June, myśląc o tajemniczym mężczyźnie, o którym ciotka powiedziała jej następnego dnia po tym, jak June dowiedziała się, że John Smith nie żyje. Lolly przysłała do sypialni, gdy odwrócona do ściany siostrzenica leżała w łóżku w pozycji embrionalnej i gorzko płakała. June nie potrafiła wtedy powstrzymać łez i przestać myśleć o tym, co by było gdyby, o stracie, będącej w jej życiu czymś stałym. Ale poczuła pokorę na myśl o tym, że Lolly weszła po schodach na poddasze, chociaż było to dla niej bardzo trudne, i na widok ciotki zerwała się z łóżka. Zaczęła ją przeproszać za sprawianie kłopotów.

– Zrobiłabym dla was wszystko, co w mojej mocy – powiedziała Lolly i usiadła na krawędzi łóżka. – Gdy masz złamane serce, ja też mam, jeśli nawet o tym nie wiesz. – Zerknęła na June, odwróciła wzrok i dodała: – Sądzę, że dokładnie wiem, co czujesz, choć przeszłam przez coś innego.

– Chodzi o wuja Teda – zaczęła snuć domysły June.

Lolly pokręciła głowę.

– Nie o niego, lecz o Harrisona, którego kiedyś kochałam, gdy byłam mężatką – wyznała. June z trudem złapała oddech i czekała na ciąg dalszy. Lolly Weller miała romans?

– Pamiętasz, jak było między Franceską i Robertem w *Co się wydarzyło w Madison County*? Przytrafiło mi się coś podobnego – zwierzyła się ciotka. – To była miłość, jak w tym filmie. Niestety, nie mogła stać się rzeczywistością. Bardzo długo opłakiwałam koniec tej

znajomości i czasami, kiedy myślę o Harrisonie, czuję taki sam ból jak w chwili rozstania. Ale wiesz, co mnie uratowało?

June miała do niej tyle pytań, lecz musiały poczekać.

– Co? – ponagliła ciotkę.

– To może zabrzmieć nieco staroświecko, ale ten mężczyzna, którego uważałam za niesamowitego i wyjątkowego, zakochał się we mnie do szaleństwa. To mnie uratowało – wyjaśniła ciotka. – Dało mi to, czego potrzebowałam, by kontynuować dotychczasowe życie. Ukryłam uczucie głęboko w sercu i żyłam dalej.

June tak właśnie odebrała miłosne wyznanie Henry'ego. Naprawdę miała do Lolly mnóstwo pytań.

– Ciociu, kiedy...

– Nie czuję się zbyt dobrze i muszę wracać do łóżka – przerwała jej Lolly tonem, który June dobrze знаła. Znaczył: Nie mów już nic i o nic nie pytaj. Po prostu rób, co mówię.

June szanowała jej potrzebę prywatności i postąpiła tak, jak ciotka kazała. Jednak słowa Lolly bardzo pomogły June. Nigdy nie wierzyła, że obchodziła Johna. Dlatego nie myślała o swoim uczuciu do niego i o jego uczuciu do niej w taki sposób: że mężczyzna, którego uważała za niesamowitego, wyjątkowego i pięknego uważał dokładnie to samo o niej i że to był dar od losu.

W kolejnych dniach po tej rozmowie June chciała spytać ciotkę o różne sprawy przy śniadaniu lub przy obiedzie, albo gdy przynosiła jej do pokoju herbatę i coś słodkiego, co wyczarowała Kat, spytać o Harrisona. Raz nawet spróbowała, ale Lolly ucięła sprawę i zaczęła rozmawiać o menu na przyjęcie weselne Kat. June rozumiała, że ciotka stara się chronić uczucia córki dotyczące narzeczonego i małżeństwa, a zwłaszcza te dotyczące jej samej i zmarłego męża, ojca Kat. Dlatego ukryła głęboko w pamięci tę cenną informację, którą przekazała jej Lolly, i pozostawiła wszystko, jak było.

Opowieść ciotki o jej niespełnionej miłości i list matki do Isabel dały June siłę do napisania listu, który tyle razy zaczynała i przerywała od czasu, gdy zobaczyła nekrolog Johna. Pozwoliły także znaleźć odpowiednie słowa. Zaadresowała ten list do Eleanor i Stevena Smithów i wysłała przed trzema dniami wraz ze zdjęciami Charliego jako niemowlęcia i terazniejszymi. Za każdym razem, gdy dzwoniła jej komórka, June podskakiwała. Zwykle telefonowała do niej Marley z uroczymi informacjami o Kipie, który bardzo zaangażował się w przygotowania do narodzin dziecka i sam budował dla niego łóżeczko. Zadzwoił też Henry, w dniu, w którym June wybiegła z płaczem z jego łodzi, i zostawił na poczcie głosowej wiadomość, że zrozumie, jeśli przez jakiś czas June nie zechce przychodzić do pracy lub w ogóle z niej zrezygnuje, ale gdyby zamierzała wrócić, może to zrobić w każdej chwili. Jeszcze do niego nie oddzwoniła ani nie pojechała. Winna mu była przeprosiny za swoje zachowanie i nieobecność w pracy przez tydzień, a także podziękowanie za jego wspaniałomyślność. Chciała mu to wszystko powiedzieć, a nawet więcej – o czymś, co w niej wzbierało, choć nie potrafiła tego nazwać. Po prostu wiedziała, że ma to coś wspólnego z Henrym i wywiera na nią presję.

Wyjęła z kieszeni telefon i już miała zadzwonić do Henry'ego, gdy ktoś zadzwonił do niej. Na ekranie telefonu wyświetliły się cyfry 207 555 2501, numer telefonu rodziców Johna. June gapiła się na nie z otwartymi ustami i przez chwilę nie mogła się poruszyć. W końcu zdała sobie sprawę, że musi odebrać, jeśli nie chce, by ktoś zostawił wiadomość na poczcie głosowej.

– June? – usłyszała. – Mówi Eleanor Smith, matka Johna.

June czuła, jak traci siły w nogach, i ucieszyła się, że siedzi na krześle.

– Jesteśmy oszołomieni – oznajmiła Eleanor. – To znaczy, ojciec Johna i ja. Większą część lata spędziliśmy poza domem i właśnie wczoraj wróciliśmy do Bangor. Czekają na nas

twoja wiadomość na automatycznej sekretarce i list, który do nas napisałaś, ale osvajanie się z tym, co nam przekazałaś o dziecku, naszym wnuku, zajęło nam dzień. Mam nadzieję, że to w porządku, że daliśmy sobie trochę czasu. – Była urocza i serdeczna.

June nie mogła mówić ze wzruszenia.

– Oczywiście – wykrztusiła tylko przez zaciśnięte gardło.

– Gdy zobaczyliśmy zdjęcia chłopca, od razu wiedzieliśmy, że jest synem Johna. Są do siebie tacy... – Eleanor zaczęła płakać.

– Ależ tak – powiedziała June. – Mają takie same piękne zielone oczy i ciemne włosy.

– I coś w wyrazie twarzy – dodała Eleanor.

Tak – pomyślała June. – Coś w wyrazie twarzy.

– Wiesz co? – zaczęła Eleanor. – Dzięki tobie w końcu rozwikłaliśmy pewną zagadkę.

Jedna z pielęgniarek powiedziała nam, że przed śmiercią John kilka razy tracił i odzyskiwał świadomość i powtarzał tylko jedno słowo: „June”. Nie mogliśmy zrozumieć dlaczego, bo wtedy był listopad[2].

June gwałtownie wciągnęła powietrze i zaczęła płakać.

– Tak się cieszę, że do nas napisałaś. Jesteśmy tacy szczęśliwi, że w końcu nas odnalazłaś – oznajmiła Eleanor.

– Ja też – powiedziała cicho June.

Uznały, że mają sobie wiele do powiedzenia i koniecznie muszą się spotkać. Umówiły się, że jutro June przyjedzie do nich z Charliem. Przynajmniej miała mało czasu na to, żeby się denerwować.

W piątek rano mknęła do Bangor drogą I-95 i zerknęła na odbicie twarzy Charliego w lusterku wstecznym. Znowu podziwiał swoje drzewo genealogiczne, trzymając na kolanach kartkę z rysunkiem. Gdy wczoraj w ogrodzie June przeprowadziła z nim długą rozmowę o tym, że dowiedziała się o śmierci jego taty i że dziadkowie zaprosili ich do siebie, podskoczył, oznajmił, że musi uzupełnić drzewo genealogiczne i popędził do sypialni. Po chwili wybiegł z kartką i przynoszącym mu szczęście zielonym ołówkiem, którym starannie wpisał w półowalne pola obok nazwiska ojca słowa „w niebie” i wypełnił rubryki z nazwiskami dziadka i babci ze strony ojca: Eleanor Smith i Steven Smith. A teraz jechali na spotkanie z nimi.

Po wszystkich sytuacjach związanych z poszukiwaniem Johna od siedmiu lat, zwłaszcza w okresie, kiedy odkryła, że jest w ciąży, i po tych obecnych, z ostatnich tygodni, niemal nieprawdopodobnie się jej wydało, że właśnie zatrzymała się bez żadnych problemów na drodze dojazdowej do domu jego rodziców. Białe deskowanie budynku w stylu Nowej Anglii, równe rabaty kwiatowe i skrzynki z kwiatami w oknach wyglądały przyjaźnie i zapraszająco, pomagały June się uspokoić.

Gdy wysiadła z synem z samochodu, frontowe drzwi się otworzyły i na werandę wyszli państwo Smithowie. Zaczęli do nich machać, a kiedy June i Charlie weszli na werandę, Eleanor i Steven rozplakali się, zasłaniając usta dłońmi, i padli sobie w ramiona.

– Nie lubicie nas? – spytał Charlie.

Eleanor przyklękła przed nim.

– Ależ lubimy, bardzo lubimy – odpowiedziała, pochłaniając go wzrokiem, jakby się upajała widokiem wnuka, w którym widziała swojego syna. – Jesteś bardzo podobny do tatusia, Charlie. Zaraz ci pokażę jego zdjęcia, gdy miał siedem lat. Za chwileczkę.

Kiedy wstała, przed Charliem przyklękął Steven, uścisnął go i ze łzami w oczach powiedział:

– Wykapany ojciec! Wykapany ojciec!

June natomiast dostrzegła podobieństwo Johna do rodziców. Miał zielone oczy i jasną

karnację matki, mocno zarysowaną szczękę i ciemne włosy ojca. Zobaczyła na ich twarzach tyle emocji, gdy spoglądali na Charliego, który uklęknął na trawniku i głaskał ocierającego się o jego nogi rudego kota: zdumienie, radość.

– Charlie, czy miałbyś ochotę na świeżutkie ciasteczka z kawałkami czekolady i mleko? – spytała Eleanor.

– Poproszę! – odpowiedział. – Och, poczekajcie, my też przywieźliśmy ciasteczka upieczone przez moją kuzynkę Kat, która jest cukiernikiem. – Pobiegł do samochodu, wziął pudełko i przyniósł je Eleanor. Gdy wybuchnęła płaczem, otworzył pudełko, podał jej i dodał: – Kat zawsze powtarza, że nie można płakać i w tym samym czasie jeść ciasteczek, a więc lepiej weź ciasteczko.

Eleanor roześmiała się, przyklękła i uściśnęła go.

– Charlie, nie jest mi smutno. Czuję się po prostu bardzo szczęśliwa, że cię poznałam. To, że tu jesteś, ogromnie dużo dla mnie znaczy – wyjaśniła mu.

– A więc opowiedz mi o moim tacie? – spytał i wyciągnął rękę, w której trzymał ciasteczko, w stronę kota, ale ten tylko je powąchał i odszedł.

Steven Smith otoczył Charliego ramieniem i powiedział:

– Chodźmy do domu, porozmawiajmy i pooglądajmy zdjęcia. Nie uwierzysz, jak bardzo jesteś podobny do taty.

Gdy weszli do środka, June zwróciła uwagę na wiszący w holu nad pianinem portret Johna. Ojciec Charliego wyglądał na nim tak, jak go zapamiętała. Na obrazie siedział na werandzie domu, a jego stopy były zasłane opadłymi liśćmi – żółtymi, pomarańczowymi i czerwonymi. June zatrzymała się przed portretem, a Charlie podążył za jej wzrokiem.

– Czy to on? Mój tata? – spytał.

June wzięła go za rękę.

– Tak, to on – odpowiedziała.

– Wyglądam tak samo jak on! – zawołał Charlie.

– Z pewnością – potwierdziła cichym głosem, niezdolna powiedzieć nic więcej, bo wciąż nie mogła uwierzyć, że tu jest.

Usiedli we czworo na kanapie, Eleanor i Steven po bokach, i zaczęli oglądać trzymany na kolanach przez June album ze zdjęciami Johna jako niemowlęcia, malucha i chłopca jeżdżącego na dwukołowym rowerze, deskorolce, tańczącego na zabawie szkolnej i pływającego w różnych łodziach. June знаła tylko dwa dni z jego życia ukazanego na zdjęciach w albumach, dwa dni. Pomyślała o tym, jak w filmie *W obronie życia* obrońca Daniela Millera mówi mu, by wykorzystywał możliwości dane mu na ziemi. June wykorzystała taką możliwość w znajomości z Johnem Smithem i zawdzięczała jej wspaniałe wspomnienia oraz pięknego syna.

Gdy Charlie bawił się z kotem Milesem, Eleanor powiedziała jej, że kiedy John miał dziewiętnaście lat, wykryto u niego białaczkę, na półtora roku przed śmiercią. Pod koniec życia postanowił wyruszyć w podróż po kraju, bo chciał zobaczyć różne osobliwości, na przykład kombinezon i buty na platformach Ziggy’ego Stardusta – postaci wykreowanej przez Davida Bowie – znajdujące się w Muzeum i Galerii Sław Rock and Rolla w Cleveland, w stanie Ohio, czy dom J.D. Salingera ukryty w lesie w Cornish, w stanie New Hampshire. Przyjechał do Nowego Jorku, żeby w Central Parku przejść się po upamiętniających Johna Lennona Polach Truskawkowych, zwiedzić dzielnicę Greenwich Village i kupić jakąkolwiek książkę w księgarni Strand. Umówił się z rodzicami, że będzie dzwonił do nich codziennie w porze obiadu, bez względu na wszystko. I rzeczywiście tak było w ciągu trzech tygodni, które spędził w podróży. Czasami zostawiał wiadomość na automatycznej sekretarce. Zdarzało się, że opowiadał rodzicom o czymś zabawnym, co zobaczył.

– Kiedy dziesiątego listopada nie zadzwonił, wiedziałam, co się stało – powiedziała Eleanor, dotykając zdjęcia Johna w T-shircie z biegu na pięć kilometrów. – Pamiętam, że piętnaście po piątej wyjęłam z piekarnika pieczeń i nagle zdałam sobie sprawę, że jeszcze nie zadzwonił, chociaż zwykle robił to między czwartą a piątą, bo zawsze jemy obiad o wpół do szóstej. Spojrzałam na zegarek. Gdy minęła szósta, wiedziałam. Zatelefonowałam do hostelu, w którym się zatrzymał, i dyrektor poinformował mnie, że około pierwszej sprzątaczką znalazła Johna nieprzytomnego przy drzwiach w jego pokoju, jakby dokąś wychodził lub skądś wrócił.

O pierwszej John miał się spotkać z June w Central Parku.

– Było trochę zamieszania z poinformowaniem nas – dodał Steven. – Bo pracownicy pogotowia powiedzieli dyrektorowi hostelu, że szpital powiadomi rodziców o stanie pacjenta, a w szpitalu sądzono, że dyrektor już nas zaalarmował i jesteśmy w drodze do Nowego Jorku. Gdyby żona nie zadzwoniła do hostelu o szóstej, to nie wiadomo, kiedy i kto by nas zawiadomił. John zmarł godzinę po tym, jak znaleziono go nieprzytomnego.

– A poprzedniego dnia czuł się tak dobrze, tak dobrze – powiedziała Eleanor łamiącym się głosem. – Spędził kilka dni w New Jersey, bo chciał zobaczyć słynny klub, gdzie występował Bruce Springsteen, zanim stał się sławny. Czuł się tak dobrze i w ciągu dwóch dni pobytu w Nowym Jorku wydawał się bardzo szczęśliwy. Mówił silnym głosem. Ale tak może być w przypadku raka. W jednej chwili człowiek stoi mocno na nogach, a w drugiej infekcja, o której nie miał pojęcia, zaczyna powoli atakować... – przerwała i zakryła twarz dłońmi, a mąż głaskał ją po plecach.

June nie miała pojęcia, że John był chory. Niczego nie podejrzewała, a tymczasem on był śmiertelnie chory, umierający. Przestraszyła się, gdy pomyślała o chorobie Lolly. Zamknęła oczy, nie mogąc się pogodzić z tą sytuacją.

– Teraz wiemy, co znaczyło słowo „June” – dodała Eleanor. – Myślał o tobie w ostatnich chwilach życia. Musiał być dla niego naprawdę kimś wyjątkowym.

June wzięła ją za rękę. Matka Johna uśmiechnęła się. Przez następną godzinę, gdy Charlie grał z dziadkiem na dworze w badminton, June opowiedziała Eleanor o tych dwóch dniach, które spędziła z jej synem. Wyznała, że zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia i przypominała, o czym rozmawiali godzinami.

Gdy Steven i Charlie wrócili do domu, obie płakały, June powiedziała synowi, że i tym razem to łyzy szczęścia.

– Wiesz co? – powiedział do niej Charlie. – Jest jeszcze więcej nazwisk do dodania w moim drzewie genealogicznym. Mam stryja! Mieszka w Kalifornii, ale przyjedzie do Maine na święta Bożego Narodzenia i wtedy się poznamy. Mam też cioteczne babcie i stryjecznych wujków i kuzynów. Dziadzio Steven zapisze mi te wszystkie nazwiska.

Dziadzio Steven... Serce omal nie wyskoczyło June z piersi, bo dotychczas Charlie nie miał żadnego dziadka.

Smithowie zaprosili ich na lunch i wszyscy razem spędzili kolejną godzinę przy stole w jadalni. June i Charlie opowiedzieli o pensjonacie i swojej rodzinie. O czwartej wsiedli do samochodu z poczuciem, że nawiązali ze Smithami wspólną więź. Gdy June ruszyła z miejsca, Charlie pomachał dziadkom, a ona była bardzo szczęśliwa.

W czasie obiadu w pensjonacie chłopiec opowiedział wszystkim o tym, jak poznał swoich dziadków i kota Milesa, a także o innych nowo odkrytych krewnych, których zamierzał włączyć do swojego drzewa genealogicznego. Nad kurczakiem z grilla i kolbą gotowanej kukurydzy, którą bardzo lubił, ale dziś ledwie tknął z podekscytowania, spytał Lolly, czy jego dziadkowie mogą tu przyjechać z wizytą. Odpowiedziała mu, że już nie może się doczekać tego spotkania i że będzie na nich czekał najlepszy pokój w pensjonacie. Uszczęśliwiony chłopiec serdecznie ją

uścisnęła.

June, Isabel, Kat, Pearl i Lolly bardzo chciały obejrzeć przewidziany na dzisiejszy piątkowy wieczór film *To skomplikowane*. Dotychczas widziała go tylko Lolly, zaraz, jak wszedł na ekrany, ale wszystkie były w nastroju do żartów i zabawy. Isabel określiła go jako jeszcze jeden „romans filmowy”, choć należał do tych, w których wszystko dzieje się na odwrót, bo romans mają rozwiedzeni ze sobą małżonkowie. Jake Adler, którego gra Alec Baldwin, zdradza swoją młodą żonę, superkobietę, z byłą żoną Jane Adler, graną przez Meryl Streep.

– Znowu nie wszystko rozumiem – powiedziała Kat, czytając tekst na odwrocie pudełka płyty DVD. – Młoda żona, która jest super, odbiła Jake’a Jane, czyli nie powinniśmy się tym przejmować, że on zdradza obecną żonę z byłą?

– Pewnie dlatego, skarbie, film nosi tytuł *To skomplikowane* – odpowiedziała jej dobrotliwa Pearl. – To oczywiście nie znaczy, że akceptuję romanse, ale sytuacja jest interesująca.

Łagodna Kat wzruszyła ramionami i wyjęła z papierowej foremki czekoladową babeczkę z lukrem czekoladowym, którą trzymała na kolanach.

Lolly czuła się lepiej i przez cały dzień nie opuszczały jej siły, jak uważała Isabel, dlatego zebrały się w salonie. June z przyjemnością zobaczyła ciotkę siedzącą znowu na kanapie, na swym miejscu obok Pearl, jedzącą popcorn i chwającą męską urodę Aleca Baldwina.

– To, że Edward i ja nie mamy dzieci, cieszy mnie również z tego powodu, że po rozstaniu nigdy nie będziemy musieli się spotykać, na żadnych popisach baletowych, wywiadówkach, uroczystościach wręczania świadectw i dyplomów i na ślubach – powiedziała Isabel, kiedy w filmie Jane i Jake tańczą w barze po kilku drinkach, odkrywając, że zamieszkali w tym samym hotelu w Nowym Jorku, dokąd przyjechali z okazji ukończenia college’u przez ich najmłodszego syna.

June stuknęła się z siostrą szklanką z mrożoną herbatą.

– To musi być niezręczna sytuacja dla rozwiedzionych par i ich nowych małżonków – skomentowała. – Jane i Jake wydają się zaprzyjaźnieni, ale i tak bez dwóch zdań jest to dziwne doświadczenie.

– Domyślam się, że tak zaczyna się ich romans – powiedziała Isabel i zażartowała: – Przypomnijcie mi, żebyśmy nie piła wina, gdy w pobliżu będzie Edward.

– O mój Boże, Jane i Jake tańczą do melodii piosenki *Nie rób mi tego* Toma Petty. Jane, to znak dla ciebie. Nie rób tego! – zawołała Kat.

June się roześmiała.

– Za późno – stwierdziła na widok nagich Jane i Jake’a razem w łóżku. Ona wyglądała na przerażoną, a on na zadowolonego z siebie.

Isabel napiła się herbaty.

– Poczekajcie... Czy ona mu po prostu powiedziała, że dopiero po latach poczuła się normalnie po tym, jak ją porzucił? Po latach? Ja nie mam na to tyle czasu! – wykrzyknęła.

– Czy w ogóle potrafisz sobie wyobrazić, że po dziesięciu latach od rozstania balujesz z Edwardem? – spytała June.

– Absolutnie nie – odparła siostra. – W ogóle nie wyobrażam sobie, że po rozwodzie razem jemy, pijemy i śmiejemy się. Nawiasem mówiąc, przed kilkoma dniami przysłali mi papiery rozwodowe.

– A więc Jane znowu jest zakochana w swoim byłym mężu, który zostawił ją dla innej kobiety – zastanawiała się Kat. – W porządku, niech tak będzie. Powiedziała, że nadal łączy ich uczucie i, owszem, jest teraz ostrożna, ale mimo to nie rozumiem, jak mogła się tak daleko posunąć. Zdradzał ją, rozbił ich rodzinę, zrujnował życie, którego odbudowa zajęła jej lata, i teraz

nagle ona idzie z nim do łóżka, wiedząc, że w tym momencie on zdradza obecną żonę? Czy nagle przestał być draniem? Nie pojmuję tego.

– Cieszę się, że nie pojmujesz – oznajmiła Isabel. – Bo to znaczy, że jesteś idealistką. To dobre u kogoś, kto niebawem wyjdzie za mąż.

– Czy idealizm oznacza naiwność? – spytała Kat.

– Nie – odpowiedziała June. – Idealizm to idealizm. Dobrze jest mieć jakieś ideały.

– Och, jest i Steve Martin – zmieniła temat Pearl. – Uwielbiam go. Jest taki zabawny i przystojny. Mam nadzieję, że w końcu Jane zwiąże się z nim, to znaczy z granym przez niego Adamem Schaefferem, a nie zostanie z tym łajdakiem.

– Bardzo mi się podoba, że Adam jest architektem zajmującym się przebudową wymarzonego domu Jane – podchwyciła temat June. – Mam na myśli dobrą metaforę.

Nagle pomyślała o Henrym. Wysoki, silny i milczący, trzymał na rękach maleńkiego Charliego, gdy przez długą chwilę lkała w magazynie księgarni, bo czuła się przytłoczona macierzyństwem. Uczył trzyletniego Charliego łowić ryby. W ciągu ostatnich siedmiu lat posyłał mu w prezencie latawce, książki i śmieszne kostiumy na Halloween. I powiedział jej, że ją kocha i zawsze kochał. Tymczasem ona od niego uciekła, bo poczuła się zraniona i przestraszona.

– Nie znoszę tego, że Jake jest taki sympatyczny – wyznała Isabel. – Naprawdę rozumiem, dlaczego znowu tak ją pociąga.

Kat sięgnęła po popcorn.

– Nie mogę się nadziwić, jak zachwycająca jest w tym filmie Meryl – powiedziała. – Pewnie miała sześćdziesiątkę lub coś koło tego, gdy pojawił się w kinach, a od tego czasu minęły jakieś dwa, trzy lata.

Lolly przeczytała tekst z tyłu pudełka.

– Film miał premierę w 2009 roku, a Meryl urodziła się w 1949 roku – poinformowała córkę. – Nie pomyliłaś się. Była wtedy sześćdziesięciolatką. Jest drobnej kości i ma subtelne rysy twarzy. Emanuje z niej radość.

– Wiecie, co mi utkwilo w pamięci? – odezwała się Isabel. – Pamiętacie, jak Jake stara się przekonać Jane, by podjęli próbę wskrzeszenia ich związku, a ona mu tłumaczy, dlaczego nie powinni tego robić, mówiąc coś w tym stylu: „Oboje staliśmy się takimi osobami, jakimi chcieliśmy być”. Bardzo mi się to podoba. Być może po czymś takim rzeczywiście nie można powrócić do tego, co było.

– Uważam, że raczej nie – Lolly wyraziła swoje zdanie cichym, niemal łamiącym się głosem.

June zerknęła na nią. Czyżby ciotka myślała o Harrisonie? Mężczyźnie, o którym jej opowiedziała?

Ale po chwili Lolly uśmiechnęła się.

– Bardzo mi się podobało, kiedy Trisha albo Joanne, któraś z przyjaciółek Jane, przestrzega ją, mówiąc: „Nie daj się wziąć na litość”. Sądzę, że to może być najważniejsze zdanie, jakie padło w tym filmie – oznajmiła z powagą i spojrzała w okno.

Czy właśnie tak się stało między nią i Harrisonem? – zastanawiała się June.

– Ja też tak uważam – przytaknęła Pearl. Jeśli wiedziała o związku Lolly z Harrisonem, to nie zdradziła się z tym ani wyrazem twarzy, ani spojrzeniem na przyjaciółkę.

– A wiecie, co mnie utkwilo w pamięci? – odezwała się Kat. – To, co Jane powiedziała Adamowi – że w wieku dwudziestu kilku lat pojechała na sześć dni do Paryża na kurs pieczenia ciast, a została tam na rok, ucząc się fachu pod okiem cukiernika. Bardzo bym chciała, żeby mnie przydarzyło się coś podobnego.

Być może zauważyła, że matka się w nią wpatruje, bo nie powiedziała nic więcej.

– Może znajdziesz jakiś kurs w czasie miodowego miesiąca? – zasugerowała jej June. –
O ile uczestniczenie w kursie w czasie miodowego miesiąca nie jest czymś dziwnym.

Kat bawiła się papierową foremką babeczki.

– Porozmawiam o tym z Oliverem – oznajmiła.

Na dworze rozległ się dźwięk klaksonu. To był znak, że po Pearl przyjechał mąż.

– Bardzo mi się podobała scena, w której Jane i Adam pieką czekoladowe croissanty w piekarni Jane – powiedziała, wstając z kanapy. Owinęła szyję szalowym kołnierzem zrobionego szydełkiem swetra i idąc do drzwi, spytała Kat: – Ty zawsze robisz to z Oliverem, co?

Kat roześmiała się.

– Nie – odparła. – Ale w zeszłym tygodniu spędziłam niesamowity poranek z Matteem Violą i jego ojcem, który jest właścicielem włoskiej piekarni. Alonzo uczył mnie, jak się robi cannoli. – Uśmiechnęła się, pogrążona we wspomnieniach, i dodała: – Ale nie zawieszałam sobie, w przeciwieństwie do Jane, kawałków ciasta na croissanty jako nasutników. Boże, uwielbiam ją. To wyglądało tak naturalnie, jakby scena była kręcona z marszu, bez dubli, bo aktorzy świetnie się bawili.

Lolly wpatrywała się w córkę.

– Kat, czy łączy cię coś z doktorem Violą? – spytała.

– Nie – odrzekła córka i zaczerwieniła się. – Oczywiście, że nie. – Zaprzeczała, ale patrzyła na swoje stopy, a po chwili zaczęła pospiesznie zbierać naczynia.

– A mnie podobała się scena, w której Jane mówi Jake'owi, że do ich rozvodu doszło nie tylko z jego winy – powiedziała szybko Isabel, jakby wyczuła, że Kat chce, by ktoś zmienił temat. – Bo ona też przestała walczyć o uratowanie ich małżeństwa. Pomyślałam, że ja próbowałam nie dopuścić do rozpadu mojego, ale w głębi duszy – dotknęła serca – raczej się poddałam. Chciałam otrzymać od Edwarda to, czego mi odmówił. Sądzę, że to samo w sobie było skomplikowane.

June skinęła głową.

– Wszystko to jest skomplikowane i bardzo mi się podoba, że ten film naprawdę pokazuje dlaczego – uznała. – Jake ponownie Jane rozczarowuje, właśnie z powodu komplikacji. Jednak najbardziej zadziwiło mnie to, jak niesłychanie blisko są ze sobą członkowie tej rodziny. Dzieci witają się ze sobą entuzjastycznie, obejmują się i cieszą na swój widok. Wszyscy są zawsze podekscytowani tym, że przebywają razem.

– Sądzę, że teraz jesteśmy do nich podobne – uznała Kat. – Ilekroć was obie widzę, czuję taki sam entuzjazm, a przecież stale się widzimy.

Isabel i June roześmiały się.

– Za rodzinę! – zawołała Lolly, unosząc szklankę z mrożoną herbatą, ale spoglądała na córkę.

June zwróciła uwagę, że Kat unika wzroku matki. Czy kuzynka spotykała się z doktorem Violą? Z Matteem?

Wszystkie uniosły szklanki i stuknęły się.

Kat wyglądała na osobę tak nieszczęśliwą, jakby chciała stąd uciec, więc June wstała i zaczęła zbierać z podłogi popcorn.

– Dlaczego zawsze, gdy jem popcorn, spada mi na bluzkę i na podłogę? – zastanawiała się.

– Czuję, że mam go w staniku – oznajmiła Isabel, starając się wyjąć okruchy.

Lolly uśmiechnęła się.

– Czy podobała się wam ta scena, w której Jake zostaje u Jane i dzieci i mówi, że jak za

dawnych czasów zorganizują sobie wieczór filmowy, a on uprzyj popcorn? – spytała.

Nagle zaczęły się zastanawiać, ile już filmów z udziałem Meryl Streep obejrzały. June była pewna, że siedem, a Kat, wdzięczna za tak radykalną zmianę tematu, że osiem, i wyliczyła: *Co się wydarzyło w Madison County*, *Diabeł ubiera się u Prady*, *Mamma Mia!*, *Zgaga*, *W obronie życia*, *Sprawa Kramerów*, *Pocztówki znad krawędzi* i *To skomplikowane*.

– Osiem filmów z udziałem Meryl Streep zaledwie w ciągu kilku tygodni – stwierdziła Isabel. – Nigdy mnie nie znuży oglądanie twarzy tej aktorki i podziwianie jej niezwykłego talentu. Jej repertuar jest niesamowity – od najpoważniejszych dramatów po beztrioskie komedie. June skinęła głową.

– I te komedie też zmuszają do myślenia, prawdopodobnie dlatego, że gra w nich tak doskonała aktorka – oznajmiła. – W *To skomplikowane* najbardziej podoba mi się to, że Jane otrzymała od życia drugą szansę i znalazła odpowiedzi na pytania w rodzaju, co by było, gdyby...

W przeciwieństwie do niej June nigdy nie dostała takiej szansy. Marzenie, które w sobie pielęgnowała i za którym być może ukrywała się przez te wszystkie lata, okazało się nie do zrealizowania.

– Czasami w ogóle nie należy o to pytać – stwierdziła Kat z powagą, spoglądając na swój pierścionek zaręczynowy.

– Nie – szepnęła Lolly.

– Co masz na myśli? – spytała córka.

– To, co by było, gdyby, może się okazać tak czy owak zabójcze – odparła matka. – Wiem o tym, bo... – Spojrzała na Kat i odwróciła głowę. – Miałam kiedyś romans. A ostatnio pytania o to, co by było, gdyby, ciągle mnie atakują z furją, jak sądzę dlatego, że zachorowałam na raka. – Wzięła głęboki oddech i ciężko oparła się na kanapie, spoglądając w podłogę.

– Miałas romans? – spytała Kat z niedowierzaniem. – Gdy byłaś z moim tatą?

Lolly skinęła głową, ale nie spojrzała na córkę.

Kat zerknęła na Isabel i June i usiadła obok matki.

– Co się wydarzyło? – spytała.

– Zaczęło się od platonicznej miłości, jak to się teraz określa – zaczęła matka. – Od czystego uczucia. On był wczasowiczem w naszym pensjonacie. Przyjechał sam, chcąc ostatecznie uwolnić się od związku, który się właśnie zakończył. Po prostu zaczęliśmy rozmawiać i...

– Co było w nim takiego wyjątkowego? – spytała poruszona, ale nie rozgniewana Kat.

Wydawało się, że Lolly pogrążyła się we wspomnieniach.

– Przy nim czułam się inna, jak kobieta, którą zawsze chciałam być – inteligentniejsza, weselsza, ładniejsza, bardziej seksowna i interesująca od tej, za którą się uważałam – odpowiedziała po chwili. – Nie mam pojęcia, co w nim było, że tak właśnie się czułam. Może chodziło o to, że w skupieniu słuchał tego, co do niego mówiłam i patrzył mi w oczy tak, jakby nie mógł oderwać ode mnie wzroku? Przyjeżdżał na każdy weekend, oczywiście zatrzymując się w innym pensjonacie, i w ciągu lata nasza miłość rozkwitła. Rozważaliśmy nawet moje rozstanie z twoim ojcem, Kat. Zastanawiałam się nad tym przez całą jesień i jeszcze w grudniu.

– Czyli mało brakowało, a zostawiłabyś tatę – skomentowała córka. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Aż zdarzył się ten wypadek – oznajmiła matka. – Z mojej winy.

Kat gwałtownie wciągnęła powietrze, a June i Isabel wymieniły spojrzenia.

– Z twojej winy? – zdziwiła się Kat. – Jak mogła to być twoja wina?

– W sylwestra, kiedy moja siostra zadzwoniła z prośbą, żeby któreś z nas zabrało ją i Gabriela z hotelu, obudziłam twojego ojca i kazałam mu po nich pojechać... – Głos jej się

załamał i wydała jakiś niesamowity dźwięk, jakby wydobywał się z głębi trzewi. – Kazałam mu pojechać, bo chciałam porozmawiać w Nowym Roku z Harrisonem... przez telefon. – Zakryła twarz dłońmi i zaczęła łkać.

June wzięła Isabel za rękę, a Kat spoglądała na matkę zszokowana jej wyznaniem.

– Miałam romans i zastanawiałam się nad odejściem – ciągnęła po chwili Lolly. – I dlatego straciłam męża, ojca mojej córki, siostrę i szwagra, przez co moje małe siostrzenice zostały sierotami. – Wzięła głęboki oddech, spojrzała na Kat i dodała: – Kazałam twojemu ojcu pojechać, żebym mogła porozmawiać z kochankiem. Gdybym odeszła z Harrisonem, moje życie mogłoby się potoczyć inaczej, całkowicie zmienić, wszystko mogłoby być inne.

– Ciociu, nie rób sobie tego – zaczęła jej perswadować June. – Nie prowadź gry z przeszłością, pytając o to, co by było, gdyby... Zdarzył się straszny wypadek. Wypadek.

– Kochałaś mojego ojca? – spytała cichym głosem Kat.

– Kochałam go bardziej, niż zdawałam sobie z tego sprawę – odpowiedziała Lolly. – Gdy zginął, byłam zdruzgotana. Wtedy uświadomiłam sobie, jak bardzo go kochałam i zarazem trzymałam na dystans, bo bardzo bałam się go stracić. W końcu i tak straciłam.

– Och, ciociu – westchnęła Isabel.

June była oszołomiona tym wyznaniem. Rozplakała się, bo ona też odpychała od siebie Henry'ego w bardzo podobny sposób.

– Być może ja postępuję tak z Oliverem – wyznała Kat.

Lolly spojrzała jej w oczy.

– Wiem tylko, że bardzo ważne jest, by powiedzieć prawdę, ważniejsze od konsekwencji – oznajmiła.

June wiedziała, co ciotka ma na myśli: że trzeba powiedzieć prawdę, jeśli nawet miałyby to złamać serce tej drugiej osobie, wyznać ją nawet własnej córce, bo ostatecznie to prawda mogła uratować szczęście Kat.

– Bardzo się bałam, że nie będę dla was dobrą matką – zwróciła się Lolly do Isabel i June. – I miałam złamane serce z powodu sytuacji, w jakiej znalazła się Kat. – Znowu spojrzała na córkę i dodała: – Byłaś tak związana z tatą. Tak bardzo się wstydziłam wszystkiego, co zrobiłam, że rozstałam się z Harrisonem. – Utkwiła wzrok w podłódze. – Oświadczyłam mu, że nigdy więcej nie chcę go widzieć, i tak się stało. Ale to był wspaniały człowiek. W tamtym czasie był dla mnie uosobieniem wszystkiego, o czym marzyłam.

– A co teraz o tym myślisz? – spytała Kat.

– Że tamtej nocy zrobiłam coś strasznego – odparła matka.

Kat pobladła i zaczęły jej drżeć ręce.

– Wiesz co, mamó? – powiedziała i zawiesiła głos.

June poczuła przyspieszone bicie serca. Uznała, że nie zniesie, jeśli Kat zachowa się wobec matki okrutnie.

– Sądzę, że gdybym tamtej nocy była na twoim miejscu, prawdopodobnie zrobiłabym to samo – oznajmiła Kat. – To znaczy, gdybym w pierwszym dniu Nowego Roku miała obok siebie Olivera, a Matteo czekałby na telefon ode mnie. Bo człowiek nie wie, co go czeka i co się wydarzy. Powinien po prostu robić to, co uważa za słuszne w danym momencie lub kiedy czuje, że tak będzie dobrze.

Lolly wzięła ją w ramiona i obie wstały z kanapy. Nie wypuszczając córki z objęć, powiedziała:

– Ja naprawdę bardzo kochałam twojego ojca. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie odszedł na zawsze. Ale zarazem czułam się szczęśliwa, znając Harrisona. Byłam w nim zakochana i nigdy o nim nie zapomniałam. Nigdy nie przestałam się zastanawiać nad tym, jak

potoczyły się jego dalsze losy. – Rozejrzała się po pokoju. – Najtrudniej jest żyć, gdy się czegoś żałuje. Po prostu chciałam wam tę prawdę przekazać, ale nie wiedziałam jak, nie powiedziawszy najpierw, jak sama ją poznałam.

– Tyle przeszłaś, ciociu – odrzekła June ze ściśniętym sercem, bo najpierw Lolly straciła w wypadku samochodowym rodziców, gdy miała zaledwie dwadzieścia lat, a potem siostrę i męża, również w wypadku samochodowym, spowodowanym przez pijanego kierowcę. Poza tym wyrzekła się wielkiej miłości, a teraz zachorowała na raka. – Tyle w twoim życiu było smutku.

W oczach Lolly pojawiły się łzy.

– Chciałam wam powiedzieć o tym wszystkim wcześniej, ale gdy uświadomiłam sobie, co Edward zrobił swoim romansem Isabel, jak mogłam się zwierzyć z mojego? – spytała.

Isabel podeszła do niej, wzięła ją za rękę i oznajmiła:

– Ciociu, Kat ma rację. Ludzie robią różne rzeczy najlepiej w odpowiednim dla nich czasie. Może właśnie wówczas coś, co jest złe lub za takie uchodzi, odbiera się jako słuszne? Tak tłumaczę sobie to, co zrobił mi Edward.

– Ale to, co zrobił, jest złe – uznała Lolly. – I to, co ja zrobiłam, też było złe.

– Moim zdaniem złe było to, że wyrzekłaś się ukochanego mężczyzny – ripostowała Isabel. – Gdy oglądałyśmy *Co się wydarzyło w Madison County*, uznałam, że Francesca postąpiła słusznie, wyrzekając się Roberta, jeśli nawet miała złamane serce. I nadal tak uważam. Ale ty byłaś wolna i mogłaś kochać Harrisona, a zamiast tego się ukarałaś.

– Sądzę, że ludzie karzą się, być może nieświadomie, pod pozorem „robienia czegoś słusznego” – stwierdziła Kat. – Czasami coś, co uważa się za złe, okazuje się słuszne, jeśli to, co powiedziałam, ma jakiś sens.

Matka spojrzała na nią i skinęła głową.

– Ma sens. Ale czy dobrze się czujesz z tym, czego się dowiedziałaś? Czy nie wzbudziłam w tobie nienawiści?

June spostrzegła w wyrazie oczu ciotki nadzieję, bo twarz Lolly nagle przestała być maską skrywającą uczucia.

– Nigdy nie mogłabym cię znienawidzić, mamó, nigdy. Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa – odpowiedziała Kat.

Matka i córka znowu padły sobie w objęcia.

Po chwili Lolly schowała płytę z filmem do pudełka i oparła rękę na telewizorze, jakby nagle zabrakło jej siły, a potem dotknęła dłonią czoła. Zachwiała się i znowu oparła rękę na telewizorze.

– Mamó?! Dobrze się czujesz?! – zawołała Kat.

– Czuję się tak śmiesznie – zaczęła Lolly. – W mojej głowie i... – Nie dokończyła zdania i runęła na podłogę.

Rozdział 18

Kat

Kat uznała, że jakiś znak na niebie kazał Matteowi zadzwonić w chwili, gdy tego potrzebowała, i spytać, jak się czuje Lolly i ona sama. Matka właśnie wyleczyła się z infekcji, która przez kilka dni pustoszyła jej organizm, i Kat wreszcie przestała się bać. Od piątkowego późnego wieczoru Lolly leżała w szpitalu. Kat potrafiła myśleć tylko o niej, ale teraz była zła i wiedza i doświadczenia zawodowego Mattea, które zdobył w walce z chorobą ojca. Gdy słyszała jego głos, choć nie miał włoskiego akcentu, w przeciwieństwie do swojego ojca, czuła, że jest daleko stąd, przynajmniej przez chwilę. Matteo zjawił się kilka razy u Lolly w szpitalu, chcąc sprawdzić stan jej zdrowia. Raz natknął się na Olivera i natychmiast atmosfera stała się napięta, co nawet Lolly wyczuła. Dzwonił do Kat codziennie, by „się zameldować” i powiedzieć, że organizm jej matki zwalcza infekcję powszechnie występującą u pacjentów poddanych chemioterapii, która osłabia system immunologiczny, i że Lolly przetrwa kryzys. Dzięki tym telefonom Kat trzymała się na nogach.

W poniedziałek, kiedy Lolly została wypisana ze szpitala i wróciła do domu, Isabel, June i Kat położyły ją do łóżka i posadziły przy niej zaufaną pielęgniarkę, którą właśnie zatrudniły. Potem spędziły jakiś czas w kuchni i przy mocnej kawie ułożyły plan opieki nad Lolly, żeby chora mogła liczyć na pomoc przez całą dobę. Pielęgniarka miała się nią opiekować od poniedziałku do piątku, od dziewiątej do siedemnastej, dyżurowanie przy Lolly w pozostałych dniach i godzinach musiały wziąć na siebie.

Gdy Kat przyszła sprawdzić, jak matka się czuje, pielęgniarka właśnie czytała jej biografię Żelaznej Damy. Dotychczas Kat myślała o matce jako o żelaznej damie, bo nie dostrzegła w niej żadnej słabości. Oczywiście błędnie oceniła charakter Lolly. Okazało się, że jej spokojna opanowana matka, kobieta rzekomo beznamietna, była bardzo zakochana w tajemniczym Harrisonie. Mimo to go rzuciła, więc może jednak była żelazną damą?

Kat czuła się zbита z tropu wyznaniem matki. Lolly miała kiedyś romans. Spotkała w życiu wielką miłość, ale z niej zrezygnowała z poczucia winy, wstydu lub z powodu wzajemnych oskarżeń. A może zdała sobie sprawę, że jej wielką miłością był mąż? Jakie wnioski miała z tego wyciągnąć Kat? Upewnić się, czy jej uczucie do Mattea oznacza, że nie powinna wychodzić za mąż za Olivera? Dać temu uczuciu szansę? Czy właśnie dlatego matka opowiedziała jej o swoim romansie? Kat uznała, że tak. Jednak obawiała się podjąć temat przeszłości czy jakiegokolwiek innego, kiedy matka leczyła się z infekcji i była bardzo słaba i wyczerpana. A gdy w końcu dziś rano zagadnęła Lolly o Harrisona, ta zbyła ją słowami:

– Jestem taka zmęczona, Kat.

Co oznaczało, że zwyczajnie nie chce o tym rozmawiać. Czy było to dla niej zbyt bolesne? Czy obawiała się, że Kat doszuka się w tym jakiegoś nowego znaczenia? Zastanawiała się, dlaczego matka nie może po prostu powiedzieć, co ma na myśli? I dlaczego nie pozwala Kat po prostu otworzyć ją o to spytać?

Zabrzęczała komórka. Matteo przysłał jej SMS-a: *Zjemy dziś razem lunch? Zadzwoniła do niego. Rozmawiali kilka minut o matce, zatrudnionej pielęgniarence, stanie zdrowia Lolly, następnym cyklu chemioterapii, któremu miała zostać poddana, i o możliwości pojawienia się*

ponownie infekcji. Propozycja wspólnego lunchu była jak lekarstwo zalecone przez lekarza, zwłaszcza że mieli się spotkać u niego w domu, gdzie mogli swobodnie rozmawiać i gdzie mógł ją w razie potrzeby pocieszyć bez narażania się na błędne odczytanie zamiarów przez świadków, a ona mogła... sprawdzić, co do niego czuje.

W drodze do domu Mattea dźwięczały jej w uszach słowa wypowiedziane przez Isabel w dyskusji po obejrzeniu *To skomplikowane* – o tym, jak ludzie robią to, czego potrzebę odczuwają w danym momencie, niekiedy nie zachowując ostrożności. Czasami czynią dobrze, a czasami źle. Czasami postępują tak z uzasadnionych, a czasami z nieuzasadnionych powodów. Ale z tego powodu, że Matteo ją pociągał, jej wyrzuty sumienia wcale nie były mniejsze. Nie można było obarczyć Olivera winą za to, że nie prowadził fachowych rozmów o liczbie białych ciałek krwi i neutropenii, ani za to, że sam jego widok przypominał Kat o ślubie, sukni czekającej na przymiarke i pantoflach, których zdjęcia matka wycinała z magazynów ślubnych plastikowymi nożyczkami Charliego, bo metalowe stały się dla niej za ciężkie. Nie można było obarczyć go winą także i za to, że Kat chciała stąd uciec i że Matteo zrobił jej zdjęcie, gdy formowała cannoli w kuchni pasticcerii.

W zeszłym tygodniu nie spędziła z Oliverem zbyt dużo czasu. Przed dwoma dniami, kiedy Lolly była jeszcze w szpitalu, a ona czuła się wyczerpana i otepiała, opowiedział jej przez telefon kilka anegdot, które zdołały ją rozśmieszyć. Na przykład o właścicielu wartej wiele milionów posiadłości, który chciał zatrudnić architekta krajobrazu do zaprojektowania i stworzenia na jej tyłach dziecięcego ogrodu, otoczonego murem, z drzewami i krzewami przyciętymi w kształty sławnych postaci z książek dla dzieci, od Kubusia Puchatka po Alicję w Krainie Czarów. Lecz kiedy powiedział jej, że dziewczyna jego brata ciągle przysyłała mu linki do zdjęć sukni ślubnych i wystawnych przyjęć weselnych w ogrodach, choć została poinformowana, że Kat znalazła już dla siebie odpowiedni strój i że zaplanowali skromne przyjęcie na świeżym powietrzu, szybko się z nim rozłączyła.

Dojeżdżając do domu Mattea, przyrzekła sobie, że w żadnym wypadku nie zdradzi Olivera. W tej sytuacji nie istniał dylemat: dobre zachowanie – złe zachowanie. W grę wchodziło tylko to drugie. Jeśli chciała podjąć ostateczną decyzję dotyczącą przyszłości swojego związku z Oliverem, powinna kierować się uczuciem i rozumem. Nie musiała dołączać do tego požądania, by w niemądry sposób przechylić szalę na którąś ze stron.

Przed domem młody chłopak kosił niewielki trawnik. Ruszyła krótką kamienną ścieżką i zapukała do drzwi. Natychmiast pojawił się w nich ten mężczyzna o wspaniałej oliwkowej skórze, ciemnych oczach o skupionym spojrzeniu i uśmiechu, za którym kryła się życzliwość i który zapowiadał tak wiele... był inny. Nagle Kat zdała sobie sprawę, że patrzy na jego usta i szybko zerknęła w stronę salonu.

Dom wynajmowany przez Mattea bardzo różnił się od domu, w którym mieszkał Oliver. Mieszkanie Olivera było wyposażone w kanapy w stonowanym niebieskim kolorze i meble z wybielonego drewna, typowe dla stylu Maine, podczas gdy w mieszkaniu Mattea dominowały nowoczesność i skóra; wyjątek stanowił obraz przedstawiający zniszczone kanu.

– Dom był już umeblowany – poinformował, zamykając za nią drzwi. – Ale mi się podoba.

– Nagle poczułam, że nie powinnam tu przychodzić, jakby między nami coś się zaczynało i... – Nie dokończyła, bo zrobiło jej się głupio. Na tyle, na ile się orientowała, Matteo nie żywił wobec niej uczucia, a nie budziła też w nim pożądania.

Usiadł na czarnej skórzanej kanapie i zaprosił ją gestem dłoni, by zajęła miejsce obok niego. Na szklanej ławie obok kanapy spostrzegła dwie butelki piwa Shipyard, dwie kanapki z bekonem, sałatą i pomidorami, miskę zielonej sałaty z dodatkami i miskę sałatki owocowej.

Gdy włożył do ust dwie borówki amerykańskie, znowu poczuła się jak zahipnotyzowana.

– Może to znaczy, Kat, że powinnaś tu być – zaczął. – Wierzę, że ludzie są uczciwi wobec siebie nawzajem i, co może jeszcze ważniejsze, wobec samych siebie. Jeśli ze względu na uczucie do mnie masz jakieś wątpliwości, czy powinnaś wychodzić za mąż za Olivera, moim zdaniem należy to uczucie rozważyć, a nie uciekać przed nim.

– Ja chyba nie wiem, co czuję. Naprawdę – wyznała, wpatrując się w rzymską sałatę i plasterki pomidora w kanapce.

– A więc nie wiesz, czy chcesz wyjść za mąż? – spytał. – Albo rzeczywiście chcesz, a ja wszystko zepsułem.

– Nie wiedziałam tego, zanim się poznaliśmy, Matteo – powiedziała. – A gdy cię spotkałam, gdy pierwszego dnia w szpitalu wzięłaś mnie za rękę...

– Skomplikowałem sprawy – dokończył za nią.

Skinęła głową i wzięła truskawkę. Podał jej talerz z kanapką. Odgryzła kęs, ale nie mogła jeść.

– Znam Olivera od piątego roku życia – oznajmiła i odstawiła talerz na ławę. – Kiedyś byłam w nim tak zakochana, że na jego widok traciłam oddech.

– A teraz? – spytał.

– Teraz wiem, że go kocham i że on mnie kocha – odparła. – Wiem, że będę miała z nim szczęśliwe życie, że będzie wspaniałym ojcem. Dlatego tak się w tym wszystkim pogubiłam. Bo jak mogę go kochać i nie mieć pewności, czy chcę wyjść za niego za mąż?

– Może nie jesteś gotowa na małżeństwo, Kat? Masz dopiero dwadzieścia pięć lat.

– Może? Może moim przeznaczeniem jest wyjechać do Francji? Albo do Australii lub Japonii? Może chcę stąd uciec? A może powinnam tu zostać i pomagać w prowadzeniu pensjonatu? – W odpowiedzi zasypała go pytaniami, rozłożyła ręce i oparła się na kanapie.

– Może powinnaś się przenieść do Nowego Jorku i pokierować działem cukierniczym w którejś z najlepszych restauracji albo piekarni? – zasugerował. – Wówczas moglibyśmy sprawdzić, co nas łączy.

Spojrzała na niego.

– Wyjeżdżasz do Nowego Jorku? – zdziwiła się.

– Dostałem stypendium w Mount Sinai Hospital – poinformował ją i dodał: – Wiesz, o czym ciągle myślę? Że nie będę mógł cię codziennie widywać i nie wpadnę na ciebie na ulicy, na kładce dla pieszych czy za rogiem korytarza w szpitalu. Nie znoszę tego, że coś mogło być, a nie jest, Kat.

Coś mogło być, a nie jest. Pomyślała o matce i łzach płynących po jej policzkach, gdy zwierzyła się córce i siostrzenicom z tego, co mogło być, a nie jest.

– Kat, mogę powiedzieć tylko tyle, że chciałbym mieć szansę cię poznać – dodał.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała.

– W połowie listopada – oznajmił. – Mogę się wprowadzić do swojego nowego mieszkania na Upper West Side czternastego. To jest kawalerka, naprawdę mała, ale na dwudziestym trzecim piętrze, częściowo z widokiem na Central Park.

Jej ślub miał się odbyć piętnastego. Tak więc czternastego listopada pożegna Mattea, będzie patrzyła, jak wyjeżdża samochodem z Boothbay Harbor do Nowego Jorku, a następnego dnia wyjdzie za mąż za Olivera. Nie była jednak pewna, czy będzie mogła zrobić i jedno, i drugie.

Matteo odsunął z jej twarzy kosmyk włosów i nie cofnął ręki. Pogłaskał ją po policzku i podbródku, przybliżając się do niej, żeby ją pocałować, ale zasłoniła usta dłonią i powiedziała:

– Nie mogę.

– Nie możesz teraz, ale może będziesz mogła w bliskiej przyszłości bądź też nie – bardziej stwierdził, niż spytał.

– Czy to była próba? – zdziwiła się.

Pokręcił głową i odrzekł:

– Zachowałem się absolutnie spontanicznie. Od długiego czasu chcę cię pocałować, Kat. Ale przed chwilą to pragnienie okazało się obezwładniające.

– Ja też chcę, ale nie mogę – oznajmiła, wstając. – Dziękuję za lunch. Niestety, muszę już iść, Matteo. – W jednej chwili znalazła się za drzwiami i uciekała stamtąd do utraty tchu.

Gdy wróciła do pensjonatu, poszła prosto do kuchni, aby upiec tradycyjny placek z jabłkami dla matki i uwielbiane przez Charliego ciasteczka, duże i kruche, z odrobiną czekolady. Była pewna, że kilka godzin pieczenia, a wcześniej przygotowywania ciast pomoże jej odzyskać równowagę i myśleć jaśniej. Niestety, robiąc posypkę do ciasteczek, wsypała za dużo cukru, a potem zapomniała, czy dodała do ciasta wanilię, czy też nie.

Coś ją dręczyło i nie mogła się od tego uwolnić. Nie miało to jednak związku z Oliverem czy z Matteem, lecz z Harrisonem, mężczyzną niesłusznie porzuconym przez matkę przed piętnastu laty.

Zdjęła fartuch, umyła lepkie od ciasta ręce i poszła do pokoju Lolly, bojąc się, że zmieni zdanie. Po cichu otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Matka spała. Zatem doskonale się składało. Pielęgniarka czytała „People”. Uśmiechnęła się do niej. Kat odwzajemniła uśmiech, ostrożnie weszła do sypialni, wskazała dłonią leżący na stoliku nocnym album ze zdjęciami, i zabrała go. Z albumem w ręce wróciła do kuchni i usiadła przy blacie, trzymając kciuki za znalezienie tego, czego szukała. To był najcenniejszy album matki, wypełniony zgromadzonymi w ciągu wielu lat jej ulubionymi zdjęciami członków rodziny. Lolly chętnie opisywała każde zdjęcie na odwrocie: Allie i Isabel, 1993: *Przeklute ucho Izzy*; Kat z tatą, 1995: *Kat jeździ na rowerze dwukółowym* itd.

Kat sprawdziła opis każdej fotografii i na ostatniej stronie znalazła to, czego szukała – zdjęcie, na którego odwrocie było napisane: Harrison Ferry, wrzesień 1997: *molo, 10*. Było ukryte pod zdjęciem Lolly (Ja, grudzień 1996: *Pierwszy śnieg*) stojącej pod drzewem w granatowej puchowej kurtce, ze śniegiem we włosach. W wyrazie jej twarzy Kat dostrzegła zadziwienie, radość i tajemniczość.

Harrison Ferry.

Powinnaś postąpić zgodnie z tym, co uważasz za słuszne, a wszystko, co musisz zrobić, to w siebie uwierzyć – pomyślała. Poszła do swojej sypialni i włączyła laptop. Harrisona Ferry’ego łatwo było znaleźć. Wystarczyło wpisać nazwisko w wyszukiwarkę Google. Tak natrafiła na wybitnego profesora astronomii w Bowdoin College w Brunswicku, czterdzieści pięć minut drogi samochodem stąd. Bez trudu znalazła również jego adres mejlowy w college’u, kliknęła ikonkę „napisz wiadomość”, jako temat wpisała „Lolly Weller” i napisała tekst.

Szanowny Panie Ferry,

przed piętnastu laty znał Pan moją matkę, Lolly Weller. Teraz ona umiera na raka. Jak mi ostatnio powiedziała, kiedyś kochała i straciła mężczyznę, i szczerze żałuje, że wyrzekła się uczucia do niego z bardzo skomplikowanych powodów. Nie mam pojęcia, ile czasu jej zostało, ale wiem na pewno, że niektóre sprawy nie muszą być skomplikowane. Sądzę, że mojej matce byłoby lżej na sercu, gdyby jeszcze raz w życiu mogła się z Panem spotkać, potrzymać Pana za rękę lub po prostu spojrzeć Panu w oczy i powiedzieć, jak bardzo jej żal tej miłości. Sądzę, że znaczyłoby to dla niej bardzo wiele. Proszę mi wybaczyć, że zakłócam Pański spokój. Ze zrozumieniem przyjmę brak odpowiedzi z Pana strony.

Z poważaniem

Kat Weller

Ze łzami w oczach kliknęła ikonkę „wyślij”, nie wiedząc, czy otrzyma odpowiedź. Ale była absolutnie pewna, że słuszną rzeczą jest prosić. Czasami nie można było zrobić nic więcej.

– Kat, wyrzucę ten twój telefon przez okno – zagroził Oliver, piorunując ją spojrzeniem.

Stała w kuchni, zamierzając dodać ostrej musztardy do gorących kanapek z pastrami i nie wypuszczając z ręki swojego iPhone’a, jak w ciągu czterech ostatnich dni. Był piątkowy wieczór, ale Lolly czuła się tak źle, że Kat, Isabel i June przesunęły wieczór filmowy na nieokreślony termin, dopóki nie nastąpi poprawa.

Kat czekała na odpowiedź Harrisona Ferry’ego i obsesyjnie sprawdzała przychodzące do niej mejle.

– Może umarł – powiedziała wczoraj June, gdy Kat oznajmiła, że jeszcze nie odpisał. – Niestety, ciągle ktoś umiera.

– Zawsze tak było – szepnęła Isabel.

Po tej krótkiej rozmowie, kiedy Kat zgasiła światło i okryły się kołdrami, zasnęła z ciężkim sercem. Uznała jednak, że na pewno natrafiłaby na informację o śmierci wybitnego astronoma, gdy szukała w internecie wiadomości na temat Ferry’ego.

– Po prostu czekam na wiadomość od kogoś – wyjaśniła Oliverowi, wkładając komórkę do kieszeni i biorąc słoik z musztardą.

Oliver skrzyżował ręce na piersi.

– Od kogo? Od Mattea? – spytał.

– Oliverze! – obruszyła się.

– Słucham?

– Nie. Nie od niego. Ja...

Nie chciała mu powiedzieć. Nie powiedziała mu o wyznaniu matki dotyczącym jej romansu i jego rzekomych następstw. Nie była pewna, dlaczego to zrobiła. Może dlatego, że nasunęłoby mu to jakieś skojarzenia z Mattem?

– Kat, ty przez cały czas sprawdzasz swój telefon – ciągnął temat.

– Oliverze, zjedzmy kanapki, zanim pastrami wystygnie.

– Zimne będzie dobre. Chciałbym teraz porozmawiać.

Straciła apetyt.

– A ja nie. Proszę, zostawmy ten temat.

– Nie, Kat. Chcę wiedzieć, od kogo masz dostać wiadomość.

– Ma związek z matką. To wszystko, co chcę powiedzieć na ten temat.

– Jaki związek?

– Powiedziałam przecież, że nie chcę o tym rozmawiać.

– A więc teraz mamy przed sobą jakieś tajemnice, Kat?

– Oliverze, dość. Jesteś...

– Jestem jaki? Śmieszny? Władczy?

– Tak.

– Od kogo masz dostać wiadomość?

Zostaw mnie samą! – miała ochotę krzyknąć, ale nagle zdała sobie sprawę, że on nie tyle

chce poznać nazwisko nadawcy, ile dowiedzieć się, czy ona mu bezgranicznie ufa. Chciał się upewnić, że Kat kocha go ponad wszystko, ponad komplikacje i tajemnice. Pragnął być jej zaufaną osobą, do czego ostatnio nie dopuszczała, bo takimi osobami stały się dla niej Isabel i June. To do nich się zwracała, gdy wszystko się rozlatywało. To im ze wszystkiego się zwierzała. Teraz potrzebowała ich jak powietrza.

Oliverze, przykro mi, ale po prostu nie chcę ci tego powiedzieć – pomyślała. Musiała jednak jakoś zaspokoić jego ciekawość, jeśli mieli przebrnąć przez ten obiad.

– Wysłałam mejla do dawnego przyjaciela matki, którego znała przed wypadkiem. Napisałam mu, że jest... ciężko chora i na pewno by się ucieszyła, gdyby zechciał ją odwiedzić.

Oliver utkwiał w niej spojrzenie.

– I nie mogłaś mi tego powiedzieć, ponieważ...? – spytał, podszedł do niej i objął ją za szyję.

Wzruszyła ramionami.

– Oliverze, ostatnio ogarnia mnie jakieś wariactwo. To wszystko, co mam do powiedzenia – wykręciła się.

Usiedli do stołu, żeby zjeść pastrami z piklami, które, jak sądziła Kat, poprawi jej nastrój. Niestety, czuła w ustach tylko kwaśny smak marynowanych warzyw. Nie mogła pozwolić na to, by oładnęła nią obsesja. Prawdopodobnie Ferry się nie odezwie. Zresztą nie wiedziała nawet, czy chce go poznać. Ale w tym momencie jego odpowiedź stała się najważniejszą sprawą w jej życiu. I była najważniejsza, bo od tego zależał spokój serca Lolly.

Rozdział 19

Isabel

Isabel ciągnęła po chodniku wózek wypełniony różowymi, białymi i czerwonymi piwoniami w plastikowych doniczkach, które kupiła w małej szklarni, wyobrażając sobie wielkie kolorowe plamy zdobiące białą werandę. Ciotka uwielbiała piwonie i chętnie siadywała z poranną herbatą na wiszącej na werandzie huśtawce, jeśli tylko była w stanie, lub po prostu wśród kwiatów. Często rano siedziały tu objęte i Isabel opowiadała Lolly o tym, co wydarzyło się w pensjonacie, o wczasowiczach i rezerwacjach, a także o różnych zabawnych epizodach ze śniadania.

W ciągu ostatnich kilku dni po powrocie ze szpitala Lolly prawie nie opuszczała domu, ale dziś rano wyszła z Isabel na dwór i oświadczyła, że jest dumna z jej sposobu zarządzania pensjonatem, jakby przeznaczeniem siostrzenicy było tu wrócić i kierować Gospodą Trzech Kapitanów. Gdy Isabel stwierdziła, że ona też tak uważa, w oczach ciotki pojawiły się łzy. Isabel i Lolly uściśniły się z uczuciem, którego nigdy dotąd nie uzewnętrzniały. Potem ciotka zaczęła mówić o piwoniach. Tęsknym głosem wyznała, że byłoby wspaniale, gdyby Isabel je posadziła. Jakby budziły w niej jakieś wspomnienia. Dlatego po powrocie do domu Isabel, zadzwoniła do szklarni. Chciała sprawić, żeby na twarzy ciotki pojawił się uśmiech.

Zatrzymała wózek i poprawiła kilka kosmyków włosów, które wymknęły się spod gumki w jej końskim ogonie. Wciągnęła powietrze przesycone roznoszonymi przez wiatr zniewalającymi zapachami kwiatów, skoszonej trawy i morza i ruszyła w dalszą drogę. Zbliżając się do pensjonatu, zobaczyła na werandzie siedzącego na huśtawce mężczyznę w okularach przeciwsłonecznych. Czyżby zapomniała o tym, że dziś miał się zameldować jakiś wczasowicz? Tego ranka bieżące sprawy w pensjonacie załatwiła Kat, ale było za wcześnie na przyjmowanie nowych gości. Może jednak Kat...

Mężczyzna wstał i podszedł do schodów. O Boże, to był Edward.

– No! No! – zawołał na jej widok, zdejmując ciemne okulary. – Wyglądasz pięknie, opalona i zrelaksowana. Miło cię widzieć.

Zauważyła, że uważnie jej się przygląda, zwracając uwagę na nowe uczesanie, haftowaną bawełnianą bluzkę, wytarte džinsy i czerwone Mary Janes na płaskim obcasie, a także na wózek z kwiatami, który ciągnęła. Nie miała na sobie niczego, co włożyłaby dawna Isabel. A więc Edward przyjechał. Zalała ją fala wspomnień. Ma szesnaście lat i potrafi godzinami patrzeć mu w oczy, ciemne jak czekolada, czasami nic nie mówiąc. Siedzą na tej werandzie na huśtawce albo opierają się o białą drewnianą balustradę i trzymają się za ręce, są zjednoczeni w sposób, który daje jej poczucie bezpieczeństwa. Dotychczas zawsze bała się przywołać w pamięci tamtą dziewczynę, obawiając się, że znowu wyczaruje ją w sobie. Teraz jednak po prostu jej współczuła.

– Co cię tu sprowadza? – spytała, zdając sobie sprawę, że w jej głosie nie ma gniewu.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś o Lolly? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Nie wiedziałem, że jest tak chora.

Isabel weszła na werandę i usiadła na huśtawce, a on oparł się o balustradę. Trzymał głowę tak blisko wiszącej doniczki z fiołkami afrykańskimi, że fioletowy płatek zdawał się

wyrastać z jego ucha.

– Jak się o tym dowiedziałeś? – spytała.

– To małe miasto – odparł. – Brat do mnie zadzwonił, gdy od kogoś usłyszał. Przykro mi, Izzy.

– Przejechałeś taki kawał drogi, by powiedzieć, że jest ci przykro? – Isabel pochyliła się, chcąc równo ułożyć leżące na wiklinowym stole obok huśtawki foldery reklamujące region Boothbay, bo było jej trudno patrzeć na tego mężczyznę, którego tak długo kochała i który całkowicie zmienił jej życie.

– Tak, oczywiście – potwierdził. – Lolly wiele dla mnie znaczy. Wiesz o tym.

– Edwardzie, ciotka jest bardzo słaba i nie wiem, czy będzie w stanie cię przyjąć, ale powiem jej, że przyjechałeś – oświadczyła.

Skinął głową, odwrócił się i spoglądając na port, poinformował ją:

– Rozważam wzięcie ślubu z Carolyn. Chcę, abyś wiedziała, że... że to naprawdę nie był jakiś wyrachowany romans.

– Czy to ma mnie... – przerwała, bo jakie to miało teraz znaczenie? Nie było o co się kłócić. Już z tym wszystkim skończyli, na tyle, na ile się dało.

– Chcę również, byś wiedziała, że rozumiem, jak to odebrałaś... że zakochałem się w kobiecie, która ma dziecko – ciągnął. – Zdaniem mojego terapeuty musiałaś to odczuć jak podwójną zdradę. Ale nie planowałem zaangażowania się w życie jej córki. To była odrębna sprawa, a przynajmniej powinna być.

Tylko w wyobraźni Isabel pokręciła głową. Powstrzymała się też od triumfalnego uśmiechu wyrażającego przekonanie, że to, co Edward zrobił, nie miało sensu.

– Och, a więc do Carolyn dotarło, że nie zamierzasz być przybranym tatusiem jej córki i z tobą skończyła? Powiedziała ci, że zawiera z tobą umowę związaną? – spytała i dodała bezgłośnie: Dobra robota, Carolyn. – Czy tak? – Teraz Isabel zrozumiała, dlaczego nagle Edwardowi chciało się jechać sześć godzin samochodem; jego życie było w rozsypce.

Skinął głową i utkwiał wzrok w podłodze.

– No cóż, Edwardzie, domyślam się, w jaki sposób dowiesz się prawdy, czy rzeczywiście kochasz Carolyn. Bo jeśli tak jest, nie odejdziesz od niej – powiedziała i dodała w myślach: Jak oszedłeś ode mnie.

Jej niewypowiedziane słowa wisiały między nimi w powietrzu. Jednak znała męża na tyle długo, by wiedzieć, że je usłyszał.

– Chcę również, byś wiedziała, że jest mi przykro, Iz, z powodu wszystkiego, co się stało – oznajmił skruszony. – Przez bardzo długi czas byłaś moją najlepszą przyjaciółką i jest mi... trudno przystosować się do życia bez ciebie, jeśli nawet związałem się z kimś innym, choć pewnie brzmi to śmiesznie.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała ugodowo. – Na początku było mi bardzo trudno żyć bez ciebie, ale dowiedziałam się o sobie ważnych rzeczy, bardzo dobrych rzeczy. Lubię życie, jakie mam tu teraz. Bardzo lubię.

– Cieszę się, że... Wiem, co masz na myśli. Po prostu się cieszę, że jesteś szczęśliwa – oznajmił.

Jestem szczęśliwa – nagle to sobie uświadomiła. Cudowny powiew wiatru zwichrzył jej włosy i uniosła podbródek, wystawiając twarz na ten przyjemny dotyk powietrza.

Edward usiadł obok niej i położył ręce na udach. Podobnie jak ona, nie miał na palcu obrączki.

– Wiem, że podpisałaś papiery rozwodowe, które ci przysłał mój adwokat. A więc za dwa miesiące nadejdzie ten moment – powiedział i zerknął na nią. – Po piętnastu latach. Za

odszkodowanie, które otrzymasz za rozwód, będziesz mogła wybudować przeszkloną werandę z tyłu pensjonatu, o której Lolly zawsze mówiła. A potem kilka innych.

– Edwardzie, gdybym miała w ręce kieliszek, wzniosłabym toast za twoją przyszłość – zrewanżowała się, a jeszcze w sierpniu rozbiłaby ten kieliszek na jego głowie.

Zerknął na nią.

– Widać, że pobyt tu naprawdę ci służy, Iz. Nie spodziewałem się po tobie takiej filozofii zen.

Miała ochotę powiedzieć mu, co może sobie zrobić z tą pochwałą, ale tylko grzecznie się uśmiechnęła.

Wstał i podszedł do balustrady. Znowu spojrzął na port.

– Tęsknię za tym widokiem – wyznał. – Zapomniałem, jaki to balsam dla duszy. – Odwrócił się do Isabel z rękami w kieszeniach i dodał: – Wystawię dom na sprzedaż. Możesz wziąć z niego, co zechcesz.

– Pojedziemy tam z June w przyszłym tygodniu, kiedy będzie miała wolne – zapowiedziała. – Są w tym domu rzeczy, które bardzo chciałabym zabrać do pensjonatu. Wszystko, co cię nie interesuje, możesz wystawić na sprzedaż wraz z posiadłością.

Skinął głową.

– Zawsze lubiłem to miejsce, mimo że ty na jakiś czas je znienawidziłaś – wyznał.

Zszedł po schodach do samochodu, a gdy wsiadł, odwrócił się do Isabel i spojrzął na uroczy taras na pierwszym piętrze i szyld z nazwą GOSPODA TRZECH KAPITANÓW oraz z sylwetkami trzech żeglarzy.

– Cieszę się, że tu wróciłaś – powiedział.

Ja też – pomyślała i zawołała na pożegnanie:

– Wszystkiego dobrego, Edwardzie! – To były szczerze słowa.

Nasunął okulary na oczy i położył ręce na kierownicy swego czarnego mercedesa.

Gdy odjechał, Isabel zdała sobie sprawę, że wciąż nie wie, kto wsunął jej pod drzwi domu anonimowy list. Ktoś dla niej przyjazny, o kim nie wiedziała.

Dwa dni po wizycie Edwarda, który wkrótce miał się stać jej byłym mężem, Isabel uczyła w kuchni pensjonatu Alexę Dean, jak się robi naleśniki. Alexa, uczennica szkoły średniej, pokłóciła się z koleżanką na zajęciach fakultatywnych z gotowania. Z tego, co mówiła, wynikało, że koleżanka uznała jej francuski tost za „grubiański jak ona”, za co ta rzuciła jej w twarz garść cukru. Dziewczyna nie pozostała Alexie dłużna i obrzuciły się nawzajem różnymi produktami spożywczymi. Obie zostały na dzień zawieszona i musiały odrobić lekcję, czyli przygotować i podać francuskie tosty i naleśniki wszystkim uczniom w klasie. Poza tym Alexa została zobowiązana do zaliczenia po lekcjach sześciu półgodzinnych sesji z psychologiem szkolnym na temat poszukiwania lepszych rozwiązań sytuacji konfliktowych niż rzucanie w kogoś cukrem i sposobów rozładowywania gniewu.

Zdaniem Alexy jej francuski tost rzeczywiście był „absolutnie grubiański” i wołała usmażyć naleśniki. W związku z tym poprosiła Isabel, by nauczyła ją robić te francuskie, cienkie, które jadła w pensjonacie, i bardzo jej smakowały. Isabel zdobyła tę umiejętność dzięki Kat. Dziś rano na śniadaniu wczasowicze poprosili o dokładkę, jeśli nie sprawi jej to kłopotu, tak pyszne były podane przez Isabel naleśniki z truskawkami, bitą śmietaną i czekoladą. Oczywiście nie był to dla niej żaden kłopot. Uwielbiała robić na śniadanie dla wczasowiczów zarówno wykwintne, jak i proste domowe dania i parzyć dla nich herbatę i kawę. Isabel dogadzała innym. Kto by pomyślał?

– Zgadnij, co mi się dziś przydarzyło? – zagadnęła Alexa, mieszając w metalowej misce mąkę, jajka i mleko.

Stały przy stole pośrodku kuchni, w radiu śpiewała Norah Jones, a w ogrodzie Charlie rzucał Szczęśliwcowi patyki. Isabel bardzo się podobał widok Alexy w tej kuchni, nastolatki ubranej w dżinsy i T-shirt z długimi rękawami, który ozdobiła splątanymi długimi naszyjnikami. Dziewczyna miała opadające na plecy ciemne błyszczące włosy, niemal tego samego koloru, co włosy ojca.

– Poradziłaś sobie z testem? – spytała Isabel.

– Dostałam czwórkę z plusem za wypracowanie na temat powieści Betty Smith, *A Tree Grows in Brooklyn*. – Alexa wskazała dłonią miskę i spytała: – Czy ciasto jest już dobrze wymieszane?

Isabel zerknęła do miski.

– Doskonale. Bardzo się cieszę z twojej oceny – oznajmiła. Gdy dodały pozostałe składniki i przygotowały patelnię, powiedziała: – Uwielbiałam tę książkę.

Alexa nalała trochę ciasta na patelnię z roztopionym masłem.

– Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że zapisałam się do komisji Opieka Szkolna? – zagadnęła. – To jest grupa uczniów przydzielonych do pomocy dzieciakom z problemami. W szkole mamy dziewczynę, Micheline – czy to nie jest najfajniejsze imię na świecie? – której rodzice właśnie powiedzieli, chyba wczoraj, że się rozstają i będą do rozwodu mieszkać w separacji. I po mojej sesji „jak radzić sobie z wściekłością”, psycholog zaproponował mi, żebym zaczęła doradzać Micheline, jak w tej sytuacji powinna postępować. Spotkałyśmy się dziś w czasie lunchu, wyszłyśmy na dwór i usiadłyśmy w ustronnym miejscu. Przegadałyśmy prawie godzinę. Myślę, że dzięki temu poczuła się lepiej.

Isabel wytłumaczyła jej, jak odwrócić naleśnik, żeby się nie przypalił, i uściśniła ją.

– Postąpiłaś fantastycznie – pochwaliła Alexę. – Z pewnością tego dnia dziewczyna wreszcie poczuła się inaczej, a może nawet w całym swoim dotychczasowym życiu.

Alexa się rozpromieniła.

W krótkim czasie usmażyły tuzin naleśników gotowych do nadziewania i polewania.

Alexa wskazała dłonią fartuch Isabel.

– Chyba cię pobrudziłam. Masz ciasto nawet we włosach – zauważyła.

– Takie powinno być gotowanie – stwierdziła Isabel. – Można się przy tym ubrudzić.

Alexa uśmiechnęła się. To był doprawdy piękny widok. Isabel uważała, że córka Griffina będzie wspaniałą dziewczyną, choć zanim to się stanie, może minąć trochę czasu.

– Miałaś rację, uznając, że pomaganie innym, którzy przechodzą przez to, przez co ty przeszłaś i nadal przechodzisz, jest czymś dobrym – pochwaliła Alexę ponownie. – I że jest to dobre; ja na przykład lubiłam być tą mądrą. Wiesz, co mam na myśli?

– Doskonale – potwierdziła.

Mimo tego, co ostatnio wydarzyło się między nią i Edwardem, pomógł jej, gdy rozpaczliwie potrzebowała pomocy, w czasach, kiedy odwróciła się od swojej rodziny. Za to zawsze będzie mu wdzięczna. Cieszyła się, że będzie też miała dobre wspomnienia z nim związane, oprócz tych złych, z ostatniego okresu.

Przez następną godzinę rozmawiała z Alexą o wszystkim – od powieści *A Tree Grows in Brooklyn* po skłonność przejawianą przez nastoletnich chłopaków do pociągania dziewczyn za ramiączka biustonoszy i uciekania ze śmiechem. Zjadły razem naleśniki, które nadziały truskawkami, morelami i czekoladą, popijając mrożoną herbatą.

Isabel mogłaby jeszcze spędzić z nią kolejną godzinę, ale usłyszała, jak pod drzwiami Kat mówi:

– Proszę tędy.

Do kuchni weszła nieznajoma kobieta.

– Cześć, mamó – powitała ją Alexa i oznajmiła: – Pójdę tylko pożegnać się ze Szczęśliwcem. Zaraz będę z powrotem.

Gdy dziewczyna wyszła tylnymi drzwiami do ogrodu i podbiegła do psa, Charlie dał jej patyk, żeby rzuciła kundelkowi. Isabel i matka Alexy obserwowały przez okno, jak Szczęśliwiec biegnie za patykiem, a Alexa śmieje się radośnie.

– Jak to miło w końcu panią poznać – powiedziała Isabel. Przedstawiła się i podała rękę matce Alexy, atrakcyjnej brunetce o imieniu Valerie, byłej żonie Griffina.

– Mam pani za co dziękować – odwzajemniła się Valerie. – Alexa dużo mi opowiadała o pani i o waszej rozmowie. Naprawdę jej pani pomogła przejść przez to wszystko.

Isabel uśmiechnęła się.

– Kiedyś byłam do niej bardzo podobna – oznajmiła. – Będzie w porządku.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję – powtórzyła Valerie.

Gdy Alexa wróciła z ogrodu, wzięła pudełko z odłożonymi naleśnikami i matka z córką pożegnały się z Isabel, która czuła, jak rośnie jej serce.

W środę wieczorem Isabel i Griffin mieli jego dom tylko dla siebie. Bardzo jej się spodobał ten pełen zakamarków jednopiętrowy kamienny domek z tablicą informującą, że został wzniesiony w latach trzydziestych XIX wieku. Z zachwytem obejrzała przestronne pokoje, a w salonie podziwiała wielki kamienny kominek i wbudowane w ścianę półki na książki. Pokój Emmy wyglądał schludnie. Na znajdującym się przy łóżku okrągłym wyplatany różowo-fioletowym dywanie leżały kolekcja pluszowych chomików, książeczka do kolorowania i pudełko kredek. W pokoju Alexy natomiast panował bałagan, mimo to bardzo się Isabel podobał. Na łóżku kłębiły się swetry, a na ślicznej toaletce z żelaza pomalowanego na biało leżały kosmetyki. Za ramę dużego okrągłego lustra dziewczyna wsunęła zdjęcie ojca, siostry i swoje.

Cudownie było być w tym domu, z tym mężczyzną. Przed kilkoma miesiącami nie czuła, by przynależała do jakiegoś miejsca, a teraz w Gospodzie Trzech Kapitanów miała dom i rodzinę, prawdziwą rodzinę. Poza tym między nią i Griffinem powstała jakaś czarodziejska więź. Razem ugotowali obiad – makaron z groszkiem i pancettą w różowym sosie śmietanowym, do tego mieli pyszny chleb kupiony przez Griffina we włoskiej piekarni i wino. Jedząc, dużo rozmawiali, ale przede wszystkim romansowali. Po obiedzie usiedli na kamiennych schodach domu i spoglądali na zatokę. Z tego miejsca w okolicy portu widać było sylwetkę stojącego na wzgórzu pensjonatu ciotki Lolly.

– Czasami tu siadam i spoglądam na wiatrowskaz – powiedział Griffin, dotykając udem jej uda. – Widząc go, czuję się z tobą połączony.

Isabel była zbyt szczęśliwa, żeby mówić. Dlatego w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła, wzięła go za rękę i położyła ją na swoim udzie. Griffin przysunął usta do jej ust i namiętnie ją pocałował. W odpowiedzi objęła go i odwzajemniła ten pełen słodczy pocałunek.

Gdy się odsunęła, Griffin wziął ją za rękę i przez salon i hol zaprowadził do sypialni. Pamiętała, jak sprzątała jego pokój w pensjonacie, zmieniała pościel, wdychając zapach męskich kosmetyków, którym przesiąkła poszewka na poduszkę i zastanawiając się, jak by się czuła z Griffinem w łóżku, pod nim i na nim... W ciągu kilkunastu minut się tego dowiedziała. Wszystko, co się wydarzyło, zgadzało się z jej fantazjami.

Kiedy następnego dnia siedziała przy małym stoliku w pokoju zabaw na oddziale dziecięcym Coastal General Hospital i grała w węże i drabiny z czteroletnią pacjentką, której zmęczona matka poszła na kawę, potrafiła myśleć tylko o tym, że kiedyś też będzie miała dziecko. Może własne, może adoptowane, kogoś, kogo będzie mogła kochać i się nim opiekować. Wiedziała, że będzie dobrą matką. Nie wątpiła w to ani przez moment, ale nie

dlatego, że w ciągu ostatnich kilku tygodni dwukrotnie powiedziała jej to siostra przełożona. Nie dlatego też, że to samo powiedział jej na spacerze Griffin, na który w końcu się wybrali tego wieczoru, gdy pokonała niechęć okazywaną jej przez Alexę. (Od tamtego czasu zaliczyli już kilka spacerów). Wiedziała o tym, gdyż umiała kochać, czuć w nocy w szpitalu przy łóżku ciotki, kiedy Lolly znalazła się tam z powodu zagrażającej jej życiu infekcji. Gdy potrafiła ze ściśniętym sercem trzymać wtedy w objęciach przerażoną stanem zdrowia matki Kat, swoją kochaną kuzynkę, a także w trudnych chwilach dodawać otuchy June i okazywać przywiązanie Pearl. Naprawdę kochała te wszystkie osoby, a wiedziała, że chcąc być matką, przede wszystkim to musi umieć. Jeśli się kocha ludzi, to wszystko inne z tego wynika.

Gdy wychodziła z oddziału po swojej zmianie, zatrzymała się przed wielką szybą sali noworodków, aby nacieszyć widokiem maleńkich twarzyczek okolonych białymi czapczkami i ciałek okrytych kocykami w paski. Zaledwie dwa miesiące temu stała tu ze łzami w oczach, nie wiedząc, kim jest.

Uśmiechnęła się do Putter.

– Ty decydujesz o tym, kim jesteś – powiedziała do śpiącej dziewczynki. – Nigdy nie pozwól nikomu, żeby ci mówił, kim jesteś.

Wieczorem zajrzała do pokoju ciotki, która spała, choć nie było jeszcze wpół do ósmej. W okresie między infekcją a drugim cyklem chemioterapii, na który w końcu została zakwalifikowana, Lolly czuła się tak wyczerpana, że chodziła z coraz większym trudem. Poruszała się w chodziku i chętnie siadała przed panoramicznym oknem w swojej sypialni, które wychodziło na ogród. Uwielbiała stamtąd obserwować, jak Charlie rzuca Szczęśliwcowi patyki. Kiedyś wybuchnęła śmiechem, gdy patyk upadł na stos zagrabionych przez Kat liści, które natychmiast wzbiły się w powietrze i poderwane przez podmuch wiatru pięknie zawirowały, mieniąc się różnymi odcieniami czerwieni, żółci i pomarańczy. Pies szczekał, a chłopiec kręcił się dokoła z uniesionymi rękami, kiedy spadał na niego deszcz zeschniętych liści.

Kat siedziała na szezlongu, który przed kilkoma tygodniami wniosła wraz z kuzynkami do sypialni Lolly, gdy postanowiły na zmianę czuć przy chorej poza godzinami pracy pielęgniarki. Na szezlongu leżał blok rysunkowy i ołówki, a Kat szkicowała tort weselny. Czyżby na swoje wesele? W tych dniach niewiele mówiła o Oliverze i Matteu. Wszelkie dociekania zbywała pytaniem:

– Masz może ochotę na *scone* z cynamonem?

Isabel i June nie pytały więc o jej sprawy osobiste. Isabel była pewna, że jakkolwiek Kat podejmie decyzję, zrobi to ze słusznego powodu, co liczyło się najbardziej.

Do domu zajrzała Pearl i oznajmiła, że przyszła, aby przez godzinę posiedzieć przy Lolly. Isabel i Kat uścisnęły ją i poszły do salonu, gdzie June zbierała z podłogi okruchy krakersów i kawałki sera pozostałe po posiłku wczasowiczów. Isabel i Kat pomogły jej posprzątać, a potem zajęły swoje ulubione miejsca, choć od kilku tygodni nie oglądały tu filmów.

Isabel spojrzała na kolekcję płyt DVD, wśród której filmy z udziałem Meryl Streep zajmowały całą półkę.

– Dziś rano Lolly powiedziała mi, że w piątek chce obejrzeć *Pożegnanie z Afryką* – oznajmiła, wstała z miejsca, wyjęła płytę z filmem i z powrotem usiadła na dwuosobowej kanapie.

Kat zaczęła płakać.

– Jest umierająca. Wiem o tym. To jej ulubiony film z Meryl, świętość, jak *Wybór Zofii*. Widziała *Pożegnanie z Afryką* tylko raz i kiedyś oświadczyła, że nie obejrzy tego filmu nigdy więcej, bo zbyt wiele dla niej znaczy. Jeśli chce go zobaczyć ponownie, to znaczy, że wie...

Isabel i June wstały z kanapy i usiadły na podłodze obok siedzącej na pufie Kat.

– Po prostu przechodzi przez trudny okres – przekonywała ją Isabel. – Znasz przecież Suzanne, która mieszka dwa domy stąd? Jej matka ma raka piersi. Zapadła na taką samą, co Lolly, infekcję i wyszła z niej. Jest po czterech cyklach chemioterapii.

– Ale moja mama umrze – powiedziała Kat. – Może nie w następnym tygodniu lub nawet miesiącu, ale, jak twierdzą lekarze, muszę się pogodzić, że to nastąpi w ciągu trzech miesięcy.

– Boże, jak można się z czymś takim pogodzić? – westchnęła Isabel, zamykając oczy.

– Musimy – oznajmiła June ze łzami w oczach.

Siostra uścisnęła jej dłoń.

– Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, że wstaję codziennie rano i nie widzę Lolly w przedpokoju, kuchni czy na werandzie. Ona jest tym miejscem – stwierdziła Isabel.

Kat spojrzała na nią.

– Będziesz tu wstawiała codziennie rano? – spytała.

– Tak, jeśli mnie zechcesz – odparła Isabel. – Niczego bardziej nie pragnę, jak mieszkać w Gospodzie Trzech Kapitanów i kierować nią. Uwielbiam to. Wszystko, co się z tym wiąże. Czy to nie jest zadziwiające? Nie mogłam się doczekać, kiedy skończę osiemnaście lat i wyprowadzę się stąd, a potem z wielką niechęcią przyjeżdżałam tu dwa razy w roku na święta. A teraz to miejsce jest moim azylem. Bardzo lubię zajmować się wczasowiczami, robić dla nich śniadania i współpracować ze stowarzyszeniami właścicieli pensjonatów, a nawet sprzątać.

– To bardzo wiele dla mnie znaczy – stwierdziła Kat. – A właściwie wszystko, bo dzięki temu będę mogła stąd wyjechać, nie martwiąc się o to, kto zajmie się pensjonatem. Sądzę, że matce by się nie podobało, gdyby był to ktoś obcy. I nigdy tego pensjonatu nie sprzedamy, prawda?

– Decyzja będzie należała do ciebie – oznajmiła June. – Ale nie chcę, żebyś go kiedykolwiek sprzedała. Wiem, że nie ma tu ze mnie wielkiego pożytku, ale ja też uwielbiam to miejsce. Będę pomagała w prowadzeniu pensjonatu, jeśli tylko pozwoli mi na to praca w księgarni.

– To będzie nasza wspólna decyzja – oświadczyła Kat. – Jeśli nawet matka zapisała pensjonat tylko mnie, w co wątpię. Nie zrobię niczego bez waszej zgody. To jest nasze miejsce. Nasze. Isabel podobało się brzmienie tego słowa.

Rozdział 20

June

Moja cioteczna babcia może niedługo pójść do nieba – powiedział Charlie Eleanor i Stevenowi Smithom, pokazując im w poniedziałkowe popołudnie budę dla Szczęśliwca. – To dlatego Szczęśliwcowi wolno spać w pensjonacie. Czasami lubi spać ze mną, ale kiedy indziej znajduję go przy Lolly, choć ona nie daje mu żadnych smakołyków.

– Czyli musi bardzo lubić twoją cioteczną babcie Lolly – stwierdziła ze współczuciem Eleanor.

– Chcecie zobaczyć sztuczki, jakie umie Szczęśliwiec? – spytał Charlie. – Przyjaciel mojej cioci Isabel jest lekarzem od zwierząt i nauczył go bardzo wielu rzeczy. – Zawołał do psa: – Daj łapę!

Szczęśliwiec wykonał komendę i dziadkowie Charliego pogłaskali psa w nagrodę.

Po popisach Szczęśliwca jeszcze innymi umiejętnościami poszli do salonu, gdzie Isabel, June i Kat podały przekąski, ciastka upieczone przez Kat z okazji wizyty Smithów, kawę i lemoniadę. Eleanor i Steven dostali na weekend Pokój pod Drozdem i byli podejmowani po królewsku. Z myślą o nich Isabel zrobiła śniadanie irlandzkie, którym byli podekscytowani, gdy zobaczyli je w karcie menu, a Kat upiekła swoje popisowe bułeczki *scone*. Uszczęśliwiony i przejęty ich wizytą Charlie przez cały czas z nimi rozmawiał. June podarowała im przewodniki po Maine, które kupiła w księgarni Bracia Books. Lolly wspaniale ich powitała, kiedy Kat przywiozła ją na krótko do ogrodu na wózku inwalidzkim. June i Charlie oprowadzili Smithów po mieście, odbyli z nimi wycieczkę po zatoce statkiem, gdzie wspólnie zjedli lunch, a potem zaprowadzili ich do pięknego ogrodu botanicznego. Przed siódmą, gdy zapadł zmierzch, June wypiła ze Smithami kawę, wraz z synem pożegnała się z nimi i umówiła na następne spotkanie za dwa tygodnie. Rodzice Johna odjechali, a ona i Charlie wrócili do pensjonatu.

Widząc, że Isabel gra z Charliem w salonie w Connect Four, poszła do pokoju Lolly. Zapukała i zajrzała do środka. Ciotka siedziała oparta na poduszkach i oglądała album ze zdjęciami, który trzymała na kolanach. Szczęśliwiec leżał przy niej, opierając łapę na jej nodze, a obok w fotelu siedziała Pearl i robiła na drutach. Za każdym razem, gdy June widziała ciotkę w tym szpitalnym łóżku, myślała o tym, jak bardzo Lolly schudła; od chwili postawienia diagnozy straciła jakieś piętnaście kilogramów. Straciła także dużo włosów i od jakiegoś czasu zakrywała głowę różnymi ślicznymi szalami. Poprawiła się na łóżku z wielkim trudem. Na ten widok June ścisnęło się serce. W ostatnich dniach Lolly miała tak mało siły, że w poprzedni piątek nie odbył się wieczór filmowy. June liczyła, że może uda się go zorganizować w najbliższy piątek. I chciała, by nigdy się nie skończył. Wszystkie, włącznie z Pearl, marzyły o tym, żeby usiąść przed telewizorem i oglądać Meryl Streep, która przeniesie je w inne miejsce, rozśmieszy i wycisnie z oczu łzy, zmusi do myślenia i zachęci do rozmowy. June pragnęła też przez cały czas rozmawiać z siostrą, kuzynką i ciotką.

Wyglądziła Lolly kołdrę.

– Ciociu, chciałam ci podziękować za dzisiejszy dzień. Wspaniale przyjęłaś Smithów – powiedziała.

– To dobrzy ludzie – odparła Lolly.

Pearl skinęła głową.

– Po prostu uroczy – stwierdziła.

– Słusznie postąpiłaś, June – uznała ciotka. – Że odnalazłaś ich dla Charliego.

Zachowałaś się nie tylko dzielnie, ale i właściwie. Czasami życie coś nam odbiera, ale daje coś innego, coś naprawdę wspaniałego.

– Jak wtedy, gdy straciłam rodziców, ale dostałam ciebie – szepnęła June, a w oczach Lolly pojawiły się łzy. Siostrzenica oparła głowę na jej ramieniu i wyznała: – Kocham cię, Lolly.

– Ja też cię kocham – powiedziała cichym głosem ciotka, zamykając oczy.

June pocałowała ją w policzek i posłała całusa Pearl. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, zalała się łzami, ale starała się nad sobą zapanować. Ciotka umierała. W salonie Charlie, podekscytowany, powiedział coś do Isabel. June otarła łzy, wzięła głęboki oddech i weszła do środka.

– Znowu wygrałeś! – zawołała Isabel, gdy Charlie wskazał dłonią cztery czerwone żetony w rzędzie. – Nie mogę cię pokonać.

– Możesz znowu spróbować jutro wieczorem – zaproponował rozpromieniony.

– Dzieciaczek idzie spać, co? – zasugerowała mu June.

– Och, czy mógłbym tu jeszcze zostać przynajmniej pół godziny? – spytał przekornie, uścisnął na dobranoc Isabel i poszedł pożegnać się z Kat, która rozmawiała w kuchni z Oliverem. Wszedł też do pokoju Lolly, pocałował ją w policzek i uścisnął Pearl. Na koniec objął psa, który przytulił pyszczek do jego twarzy.

– Bardzo, bardzo, bardzo lubię moich nowych dziadków – powiedział June, gdy szli do jego pokoju.

Było prawie wpół do ósmej. Pozostało trochę czasu na krótką opowieść przed snem, który był chłopcu bardzo potrzebny po tym cudownym, obfitującym w wydarzenia dniu.

Charlie włożył piżamę, umył zęby i wszedł pod kołdrę. June usiadła przy nim i sięgnęła po *Pajęczynę Charlotty*, którą mu ostatnio czytała. Wczoraj wieczorem ten miły obowiązek przejęli od niej Smithowie. Każde z dziadków przeczytało wnukowi jeden rozdział. W pewnej chwili June tak wzruszył ich widok, gdy siedzieli przy łóżku Charliego, szczęśliwi, jakby dostali największy dar od życia, że musiała wyjść na kilka minut z pokoju.

– Mamo, czy zamiast czytać, możesz mi o czymś opowiedzieć? – poprosił chłopiec. – Chcę usłyszeć, jak poznałaś tatę i dlaczego się polubiliście.

– To jedna z moich ulubionych historii – oznajmiła, pochylając się, by pocałować go w głowę.

„Czasami życie coś nam odbiera, ale daje coś innego, coś naprawdę wspaniałego”, powiedziała Lolly.

June przypomniała sobie te słowa, gdy wyszła na palcach z pokoju syna i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Dostała od życia wiele takich wspaniałości. Straciła rodziców, a otrzymała ciotkę Lolly. Straciła wielką miłość, a otrzymała Charliego. Straciła pracę i mieszkanie, a otrzymała miejsce w pensjonacie, pracę u Henry’ego i odzyskała Isabel, Kat i Lolly. Jej marzenie o stworzeniu rodziny z Johnem okazało się nierealne, ale odnalazła jego rodziców. Jej fantazja o życiu z nim, podtrzymywana przez siedem lat, rozplynęła się jak mgła, ale pojawiła się miłość Henry’ego Booksa. June uznała, że nadszedł czas, by powiedzieć mu, co czuje. Teraz jej serce było wolne, a umysł spokojny. Nie wiedziała, jakie konkretnie mają to być słowa, ale sądziła, że gdy spotka się z Henrym, znajdzie te właściwe.

Kilka dni temu natknęła się na Bean, kasjerkę z księgarni Bracia Books, od której się dowiedziała, że Henry przejął obowiązki June i codziennie zamyka księgarnię o ósmej wieczorem. Dlatego uważała, że zastanie go w pracy albo będzie mogła posłać po niego Bean do

łodzi. Po południu w księgarni zawsze panował zwiększony ruch, nawet teraz, gdy w mieście było znacznie mniej turystów niż w czasie długiego weekendu.

Kiedy zbliżyła się do księgarni, uświadomiła sobie, jak bardzo stęskniła się za tym miejscem, które zawsze dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Naciskając klamkę w kształcie maleńkiego kanu, poczuła radość i zadowolenie. Nad jej głową zadzwonił dzwonek. Księgarnia miała być lada moment zamknięta, ale wciąż było w niej całkiem sporo klientów.

Bean uśmiechnęła się do niej i wskazała dłonią zaplecze.

– Przyszłaś w samą porę na uroczystość – oznajmiła.

– Co świętujemy? – spytała June, ale nie doczekała się odpowiedzi, bo Bean zaczęła obsługiwać przy kasie klientkę.

Henry’ego nie było w gabinecie. June wyobrażała sobie, jak podchodzi do niego i go całuje. Jeśli oblewał doskonały utarg, to super. Wyszła tylnymi drzwiami na pomost i zobaczyła Henry’ego. Nie był sam. Obejmował Vanessę, a ona jego. June dostrzegła na jej palcu pierścionek z brylantem i znieruchomiała. Nie, nie, nie. Najwyraźniej zjawiała się za późno i Henry wrócił do Vanessy na dobre. Poczuła kamień w żołądku i ledwie mogła ustać na nogach. Zaczęła się cofać do drzwi, ale ubrana w seksowną czarną sukienkę i błyszczące zielone martensy Vanessa podeszła do niej.

– Jest cały twój – powiedziała z zimnym uśmiechem, przeciskając się koło niej do drzwi i trącąc boleśnie ręką w ramię.

Co?

June spojrzała na Henry’ego, który ją obserwował, ale nie ruszyła się z miejsca. Stała sztywno, jakby nogi wrosły jej w ziemię. Podeszedł do niej.

– A więc zaręczyłeś się z Vanessą? – spytała.

Roześmiał się jak z niestosownego żartu.

– Nie, ale ona zaręczyła się ze swoim mechanikiem – odpowiedział.

– Jak się wie, to się wie – skomentowała June, czując ulgę, że Henry nie oświadczył się Vanessie Gull i że nie przyszła za późno. – Zgadzam się z tym.

Spoglądał na nią zdumiony.

– Dobrze się czujesz, June? – zapytał.

Podeszła i objęła go za szyję, chcąc sprawdzić, jak zareaguje.

Henry też objął ją za szyję.

– Czuję się lepiej niż dobrze – odpowiedziała. – I jestem gotowa wrócić, jeśli mnie chcesz.

– Och, chcę – potwierdził z uśmiechem i spojrzał na nią z takim uczuciem, że nie mogła się oprzeć, aby położyć głowę na jego ramieniu.

Wylądowałam w środku dnia w łóżku z Henrym Booksem – pomyślała i uśmiechnęła się szeroko.

– Cała jesteś w uśmiechach? – stwierdził pytającym tonem Henry, pochylając się nad nią i całując jej obojczyk.

Rozkoszowała się jego opalonymi szerokimi ramionami i męską klatką piersiową, włosami, które wydawały się trochę za długie, i zmarszczkami à la Clint Eastwood wokół ciemnych oczu o skupionym spojrzeniu. Henry był piękny i seksowny, był wszystkim, o czym odważyła się fantazjować, a teraz znajdował się przy niej naprawdę.

– Po prostu wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jestem, że tu jesteście. Jak coś, co jest absolutnie słuszne, doskonałe i krzepiące można odbierać tak... magicznie? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Wiem, co masz na myśli – stwierdził.

Wczoraj wieczorem weszli do jego łodzi i w salonie zaczęli się całować jak szaleni, a potem Henry wziął June za rękę i zaprowadził do sypialni, gdzie nareszcie mogli pokazać, co do siebie czują, po tylu latach tłumienia namiętności.

Odwiózł ją do domu nad ranem, żeby była u siebie, zanim obudzi się Charlie. Była szczęśliwa, gdy o piątej weszła na palcach do sypialni, a Isabel i Kat natychmiast zasypały ją pytaniami, ciesząc się jej szczęściem. Owszem, właśnie tak wyobrażała sobie bycie z Henrym, a rzeczywistość nawet przerosła jej wyobraźnię.

Pojechała na dziewiątą do pracy i w księgarni niemal unosiła się w powietrzu, aż w końcu Bean stwierdziła:

– Jesteś z jakiegoś powodu szczęśliwa.

June roześmiała się. Jasne, że tak. Jej relacje z Henrym miały teraz urok nowości, czegoś, co się zaczyna i kojarzy z nieśmiałością, niepewnością, także słodyczą, mimo że istniały od dawna i dawały odprężenie, jakby June nie po raz pierwszy leżała obok niego naga. Poranek upłynął jej na robieniu ekspozycji książek pod hasłem: „Koniecznie musisz to przeczytać”, zapelnianiu półki pozycjami reklamowanymi sloganem: „Jeśli spodobała ci się ta książka, to na pewno polubisz też tę” i kreśleniu planów stworzenia przy księgarni klubu książki dla dzieci, ale ani na chwilę nie potrafiła zapomnieć o Henrym i spędzonych z nim godzinach. Miała ochotę do niego pobiec, lecz zdecydowała się poczekać do popołudnia, tak jak umówili się wczoraj, co, jak się spodziewała, skończy się w jego łóżku na łodzi.

O godzinie czwartej poszli razem na doroczny zjazd absolwentów szkoły średniej w Boothbay Harbor, w którym June nigdy dotychczas nie uczestniczyła. Miały zjawić się również Isabel i Kat (zawsze przychodziła tu z Oliverem), a także Marley z Kipem. Dlatego w końcu June zdecydowała się wziąć udział w zjeździe, a potem spotkać się na gorącej randce z Henrym. Teraz nie przejmowała się tym, co myślą o niej jej dawni szkolni koledzy, i weszła do sali z podniesioną głową.

Oczywiście gdy tylko się pojawiła, objęta ramieniem przystojnego Henry’ego, zobaczyła Pauline Altman i grono jej wielbicieli.

– Spójrzcie, to Juney Nash! – zawołała Pauline. – Dziewczyna, która pokonała mnie w walce o wygłoszenie mowy pożegnalnej na zakończenie szkoły, w końcu pokazuje się na naszym zjeździe.

Ta idiotka zawracała jej głowę przez te wszystkie lata. Patrząc na nią, June przewróciła oczami, uśmiechnęła się i pomachała Marley i Kipowi, którzy przytuleni tańczyli na parkiecie, a potem podeszła do baru, gdzie stały jej siostra i kuzynka. Isabel wyglądała bosko w bładożółtej portfelowej sukience z dżerseju, która z pewnością pochodziła z szafy kuzynki. Kat kręciła mieszadelkiem w swoim drinku i patrzyła w przestrzeń, a może była pogrążona w myślach? June nie wiedziała. Spostrzegła Olivera stojącego z grupą kolegów.

Gdy Henry poszedł po drinki, Isabel szepnęła do niej:

– Bardzo się cieszę, że widzę was razem.

Kat pokręciła mieszadelkiem.

– Rozmawiacie o zjeździe, co? My trzy, ty z Henrym Booksem, June. Wszystko jest tak, jak miało być, z wyjątkiem zdrowia mojej matki – powiedziała.

I mojego związku z Oliverem – June niemal usłyszała jej myśli, gdy Kat spojrzała na narzeczonego. W wyrazie twarzy kuzynki obserwującej Olivera zaśmiewającego się z czyjegoś dowcipu, nie dostrzegła miłości, ekscytacji i radości. Och, Kat – pomyślała. – Rozwiążesz swój problem i zrobisz to, co jest dla ciebie dobre. Wiem o tym.

Henry wrócił z drinkami, więc June stuknęła się kieliszkiem z Isabel i Kat i zawołała:

– Za rodzinę!

Potem stuknęła się z Henrym i dodała:

– Za miłość!

Nazajutrz po południu Charlie i Szczęśliwiec biegali po ogrodzie, a Lolly, June, Isabel i Kat jadły późny lunch, gratulując Isabel, która zameldowała dwie grupy wczasowiczów i usmażyła dla rodziny swoje słynne już krokiety ziemniaczano-serowe. Charlie, jak zwykle, zjadł cztery kęsy i pobiegł nakarmić psa, po czym położył się na kocu, gdzie leżał jego duży blok rysunkowy i pudełko kredek oraz zakreślaczy.

Lolly siedziała na wózku inwalidzkim. Miała dziś zarumienioną twarz i była w dobrym nastroju. Zjadła dwa krokiety z kwaśną śmietaną i mus jabłkowy, co należało uznać za dobry znak. Najwyraźniej apetyt jej dopisywał. June zjadła o wiele za dużo, ale krokiety były takie pyszne, że nie potrafiła sobie odmówić.

Charlie przybiegł do nich, trzymając w ręce spory arkusz żółtego papieru.

– Patrzcie – powiedział i uniósł papier, żeby wszystkie zobaczyły, co na nim jest. – Potrzebowałem większego, żeby wprowadzić zmiany w moim drzewie genealogicznym. – Dopisał ojca, dziadka, babcię i stryja, a także, obok Isabel, „Grifena, doktera od psów”, a obok June Henry’ego Booksa.

– Mam rodzinę, która jest strasznie duża – oznajmił rozpromieniony.

– To prawda – potwierdziła June, a za nią Isabel, Kat i Lolly.

Rozdział 21

Kat

Kat! Przysłał ci mejla! – pisnęła Isabel pierwszy raz w życiu.

Kat otworzyła oczy w ciemnej sypialni i zerknęła na budzik stojący na stoliku nocnym. Było wpół do szóstej. Słońce jeszcze nie wzeszło. Nakryła głowę poduszką.

Isabel zerwała poduszkę z jej głowy.

– Przysłał ci mejla! – powtórzyła.

– Co? Kto? – pytała nieprzytomna Kat.

Isabel była rozpromieniona.

– Przed chwilą usiadłam przy twoim biurku, żeby sprawdzić w internecie, jaka będzie dziś temperatura, i zajrzałam do twojej skrzynki mejlowej. Masz napisaną grubą czcionką wiadomość od Harrisona Ferry’ego! – wykrzyknęła.

Kat zrzuciła z siebie kołdrę i pospieszyła do biurka. Nawet nie usiadła, tylko pochyliła się, podobnie jak Isabel, nad laptopem i przeczytała wraz z nią wiadomość.

Droga Kat,

bardzo przepraszam, że tak długo nie odpowiadałem, ale jestem w tym semestrze na urlopie naukowym. Prowadzę badania do książki, którą przygotowuję. Oczywiście sprawdzam swoją skrzynkę mejlową na adres Bowdoin, ale w jakiś sposób Twój list trafił do spamu. Tak mi przykro z powodu Twojej matki. Przez te wszystkie lata nie było dnia, żebym nie pomyślał o Lolly. Chciałbym przyjechać jak najszybciej, skoro, jak piszesz, tak będzie w porządku. Mieszkam w Brunswicku, mogę wyruszyć stąd natychmiast.

Bardzo się cieszę, że się ze mną skontaktowałaś.

Z poważaniem

Harrison Ferry

Kat chwyciła Isabel w ramiona. Wymieniły spojrzenia i znowu się objęły.

– Przez te wszystkie lata nie było dnia, żebym nie pomyślał o Lolly – powtórzyła Kat zdanie z listu i omal nie zaczęła skakać z radości.

– Wydaje się bardzo miły – powiedziała Isabel. – Co za ulga.

Kat usiadła przy biurku i odpisała mu, że może przyjechać, kiedy mu odpowiada, nawet dziś lub jutro.

Odpowiedział po dwudziestu minutach i poinformował, że przyjedzie wieczorem.

Zaniosła matce śniadanie na tacy – jajecznicę i pieczywo tostowe na zakwasie, które Lolly bardzo lubiła, miseczkę z borówkami amerykańskimi i truskawkami oraz filiżankę herbaty rumiankowej. Dziś w nocy przy chorej czuwała June, która już nie spała. Siedziała na szeszlunku

i czytała jakąś grubą powieść, gdy Kat zajrzała tu przed godziną. Lolly była zbyt wyczerpana, by móc na wózku inwalidzkim zjeść śniadanie w kuchni i pogawędzić z członkami rodziny, więc dostała posiłek do łóżka.

– Mniam, mniam. Jak ładnie pachnie. Idę coś przekąsić – oznajmiła June i pocałowała ciotkę w policzek. – Mam nadzieję, że został jeszcze dla mnie bekon.

– O ile Charlie nie zjadł całego – odpowiedziała ze śmiechem Lolly. – Pędź.

Gdy June przechodziła obok łóżka, Kat szepnęła do niej:

– Isabel ma ci coś niesamowitego do zakomunikowania.

Słyszając to, June pospiesznie wyszła z sypialni ciotki.

Kat położyła tacę na udach matki i usiadła na skraju łóżka.

„Po prostu jej powiedz. Nie śpiewaj i nie tańcz, tylko powiedz”, przypomniała sobie zdanie powtarzane przez Lolly.

– Rzeczywiście wszystko wspaniale pachnie – potwierdziła matka, odgryzając kęs tostu.

– Mamo, będziesz miała dziś wieczorem wyjątkowego gościa – wyrzuciła z siebie Kat, zamykając oczy. Gdy z powrotem spojrzała na Lolly, ta zastanawiała się, co wybrać: borówkę czy truskawkę.

– Kogo?

– Harrisona Ferry’ego.

Matka wypuściła z ręki truskawkę i powiedziała z niedowierzaniem:

– Słucham?

– Wysłałam do niego mejla i przyjeżdża – poinformowała ją Kat.

– Wysłałaś do niego mejla i przyjeżdża? – powtórzyła Lolly i dodała: – Harrison tu przyjeżdża?

Kat skinęła głową i zebrała siły.

– Wie o raku? – spytała matka.

– Wie, mamo.

– Harrison przyjeżdża? – powtórzyła znowu Lolly i w jej niebieskich oczach pojawiły się łzy, zasłoniła usta dłonią i odwróciła głowę w stronę okien.

Przed wyjściem z pokoju June rozsunęła zasłony, za oknami było widać szare niebo i mżawkę.

Kat wstrzymała oddech, nie wiedząc, czy matka nie zacznie czynić jej wyrzutów z tego powodu, że skontaktowała się z Harrisonem samowolnie i wtrąciła w nieswoje sprawy, nie zasługując na zwierzenia.

– Postarasz się, żebym ładnie wyglądała? – poprosiła ku jej zaskoczeniu Lolly.

Kat odetchnęła.

– Zawsze wyglądasz ładnie, mamo – oznajmiła. – Ale postaram się, żebyś wyglądała oszałamiająco.

Lolly uśmiechnęła się tak, jakby przywoływała wspomnienia, i Kat zyskała pewność, że postąpiła słusznie.

W oczach Kat Harrison Ferry wyglądał jak starszy brat Pierce’a Brosnana, brat, który został profesorem. Był wciąż przystojny, choć zapewne zbliżał się do sześćdziesiątki, wysoki i szczupły, o ciemnych włosach przyprószonych siwizną, dystygowany, a zarazem zachowujący się swobodnie. Zjawił się z pięknym bukietem fioletowych irysów. Kat niewiele myślała o miłości matki i Harrisona sprzed piętnastu laty, którzy spotykali się, gdy ojciec z Kat wyjeżdżali na targi stanowe, tak jak w filmie *Co się wydarzyło w Madison County* mąż Franceski i ich dzieci. Jej matka kochała tego mężczyznę i to się liczyło.

Po przyjeździe Harrisona Lolly kazała przyprowadzić go do swojego pokoju, aby mogli

pobyć sami. Przez ostatnich kilka godzin Isabel, June i Kat zajmowały się Lolly, proponując jej różne szale na głowę i robiąc dyskretny makijaż. Nieznaczenie ją upudrowały, nałożyły na policzki odrobinę słonecznego różu, podmalowały rzęsy brązowym tuszem, skorygowały przeredzone brwi i musnęły skronie i szyję jej ulubionymi perfumami Chanel numer 19. Sypialnia Lolly nie wymagała dużo pracy, bo od kilku tygodni na bieżąco o nią dbały, starając się, by zawsze stały tu świeże kwiaty i cieszyła oko pościel, która miała wywoływać wspomnienie uwielbianego przez Lolly Atlantyku. Na ścianach wisiały pogodne obrazy i oprawione w ramki malunki Charliego.

Kat zaprosiła Harrisona Ferry'ego do salonu, podała mu szklankę wody mineralnej i pospieszyła do Lolly.

– Mamo, już przyjechał – powiedziała, zamykając drzwi sypialni.

Lolly wzięła głęboki oddech.

– Jestem gotowa – oznajmiła.

Kat skinęła głową i wróciła do salonu.

– Proszę pójść do jej pokoju – zwróciła się do mężczyzny. – W ostatnich dniach trudno jej chodzić.

Z bukietem w ręce Harrison Ferry ruszył za Kat do holu. Zostawiła go pod drzwiami i przystanąła za rogiem. Czowała, że serce podchodzi jej do gardła.

Usłyszała, jak matka gwałtownie wciąga powietrze, mówi cicho „Harrison” i zaczyna płakać. Nie miała wątpliwości, że Harrison Ferry usiadł obok niej na łóżku, wziął ją w ramiona i tak trzymał.

*

Przyjeżdżał do pensjonatu przez ostatnie dwa dni wieczorem, przywożąc Lolly książki, kwiaty i czekoladki, a także specjalny teleskop, przez który mogła oglądać z łóżka konstelacje gwiazd na niebie. I postanowił spędzić u nich weekend, aby dotrzymać jej towarzystwa. Kat niepokoiła się, że może jest żonaty i ma dzieci, choć oczywiście nie życzyła mu, by był sam, ale okazało się, że jakiś czas temu się rozwiódł. Ożenił się rok po rozstaniu z Lolly, lecz jego małżeństwo się nie utrzymało. Lolly czuła się przy nim szczęśliwa. Często miała ten sam tkliwy wyraz twarzy, co Isabel i June. Tkliwość z powodu szczęścia była mile widziana.

O wpół do pierwszej po południu Kat zastąpiła pielęgniarkę, która poszła na lunch, i wniosła do pokoju matki tacę z francuską zupą cebulową i kanapkami z grilla, z serem i pomidorami.

Lolly sięgnęła do szuflady niskiego stolika i wyjęła z niej kopertę.

– Kat, mam coś dla ciebie. To prezent – powiedziała.

– Mamo, nie musiałaś mi niczego kupować. Dałaś mi wszystko – stwierdziła Kat.

– Otwórz – poleciła Lolly.

W kopercie był bilet na samolot do Paryża na dowolny termin, tylko w jedną stronę i wyłącznie na nazwisko Kat.

Zaczęła się wpatrywać w tę kartkę papieru. Bilet naprawdę był w jedną stronę.

– Obserwowałam cię i uważnie słuchałam tego, co mówiłaś – zaczęła matka. – Mam świadomość, że nie zawsze byliśmy ze sobą blisko, ale znam cię. Znam i Kocham i chcę tylko, naprawdę chcę, żebyś była szczęśliwa.

Kat pochyliła się nad nią i lekko ją uściśniła, nie mogąc powstrzymać łez.

– Och, mamo – westchnęła.

– Nie podpowiadam ci, co masz zrobić. Jak powiedziałam, chcę tylko, żebyś była szczęśliwa – ciągnęła matka. – Ty zdecydujesz, czy oznacza to samotny wyjazd do Paryża na rok, a może nawet na zawsze, ślub z Oliverem, czy też bliższą znajomość z przystojnym

doktorem Violą. Ty zdecydujesz o czasie i warunkach, nikt inny, a już zwłaszcza ja.

Dziękuję, dziękuję, dziękuję – powiedziała Kat w myślach, a głośno wyznała:

– Kocham cię, mammo. – Pochyliła się nad matką i ponownie ją uściśniła, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

– Przyrzeknij mi tylko jedno – poprosiła Lolly.

– Mogę ci przyrzec wszystko – oznajmiła Kat.

– Że nie będziesz niczego żałować. To najgorsze uczucie, z jakim można zostać – stwierdziła matka.

Kat przepelniła taka miłość do matki, że nie mogła mówić. Po prostu trzymała ją za rękę.

– Przyrzekam, mammo. Nie będę niczego żałować. Niczego – oświadczyła, bo to ona sama miała dokonywać życiowych wyborów i zamierzała to respektować.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny – zakończyła rozmowę matka.

Kat położyła się przy niej, wciąż trzymając ją za rękę. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła wewnętrzny spokój.

*

Zawsze miała mocny sen. Nie przeszkadzał jej warkot kosiarki o świcie, rozmowy prowadzone wcześniej rano przez wczasowiczów, którzy siadali przy ogrodowych stołach i popijając herbatę, zżywieniem układali plany na kolejny dzień pobytu, cykanie świerszczy i szum wody pod prysznicami, a w pokoju chrapanie Isabel i klikanie myszką komputerową przez June, gdy ta poszukiwała ojca Charliego. Jednak ostatnio budziła się w nocy i zaczynała myśleć o Oliverze. Wciąż od nowa słyszała w myślach zadawane przez niego pytanie: „Chcesz wyjść za mnie za mąż czy nie?”. A potem pojawiała się zmysłowa twarz Mattea i słyszała jego propozycję przeprowadzki do Nowego Jorku, żeby mogli się przekonać, czy rzeczywiście coś ich łączy.

Właśnie minęła pierwsza w nocy, gdy Kat po cichu wstała z łóżka, by nie obudzić kuzynek, i mając dość rzucania się i przewracania z boku na bok, zeszła do salonu. Wzięła z półki jakąś powieść i czasopismo „Real Simple”, ale nie chciało jej się czytać, więc usiadła na pufie i zaczęła przerzucać kanały w telewizji. Nic jednak nie przykuło jej uwagi, toteż przejrzała płyty DVD matki z filmami i w przegródce poświęconej Susan Sarandon natrafiła na film *Julie i Julia*, włożony tam przez pomyłkę. Odwróciła pudełko z płytą i przeczytała opis. Zastanawiała się, jak mogła nie obejrzeć tego filmu, gdy wszedł na ekrany? Meryl Streep gra w nim młodą Julię Child, uczącą się w Paryżu gotować w szkole kucharskiej Le Cordon Bleu, a Amy Adams młodą Julie Powell, zagubioną emocjonalnie mężatkę z Nowego Jorku, która postanawia w ciągu roku wypróbować ponad pięćset przepisów podanych w książce Julii Child *Mastering the Art of French Cooking*.

Tematem filmu są te dwie prawdziwe historie.

Serce Kat podskoczyło. To był dla niej idealny film na dzisiejszą noc. Poszła do kuchni, zaparzyła sobie herbatę w dzbanku, wzięła ze stojącego na blacie pojemnika z napisem ZJEDZ MNIE cytrynową babeczkę – dziś upiekła ich całą blachę – wróciła do salonu i zajęła swoje tradycyjne miejsce na pufie.

Włączyła odtwarzacz i nagle znalazła się w powojennym Paryżu wraz z Julią Child, która, nie mając żadnego doświadczenia w gotowaniu, zapisała się do słynnej szkoły kucharskiej, by poznać tajniki kuchni francuskiej, „otworzywszy swoją duszę”. I znowu Meryl tak ożywiła na ekranie postać Julii Child, że Kat zapomniała, iż ogląda aktorkę grającą w filmie, a nie prawdziwą Julię. Widziała Paryż, miasto światła i marzeń, niczego tak nie pragnąc jak rzeczywiście się tam znaleźć, a nie wyjść za mąż, zamieszkać z Oliverem w Boothbay Harbor i prowadzić przewidywalne życie. W głębi duszy wierzyła, że matkę tak samo uszczęśliwi wyjazd Kat do Paryża i spełnienie marzeń, jak poślubienie chłopaka, którego dziewczyna знаła

od piątego roku życia. Bo Lolly naprawdę chciała, by córka sama wybrała swoją przyszłość, kierując się słusznymi racjami. Teraz Kat była tego pewna.

Dostała gęsiej skórki, gdy mąż zapewnił Julie Powell, że może się ona podjąć realizacji tak wielkiego projektu, jak wypróbowanie pięciuset dwudziestu czterech przepisów Julii Child w ciągu roku, gdyż musi, jak każdy, od czegoś zacząć. Wszak „Julia Child nie zawsze była Julią Child”.

Może coś takiego powiedziała by Oliver? Może życzyłby Kat miłej podróży? A może powinna go poprosić, by z nią pojechał? Jedno wiedziała na pewno – najlepszą kwestię w filmie wygłosiła Julia Child, kiedy na początku swojej nauki powiedziała mężowi, że powinien zobaczyć, jak patrzą na nią w szkole mężczyźni, gdy popełnia błąd za błędem, ponieważ jeszcze nie „odkryli, że się nie boi”.

„Się nie boi”. Kat się nie bała. Lubiła tę cechę u siebie, bo nie pozwalała jej rozpamiętywać wyznania matki dotyczącego nocy, kiedy ojciec zginął w wypadku, a pozwalała wysłać mejla do Harrisona Ferry’ego bez wiedzy, kim on jest i bez brania pod uwagę ewentualnych konsekwencji tego czynu. To był początek drogi w słusznym kierunku, podążanie za głosem serca, niekierowanie się strachem.

Za piętnaście trzecia wróciła do sypialni i położyła się spać, myśląc o odwracaniu cienkich naleśników w słynnej francuskiej szkole kucharskiej.

Początek października był piękny, słoneczny i ciepły. Miasto wyglądało tak wspaniale jak na widokówce. Przy takiej pogodzie nawet przywiezienie matki do szpitala na badania nie mogło wpędzić Kat w depresję. Minęły dwa dni od chwili, kiedy Lolly wręczyła jej bilet do Paryża, ale Kat nie podjęła jeszcze żadnej decyzji. Nie odczuwała jednak w związku z tym obawy. Przez ostatnie dwa dni dobrze spała. Powodem jej lepszego samopoczucia był również dobry nastrój matki, która uspokoiła swe serce, umysł i duszę. Dlatego Kat, ukrywszy pod materacem bilet do Paryża, po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się beztroska.

Gdy pielęgniarka zajmowała się matką, Kat poszła do baru przekąskowego po gorącą herbatę dla Lolly i siebie. Matteo właśnie wyszedł z sali chorych z grupą lekarzy. Na widok Kat uśmiechnął się i jej pomachał, a ona jak zwykle była bardzo poruszona spotkaniem z nim.

– Idę po herbatę dla mamy i siebie – powiedziała. – Masz wolną chwilę?

Od jakiegoś czasu go nie widywała. Często do niej dzwonił, a w ostatnim tygodniu zjedli razem w szpitalu szybki lunch, podczas którego powiedziała mu, że musi odłożyć udzielenie lekcji pieczenia muffinów Alonzowi do czasu poprawy stanu zdrowia matki. Starala się jednak trzymać z daleka zarówno od niego, jak i od Olivera. Narzeczony nie mógł tego zrozumieć i przysyłał jej krótkie, pełne złości SMS-y w rodzaju: *Ostatnio w ogóle nie mogę Cię złapać*. Matteo natomiast nagrywał się na pocztę głosową jej komórki, informując ją na przykład o wynikach badań Lolly, rezygnując z bardziej osobistego kontaktu. Może on też zaczął się od niej odsuwać, tak jak ona od niego? Okazało się, że nie.

– Kat, ostatnio dużo o tobie myślałem – powiedział, gdy zalewała wrzątkiem torebkę earl greya. – Staram się trzymać od ciebie z daleka, ponieważ podejmujesz decyzję w sprawie... wyjścia za mąż, ale sądzę, że coś nas łączy.

Teraz sobie uświadomiła, że nie ma niczego takiego, co by ich łączyło. Owszem, poruszył w niej jakąś strunę, dzięki czemu zrozumiała, że nie powinna wychodzić za mąż ani też uciekać do Nowego Jorku. Matteo, który przypominał jej o Europie, obudził w niej najgłębsze pragnienie zrobienia tego, czego zawsze się obawiała – wyjazdu z Boothbay Harbor i doświadczenia pobytu w Paryżu, Rzymie i Barcelonie, a także uczestniczenia w kursie pieczenia ciast i określenia przez siebie samą, kim jest i kogo kocha.

Gdy patrzyła na usta Mattea, mówiącego do niej, usta, które widziała tak często, nie

mogąc oderwać od nich wzroku i pragnąc złożyć na nich pocałunek, zdała sobie sprawę, że doktor Viola jest jak Robert w filmie *Co się wydarzyło w Madison County*, proszący Franceskę, by z nim wyjechała, ale nie rozumiejący czy nie troszczący się o to, co by zostawiła. Oczywiście, Kat nie miała męża i dzieci i zdawała sobie sprawę, że matce nie pozostało już wiele czasu. Jej problemów nie rozwiązywał również związek z innym mężczyzną. Pragnęła rozłożyć skrzydła i stąd wyfrunąć, dzięki czemu być może będzie gotowa po jakimś czasie wrócić i poślubić Olivera, jeśli ją jeszcze zechce. A może wyjedzie do Nowego Jorku, gotowa na to, by pocałować włoskie usta Mattea? Teraz jednak należała tylko do siebie.

Siedziała na kanapie w domu Olivera. Otworzyła usta, chcąc mu powiedzieć, że jeszcze nie jest gotowa go poślubić, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Czym innym było robić wokół siebie zamieszanie i czuć się zagubioną idiotką, która ma do swoich planów życiowych ambiwalentny stosunek, a czym innym zranić Olivera, najlepszego przyjaciela od najmłodszych lat.

– Mam coś dla ciebie – oznajmił, wstał z kanapy, podszedł do stojącego pod oknem biurka i wrócił z kartką papieru.

– Co to jest? – spytała.

– Przeczytaj.

Przebiegła wzrokiem tekst i gwałtownie wciągnęła powietrze. To był wydruk komputerowy przesłanego mejlem potwierdzenia jej udziału w sześciotygodniowym kursie cukiernictwa w sławnej szkole kucharskiej w Paryżu, który zaczynał się czwartego stycznia.

– Z takiego powodu ludzie wypowiadają ten stary komunał: Jeśli tak miało być... bla bla bla – skomentował. – Może będziemy razem, a może nie. Może zamieszkaż w Paryżu lub wrócisz tu z francuskim mężem noszącym na głowie beret. Może się też zdarzyć, że wrócisz sama i zechcesz znowu zamieszkać w Boothbay Harbor i ja tu będę, a może poznam kogoś innego. Nie wiem tego, Kat. Wiem tylko, że powinnaś pojechać do Paryża i uczyć się fachu w jakiejś ekstra cukierni. Wiem też, że nie jesteś gotowa wyjść za mąż. Kocham cię i powinienem zostawić ci wolną rękę.

A więc życzył jej miłej podróży. Postąpił tak, jak się spodziewała.

– Boże, Oliverze, naprawdę można na ciebie liczyć, jak powiedział mój ojciec, gdy miałam dziesięć lat – oznajmiła.

Wziął ją za rękę.

– Bo jestem twoim najlepszym przyjacielem, Kat – stwierdził. – Może zawsze byłem tylko nim i niepotrzebnie namawiałem cię, żebyśmy się pobrali, w sytuacji, gdy ty rzeczywiście zawsze kochałaś mnie tylko jako przyjaciela. Zdaję sobie z tego sprawę, że oświadczyłem ci się w najtrudniejszym momencie twojego życia.

– Oliverze, ja...

Pokręcił głową.

– Jedź do Paryża. Zawsze będę cię kochał bez względu na to, co się wydarzy – powiedział, trzymając rękę na sercu. – Zawsze kochałem i zawsze będę.

– Ja ciebie też – szepnęła i mocno go objęła.

W piątek wieczorem, gdy w kuchni Kat pisała na torcie czekoladowym inicjały: L dla Lolly, I dla Isabel, J dla June, C dla Charliego, K dla Kat i po raz pierwszy P dla Pearl, świecił księżyc w pełni, zawieszony tak nisko na niebie, że podziwiała go przez okno. Skończyła zdobić tort i zaniósła go do pokoju matki, gdzie miał się odbyć wieczór filmowy.

– Czy P oznacza mnie? – spytała Pearl, siedząc w fotelu przy łóżku Lolly.

– Jasne – potwierdziła Kat i odkroiła kawałek tortu z białą literą P, położyła go na talerzyku, podała przyjaciółce matki i dodała: – Należysz przecież do rodziny, czyż nie?

Pearl spojrzała na nią rozpromieniona.

– Ciociu, czy twój adorator do nas dołączy? – spytała Isabel, stawiając na jej udach talerzyk z kawałkiem tortu z inicjałem L.

Lolly się zaczerwieniła.

– Nie – odpowiedziała. – Postanowił przyjechać po filmie, około dziesiątej. Jestem tak podekscytowana tym spotkaniem po latach! Mój Boże, czuję się taka szczęśliwa, że znowu jest przy mnie!

Kat zerknęła na kuzynki i wszystkie uśmiechnęły się z zadowoleniem.

Lolly skierowała pilota na telewizor i włączyła odtwarzacz DVD.

– Jestem też podekscytowana tym, że znowu obejrzę *Pożegnanie z Afryką* – dodała. – Ten film to mój absolutny faworyt. Byłam tak zdruzgotana, gdy obejrzałam go po raz pierwszy, że już nigdy nie chciałam oglądać ponownie. Teraz jednak jestem na to gotowa.

– Ja też uwielbiam *Pożegnanie z Afryką* – oznajmiła Pearl. – I wydaje mi się, że chyba nigdy nie było na świecie mężczyzny przystojniejszego od Roberta Redforda w tym filmie.

Gdy grana przez Meryl Streep pisarka Karen Blixen zaczęła swoją opowieść od słów „Miałam w Afryce farmę...”, wszystkie ucichły i utkwily wzrok w ekranie telewizora. Karen Blixen była bogatą kobietą, której utytułowany mąż Bror Blixen, grany przez Klausego Marię Brandauera, kupił za jej pieniądze plantację kawy w Kenii, dokąd oboje wyjechali. Liczne zdrady męża doprowadziły do ich separacji i Karen musiała sama zajmować się farmą. Jednak ku swojemu zdziwieniu bardzo przywiązała się do tej plantacji, w pełni angażując się w jej losy. Zakochała się także w Denysie Finchu-Hattonie (Robert Redford) – myśliwym, który okazał się nawet bardziej niezależny od niej. Karen pragnęła, by w ich związku Denys dawał z siebie więcej, niż zamierzał jej ofiarować, dlatego musiała się z nim rozstać, chcąc pozostać wierną sobie. W końcu straciła niemal wszystko, nie tylko wielką miłość, ale także farmę. Lecz nigdy nie straciła szacunku do siebie.

Po czterdziestu pięciu minutach projekcji Lolly zatrzymała film i otarła łzy.

– Przez całe lata zawsze myślałam o słowach Karen, kiedy po wszystkim, co musiała wycierpieć i co straciła, mówi, że ilekroć sądzi, iż nie zniesie już kolejnego bólu, „próbuję pogorszyć sytuację. (...) Kiedy już wie, że nie może tego znieść, przeciąga cierpienie jeszcze chwilę. Wtedy już wie, że zniesie wszystko” – skomentowała, po czym uśmiechnęła się jakby do odległych wspomnień i dodała: – To prawda.

Znowu włączyła film.

– Ja płaczę – oznajmiła June, ocierając łzy.

Isabel roześmiała się.

– Ja też – wyznała i wzięła podaną przez siostrę papierową chusteczkę.

Kat trzymała matkę za rękę. Zwróciła uwagę, że nie tylko ona siedziała nieruchomo, nie jadła popcornu i wstrzymywała oddech, gdy Karen ze złamanym sercem powiedziała pięknie, jak słusznie uznała Pearl, Denysowi, że to, co jej ofiarowuje, to dla niej za mało.

– O Boże. Zatrzymaj film – powiedziała do Lolly Isabel i powtórzyła słowa wypowiedziane na ekranie przez Karen do Denysa: – „Nauczyłam się czegoś, czego ty nie umiesz. Są rzeczy wartościowe, ale trzeba za nie zapłacić. Chcę być jedną z nich”, po czym dodała: – Zanotuję sobie te słowa na karteczce i będę ją nosiła w portfelu.

W tym momencie Kat zrozumiała, że jej wahania dotyczące zamążpójścia i pozostania w Boothbay Harbor tak naprawdę dotyczą jej samej, bo w głębi duszy nie wiedziała, kim jest i ile jest warta. Miała wykupiony bilet na samolot do Paryża i potwierdzenie uczestnictwa w kursie pieczenia ciast. Miała rodzinę. Ale swoją osobowość musiała dopiero ukształtować.

Trzy dni później Lolly umarła we śnie. Śpiąca na szezlongu Kat obudziła się o czwartej

nad ranem. Wpadający przez otwarte okno zimny wiatr poruszał zasłonami. Wstała, żeby zamknąć okno, i spojrzała na matkę. Jakimś cudem od razu się zorientowała, że Lolly nie żyje. Matka leżała nieruchomo, absolutnie nieruchomo.

Kat uklękła przy niej, odmówiła modlitwę i łkając, poszła do sypialni, żeby obudzić kuzynki.

Na pogrzebie Pearl wygłosiła piękną mowę pożegnalną i swoim uroczym sopranem zaśpiewała piosenkę *S.O.S* Abby, którą wykonywała Meryl Streep w filmie *Mamma Mia!* To było takie wzruszające, że Kat śpiewała ją po cichu wraz z Pearl, podobnie jak siedzące po jej obu stronach i trzymające ją za ręce Isabel i June.

Znacznie później, gdy prawie wszyscy uczestnicy pogrzebu udali się już do domu, Kat, Isabel i June zebrały się w salonie i zapaliły świeczkę dla Lolly. Na telewizorze położyły płyty DVD z filmami z udziałem Meryl Streep: *Godziny*, *Wieczór*, *Julie i Julia* i *Żelazna Dama*, które chciały ewentualnie obejrzeć w piątkowe wieczory, choć nie wiedziały, czy bez Lolly potrafią oglądać jakikolwiek film z tą aktorką. Na pewno jeszcze nie teraz.

Na ścianie po prawej stronie telewizora Kat powiesiła obraz, który ofiarowały Lolly na dwa dni przed jej śmiercią. Był to zbiorowy portret Isabel, June i Kat, namalowany przez artystę na podstawie zdjęcia zrobionego im we wrześniu przez Lolly na schodach pensjonatu. Portret trzech nowych pań kapitanek, razem w domu.

Przypisy

[1] Nazwa (pol. Liga Bluszczowa) obejmuje osiem elitarnych uniwersytetów amerykańskich w północno-wschodniej części kraju, w tym Columbia University, gdzie studiowała June – przyp. tłum.

[2] *June* (ang.) – czerwiec – przyp. tłum.

